



Maciej Głowacki

Pieśni Chołów

Projekt okładki: Maciej Woźniak

Korekta: Anna Dubec

Redakcja: Emilia Wyciślak

Łamanie i skład: Wojciech Dąbek

COPYRIGHT BY MACIEJ GŁOWACKI 2019



Wrocław 2019

*„Nie była to ścieżka prawdy lecz po prostu ścieżka, z rudym korzeniem
w poprzek, igliwiem po boku, a las był pełen jagód i duchów niepewnych.”*

~ „Ścieżka”, Zbigniew Herbert

Prolog

– Niech mi je odda, panie Boże – szepnęła, trzymając wtulone w ramiona niemowlę.

Wątlą płomyk pochłonał kolejne fragmenty starego papieru do pakowania. Pomarańczowe refleksy światła zatańczyły na twarzy Jadwigi. W jej oczach błysnęły łzy. Dziecko jęknęło przez sen.

Palenisko roztańczyło się błyskawicznie, gotowe zająć suche gałęzie i bryłki węgla pod niskim, murowanym sklepieniem pieca. Przez szparę w żeliwnych drzwiczkach sączyła się wąska strużka dymu, osadzającego się kopciem na suficie izby.

Dzieciątko uchyliło powieki ufnych oczu i zakwiliło, by zaraz zabuścić głośniej. Jadwigowe usta zbliżyły się do nienaturalnie nabrzmiąłego czółka, już miały złożyć matczyną pocałunek, lecz nagle zwarły się mocno. Po twarzy kobiety przebiegł grymas bólu i obrzydzenia.

Rozległ się płacz, z początku przypominający pohukiwanie sowy, by zaraz przyśpieszyć do tempa jednostajnego ryku, drążącego uszy.

Nie było sensu zwlekać.

Jadwiga poprawiła dłoń pod szorstką pieluszką i otworzyła obie strony drzwiczek siemieżnego pieca chlebowego wolną ręką. Płomień buchnął, ożywiony nagłym dopływem powietrza. Iskry sypnęły w powietrze jak chmara świetlików spłoszonych ze swojego gniazda zamigotały w czerwonym półmroku i zniknęły równie nagle.

Podłoga zajęczała pod ciężarem bosych stóp. Ktoś włókł się mozolnie z sypialni do kuchni. Drzwi sąsiedniej izby rozwarły się ze zgrzytem zawiasów i pod framugą wychynęła zaspana, wąsata twarz gospodarza.

– Jadzia, czemu nie śpisz? – Waldemar przetarł knykiem śpiochy spod powiek i zamrugął ociężale. – Jadzia?

Kobieta nie zareagowała nawet, zbliżyła się o kolejny krok do pieca i przykucnęła, wysuwając ręce przed siebie. Żar zasyczał groźnie, nagrzane powietrze oblizało łapczywie dwie zapłakane twarze.

– Jadwiga! – Z przerażeniem podbiegł do żony. – Co robisz?! Nie tak blisko, bo się poparzy!

Gospodarz chwycił ją za ramię, pociągnął do siebie, jednak kobieta wyszarpnęła się nagle, wprawiając go w osłupienie. Przykucnęła na wprost pieca, próbując włożyć zawiniątko do pełnej niewybranego popiołu komory.

– Zdurniałaś?! Zostaw je w tej chwili! – Mąż skoczył do niej jeszcze raz, by siłą wciągnąć w głąb pomieszczenia.

Ogień wzrósł, jakby przeczuwając nadchodzący posiłek. Kawałek trowej pieluchy zasmolił się natychmiast i poczerniał. Dziecko ukryte pod kocykiem płakało żałośnie, coraz bardziej przeszywająco, jazgotliwie, już nie z przebudzenia, a z bólu.

– Chcę moje dziecko! Niech odda mi dziecko! – Jadwiga zaszlochała wniebogłosy i padła z hukiem na plecy, szarpnięta przez męża.

Niemowlę przetoczyło się po podłodze. Nabrzmiała od szlochu twarz pokryła się płatkami sadzy i czarnymi plamami węglowymi.

Główne drzwi trzasnęły nagle, jęknął łamany skobel i klamka odbiła się od pobielonej ściany sieni, odłupując tynk. Przez krótki fragment korytarzyka przetoczył się tabun ludzi, tupocząc zawzięcie butami. Kroki ścichły na krótko, gdy wszyscy stłoczyli się pod przejściem. Drzwi do kuchni rozwarło gwałtownie, przewracając szafkę i miednicę z resztką mydlin.

W niemalże całkowicie otulonym mrokiem wiatrołapie mignęły dzieciątki białek oczu, na których przedzie stanęła rosła sylwetka w koszuli nocnej. Ukryty w cieniu człowiek rozejrzał się po pomieszczeniu z półotwartymi ustami, skrzywił w grymasie i strzelił oczami to na piec, to na małżonków, dziecko i z powrotem na buchające, otwarte palenisko.

– Powiedz coś, ty wiesz jak jest – zwrócił się do gościa gospodarz przez zaciśnięte ze strachu gardło – Wiesz, prawda?

Paru sąsiadów precisięło się zza pleców stojącego na przedzie człowieka, który nadal nie chciał przesunąć się spod framugi. Do mieszkania dobiegło jeszcze kilku zainteresowanych, szepcząc między sobą w napięciu.

– Niech ona odda mi dziecko, proszę, niech odda mi dziecko – powtarzała w kółko Jadwiga, skulona w kłębek na podłodze.

Kobieta podniosła przekrwione oczy na zerwany ze snu tłum w piżamach, powtarzając te same słowa ustami, już bezgłośnie, pograżona w obłędzie. Dziecko zakwiliło, ścichło na ledwie moment, jakby miało się uspokoić, jednak zaraz znowu zaryczało tak głośno, że słyszący zaciśnęli zęby.

Powieki pierwszego z sąsiadów zamknęły się na moment, przybrał smutny, zamyślony wyraz twarzy i odpowiedział wreszcie:

– Przykro mi Waldek, może się...

Nie zdążył dokończyć. Gospodarz wydarł się wściekły, gotowy rzucić się z pięściami na mówiącego. Dwóch ludzi doskoczyło raptownie do Waldemara, by pochwycić go za ramiona. Mówili coś uspokajająco, prosząco,

niemalże błagalnymi głosami, jednak siłą odciągali go pod przeciwległą ścianę, z dala od potomka.

Jadwiga chwyciła mocno niemowlę, uśmiechnęła się z wyraźnym trudem i zbliżyła do źródła ognia.

Wszyscy poza lamentującym gospodarzem zamarli w ciszy, oczekując nocnego gościa.

ROZDZIAŁ PIERWSZY:

KTO NA SIEBIE OSTRZY KOŚĘ?

Wieś wydała mi się całkowicie zwyczajna, z gatunku tych, co się je mija rowerem na wycieczce i spogląda uważnie, czy nikt nie rozsypał gwoździ na drodze. W oddali kilka strug z kominów łączyło się w jeden, siwy parasol dymu, pod którym latała chmara jakiegoś czerniawego ptactwa.

– Pan doktor to na długo tak? – spytał mnie kierowca, Andrzej, siedzący obok mnie w poplamionej maciejówce i z podłym papierosem w kącie ust.

Schowałem głowę z powrotem do kabiny Żuka i ściągnąłem okno uchwytem. Smród dymu wewnątrz był nie do zniesienia i mimo wrześniejszej pogody (w tym gorszym wydaniu), starałem się trzymać głowę poza

obrębem szoferki. Nagrzewnica nawet nie udawała, że pracuje, sporadycznie dając z siebie dodatkowy aromat palonego kurzu.

– To zależy, na badania jadę – odparłem nijako, by nie zachęcać go do rozmowy. Jeszcze skończy się to tak, że będę musiał się tłumaczyć obcemu.

– A czemu pan samochodem nie podjechał z centrum zdrowia? Jak żem pana doktora zobaczył z tą walizą i ręką w górze to serce mi się normalnie na pół zgięło...

Dostawczak podskoczył na wybojach, rymsnął z powrotem o asfalt i załomotał paką, załadowaną po brzegi towarem, w tym moim bagażem podróжным.

– Zgięło i złamało – dokończył dostawca i skiepował do przymocowanej chałupniczo metalowej popielniczki, z której co rusz wysypywała się mała lawina popiołu, paskudząc jeszcze bardziej dywanik. – To jak jest?

– Bo ja nie jestem z centrum zdrowia waszego, tylko z Warszawy.

Kierowca zagwizdał głośno i przeciągle, aż mnie uszy zaboląły. Oni naprawdę się nudzą w tych trasach, jak można tak sprawnie udawać odjeżdżający parowóz?!

– Czyli co, na bydło inspekcja do PGR-u? Czy zaraza jaka się szerzy? Pan niech mi powie, ja nikomu nie powiem, słowo honoru.

– Nic z tych rzeczy, ja w sprawie tego... incydentu w Chołach.

Facet spoważniał nagle, zasunął swoją szybę do końca, rozejrzał się – po lewej pole kartofli, po prawej ziemniaków – i niemalże konspiracyjnym szeptem wysyczał mi do ucha:

– Bo ja wiem, co się stało.

Przewróciłem oczami, ale tylko w duchu, by nie być zwyczajnie chamskim wobec kogoś, kto zaoszczędził mi tyle czasu, podwożąc mnie aż

do wsi. W innym wypadku musiałbym na piechotę ciągnąć bagaż od przystanku PKS, a to jest dobre kilkanaście kilometrów.

– Wszyscy wiedzą, proszę pana – wyjaśniłem grzecznie. – Cały kraj już wie, trafiło ziarno na dobry grunt, ludzie podchwycili, boją się, gadają, no to wszyscy wiedzą.

– Pan nikomu nie wygada? Bo ja bym chciał coś panu powiedzieć, ale w tajemnicy.

– O, a ponoć umie pan dochować sekretów – zaśmiałem się, ale przytaknąłem głową zachęcająco. – Śmiało, tu nikt nie podsłucha.

Puknąłem dwa razy o przypalony papierosami sufit, jakby zaraz miały się z niego wysypać wojskowe pluskwy.

– Bo do milicji to ja doniosłem, a potem do gazety.

Autentycznie rozwarłem usta ze zdziwienia. A myślałem, że nic mnie tu – w śmierdzącej kabinie Żuka-Naiwniaka – nie zaskoczy.

– Nosilem się z tym parę dni, ale jak sobie pomyślałem, że takie rzeczy się tam dzieją to powiedziałem sobie: basta! Miarka się przebrała i trzeba do stróża donieść, on wie gdzie dalej i...

– Zaraz, chwila moment, a pan skąd wie o tym, co się stało. Znaczy się: jako pierwszy skąd się dowiedział?

Kierowca zasępił się na moment, rozejrzał ostatni raz ostrożnie i jedną ręką sięgnął do zmiętolonej paczki Popularnych.

– Jest tam taki Romek, Roman znaczy się, nazwiska nie znam, bo każdy Romek mówi. Pijaczek zwykły, jak mam dostawę te dwa razy w miesiącu czy trzy, albo jak sołtys zadzwoni, że potrzeba jest, to przyjeżdżam i ten Romek to zawsze czeka. Prosi o papierosa, wie pan doktor jak to jest, u nas – trzeba sobie pomagać.

– Tak, nie to co w zarobaczywionej stolicy – wtrąciłem z pobłażaniem, ale słuchałem dalej, bo sprawa wydawała się nad wyraz ciekawa.

– No więc ja mu powiedziałem, temu Romkowi znaczy, że: słuchaj mnie Romek, ja ci dam tego fajka, jak ty mi powiesz coś czego nie wiem.

– Dostawca zaciągnął się nowym papierosem po raz pierwszy, pokiwał głową w rozmyśleniu i spojrzał na mnie zdziwiony, jakby nie spodziewał się, że będę jeszcze na coś czekał. – No i to już, tyle. Powiedział mi o tej sprawie z piecem.

– Zaraz, chwila, moment. Przecież w kurierze pisali, że tam nikogo nie było, że sama to zrobiła, to skąd on wiedział?

– Wieści szybko się rozchodzą po wsi. No i tak między nami...

– Andrzej zmilkł, wpatrując się w nieodległe, pierwsze zabudowania. – Oni tam wszyscy wszystko wiedzą, ale trzymają się razem. Nikt się nie wyłamuje, a ten Romek mi zdradził, że tam wszyscy byli. Wszyscy patrzyli jak to się działo.

Odruchowo włożyłem dłoń w kieszeń płaszcza, wymacałem twardy przedmiot przy sercu i wziąłem głęboki oddech. Puściłem znajomy, dający poczucie bezpieczeństwa kształt i pociągnąłem się kilka razy za brodę w zamyśleniu.

Wystarczyło mi tych wrażeń jak na jedną przejażdżkę, na szczęście kierowca Żuka również ucichł i nie odzywał się reszta – bogiem a prawdą, krótkiej – drogi do wsi.

Od strony Jarzeniówka dojechaliśmy jedyną asfaltówką pod dwa metalowe słupki z podwieszoną, podłużną doniczką, jednakże bez kwiatów. Nikt ich widocznie nie zasadził od dawna, mimo tego, że zwyczajem było przyozdobić znak drogowy z nazwą miejscowości. Co do znaku, to nawet go nie było. Po prostu dwa metalowe słupki i plastikowy pojemnik z ziemią.

Nie nawykłem do widoków wsi, nigdy nie miałem okazji; nie kupowałem mnie Rej, ani Żeromski i nie ufałem sielankowym wizjom. Natomiast na wejściu dostałem dokładnie to czego się spodziewałem.

Kilka murowanych domów z eternitowymi kapeluszami dachów i wyrostkami kominów. W paru miejscach wykręcony paluch – drut udający piorunochron – a obok nawet dostrzegłem antenę; nawet w takim miejscu można było obejrzeć dziennik. Ściany – spodziewałem się złuszczonej farby, odłazącej płatami jak skóra trędowatego – ale nie, mało co było w ogóle pomalowane. W znacznej większości po prostu mażnięto wapnem cegły, jak i podstawy owocujących drzewek w ogródkach.

Bogatsze domostwa miały obok biedniejsze odpowiedniki, drewniane, zapuszczone i to na tej samej działce – znak, że się poszczęściło i stać było na budowę nowego, murowanego lokum. Chlewy – zwarte, ciasne dla zachowania ciepła. Stodoły przestronne, acz inwentarza niewiele, bo i po co więcej, skoro człowiek nie obrobi, a do szczęścia nie trzeba. Kurnik – ot zbita z desek dobudówka czy wolnostojący sześcian i przechadzający się w tę i w tę złoty kogut o krwistocie czerwonych koralach – niby ozdoba, ale w pierwszej kolejności użyteczny, a nie ładny.

Słowem: każdy orze jak może.

To nie to samo co miasto; klasa chłopsko-robotnicza była zwarta, mocna jak betonowy chodnik. Czym się różniło biedniejsze gospodarstwo od bogatszego? Niemalże niczym – tylko materiał gorzej wykończony albo stodoła połączona z chlewem bliżej siebie dla oszczędności. Może chata drewniana, nie murowana, ale co z tego, skoro wnętrza podobne i ludzie podobni, i myśli ich podobne, jeśli nie jednakowe?

Właśnie to mnie martwiło. Sprawę należało zbadać delikatnie, niemalże finezyjnie, natomiast ja po prostu byłem z innej bajki, kompletnie nieprzystający.

A przecież wierchuszka nie będzie czekać wiecznie na efekty. Nie mogę wrócić z niczym ani udawać, że coś mam.

– O, jest Piotr, znaczy sołtys wsi, Piotr Bieniasz. – Kierowca wyjechał z asfaltowej drogi na mały placzyk z kamieni polnych. Wskazywał mi Piotra ręką, ale wszystko trzęsło się tak, że równie dobrze mógłby dyrygować orkiestrą.

Sołtys jedyny odróżniał się od bandy „filozofów” w uszankach, którzy przycupnęli pod sklepem z wyblakłym szyldem: „Słodyczne Wina”, dojących od rana jakieś sikacze. Koszula wpuszczona w sztruksowe spodnie, owczy kozuch nieco z innej epoki, czapka ocieplana i przezornie owinięty wokół szyi szal z ręcznie farbowanej bawełny.

Już z daleka się nam przypatrywał, jakby sam dźwięk silnika działał mu na nerwy.

Wysiedliśmy z wozu; dostawca w pierwszej chwili przywitał się podaniem ręki z każdym, wypowiedział kilka słów powitania i dopiero wtedy przypomniał sobie o tym, że istnieję. Odzyskałem swoją walizkę, odłożyłem ją na moment i wziąłem głęboki oddech.

Paskudne miejsce.

Gdy wjeżdżaliśmy to myślałem, że to kwestia zapachu dymu, palonych liści, wilgotnej ziemi i wszechobecnego fetoru zwierząt. Jednak nie, to było coś innego, jak pęknięcie w uszach podczas wspinaczki górskiej. Zmiana ciśnienia, inny równoleżnik geograficzny, no po prostu nie to samo i już.

Wokół placyku stłoczonych było kilka większych budynków, zza pozostałych firanek w oknach obserwowały mnie nieufne, acz głównie ciekawskie spojrzenia.

Dokładnie tego mi brakowało – stania się atrakcją.

Westchnąłem w duchu i zdecydowałem, że jestem gotowy na pierwsze bezowocne odbicie się od zamkniętych na świat autochtonów. Jednak potem będzie lepiej, zdecydowałem, rozgryzę ich i wyszę z nich szpik.

Sołtys miał beznamiętną, absolutnie chłodną fizjonomię, będącą podręcznikowym przykładem socjalizmu z ludzką twarzą. Szeroki nos, czoło i barki, odstające uszy oraz wypchnięte łokcie aż nadto zajmowały przestrzeń dookoła. Przy nim człowiek wydawał się być naprawdę mały, zwłaszcza, że przerastał mnie o głowę.

– Dzień dobry panu – zacząłem równie beznamiętnie, nie wiedząc, czego się spodziewać. – Doktor Jerzy Drozd, mamy do porozmawiania.

Sołtys na moment odwrócił się od wąskich drzwi wejściowych sklepu. Czterech chłopów w wiatrówkach przetaczało się to w jedną, to w drugą stronę, wnosząc pakunki z Żuka do środka lokalu, dwóch innych otworzyło sobie drucianą bramkę na zaplecze i turlało dające mocno parafiną beczki z cienkiej blachy.

– Inspekcja trzody była w zeszłym miesiącu. – Twarz sołtysa nie zmieniła się ani na jotę, choć wyciągnął do mnie dłoń i uściśnął mocno, niemalże brutalnie. – Piotr Bieniasz, sołtys. Bo jak rozumiem, to w tej materii pan przyjechał?

Odchrząknąłem teatralnie, ale Bieniasz zdawał się nie być osobą, która szczególnie przejmuje się komunikatami niewerbalnymi. Nie pozostało nic innego, jak wyłożenie sprawy w najprostszy sposób.

– Jestem z Państwowego Instytutu Badań Społecznych. – Sięgnąłem do kieszeni po złożoną na czworo kartkę i podałem rozmówcy. – Mam zostać przez pana zakwaterowany na czas prowadzenia badań. Tu jest podpis dyrektora, jest też klauzula od...

Nie słuchał, więc po prostu przestałem mówić.

– Doktor psychologii... – Sołtys uśmiechnął się po raz pierwszy, odczytując na głos treść zaświadczenia. – Czyli nie lekarz, tak?

Zakłuło, jak drzazga w cewniku.

Odwzajemniłem uśmiech, ale ledwie mrugnąłem i mój interlokutor znowu miał bezemocjonalną, szarą maskę zamiast twarzy.

– Oprowdzi mnie pan może, chciałbym odłożyć walizki i zabrać się jak najszybciej do pracy.

Podkreśliłem ostatnie słowo, bo... Bo po prostu zaboląa mnie ta uwaga o nie byciu lekarzem. Wystarczyło mi już, że wylądowałem na tym kompletnym zapiecku cywilizowanego świata, gdzie ludzie dalej wierzyli w bobolaki czy inne bzdury.

Piotr rozejrzał się leniwie na boki, odetchnął z wysiłkiem jakbym mu nałożył dodatkowy ciężar na plecy i przytaknął ledwie widocznie. Od niechcienia jeszcze porozmawiał chwilę z dostawcą, upewniając się co do pewnej materii, która pozostała dla mnie tajemnicą. Widać było, że źle znosił jakiegokolwiek zmiany w swojej dziennej rutynie, a po ostatnich wydarzeniach pewnie było takowych sporo.

Gdy tylko sypnęła się sprawa pieca, na pewno poszły w ruch tryby maszyny biurokratycznej. Kontrole, inspekcje, wizytacje i cała szopka mająca na celu wykorzystać uwagę społeczeństwa. Skoro już wszyscy spojrzeli przez pięć minut na biedne Choły to wypadałoby, aby w tamtym miejscu stała dumnie wyprężona pierś partii, silne dłonie i krótka wiadomość: wszystko jest w porządku.

Wyrok wydano, przestano pisać w gazetach, ludzie zapomnieli. Po wszystkim zapewne Choły zaczęły wracać do normy, jednak z jeszcze większą nieufnością spoglądając na przyjezdnych.

Każdy miał coś na sumieniu; znaczna większość to były błahostki o znikomej szkodliwości społecznej czynu, które po prostu wypadało trzymać w tajemnicy. Na pewno ciągnęli na lewo drewno z lasu, pędzili księżycówkę i robili wszystko to, co niemal wszyscy i tak robią, choć nie wolno.

Więc ostatnie czego potrzebował sołtys to jakiegoś pseudo lekarza, który będzie węszył w sprawie, o której mieli nadzieję szybko zapomnieć.

No cóż, ich niedoczekanie. Granty naukowe trzeba łapać, gdy tylko przelatują obok. Nie miałem zamiaru opuścić Chołów z niczym. Natomiast to, co powiedział mi Andrzej dostawca, było co najmniej niepokojące i war-te dogłębnego zbadania.

Zawiał mocno wiatr, tragarze zatrzymali się w pół kroku, jak na ko-mendę. Sędziwy kasztanowiec na boku placyku zajęczał przeciągle, dziwnie zmodulowanym dźwiękiem. Gałęzie zaskrzypiały o siebie wzajemnie, po czym na ziemi spadło naraz kilkanaście kasztanów. Brązowe główki wyskoczyły z zielonych pancerzyków przy uderzeniu i potoczyły się w róż-ne strony.

Sołtys wyraźnie wgapiał się dalej w orzechy, z których jeden poturlał się po kocich łbach aż pod nasze nogi. Przysiadłem do ziemi i podniosłem znalezisko, chuchnąłem, potarłem i schowałem do kieszeni oliwkowego płaszcza.

– Na szczęście. – Rozłożyłem ręce z prostodusznym uśmiechem.

Nie usłyszałem odpowiedzi, mój przewodnik obrócił się jedynie bez słowa i zaczął kroczyć w sobie tylko znanym kierunku.



Dom sołtysa zdawał się być najbardziej zadbanym kawałkiem ziemi, usytuowanym blisko centrum wsi. Ogrodzenie wiło się wraz ze świerkami na dobrych dwudziestu arach o planie prostokąta, by sąsiadować z pordze-wiałym ogrodzeniem parafii i tanią drucianką – leśniczówką – oddzielającą sad.

Już przy wejściu widać było, że sołtys pobiera jakieś szczególne profity ze względu na reprezentowanie wsi na zewnątrz. Stało się to dla mnie szczególnie pewne, gdy w pokoju gościnnym dostrzegłem nakryty serwetą stolik, na którym lśnił bakelitowy telefon.

Zrobiło mi się jakoś chłodno – nieprzyjemnie – na myśl o tym, że tylko tak można się porozumieć z resztą świata. Najbliższa poczta miała swoją siedzibę w Jarzeniówku, samochodu mi brak, a przecież konia nie ukradnę, prawda? Nie, nie ukradnę, więc jedynym wyjściem było tylko pozostawać w dobrej komitywie z sołtysem.

Ten zaś okazał się być przynajmniej rzetelną osobą; przedstawił mnie swojej żonie – Helenie – i usadowił przy niskiej ławie przed meblościanką wypełnioną kryształami.

– Bardzo gustowne – skłamałem z grzeczności, kierując słowa do żony gospodarza. – Sama pani ustawiała?

Kobieta machnęła jedynie ręką, uśmiechnęła się wydatnymi wargami i odpowiedziała równie trywialną grzecznością na banalny komplement. Dopiero po chwili zasiedliśmy sami z jej mężem, by porozmawiać o sprawach istotnych, a te nie przedstawiały się różowo.

– Długo ma pan zamiar zostać, panie Drozd? – spytał prosto z mostu, sięgając po paczkę papierosów z półki pod ławą

– Może być po prostu Jerzy.

– Znaczy, że długo – uśmiechnął się sucho sołtys i pokiwał powoli głową, trzymając w ustach papieros. – Pali pan, prawda?

– Naturalnie, nie ufam obcym modom. – Poczęstowałem się Camellem, zebrałem w głowie myśli. – Odjadę tak szybko, jak będę miał wystarczająco dużo materiałów. Każda pomoc będzie na wagę złota i zdecydowanie przyspieszy mój wyjazd, czego jak rozumiem, pan oczekuje niecierpliwie od pierwszego momentu.

Piotr przymknął oczy na moment, zasupłał palce na wydatnym brzuchu i po przeciągającym się milczeniu machnął ręką, siłąc się przy tym na świetnie udawany, szczery uśmiech.

Jak mnie to przstraszyło! Istnie pokerowa twarz, niemal niemożliwa do odczytania; na szczęście jedynie niemal.

– Nie jestem panu wrogiem, po prostu myślę, gdzie ja znajdę wolne miejsce, bo nie wy-pada pana doktora tak do siennika na piętrze stodoły wysyłać. Zimno się robi, wiatr hula, no i po prostu niegościnnie tak. Z kolei jakby tutaj na tapczaniku miejsce wygospodarować, to i nam tu dziwnie by było, wstyd. Jeszcze raz podkreślę, ja po prostu...

– Rozumiem, szczerze. – Wystawiłem dłoń, podnosząc głos. – Mnie też się nie widzi okupowanie przez tyle dni centrum domu, natomiast nie mam dużo bagaży, ani wielkich potrzeb: jak się trafi lampa i bieżąca woda to będzie cudownie.

Rozmówca wydał pogardliwie usta, by zaraz mlasnąć z niesmakiem. Z tej perspektywy przypominał mi żabę, może raczej tłustą ropuchę, która była wielce niepyszna, że ktoś jej przeszkadza i to w jej legowisku.

– Mieliśmy ostatnio we wsi zgon...

– Wiem, ja w tej sprawie.

– Inny zgon...

– Moje kondolencje.

– Niech pan nie przerywa – odchrząknął sołtys i pochylił się nad ławą, by strzepnąć popiół do kolorowej miseczki. – Przykry wypadek, Romek nadział się na własną kosę jak pajacował po pijaku. Wstydliva sprawa, głupia, powiem wprost. Żona zmarła mu tuż po wojnie, dziecka nigdy się nie doczekali, więc chałupa stoi pusta. Wysłałem już zawiadomienie do naczelnika gminy, bo to nie ja się zajmuję takimi rzeczami. Ktoś musi zdecydować, co się stanie dalej z dobytkiem, choćby bardzo skromnym.

– To naprawdę przykra historia – wtrąciłem jeszcze raz, bo niezręcznie było milczeć.

– Dla pana może i jest z niej jakiś pożytek, bo tak między nami to myślę, że mógłby pan tam przenocować na jakiś czas. Na obiad zapraszam do siebie, niech się o to pan nie martwi.

Uśmiechnąłem się od serca, odetchnąłem w duchu i wyprostowałem z zadowoleniem. Sprawy zaczęły mieć się ku lepszemu, przynajmniej dla mnie. Własne cztery ściany – nieważne, z czego zrobione – dawały mi prywatność i czas na przygotowanie materiałów do pracy w terenie. Tylko Bieniasz zdawał się nie robić tego ze szczodrości serca, a po prostu próbował pozbyć się niezapowiedzianego gościa. Może chciał mnie wystraszyć domem po zmarłym?

– Panie Piotrze drogi, bardzo dziękuję, to naprawdę wiele dla mnie znaczy. Wiem, że materia jest niezwykle delikatna i dlatego tym bardziej doceniam każdą pomoc – zapewniłem, bo przeczuwałem, że jeszcze sporo trzeba będzie się nalatać i wytargować od urzędnika.

– Wracając, skoro przy obiedzie jesteśmy, to chyba zaraz czas zacząć. U nas dzisiaj kapuśniak na pierwsze, ale z serca, mam nadzieję, że doktor lubi.

– Lubi, co ma nie lubić.

– A lubi doktor spokój?

– Słucham? – zdziwiłem się, bo pytanie było co najmniej nie na miejscu. – W jakim sensie spokój miałbym lubić?

– Każdym, bo my tutaj na przykład bardzo. Dlatego niech mi pan przy mnie obieca, że nie będzie nękać ludzi tym, co się stało. Oni i tak nic nie wiedzą, nikt panu niczego ważnego nie powie. Proszę uszanować nasze zwyczaje, rytm dnia i nie włączyć się bez powodu, zwłaszcza to ostatnie,

dobrze? Niech pan siedzi u siebie, zasunie firanki, nie zwraca uwagi na hałas i pracuje nad tymi swoimi...

Piotr na moment zakręcił dłonią, zważył starannie słowa na języku i zrzucił odpowiedzialność za finisz na mnie:

– Badaniami nad wierzeniami ludowymi.

Zamilkł.

Tykanie zegara stało się nagle donośniejsze, jakby prześmiewcze wobec niezręcznej ciszy, jaką wywołałem. Sołtys – i nie mówię takich rzeczy bez powodu – na moment zbladł jak ściana, a wiem, bo pobieloną ścianę widziałem jeszcze przed godziną.

– I to będzie pan tu badał? – spytał suchym głosem, cichym jak osuwający się piasek.

– Głównie.

– A jak pan to będzie badał?

– Rozmawiając, długo rozmawiając, podpatrując, może zobaczę coś ciekawego?

Sołtys wyszczerzył się nagle, po raz pierwszy ukazując szereg pożółkłych, acz przyzwoicie zachowanych zębów. Przypominał dziadka do orzechów, gotowego bez trudu rozłupać skorupę w szczękach.

– Choły to ostatnie miejsce, w którym człowiek szukałby czegoś ciekawego, niech tak zostanie.



Powiedzieć, że śmierdziało, to jak nic nie powiedzieć. Może i właściciel przybytku zmarł, ale przecież cały jego inwentarz pozostał. Jeszcze przy obiedzie Bieniasz zapewniał mnie, że to nie jest moje zmartwienie, ja tu tylko śpię. To ich problem, co zrobią ze skromnym zwierzyńcem, kręcącym

się wewnątrz zabudowań stodoły i pokracznego kurnika, przykrytego blachą falistą.

Na posesji wałała się tona rupieci, głównie zwieziony nie wiadomo skąd i w jakim celu złom, szczerbate utensylia, opony, przykryty wilgotną narzutą rower z błotnikiem, pod którym osy uwiły sobie gniazdko. Wnętrze domu było nieco mniej treściwe, kontrastowało niemal spartańskim porządkiem z frywolną rupieciarnią, jaka panowała w obejściu.

Stół ze, słownie, jednym krzesłem o przetartym oparciu w kwiatki, dwa taborety – śliskie tak, że strach usiąść, ale nie było też tragicznie. Żona Bieniasza była na tyle szczodra, że przed wyjściem obiecała mi przysłać pościel dla gości, skoro teoretycznie byłem ich gościem. To bardzo dobrze, bo barłóg w jakim spał stary Roman był zwyczajnie strasznie zapuszczony. Widocznie częściej zdarzało mu się zasypiać na krześle albo poza domem.

Jakiś dziwny dreszcz przeszedł mi po karku. Uczucie, jak gdybym zapomniał zamknąć mieszkania albo zakręcić gaz. Rozejrzałem się krytycznym okiem po wnętrzu: ciężko było rozróżnić wiele kształtów przez ledwie jedno okno, wpuszczające do środka liche światło pochmurnego dnia. Już miałem na końcu języka dwie myśli, gotowe do spotkania się w konkluzji, ale zaraz przykuło moją uwagę coś zgoła innego, równie jednak niepokojącego.

Zaraz. Okno. Nie było go.

Znaczy, było to, o którym wspomniałem, ale tylko jedno – od strony wsi, wypadało na wąski pasek podwórza, brzoźkę i dalej grządki rabarbaru, a na samym końcu widniała ściana domu najbliższego sąsiada. Brakowało drugiego okna, które rozbijałoby mrok kuchni na przestrzał. Zbliżyłem się do przypalonych firanek w koronkę, odsunąłem i nic się nie stało.

Bo za firankami zwyczajnie brakowało okna. Zamiast niego sześć popielatych desek składało się w barykadę, nieprzepuszczającą nic poza poje-

dynczym promykiem światła. To dziura po małym sęku, przez który dało się zmieścić ledwie kciuk. Wiatr świszcział cicho przez otwór; zbliżyłem oko i dostrzegłem malutki wycinek, dioramę lasu na północy.

Drzewa były gigantyczne, teraz dopiero to dostrzegłem, dojrzałe, wręcz stare, nawet w kategoriach lasu. Falowały harmonijnie na wietrze całą taneczną obsadą sosen, świerków, brzoź i buków. W kilku miejscach dostrzegłem łyse placki platanów i szorstkie kolumny orzechów.

Coś ukłuło mnie w tym widoku, w zaniedbanej, wąskiej koleinie prowadzącej tylko do kilku pól, kończących się dwiema kapliczkami na linii między. Dalej rosło na dziko jeszcze pół kilometra łąki, ciągnącej się w prostym rysunku do lasu.

Miejscowi rzeczywiście musieli mieć swoje dziwactwa – nie kradli za dnia drewna z lasu. Przynajmniej nie tak beczelnie jak miało to miejsce wszędzie. Kto nie wyniósł nigdy choinki na święta z państwowego lasu, niech pierwszy rzuci szyszką. Dziwactwo, ale godne pochwały.

Przysiadłem na krześle, w którym właściciel nieboszczyk zapewne spędził lwią część swojego życia. Na zapaskudżonym przez muchy obrusie jedynym przedmiotem była lampa gazowa; wyglądała na często używaną, co dziwne, bo nad stolikiem wisiała również zwykła jarzeniówka.

Z niepokojem pstryknąłem włącznikiem, wolframowy drucik zabłyszczał niemal natychmiastowo. Podniosłem gazówkę, potrząsnąłem, przekręciłem zapalnik i buchnął płomyk. Widocznie na jakieś nieprzewidziane wypadki, albo nocne płoszenie lisa z kurnika, czy co tam oni robią.

Wtem rozległ się stukot u drzwi, gdy otworzyłem ujrzałem coś, czego nie należało się spodziewać po takim dniu. Dziewczyna o gładkiej twarzy, związanych zgrabnie włosach i zniecierpliwionym głosie z gatunku:

– Pomoże mi pan?

Co było ponagleniem, bo wgapiałem się przez chwilę w osłupieniu, gdy ta stała u progu, obejmując z trudem puchową kołdrę i wciśniętą weń poduchę.

– Tak, oczywiście – odpowiedziałem zdeorientowany, odbierając prezent. – Nie spodziewałem się, znaczy, gości, chociaż nie liczyłem na to, że pościel sama się pojawi.

– Jeść dostał, dom dostał, pościel mu przynoszą. – Nieznajoma uśmiechnęła się prowokująco. – Może pan to jednak hrabią jest, a nie lekarzem.

Jakbym był hrabią, to bym nie otwierał drzwi.

– Jakbym był hrabią, to bym nie został po królewsku ugoszczony przez pani matkę – uśmiechnąłem się grzecznie i odłożyłem cały pakunek na stół. – Pani godność...

– Żadna godność, po prostu Lusia, od Łucja.

– Pięknie. Jerzy, po prostu od Jerzy.

Sołtysowa córka wyciągnęła dłoń, złożyłem usta do pocałunku nad samą skórą i uśmiechnąłem się przymilnie. Dziwny zwyczaj, nigdy się z nim nie spotkałem na zachód od kraju, ale tak wypadało.

Była taka normalna, w sukni zrobionej ze zdaje się pierwszomajowej flagi z pochodu. Co jak co, ale na takie ozdoby nigdy nie brakowało płótna, bo przecież każde święto musi być zrobione z pompą. A to, że zaraz po zmroku ściągano się godła, farbowało i pruć na ubrania, to raczej nic nadzwyczajnego.

– Zaprosisz mnie do środka?

Zaciąłem się na moment, zamrugałem i z opóźnieniem wskazałem na jedyne sensowne krzesło, na którym dało się usiąść. Nadal nie myślałem o tym miejscu jako o swoim, więc tym bardziej nie spodziewałem się, że miałbym tutaj kogokolwiek ugościć.

– Jeszcze nie odpaliłem nawet kuchni, nie wiem, czy jest herbata albo chociaż rumianek.

– Rumianek? – Spojrzała oburzona.

– Przepraszam, myślałem po prostu, że byłby, bo przecież pijecie tu herbatę z rumianku, prawda?

– Oczywiście – zaśmiała się otwarcie. – Po prostu cię sprawdzałam, rzadko mamy gości i mnie to bawi. Wybacz, ot, nasz miejscowy humor.

Otworzyłem na oścież drzwi do kuchni, w niej również było tylko jedno niezabite okno, z czego w zabitym nie było nawet najmniejszej szpary. Na parapecie pod oknem stało trochę paproci, które jeszcze żyły mimo braku dostępu do światła. Dziwne, nie wiem czy mogłyby przetrwać w półmroku, pod drugim oknem stała bliźniacza paproć, w tym samym stanie.

– Nie ma mi pan za złe, prawda?

– Słucham? – Ocknąłem się zdezorientowany, grzebiąc w zawilgotniałych szafkach. – A nie, skądże. No i nie musisz nagle do mnie per pan mówić, przyda mi się tutaj ktoś bardziej...

– Bardziej?

– Mniej sztywny po prostu. Twój ojciec musiał mieć sporo problemów przez całą tę aferę z piecem, więc stąd pewnie taka chłodna postawa.

Łucja milczała przez chwilę. Myślałem, że ją uraziłem. Zdążyłem podłożyć ogień pod piec kaflowy i zaopatrzyć się na emaliowany czajniczek w czerwone kropki. Odkręciłem kurek kranu, polało się nieco wody ciurkiem, ledwie na filiżankę i zaraz przestało. W rurach jakby skrzypnęło, jęknęło, może uwalniane ciśnienie, po chwili coś syknęło jak gaz, a zaraz potem była już tylko bezbrzeżna cisza.

– Woda nie leci z kranu.

– Tam powinno być zejście do piwnicy albo z zewnątrz, znaczy najpierw poszukaj w kuchni. – Brzmiała dziwnie, jakbym ją czymś zdenerwował.

– A po co mi do piwnicy?

– Bo tam hydrofor trzeba włączyć, by zassał ze studni wodę. Widać Romkowi nigdy się nie chciało na zapas zaciągnąć do beczki albo w rurach coś zastało.

– Skomplikowane to? – spytałem wchodząc z powrotem do głównej izby. – Co robisz?

Zdziwiona wielce Lusia stała nad moją walizką z nieco odrapanej, sztucznej skóry i ewidentnie wyglądała jakby chciała sięgnąć właśnie po nią.

– Wybacz, chciałam pomóc się rozgościć.

– Grzebiąc mi w torbie? – spytałem nie na żarty zdenerwowany, bo tylko tego mi brakowało, bym przyprowadził do domu jakąś kleptomankę.

– Nie, wyładowując pierwszą koszulę, to taka tradycja nasza.

Ściągnęła usta w wąską kreskę, wyglądała na tak spłoszoną, że nie mogłem nawet powiedzieć, czy kłamała, czy nie. Odetchnąłem głęboko i machnąłem ręką przyzwalająco.

Łucja skinęła głową, otworzyła torbę i musiała pogrzebać chwilę, bo tak się złożyło, że koszulę miałem wsadzoną głęboko między ręcznik a usztywniony arkusz papieru. Rzeczywiście, z wprawą rozłożyła ją na plastikowym rządku haczyków na ścianie obok łóżka.

– Nigdy nie słyszałem o takim zwyczaju – naciskałem dalej.

– A czemu miałbyś słyszeć? Przecież w telewizji o nas nie mówią, chyba, że znowu pobliski kombinat pobił wynik zebranych cebul o pięć ton – zachichotała cicho, a ja dołączyłem bardziej otwarcie.

– Zabawne, że co roku wszyscy biją rekord, prawda?

– Zapracowany lud wsi taki jest – odpowiedziała spokojnie, odsuwając starą pościel z łóżka i przysiadając na skraju. – A ty, jaki jesteś?

– Ja? Ja jestem nierobem, inteligentem, który w życiu nie miał się uczciwej pracy. A wszystkie domy, telewizory, samochody i wodociągi kładą niewykształceni uczniowie szkół podstawowych na dobrowolnych pracach wakacyjnych.

Ponownie zaśmialiśmy się razem i zacząłem grzebać w swojej torbie, przypominając sobie o czymś przyjemnym. Zrazu wyciągnąłem upchniętą w pośpiechu z boku butelkę wody mineralnej i pokazałem swojej towarzyszce.

Ta drgnęła jakby nie wiedzieć czemu, jednak zaraz uśmiechnęła się ponownie i spytała z udawaną urazą w głosie:

– Chciałeś się pochwalić przed prostą wieśniaczką?

– Nie. – Przewróciłem oczami i udałem się do kuchni. – Chciałem zaparzyć wodę na herbatę dla nas. W szafce na górze jest jakaś torebka z malinową albo czymś udającym malinową herbatę.

– Ja podziękuję – odparła chłodno Lusia. – Nie chcę.

– Musisz, jesteś w gościach.

– Szczerze, to brzydzę się po Romanie, był obrzydliwą osobą.

Cofnąłem się na moment, spojrzałem, jak wstaje już z łóżka. Na twarzy była lekko zielonkawa, jak ze strachu albo odrazy. No nic, trzeba będzie wyparzyć naczynia po nieboszczyku właścicieli.

– Będę szła. – Lusia zerwała się nagle z posłania i nie patrząc na mnie skierowała do drzwi. – Do widzenia.

– Nie zostaniesz nawet na herbatę?

Zajęczały zawiasy otwieranych drzwi.

– Wyparzę dla ciebie naczynia!

Drzwi zamknęły się ze zgrzytem.

– Nie zostawiaj mnie! – urwałem na moment; cichły kroki, syczał gaz. – Proszę.

Przez krótką chwilę wgapiałem się w ciemny sufit z niemalowanego drewna. Podbitka w rogach była pokryta jakąś brązową substancją, by deski nie butwiały. Zabzyczała mucha, ale i ona po chwili skryła się w warstwach ściągniętej firany. Osamotnienie było tak realne, że mógłbym je pokroić nożem i podać na talerzyku z herbatą.

Właśnie, herbata.

Po paru minutach czajnik zagwizdał nieregularnie; dzióbek musiał być nieszczelny, para osadzała się dookoła, błyszcząc w świetle jarzeniówki. Zalałem wodą mineralną dwie zwietrzałe torebki herbaty malinowej. Ot, jaki sybaryta się ze mnie zaczął robić w kwiecie wieku.

Przysiadłem z metalowym kubkiem do stołu, wypilem odrobinę gorącego napoju i wsłuchałem się w odgłosy własnego organizmu.

Dobre, trochę dziwne, mocno ziołowe i nie pachnie nawet malinami, bardziej jak lukrecja. Może w czajniku był jakiś osad, którego zapomniałem wybrać? Wróc, na pewno go nie wybrałem, bo nawet mi to do głowy nie przyszło.

To dobra pora na drzemkę.

Gdyby nie okoliczności, poczułbym się jak na wakacjach, biednych i skromnych, ale kto sobie inaczej wyobraża wakacje pod gruszą? Trzeba będzie wydzierżawić z planu dnia po kilka godzin na wywiady z miejscowymi. Potrzebuję jeszcze spisu ludności od sołtysa, pewnie mi go nie da, to sam narysuję mapę po obiedzie. Będę po prostu chodził od domu do domu jak ostrzyiciel noży i męczył autochtonów bateriami testów.

Zmoczyłem usta, chciałem pociągnąć długiego łyka, ale kubek okazał się być pusty. Nie zauważyłem, jak wszystko wypilem, pogrążony w my-

ślach o pracy. Nawet nie zwróciłem uwagi, że na zewnątrz poszarzało o parę odcieni.

Niedługo zajdzie słońce.

Wstałem z pewnym trudem, postąpiłem krok do kuchni i oparłem się o witrynę, oddychając ciężko. Jeden oddech, drugi, coraz szybciej i głębiej, poczułem, jak robię się czerwony i hiperwentyluję. Przetarłem z czoła pot, doczłapałem do kranu i odkręciłem kurki.

Nic; no tak, hydrofor.

Sięgnąłem czajnika, który nadal był ciepły, uniosłem go w górę, przylepiłem usta do gorącej szyjki i pociągnąłem długiego łyka. Woda pociekła mi po brodzie, niemal odskoczyłem, panicznie bojąc się poparzenia gardła. Sam płyn jednak okazał się być po prostu gorący, ale nie wrzący, to mózg spletał mi figła.

Kilka głębszych oddechów później oparłem się znów o ścianę.

Może się czymś zadławiłem? Jakiś paproch albo ziarno z malin torebkowych.

Chwyciłem ze stołu lampę gazową, odpaliłem i ruszyłem w głąb izby; za krótką sienią była łazienka, niewiele większa od wygodki na dworze, zawierała jedynie umywalkę i miednicę pod lustrem. Drugie drzwi prowadziły do chłodnej spiżarki, gdzie między workami z ziemniakami i półkami na słoiki mięsa wyzierała kwadratowa kłapa do piwnicy.

Jeśli znowu się czymś zadławię, to chociaż chcę mieć wodę.

Odsunąłem worek na bok, z trudem uniosłem klapę, która przywarła do posadzki. Z ziemi podniósł się kurz, pachniało wilgocią, wręcz pleśnią.

Zatrzymałem się na moment, zaciągnąłem powietrzem jeszcze raz, przymknąłem oczy, by lepiej poczuć zapach i zatrzymać pyłki przed dostaniem się do oczu.

Mocna woń grzybów natychmiastowo wypełniła spizarnię i poniosła się dalej.

Spojrzałem na drewnianą drabinkę, zbitą byle jak gwoźdźmi. Znoszenie na dół worków musiało być nieprzyjemne. Upewniłem się, że kłapa sama nie spadnie mi na głowę, w jedną dłoń chwyciłem gazówkę, drugą ostrożnie balansowałem, schodząc.

Piwniczka była niska, wąska i obstawiona dookoła regałami. Centralnym obiektem była dziwna maszyneria, którą początkowo nieopatrznie wziąłem za hydrofor, oblepiony gęsto pajęczynami. Na wzorzystej sieci wylegiwał się dorodny, brązowy pająk o długich, błyszczących nogach i dwóch, krwście czerwonych kłach jadowych.

Kolczak zbrojny, niesamowite. Ze wszystkich pajaków, które musiały mi się trafić, akurat jedyny jadowity i zdolny do przegryzienia ludzkiej skóry jednocześnie. Bydlaki są chyba pod ochroną z jakiegoś nieznanego mi powodu; może jakbym skończył zoologię, to bym wiedział.

Chwyciłem stojącą nieopodal miotłę – pałąk i pęk powiązanych gałązek – po czym zdzieliłem od góry całą pajęczynę uderzeniem, wgniotłem w betonową wylewkę i docisnąłem butem.

No i tyle go widzieli, oficjalnie zostałem kłusownikiem.

Szybko jednak dostrzegłem, że dzielny pajęczak nie umościł się wcale na hydroforze, a na kilku solidnych, acz ewidentnie chałupniczo złączonych w jedno baniakach. System niezbyt skomplikowanych przewodów wyprowadzał z jednego zacier, aż do wody, by dalej móc wydestylować sobie księżycówkę na poprawę nudnego, wiejskiego życia.

Jednak coś było nie tak.

Tuż obok były dwa stalowe baniaki, gumowe rurki, ale też palenisko ze stalową rurą idącą do sufitu i dalej wpuszczoną w podłogę parteru. Wy-

glądało to jak zaplecze sauny, zupełnie jakby ktoś celowo napełniał mieszkanie dymem albo oparami ze zbiorników.

Roman z opowieści nie wydawał się być kimś, kto chciałby mieć w domu ciągły, intensywny zapach kadzideł. Więc po co mu było to całe laboratorium?

Nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie, zapach grzybów i wilgoć piwnicy były porażające.

Duszę się.

Światło zapewniała mi tylko moja lampka i niewielka, podłużna szybka, brudna jak nieszczęście.

Duszę się.

Obok zsył na węgiel, spora hałda czarnych bryłek, regały na zapasy.

Duszę się.

Osunąłem się pod ścianę, lampka stuknęła o ziemię, usłyszałem trzask bitego szkła, płomień zamigotał mocniej. Nie mogłem złapać oddechu, jedną dłońią masowałem się po grdyce, drugą próbowałem wymacać gazówkę, ale ona odtaczała się coraz dalej i dalej, do wiklinowego kosza, wypełnionego gazetami.

Pot wystąpił mi na czoło, zaczęło się robić goręcej i goręcej, płomień zajmował podłogę, ściany, sufit. Pierwsze deski osypały się na ziemię, a ja poczułem, jak nie mogę się odezwać. Próbowałem krzyczeć, ale gardło miałem suche jak wiór, który unosił się lekko w powietrzu, pomiędzy czarnymi chmurami dymu.

W ciemności dostrzegłem wielką czaszkę jelenia, wiszącą nieruchomo na ścianie. Gdy ogień już miał mnie sięgnąć, stało się coś niewyobrażalnego.

Czaszka skoczyła ku mnie, rozdziawiając zębatą paszczę!

– Aaa! – Podniosłem głowę z krzykiem, rozległ się huk i nim się zorientowałem, już byłem na podłodze.

Drewnianej podłodze parteru. Na zewnątrz ciemniała szarówka wieczoru, po parkiecie wałała się kołdra, którą skopałem przez sen.

Tak, sen, to był tylko sen. Nawet nie zauważyłem, jak zasnąłem, fantazjując o badaniach. Zwykły, najzwyklejszy sen, koszmar wywołany sugestiami sołtysa, domem po nieboszczyku, ale nic ponad to.

Prawda?

No cóż, należało to sprawdzić.

Łazienka była do złudzenia podobna do tej, którą sobie wyobraziłem z wyłączeniem pewnych szczegółów. Pajęczyny wisiały w kątach, bibeloty pokroju małego, zielonego pudełka na mydło wały się na parapecie mlecznobiałego okienka. Ale czy to była TA SAMA łazienka, o której śniłem?

Spizarka była najważniejsza.

Niemal drżącą dłonią otworzyłem drzwi do niej i jęknąłem z zawodem. To nie tak, że liczyłem na jakieś prorocze, niesamowite sny. Oprócz tego, że nie było żadnej tajemniczej kłapy do piwnicy, to na półkach hulał tylko wiatr, zapasów było stosunkowo niewiele, a jeden z worków na ziemniaki był ewidentnie stary i przegniły.

Ale to nadal nie rozwiewało wątpliwości.

Chwyciłem lampę gazową, ciążyła nieprzyjemnie w dłoni, tańczący w szklanej klatce płomyk wydawał się być groźny, nieco straszny, więc zawęziłem przepływ gazu.

Łucja mówiła o tym, że wejście do piwnicy może być na zewnątrz.

Rzeczywiście, obok przylegającej do ściany szopy było spore, szerokie zejście z betonowanymi schodkami i zsypem na węgiel.

Drewniane skrzydła drzwiczek zostawiłem otwarte na oścież, by wpuszczały nieco światła do środka. Jedną dłonią macałem pochyły sufit, drugą świeciłem przed sobą. Wewnątrz piwnicy było niemal identycznie jak we śnie. Regały z konfiturami i węgiel to pikuś, bo była nawet mała bim-brownia i rzeczywiście obok drugie, dziwaczne urządzenie do wytwarzania pary!

Spojrzałem na schodki, już miałem wyjść, gdy nagle w nozdrza wdarł się inwazyjny zapach grzybów. Poczułem ciarki na plecach, jakby coś muskało mi kark. Obróciłem się powoli, lekko uchylając usta.

Na ścianie wisiała czaszka jelenia, a między porożem sieć uwił sobie kolczak zbrojny.

Wstrzymałem oddech, zbliżyłem o krok, drugi, trzeci. Byłem bardzo blisko, mogłem się przyjrzeć twarzą w twarz martwemu zwierzęciu i jadowitemu spadkobiercy czaszy. W nozdrzach czaszki zdawał się być jakiś materiał albo krata. Wyciągnąłem dłoń, gotów na to, że dwa rzędy trzonowców rogacza skoczą ku mnie.

Trzask był ogłuszający. Zapadła niemal doskonała ciemność, rozpraszana wątlm płomykiem lampy. Usłyszałem tupot stóp i zorientowałem się, że ktoś zamknął zejście do piwnicy.

Chwila ciszy, głęboki oddech przepełniony wilgocią zbutwiałej powały, odległe chrobotanie wierzby o ogrodzenie sąsiada.

Poczułem jak serce mi zwalnia, podkręciłem zamek lampy gazowej. Gęsty, piwniczny mrok zbledł do szarości i w mgnieniu oka wypełnił się pąsowymi refleksami ognia.

Jeżeli nie przesłyszały mi się kroki, to znaczy, że lokalne dzieciaki spletały mi figła. To się zdarza, w końcu jestem obcy. Słyszałem o miejscowości, gdzie dzieci latami goniły z krzykiem kobietę za to, że miała męża Niemca. Taki naród, taki świat.

A jeśli nie dzieci, to...

To bez znaczenia.

Rozejrzałem się po piwnicy, która teraz nie wydała mi się już tak straszna jak w malignie. Rozbudzony mózg lepiej rozróżniał z otoczenia kontury, wycięte w mroku schematy mebli, kilka woskowych świec przy stole warsztatowym z okazałych rozmiarów imadłem. Narzędzia mocno używane, ale niezaniebane, wisiały równo jak od linijki nad cienką blachą, jaką obity był blat.

Na blacie stołu warsztatowego była mała, brudna książka z zieloną wstążką w formie zakładki, jak w modlitewnikach. Z ciekawości chciałem przeczytać tytuł, ale go nie było, dopiero po pobieżnym przekartkowaniu spostrzegłem, że to dzienniczek. Na pierwszych stronach były głównie ba-zgroły, luźno rzucone myśli, mające sens tylko dla autora oraz enigmatyczny zapis liczb i skrótów, w którym zdało mi się poznać skróconą receptę na księżycówkę.

– Zabawne, jeszcze przyjdzie mi zostać bimbrownikiem – uśmiechnąłem się do siebie i schowałem książeczkę do kieszeni płaszcza, by o niej zapomnieć.

Wreszcie spostrzegłem hydrofor, a przynajmniej tak mi się zdało. Po chwili byłem już pewny, gdyż na sporym, niebieskim walcu o pojemności na oko paruset litrów, przyklejona była karta z instrukcji obsługi. Większość drukowanych liter była pokreślona czerwonym pismem jakby ktoś pijanemu szympansovi przywiązał flamaster do ręki.

– Na rozum, zawór kulowy, zawór zwrotny – recytowałem na głos, aż spostrzegłem rząd wykrzykników. – CZEKAĆ, WYŁĄCZYĆ SAMEMU.

To by wyjaśniało, hydrofor był uszkodzony i gospodarzowi nigdy nie chciało się czekać z napełnianiem do końca, a zostawienie odkręconego

zaworu mogło skutkować zniszczeniem mechanizmu, albo zalaniem piwnicy. Świetnie, nie ma to jak dostać w testamentie szmela.

Maszyna zasyczała, po czym zaniosła się długim, niskim burczeniem, gdy doszło do mnie jak ją obsługiwać i wprowadziłem myśl w czyn. Nie wiedziałem jedynie jak długo miałoby potrwać napełnianie, więc spoglądając co kilka sekund na hydrofor, oddaliłem się w kierunku wyjścia.

Lampa oświeciła zardzewiałe klamry drzwiczek piwnicznych i zaraz byłem tuż pod nimi, zapierając się mocno. Niemalże czułem, jak spurpurowiałem na twarzy, nie mogąc ich otworzyć. Drgały ledwie dostrzegalnie, blokowały się na czymś z cichym stuknięciem i zaraz wracały na swoje miejsce.

– Jak dorwę gałgany to przysięgam, że spiorę jak własne!

Przez moment stałem zgięty, trzymając się kurczowo za serce. Czułem się jakby ktoś mi wbijał igłę między żebra, oddychałem ledwo, płytko, oczy zaszczyły mi łzami. Dopiero po chwili ucisk zelżał. Może to już nadciśnienie?

Odłożyłem gazówkę na schodek, tak by jej przypadkiem nie kopnąć i nie ziścić koszmarnej pożogi. Zaraz zastanowiłem się i odłożyłem źródło światła o jeszcze schodek niżej, na wszelki wypadek, bo wizja utknięcia w płonącej piwnicy naprawdę napawała grozą.

Zatarłem dłonie jak siłacze w cyrku, aż przez chwilę miałem ochotę poszukać worków z mąką w ramach zastępstwa talku, ale szybko humor mnie opuścił. Naparłem raz i drugi obiema dłońmi, w końcu także i barkiem oraz karkiem, mocując się z wyjściem jak Atlas ze sklepieniem ziemi.

Warknąłem gardłowo, zrazu zacząłem krzyczeć, napiąłem mięśnie do granic możliwości i uderzyłem raz, drugi, podskoczyłem wreszcie w taki sposób, że uderzyłem naraz głową i ramieniem, boleśnie przy tym ścierając sobie skórę głowy wraz z włosami.

Trzask łamanej kości orzeźwił mnie natychmiastowo. Drzewiczki odskoczyły, po chwili jedno ze skrzydeł zatrzymało się w połowie i zaczęło opadać, jednak podtrzymałem je lewą stroną ciała, prawą trzymając w odwodzie. Zajaśniało ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, a ja zdławiłem jęk bólu.

Gonitwa myśli rwała się w mojej głowie: złamałem sobie obojczyk? Wybiłem bark? Skręciłem nadgarstek?

Spojrzałem pod nogi, stojąc już na zewnętrznym schodku. Pod butem dostrzegłem długą, grubą kość, z której sączył się świeży szpik. Zamrugałem raz i drugi, chwyciłem znalezisko w dłoń i uniosłem pod światło.

– Ki czort? – spytałem sam siebie i nagle rozległo się narastające wyście i stukotanie z dołu. – Pompa!

Krzyknąłem tylko, zbiegając na złamanie karku i mając nadzieję, że tym razem drzwi zostaną w takiej pozycji, w jakiej je ustawiłem.



Miał czerwone oczy i dziób przebity gwoździem. Księżyc w pierwszej kwadrze oświetlał jego smoliste, nastroszone upierzenie. Gdy tylko zamykałem oczy, następowało uderzenie, zrywające mnie z półprzytomnego letargu.

Pieprzony gawron nie dawał mi spać. Raz skoczyłem ku oknu, potykając się przy tym o krzesło, które z łoskotem trzasnęło o podłogę. Nic to jednak nie dało, ptak dalej siedział po drugiej stronie okna, lekceważąc mnie.

Stałem tak moment, patrząc mu w nieludzkie, paciorkowate oczy, przypominające dwie kulki jarzębiny. Ani to otworzyć i go przepłoszyć, bo może chory i dziabnie, stąd też nie ucieka. Ni nawet rzucić czymś, bo to

samo – musiałbym na dwór w kapciach wychodzić po zimnicy, by rzucać we własne okno, a na noc to chyba sąsiedzi spuszczały psy z łańcuchów.

Oby to były psy. Pod ścianami słyszałem tupot łap, raz było ich bardzo wiele, jakby całe stado węszyło przy ganku. Jakie to dziwne uczucie, leżeć w bezruchu i wiedzieć, że jedynie heblowana deska, pokryta wapnem, oddziela cię od drapieżnika.

Choć gdzie tam bandzie zabłąkanych kundli do drapieżników, pewnie pod kompostownik podchodziły, albo koryto nęciło zapachem resztek. Jednak nawet kundle potrafią być groźne, gdy są głodne.

Uderzenie.

Gawron znowu łupnął w szybę, wzbraniając mi kolejną godzinę snu. Zacisnąłem oczy, okryłem twarz puchową pościelą i wtuliłem uszy w ramiona.

Uderzenie, kolejne, następne, coraz mocniejsze jakby zaraz miał wejść.

Stałem na równe nogi, chwyciłem spod drzwi pogrzebacz do węgla i wolną ręką otworzyłem okno na oścież. Zawiasy zazgrzytały, framuga obsunęła się w dół, a ja zamachnąłem się z całej siły, do ostatniej chwili myśląc, że przepłoszę ptaka.

Mylłem się.

Ołowiany pręt wszedł miękko w plecy zwierzęcia, trzasnął łamany kręgosłup, z głębi zwartego dziobu dobył się zdławiony skrzek. Mrugnąłem kilka razy pogrążony w szoku. Spojrzałem na własną rękę, pojedyncze, ciemnogrnatowe piórko odkleiło się od narzędzia i opadło bezwładnie na podłogę.

Zawiasy znowu jęknęły, zamek szczyknął, zapadła cisza.

Przyłożyłem dłoń do spotniałego czoła, poczłapałem ku kuchni, odkręciłem kran by nalać sobie wody i dostrzegłem, że w dłoni dalej trzy-

mam pogrzebacz. Brzęknął przy uderzeniu o posadzkę, rzuciłem go tak po prostu na kuchenne kafle i przyssałem się do krawędzi emaliowanego kubka.

Lodowato zimna woda ostudziła rozpędzone myśli i kilka minut później leżałem w łóżku, pogrążony w ciężkim śnie.



– Południce? Beboki? Chochliki? Błędniki? Jakies własne nazwy, miejscowe może? – Sennym ruchem odhaczałem krzyżykiem kolejne pozycje kwestionariusza pomocniczego.

Kobieta z pietyzmem nabijała następne kapelusze borowików na zieloną nitkę. W gruncie rzeczy, nasza praca była podobna. Po chwili miała już cały łańcuch, długi na metr, przegryzła nitkę, przewięzała pętelkę i powiesiła przy suficie obok kilkunastu podobnych wianków.

Wreszcie spojrzała na mnie i uśmiechnęła się z politowaniem, schyliła głowę w bok i na moment uchyliła usta z wystającym, dolnym zębem.

– Pan doktor mnie nie męczy, ja mogę powiedzieć jak z kordonki robię, to też by pana interesowało? Tutaj miałam gdzieś szpulki, albo jak pan kochany chce, to ja tu takie króliczki mam, widzi pan. – Kobieta wskazała na przypominające kręgle ozdoby o wyraźnie zarysowanych ciemną nitką uszach i oczach z koralików.

Przełknąłem ciężko ślinę, zdławiłem ziewnięcie, przed oczami stanął mi gawron o oczach z jarzębiny, by natychmiastowo zniknąć z pierwszym mrugnięciem.

– Nie, acha, i dziękuję za herbatę, bardzo dobra – powiedziałem od niechcenia, odsuwając od siebie pusty kubek w niebieskie kwiatki. – A pomidory też dobre, tak, bardzo, będę szedł, dziękuję.

Już kierowałem się do wyjścia, niemalże nieprzytomnie wybąkując podziękowania, gdy nagle stanąłem jak wryty, z dłonią na klamce od wiatrołapu. Obróciłem się powoli, stara babulka nadal przychylnie, choć ze zdziwieniem przyglądała się mojej twarzy.

– Pani Gopulska, a te psy co chodzą nocą, to groźne są?

– Jak kurnik zamknięty, to nie – odpowiedziała, nie zmieniając wyrazu pomarszczonej twarzy. – Przez ogrodzenie zresztą nie przejdą, tylko jedzenia w miskach nie zostawiać na zewnątrz, pan doktor niech pamięta, bo pan doktor pojedzie, a my z tymi psami zostaniemy, a nie ma co ich przyzwyczajać...

– Dobrze, dziękuję – przerwałem stanowczo, wysiliłem się na uśmiech i wyszedłem.

Trzydzieści siedem rozmów. Trzydzieści siedem kwestionariuszy wypełnionych krzyżykami, kartami danych osobowych i równie suchymi, faktograficznymi zapewnieniami o absolutnej przyziemności życia w Chołach.

Acha, zaplałmłem mizerią trzy arkusze, ale to i tak bez znaczenia.

– Bez sensu – powiedziałem sam do siebie, opierając się plecami o płot przed domem starej Gopulskiej. – Bez sensu, bez sensu, bez sensu.

– Co jest bez sensu? – usłyszałem miękki głos z daleka.

Łucja, w spodniach roboczych i z umorusanym ziemią fartuchem koloru wściekle chemicznego błękitu. Pod ręką, opierając o biodro trzymała kosz wiklinowy z którego wystawały kawałki gazet. Jej twarz była całkowicie pozbawiona emocji, dopiero po chwili drgnęła i przechodząc obok jakby ożywiła się i spojrzała na mnie.

– Z daleka mnie słyszać? – spytałem bez przekonania i dołączyłem do niej.

Kiwnęła bez słowa głową, ponownie wbijając pusty wzrok w horyzont.

– Grzyby będziesz zbierać? – W nosie wciąż wiercił mnie intensywny zapach chałupy Gopulskiej.

– Ziemniaki; myślisz, że skąd się bierze jedzenie na twoim talerzu?

– Coś cię ugryzło?

– O czym rozmawiałeś z Zofią? – W jej głosie zabrzmiała twarda, oczekująca natychmiastowej odpowiedzi nuta.

Powstrzymałem się na moment od reakcji, ot, w ramach eksperymentu. Jej wyraz twarzy krystalizował się z każdą sekundą, nabierając irytacji i zniecierpliwienia.

– O tym, o czym ze wszystkimi. – Zakręciłem dłonią młynek, jakby odpowiedź była oczywista. – W co tam wierzą, czy jakieś ciekawe bajki zna, może coś wie. Wiesz, szukam nadal materiałów.

– Materiałów, że jesteśmy zacofanymi półgłówkami? – Nie oczekiwała odpowiedzi, oczekiwała przeprosin.

– To nie tak – odpowiedziałem z nieudawanym oburzeniem. – Szukam informacji o tym, jaka jest prawda, to mnie interesuje.

Zatrzymała się, jednocześnie odkładając pusty kosz na ziemię. Zwróciła się w moją stronę, stała ledwie kilka centymetrów od mojej twarzy, dźgając mnie palcem w mostek.

– Chcesz prawdy? Żyjemy skromnie, za to uczciwie, zgodnie z prawem i nie robimy nic, co mogłoby interesować kogokolwiek. Wszystkie okoliczne miejscowości żyją tak jak my, jedni sadzą więcej buraków, komuś stryjek służył w kawalerii, może ktoś ma katarynkę. Normalne, zwykłe, nienadające się do odczarowywania życie.

– Nie chciałem, żeby to tak...

– Ta cała pieska nagonka w gazetach to jedyny urok, jaki ktokolwiek tutaj rzucił, nie my, tylko WY – zaakcentowała mocno, równie silnie pchając mnie palcem. – Więc zrób coś dla mnie, proszę, i nie męcz ludzi,

zwłaszcza starej Zofii, która jest nieco... Zresztą, ty powinieneś wiedzieć, to jakby twoja praca, tak? Czy tylko chodzisz po domach?

Nie wiedziałem, że Gopulska miała jakieś zaburzenia. Owszem, wyglądała na osobę sędziwego wieku, nie ruszała się zbyt swobodnie, ale mówiła normalnie, w oczach błyskała jej się żywotność i wiedziała, gdzie się znajduje i o czym rozmawia. No cóż, widocznie nie wszystko jest takie oczywiste.

– Mogę w takim razie w czymś pomóc?

Łucja pierwszy raz od początku uśmiechnęła się, choć smutno i z rezygnacją. Podniosła kosz i wręczyła mi go bezceremonialnie, mówiąc:

– Przydasz się na coś, a wieczorem są ogniska, przyjdź, porozmawiasz z ludźmi o rzeczach, które istnieją.

– Jak na przykład?

Dziewczyna przechyliła głowę na bok jak ciekawski ptak, wzruszyła ramionami niewinnie i wyszczerzyła dwa rzędy jasnych ząbków.

– O pieczonych ziemniakach i tańcach.



Nie była połamana. Trzymałem ją w dłoniach, jeździłem powoli palcem po przykrytej kurzem brzoźowej rękojeści, czując jak serce bije mi coraz mocniej. Przejechałem kciukiem wzdłuż ostrza, poznaczonego rudymi kropkami rdzy, stępionego ostrza, zgiętego jak do żęcia, a nie postawionego na sztorc.

Kosa, na którą rzekomo nadział się Roman leżała od co najmniej wielu miesięcy odłogiem w szopie na narzędzia.

Wziąłem głęboki oddech i odłożyłem narzędzie na jego miejsce na ścianie. W powietrze wzniosła się mglista warstewka pyłu, złuszczonego

naskórka i malutkich wiórów. Mogłem udawać, że jej nie widziałem, albo dociekać, drażnić i dopytywać.

Tylko co ja im powiem? Przecież mógł mieć kilka kos, a może wyrzucili tamtą kosę i patrzę na jakąś starą. No, niby brzoźowych to chyba mało kto używa, mój ojciec taką miał na posesji i dosłownie złamał pierwszego dnia.

– Zresztą, o co ja ich posądzam?! – warknąłem wściekły, kopiąc pusty lejek, walający mi się pod nogami.

Jestem wściekły, pomyślałem, wściekły i kulturalnie mówiąc skonfundowany. Niekulturalnie, za to, zwyczajnie mam bajzel we łbie. Nie mogę z nikim porozmawiać w tym zapomnianym przez boga miejscu, wszyscy są albo absolutnie mdli od przeciętności, albo trzymają mnie za grubym murem. Nie muszą mi się przecież spowiadać, wystarczy, że będą rozmawiać.

Zamrugalem kilka razy, powtarzając ostatnie zdanie bezgłośnie ustami. Przetarłem twarz i puknąłem się w czoło.

Ksiądz! Napuszczę wilka na lisa, no jasne. Na pewno miejscowy duchowny wie, co się dzieje, nie skłamię mi i pokusi się pewnie o całą litanię utyskiwań na miejscowe zwyczaje. Zwykła faktografia, nie muszę nawet pisać, że stoją w sprzeczności z wiarą katolicką, wystarczy tylko, że napiszę, że zabobony są różne i wzajemnie się wykluczające.

Wyszczrzyłem się zadowolony sam z siebie, przygryzłem wargi z ekscytacji i nagle uszło ze mnie powietrze.

Od kiedy ja się taki antyklerykalny zrobiłem? To pewnie zmęczenie, po prostu takie czasy, skądś trzeba brać pieniądze, szkoda tylko, że cierpi na tym jakość badań.

Od strony ulicy doszły mnie ciche, dalekie śpiewy. Kilka dziecięcych głosików starało się utrzymać harmonię nieznanej mi rymowanki.

*Raz dwa
Cicho sza
Trzy cztery
Tam siekiery
Pięć sześć
Ptakom jeść
Siedem osiem
W twoim nosie
Dziewięć dziesięć...*

Rymowanka szła tak jeszcze, aż dzieci rozpierzchnęły się ze śmiechem, zapewne zaczynając następną rundę ciuciubabki. Ja jednak miałem przed oczami perspektywę kolejnej, bezsennej nocy.

– Chyba zabiję drugie okno – szepnąłem do siebie, wychodząc z szopy.



Jeszcze przed wieczorem udałem się na plebanię. Bez cienia złośliwości należy przyznać, że miejscowej parafii nie wiodło się na najlepiej. Nad ciemnooliwkową bramą było coś w rodzaju pospawanego z prętów, jaskrawo zielonego łuku z żółtym krzyżem u szczytu. Kilka schodków dalej był po prostu kwadrat zaniedbanej trawy, rozproszonej rzadko na kilkumetrowym klepisku.

Gdy już podniosłem zawiedziony wzrok znad ubłoconych butów, dostrzegłem dwa budynki i w pierwszym odruchu nie wiedziałem, który jest kościołem, a który plebanią. Oba były po prostu dużymi prostokątami o chropowatych, brunatnych elewacjach, pokrytych metalowymi krzyżami

o różnej jakości wykonaniu. Największy miał dobre trzy metry wysokości i wznosił się na miniaturowym postumencie obok wejścia do świątyni.

– Kościół pod wezwaniem świętego... – przeczytałem pod nosem i zaciąłem się na moment, za nic nie kojarząc takiej postaci. – Aleksego Rzymianina.

– Dobry patron na złe czasy. – Dobięł mnie niemal suchotniczy głos, który niechybnie należał do stuletniego staruszka.

Obróciłem się i ku swojemu zdziwieniu dostrzegłem nieco wyższego ode mnie, postawnego mężczyznę we flanelowej, jasnej koszuli w zieloną kratę. Na pierwszy rzut oka zdawał się być niewiele starszy ode mnie, dopiero po dłuższym przyglądaniu się oszczędnym ruchom i rozległym zmarszczkom uznałem, że ów człowiek musiał być już w okolicach zaawansowanej sześćdziesiątki.

– Nie jestem obeznany – powiedziałem, by zyskać na czasie, dalej studiując masywne buty robocze i resztę dziwacznych detali. – Szukam miejscowego proboszcza.

Nieznajomy lekko skinął głową i z głosem ochrypłym, pozbawionym przekonania odpowiedział po dłuższej pauzie.

– W jakiej sprawie?

– A to nie, ja do niego, pan wie może czy jest w domu, znaczy, na plebanii?

Pomachał głową na boki.

– A wiadomo, kiedy będzie?

Pokiwał równie zdawkowo.

– Kiedy?

– Kiedy wrócę, to będę. Słucham pana, w jakiej to sprawie. Jak urzędowa, to proszę jutro.

– Proszę mi wybaczyć, nie zorientowałem się, źle spałem – wyrzuciłem z siebie jednym tchem i zorientowałem się, że nie wiedzieć czemu zacząłem się tłumaczyć. – Zresztą nieistotne. Chciałem z panem porozmawiać na temat kościoła.

Ksiądz zamrugał bardzo powoli, wydał delikatnie usta w zdziwieniu i ledwo dostrzegalnie zdławił westchnięcie zmęczenia.

– Proszę za mną, herbatę właśnie parzyłem.

– Dziękuję, bardzo chętnie się napiję – skłamałem, bo to była trzydziesta ósma proponowana mi tego dnia herbata. – A ksiądz to tak mnie obserwował z okna, czy...?

– Patrzyłem na ogródek – odparł krótko, wskazując ręką na kilka grządek pod oknami, gdzie skromnie wyrastały astry, a poza nimi była tam jedynie brunatna ziemia, wysoka trawa i kilka polnych kamieni. No i oczywiście ciecierzycy; tak, zauważyłem to wcześniej, każdy hodował ją na potęgę.

Plebania była wewnątrz rażąco dwojaka. Z jednej strony był ogólny bałagan, krzywo zwisające obrazki święte, okryte grubą jak palec warstwą kurzu. Nieuprane od dawna dywaniki, którymi obito schody na pierwsze piętro, miały kolor zgniłych czereśni. Szafka na buty pozbawiona była jednej strony drzwiczek i ze środka wystawał zimowy trzewik, śmieszny, jak namalowany przez dziecko gad wyłaniający się z jamy.

Z drugiej strony było kilka miejsc pedantycznie zadbanych. Z pietyzmem zapełniona szafa na porcelanowe lub udające porcelanowe figurki, karty ze świętymi o wygrawerowanych na awersach modlitwach. Stolik do herbaty w centrum salonu był przykryty lśniąca, wykrochmaloną ceratą.

– Gospoia jest obecna? – spytałem niezręcznie, ale domownik nie wziął sobie tego za przytyk do bałaganu.

– Sam sobie radzę, ale mam parafianki, które piorą szaty liturgiczne albo raz na jakiś czas zajmą się damskimi obowiązkami.

Skrzywiłem się lekko. Daleko mi było do jakiegoś wojującego emancypanta, ale posprzątać po sobie to chyba żadna ujma na męskiej dumie.

Gospodarz zabrał się za parzenie herbaty, miał oddzielną szafkę na posegregowane półeczki z suszem i owocami. Przypominało to rodzaj zboczenia zawodowego, w którym to nawet zrobienie poczęstunku wydawało się być kwestią świeckiej liturgii, jakiegoś rytuału, bardzo osobistego mimo mojej obecności.

Gdy podawał mi spodeczek z zamałowaną na białą nazwą producenta, zastanawiałem się, od czego zacząć. Mówił niewiele, choć nie wiem czy to przez nieufność, czy ze względu na wiek lub styl bycia. Natomiast mnie bardzo zależało na tym, by powiedział mi wszystko.

– Może ja się przedstawię. – Odłożyłem torbę obok stołu i wstałem na moment. – Doktor Jerzy Drozd, przyjechałem tu z polecenia Instytutu Badań Społecznych, na razie melduję się w domu po tragicznie zmarłym Romanie...

Coś zmieniło się w jego twarzy, jakby krótkie drgnięcie słabych, starych mięśni mimicznych. Czyżby był tak wrażliwy na ludzką śmierć? Bardzo możliwe, może nawet czuł sympatię do Romana, nim ten potknął się po raz ostatni.

– Maurycy. – Skinął głową i podał mi rękę przez stół.

Coś strzeliło, w pierwszym odruchu myślałem, że połamane starego człowieka, ale po chwili doszło do mnie, że to w moich kościach. Poczułem narastające ukłucie, zacieśniłem uścisk, ale dłoń księdza była szorstka, mocna i nieugięta. Dopiero on zdecydował, kiedy puścić.

– To prawdziwe imię, czy duchowne... Znaczy, zakonne – poprawiłem się, chowając czerwoną z bólu dłoń między nogami.

– Oba są prawdziwe – odparł zdawkowo, upił łyk herbaty i przymknął z lubością oczy.

– Pan wybaczy, znaczy ksiądz – westchnąłem od serca, rozmasowałem skronie i wziąłem łyk herbaty, dla zyskania na czasie.

Herbata była cudowna. Pachniała jak powiew świeżego powietrza, a smakowała jak wolny od pracy dzień.

– Nie jestem dobry w takie rzeczy, więc chyba per: ojciec, będzie na miejscu, tak?

Maurycy skinął głową, usta miał wąsko zaciśnięte, wzrok oceniający i tylko na krótko spuszczał go ze mnie na toń w filiżance, mając do niej więcej sympatii niż do mnie.

– Więc, ojczy, chciałem zyskać pomoc w sprawie, z jaką mnie tu przysłano. Mam zebrać informacje na temat wierzeń ludowych, zabobonów, odstępstw od kultu powszechnego... – Na moment zaciąłem się, ugryzłem w język, ale kontynuowałem niezrażony. Przecież powszechny to dosłownie katolicki, nie zabrzmiało to jak trywializacja. Nie wiem czemu, ale miejscowy duchowny napawał mnie lękiem. – Ojciec na pewno wie, jak jest, a ja nie mam czasu każdego ciągnąć za język. To by mi naprawdę pomogło, gdybym zyskał po prostu odpowiedzi na parę pytań.

Nie odezwał się, po prostu skinął lekceważąco dłonią, jakby przyzywał uczniowi na to, by ten usiadł po odpowiedzi.

Odhaczyłem dwie klamerki i wyjąłem ze środka spięte ze sobą kartki kwestionariusza. Wymacałem na dnie torby długopis, już miałem go podać kapłanowi, gdy coś mnie ukuło w sercu. Chwyciłem się za pierś i na moment skupiłem na utrzymywanym z trudem oddechu.

– Proste plecy, głębiej, prostsze. – Ksiądz niespodziewanie znalazł się tuż za mną, siłą wyginając mi zgarbiony tułów. – I tak oddychasz, tak.

Sam był lekko czerwony na twarzy, podnosząc wzrok dostrzegłem czerwone plamy na jego szyi i dziwnie krzywą linię zdeformowanego karku.

– Przepraszam, to coś chyba z ciśnieniem albo za dużo herbaty – odchrząknąłem w geście zażenowania. – Nie miałem nic złego na myśli, po prostu byłem dziś w wielu miejscach i częstowano mnie. Tylko tyle chciałem powiedzieć.

– Dużo pan mówi. – Przysiadł z powrotem po drugiej stronie ceraty, świdrując mnie wzrokiem.

– Ojciec za to bardzo mało.

– Mam raka płuc.

Zapadła cisza, w której tylko cicho pukało wahadło naściennego zegara. Pochyliłem głowę, wypuściłem ciężko powietrze i chwyciłem filiżankę mocno, już chciałem wczepić się ustami w krawędź, by znów uciec od ciszy, jednak zamiast tego po prostu powiedziałem:

– Bardzo mi przykro, nie wiedziałem.

– Co do wierzeń...

– Tak? – Serce zabiło mi szybciej.

– To proszę poszukać sumienia w sercu i spytać go, czy to jest to, o czym chce pan pisać. Jak chce pan przyjechać tylko dla taniej sensacji jak ci wszyscy dziennikarze wcześniej, to może lepiej po prostu sfalszować te papiery?

– Jak to sfalszować? – zdziwiłem się nie na żarty i zacząłem zastanawiać nad pomysłem. – Ojciec raczej żartować.

– Nie, czemu? – spytał z rozbijającą szczerością i upił kolejny łyk doskonałej herbaty. – Przecież pana nie powstrzymamy, a tylko na tym panu zależy. Przecież nikt nie przyjedzie sprawdzić czy naprawdę powiedzieli-

śmy, jak pan napisał. Nikt tych ludzi nigdy nie szukał i nikt nie będzie. Choćby nie interesują nikogo i nie zaczną, niech pan mi uwierzy na słowo.

– Ale ja... Ja...

Nie wiedziałem co powiedzieć. Z otwartymi ustami zagłębiałem się we własnych myślach, szukając czegoś wartego wyartykułowania na głos. Oczy schodziły mi na lewo w odrapane deski podłogi i na prawo, do leżącej przy stołowej nodze torby, w której błyszczała się butelka po wodzie, napełniona kranówką, zapasowy długopis, teczka i dyktafon.

– Ale ja chcę prawdy – powiedziałem cicho, sięgając po kwestionariusz na stole i prostując kartki o blat. – Po prostu chcę wiedzieć co uważacie o tym incydencie, bo gdyby nie on, to nawet bym tu nie trafił. Przecież takie rzeczy nie mają prawa się dziać na świecie.

– Chce pan znać prawdę? – Ojciec Maurycy spojrzał w bok, wypuścił powietrze nosem i skinął głową jakby do okna, w którym nikogo nie widziałem.

– Proszę mi zaufać – powiedziałem, odkładając kwestionariusz do torby.

Wcisnąłem przycisk nagrywania dyktafonu, markując dźwięk kolejnym jękiem bólu w klatce piersiowej.

– Zachowam to dla siebie – odparłem ze szczerością, podnosząc głowę.

Milczał naprawdę długo i ja również nie odzywałem się wcale, bo wiedziałem, że każde moje słowo może go tylko zniechęcić. Więc trwalśmy tak w pojedynku spojrzeń, dwóch obcych sobie ludzi nad filiżankami herbaty, próbując wyjaśnić jak można spalić własne dziecko.

– Jadwiga nie była szalona, nie bardziej niż ktokolwiek, kto chciałby uratować własną rodzinę. Wszystko zaczęło się pewnego poranka, gdy w kołysce znalazła niemowlę nienależące do niej. Miało wielkie, sine usta,

ogromną głowę jak balon zaciśnięty wstążką i oczy... – Maurycy zatrzymał się na moment, wbił mglisty wzrok w blat stołu jakby sam widział wszystko o czym mówił. – Czarne, doktorze, czarne źrenice, czarne tęczęwki, czarne białka. W życiu widziałem coś takiego tylko raz, tak jak i inni mieszkańcy. Pamiętaliśmy nazbyt dobrze.

Zbladł, tak po prostu. Tego nie da się podrobić, tak nie da się kłamać. O czymkolwiek myślał i cokolwiek mówił, miał to przed oczami i nie udawał strachu, jakim to go napawało.

– Mamuna – wypuł dziwne słowo cichym i zniekształconym głosem, nie mającym w sobie nic ze stanowczości jaka wcześniej go wypełniała. – Kobieta z lasu podmieniła syna Jadwigi na swoje własne dziecko. Na parapiecie znaleźli ślady pazurów, wślizgnęła się uchylonym oknem, noc była upalna. Waldek nie chciał otwierać drzwi, bo dopiero co rozsypał sól. Więc spryciarz po prostu uchylił okno, by przez nie wypalić papierosa.

Na moment błysk uśmiechu rozciął szarą twarz duchownego, by zaraz znów pozostawić ziemistą maskę, zza której dwa paciorki oczu błędziły po sękach blatu.

– Dziecko się rozplakało, dopalił, zapomniał zamknąć okna. Rano wysłaliśmy kilku ludzi, ale Mamuna była już daleko, za daleko.

– Nie wezwaliście policji? – spytałem w końcu, delikatnie przysuwając torbę z dyktafonem bliżej księdza. – Czemu nie zgłosiliście porwania?

Gospodarz stężał na twarzy, na nowo wbił we mnie mocny, nieznośny sprzeciwu wzrok i bardzo dokładnie wyartykułował:

– Ty nie wiesz nic.

– Nie szukaliście go?

– Tu się nie szuka ludzi – warknął ksiądz, zaciskając palce na delikatnym uszku filizanki.

– Może to było to dziecko? Może było po prostu chore, wzięliście je do lekarza?

Duchowny pokiwał głową poważnie, upił łyk herbaty i zaraz skrzywił się, chyba same wspomnienia były bardziej gorzkie od niej.

– Zając obejrzał to coś. – Wyraźnie miał na myśli dziecko. – Nawet on się zgodził, że to nie mogła być choroba, a na pewno nie od nas, stąd.

Okno stuknęło nagle, obejrzałem się, coś mignęło za nim. Drobnycień skoczył w róg szyby i zniknął. Gospodarz wypuścił powietrze poirytowany, odstawił zmęczonym gestem filiżankę na spodek i skierował się z nią do kuchni.

– Pan wybaczy, ale chyba skończył się czas na pytania.

– Nie! Nie powiedział ojciec niczego! – Poderwałem się nagle, zatrzęsnałem stolikiem, przewróciłem nogą torbę i zaraz posypała się jej zawartość na podłogę.

Rzuciłem się ku ziemi nieco zbyt szybko jak na ratowanie zakręconej butelki wody. Natychmiastowo ukryłem dyktafon, zaraz za nim długopisy, a gdy spojrzałem w górę ujrzałem księdza, wychylającego się przez framugę drzwi.

Serce zabiło mi mocniej. Widział, czy nie? Nie mógł przecież, wystarczyło zachować spokój.

Rzutkim ruchem wyrwał mi z dłoni torbę, patrząc nadal na mnie wyciągnął ze środka dyktafon i dostrzegłem jak na jego oczach wyrastają czerwone żyłki.

Kaseta dyktafonu kręciła się dalej miarowo, gdy duchowny bardzo dokładnie i wyraźnie powiedział:

– Jutro z samego rana pan wyjedzie. Nie obchodzi mnie co pan napijesze, nie obchodzi mnie co pan powie, nie zostanie pan w tym miejscu ani chwili dłużej.

Po czym najzwyczajniej w świecie wyjął z urządzenia kasetę i rzucił je na podłogę.

Usłyszałem tupot stóp na dworze i poczułem ogromną ochotę, by jak najszybciej wrócić do „swojego” domu.



Kość była długa, przynajmniej przed przełamaniem. Cienki trzon i mnóstwo pęcherzyków powietrznych wewnątrz upewniły mnie w przekonaniu, że nie mogła należeć do człowieka. Najdziwniejsze było to, że szpik dalej się z niej sączył, bardzo wątłym, ale nieprzerwanym ciurkiem.

Za oknem powoli zachodziło słońce, a ja siedziałem przy stole z nożykiem do obierania jabłek. Obierki spadały do metalowej miski z cichym plaśnięciem. Skórki zdejmowałem niemal automatycznie, bo nie mogłem oderwać wzroku od przedmiotu, który blokował moje wyjście z piwnicy dzień wcześniej.

Teraz, patrząc na kość, zdałem sobie sprawę, że gdyby ktoś użył mocniejszej zasuwy, to pewnie nigdy bym nie wyszedł z podziemnej pułapki. No, może spróbowałbym wybić okienko i wzywać przez nie pomoc, ale samemu bym na pewno nie dał rady.

Do domu nie wniosłem tylko gawrona, który uniemożliwiał mi sen zeszłej nocy, a ja w zamian za to uniemożliwiłem mu dalsze życie. Niefortunny wypadek skończył się tak, że zwierzę albo zostało porwane przez jakiegoś lisa, albo, co wątpliwe, otrząsnęło się i odleciało.

Na pewno nie, niemożliwe. Jeszcze ten dziób przebity gwoździem, bez sensu.

Poczułem ostre ukłucie. Nożyk wbił mi się w kciuk i oznaczył go krótką linią rany.

– Żesz, ty, cholera – warknąłem, natychmiastowo przysysając się do palca.

Przydałoby się mniej myślenia, a więcej obierania. Najlepiej mniej myślenia i mniej obierania, po prostu więcej odpoczynku, spokoju.

W Chołach spędziłem ledwie dobę, a już wiedziałem jedno o tym miejscu. Było to stare akwarium, z którego ktoś zapomniał zabrać ryb. Teraz zdziczałe okazy włóczyły się między porośniętymi glonem taflami brudnego szkła. A ja zanurkowałem w tą brejową toń i już się zacząłem dławić mułem.

Będąc przy tym, to mam też inne wrażenie. Bardzo niepokojące, bezpodstawne, trudne do opisanie, ujęcia w słowa, a nawet myśli.

Rozejrzałem się odruchowo po drewnianej chacie. Chciałem zasunąć firanę, ale przecież okno i tak było zabite, a drugie wpuszczało światła tyle o ile.

Wsluchiłem się w sporadyczne, ciche trzeszczenie desek i rżenie mojego nierównego oddechu, łapiącego wilgoć zgrzybiałych ścian.

Był tu drapieżnik.

Obcy mi kompletnie, zły, że po jego terenie łowieckim kręci się ktośkolwiek inny, choćby pustulka. Nie wiedziałem jeszcze, kto tym drapieżnikiem był, wszak ciężko dociec, kto komu co na wsi winien i jaką cieszy się renomą. Natomiast byłem niemal pewny, że jest tu ktoś taki i działam mu na nerwy.

Po dworze przetoczyło się przeciągłe wycie dzikiego psa.

Nie pozostawało nic innego jak czekać, aż wychyli łeb z ukrycia, bym mógł mu się przyjrzeć. Sam do mnie przyjdzie, na pewno. Na razie zostają mi jabłka, skaleczone palce i bezsenne noce w Chołach.



Księżyc na niebie był już wysoko, gdy postanowiłem dołączyć do zabawy.

Mieszkańcy zebrali się na podwórku niedaleko posesji sołtysa. Żwirowy placyk z kilkoma zaniedbanymi huśtawkami i karuzelą oraz połamaną piaskownicą prezentował się bardzo biednie. No cóż, dzieci same sobie nie naprawią zabawek, a dorośli widocznie uznali, że nie warto marnować czasu.

Ponad setka osób zebrała się przy kilkunastu stołach wykonanych w różnym stylu. Część była ładnie błyszczącymi, solidnymi meblami z dopasowanymi ławeczkami, posiadającymi własny urok i kunszt. Większość jednak stanowiła zbieraninę przypadkowych zestawów, wśród których przeważały surowe kształty i brak wykończeń.

Jedna rzecz mnie dziwiła. Wszystko było z metalu lub plastiku. Huśtawki zrobiono z łańcuchów i starych opon. Żadna ławka nie była drewniana. Placyk odgrodzono popularną, drucianą siatką zwaną leśniczówką, jednak zamiast palików użyto szerokich rur, wbitych na jakieś pół metra w ziemię.

Ludzie wydawali się być szczęśliwi, nie zwracali kompletnie uwagi na dziwną, nocną scenerię, rozświetlaną jedynie ogniskami, świecami i kilkoma lampami gazowymi. Miski z sałatkami przechodziły z rąk do rąk, ludzie wyciągali do siebie krojony chleb i półmiski z serem, nalewali ręcznie tłoczone soki. Nad centralnym ogniskiem wisiał ruszt, nad którym ktoś nieustannie czuwał, smażąc ubitego świniaka.

Jacy kompletnie inni byli ci świętujący wieśniacy od ponurych karykatur ludzi o ziemistych twarzach, które za dnia wlepiały we mnie nieufne spojrzenia. Dopiero w tamtym momencie to dostrzegłem. Kiedy mnie przy nich nie było, byli naprawdę życzliwi, serdeczni i mili. Jednak po moim przyśściu, natychmiastowo rozmowy milkły.

– Dobry wieczór szanownemu panu doktorowi. – Zaskoczyła mnie Łucja, robiąc wyjątkowo teatralne dygnięcie.

– Nie wiedziałem, jak się ubrać – zacząłem od razu, spod zwyczajowego płaszcza wystawał mi jedynie kołnierz błękitnej koszuli, na której opinał się sweter. – Zimno i tak jest.

Zauważyłem, że wszyscy mają jakieś ozdoby, naręcza kwiatów, złote wisiorki czy kto tam co przyniósł z domowej skarbonki. Najdziwniejsze jednak były długie na metr albo i więcej, sznury z ziaren ciecierzycy, naniżanych na nitkę.

– Będziesz tak tańczyć? – spytała już poważnie.

Dostrzegłem, że długa, żywo czerwona spódnica do kostek i narzucony na ramiona sweterek lichy chroniły ją od wrześniowego chłodu. Mimo to, nawet nie drżała, oczy odbijały jej się płomieniami ognisk, skóra była rumiana i zdrowa, usta pełne...

– Będziesz? – Wyrwała mnie z rozmyślań, klaszcząc tuż przed twarzą.

– Nie znam dobrze żadnego tańca, jakoś się nie złożyło.

– To będziesz mieć świetną okazję.

Stół, do którego mnie przyprowadziła składał się z samych mężczyzn, pochylonych nad do połowy opróżnioną butelką czegoś mętnego. Poprosiła przymilnie biesiadników o zajęcie się mną i wszystko się zmieniło jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Pierwszy raz zobaczyłem jak się do mnie uśmiechają. Ktoś podał mi ceramiczny talerz z wymalowanymi malwami. Znacznie starszy człowiek z twarzą suchą jak trociny zaczął nakładać mi apetyczną masę ziemniaczaną z ogórkami i pomidorami. Inny zaraz zagadnął, czy bym się nie poczęstował kabaczkim. Ledwie mrugnąłem i stał przede mną pełny kieliszek wódki.

– Zdrowie pana doktora – poszła komenda, ktoś położył mi spoconą dłoń na ramieniu i wszystko potoczyło się samo.

Zaszumiało mi w głowie, zapiekło w przełyku, ale dzielnie wytrzymałem, dopóki ktoś nie podał mi kompotu z suszu. Może nie był z suszu, ale wódka tak wypaliła mi język, że zdawało mi się, jakbym stracił czucie i wszystko smakowało jednakowo.

Nie wiem, czego mi nalewali ani ile to trwało. Natomiast w głowie klarowała mi się ciekawa perspektywa, że to może być moment przełamania lodów, na który liczyłem. Szansa na to, by zasięgnąć nieco zaufania autochtonów, którzy ośmieleni trunkiem mogliby zacząć snuć romantyczne historie, gotowe do zebrania w opasły stosik dokumentów.

Tak się jednak nie stało.

Zamiast tego były kolejne salwy wódki, nieartykułowane pomruki zadowolenia, zawołania, prośby o nałożenie, podanie, przyniesienie więcej, jeszcze, już, starczy, dziękuję.

I tak długo, długo, aż straciłem z oczu kolejną butelkę, kieliszki, a w końcu i blat stołu. Zorientowałem się, że leżę na plecach i widzę do góry nogami jak z nieba zwisa język ogniska, rozlewając się szeroką masą po ziemi. Wtem w pole widzenia weszły mi dwie, zgrabne łydki, odbijające się pod materiałem sukienki.

– Jerzy, trzymasz się? – Łucja brzmiała jakby bawiła się dobrze, ale zdecydowanie ostrożniej niż ja.

Odburknąłem coś niełatwego do zrozumienia i przekręciłem się na trawie. Wreszcie po chwili poderwałem nieposłuszne nogi do pionu, wziąłem głęboki oddech i przywołałem zezujący wzrok do porządku.

– Żyję, po prostu mi się trochę... – Zamachnąłem ręką, licząc, że ktoś mi pomoże dokończyć zdanie. – No wiesz.

– Wiem. – Uśmiechnęła się po prostu i chwyciła mnie za rękę, prowadząc między ogniska. – No chodź, nie ociągaj się!

Na początku protestowałem, ale właściwie szybko przestałem, bo przecież po co udawać? Chciałem z nią zatańczyć, rozluźnić się, wczuć w ceglaste twarze wieśniaków, przeskakujących co chwila w kręgach i w parach, pląsających w dziwacznych podrygach.

Stanęliśmy naprzeciwko siebie, ona dygnęła, ja po chwili skłoniłem się, co wszyscy skwitowali krótkim śmiechem. Zebrał się wokół nas mały tłumek gapiów, ciekawych, jak sobie mieszczuch poradzi. Więc nieco ich rozczarowałem, skromnie mówiąc, bowiem poradziłem sobie nieźle.

Prawda – była to głównie zasługa Łucji, która prowadziła mnie przez meandry rytmicznej muzyki jak po sznurku. Natomiast ja również starałem się dorównać tempem. Dawno temu nawet uczyłem się tańczyć, choć krótko, fokstrota i z bardzo marnym skutkiem. Teraz przypomniało mi się to, gdyż Lusia ruszała się tak jak Harry Foks. Kłusy, krótkie ruchy, lisie skoki dookoła mnie i ciągle opanowanie każdego kroku.

Później było coś w kręgu, kilka osób wygrywało rytm na tamburykach i piszczałkach. Muzyka osadzona była pomiędzy rytmami cygańskimi, a trudnymi do zdefiniowania akordami rodem z filmów kostiumowych o Celtach. Wreszcie wszyscy zebrali się w trzy kręgi, przechodząc dookoła centralnego rusztu; bardziej spacerowali w takt, niż tańczyli.

To było coś innego, niż zwykle tańce towarzyskie. To była komunia, niereligijna, ale też nieświecka. I nie w tym rzecz, że widziałem w jednym z kręgów ojca Maurycego. Bardziej liczyło się to, że wszyscy znali swoje miejsce, wiedzieli co robić. Współodczuwali ze sobą i zdawali sobie sprawę, że jeśli jedna osoba przestanie tańczyć, to cała figura się rozpadnie.

A ja tańczyłem wraz z nimi, do czasu.

Ktoś nie tańczący w kręgu musiał czekać na swoją kolej i nagle pobiegł w ciemność, wyraźnie zaaferowany. Muzyka ścichła, przeszła do czegoś w rodzaju dudniącej pustki, powolnie ciągnących się tonów na skraju słyszalności. Każdy wiedział co robić, to musiała być stara tradycja. Ustawiono się w cztery długie łuki, zgięte do stojącego na uboczu czegoś.

Dopiero wtedy dostrzegłem, że na skraju placu, w nieoświetlonym miejscu jest coś dużego. Księżyc i odległe światła palenisk rzucały bardzo niewiele światła na ogromny kształt, przypominający elewator zbożowy, albo jedną z tych wież wodnych, tak popularnych na filmach zza oceanu.

Wtem nastała cisza, niemalże kompletna. Pijackie gardłowania ucichły całkowicie, słyszeć było tylko ponad setkę ciężkich, wymęczonych oddechów. Płuca młóciły powietrze po intensywnym obrzędzie, by zregenerować się przed tym, co miało nadejść.

Chóralnym, jednoczesnym głosem wzniesli ku nocnemu niebu pieśń.

– Odda ziemia coś sam dał, oddaj ziemi coś z niej brał...

Tekst był długi, naszpikowany ukrytymi znaczeniami i metaforami, zupełnie niepodobny do tego, czego mogłem się spodziewać na dożynkach. Oczekiwałem bardziej anakreontyk, a to przypomniało poezję śpiewaną. Pewne motywy jednak były oczywiste, szacunek do natury, kultura agrarna, cicho przemycona myśl proletariacka. Tylko nie miało w sobie to wcale wesołych nut, jak na pieśń odświętną, było dziwnie treściwe, pozbawione refrenów.

Głosy milkły kolejno, zostało kilka damskich, wysokich nut, które również zeszyły do ziemi, aż nie odzywał się nikt.

Ogień strzelił ku górze, podświetlając kolosalną sylwetkę z ubocza.

Wielkie stopy z powiązanych stogów siana, kolumny nóg z obwiązanym trawą, metalowych słupów. Klatka żebrowa ze zdezelowanej ptaszarni,

a na jej szczycie koło od traktora, obwiązane papierowymi girlandami i bibułowymi różami.

Pomnik, a może raczej jesienna marzanna, czy prymitywna figura wotywna. Kilkumetrowa konstrukcja zajęła się po chwili ogniem; obszar dookoła był dokładnie wymieciony i przykryty piachem, więc zlatujące na ziemię, kawałki traw i papieru nie miały czego zapalić. Wszystko trwało ledwie moment.

Po paru minutach głośnych okrzyków radości, wiwatów i oklasków, została tylko kupa popiołu na której sterczał osmalonych szkielet – zdaje się nie pierwszy raz użyty w tym obrzędzie.

Chwilę później ludzie wrócili do swoich stolików, wymieniając się krótko uwagami o tańcu, odgrażając się, kto co zrobi, jeśli zaraz nie zje czegoś albo nie napije się okowity w ramach celebracji.

A ja stałem tak chwilę, pijany, zdjęty strachem, spocony jak świniak w rzeźni. Aż w końcu, słaniając się na nogach zrejterowałem do ulicy, obróciłem w przypadkowym kierunku i zacząłem iść, byleby z dala od ludzi.

Potrzebowałem świeżego powietrza i może kontrolowanych wymiotów. Czułem, jak alkohol przejmuje władzę nad moim ciałem. Kwas gamma aminomasłowy spowalniał procesy myślowe, koordynację ruchową, poczucie rzeczywistości, aż w końcu zostawił po mnie jedynie skorupę w postaci włóczącego nogami pijaka.

– Gamma...amino...masłowy... – sylabizowałem tak sobie, idąc w pustkę. Język powoli odmawiał posłuszeństwa, słowa zlewały się w bełkot, aż w końcu zaczynały po prostu brzmieć nierealnie. – Gammama, maaamaaa, gammamama.

Byłem blisko swojej chaty. Musiałem dojść do niej intuicyjnie, w końcu droga mogła prowadzić tylko w głąb wsi, do skrzyżowania, placu-

ku ze sklepem, a dalej kościoła albo w drugą stronę, w nicość mojej zawilgotniałej rudery.

Księżyc wisiał nad lasem, który zdawał się lekko falować mimo braku wiatru. Coś ukuło mnie w sercu, a zaraz potem zeszło w dół. To ciekawość albo niestrawność. Tak czy inaczej, zbliżyłem się o kolejny krok, aż w końcu stanąłem na rogu krańcowej posesji, rozpinając rozporek w kierunku drzew.

Gdy już go zapiąłem, oparłem się o sztachetę, walcząc z nudnościami. Ci wieśniacy pili, jakby mieli się nie obudzić na nieszpory. Czy na co oni tam idą? Jutrznie? Zdażyłem zapomnieć nawet, co tak świętują, chyba żniwa. Durne zwyczaje, durne piosenki, durne wszystko, jak nie wiem co.

Jak to było?

– Mamunaaa! – krzyknąłem, ośmielony wódką. – Mamuna, ty stara kurwo, chodź tu!

Policzki rezonowały bólem od szczyrzenia się. Czułem, jak wzbiera we mnie śmiech, na myśl o tym, co ja tu w ogóle robię i za co mi płacą.

– Mamuna, chodź! Chodź, jest wywiad dla ciebie, chodź! – Odbiło mi się nagle, rozdziawiłem usta i uniosłem głowę wysoko. – Pytanie pierwsze: dlaczego dzieci kradniesz, mendo parszywa?!

I wtedy usłyszałem trzepot skrzydeł.

Nie jakiś wróbelek, nawet nie gawron, bociany już chyba poleciały albo lecą w sumie...

Coś zazgrzytało, a potem łupnęło o twarde podłoże. Jakby ktoś zeskoczył z płotu za mną. Nie, nie odwróciłem się nawet, stałem tak w kompletnym bezruchu jak mi podpowiadał gadzi mózdzek. Bardzo pierwotny lęk małej jaszczurki sprzed milionów lat, mówiący mi: widzi cię drapieżnik, nie drgnij.

A ja nie byłem małą jaszczurką, ja byłem dorosłym facetem w szczytowym okresie istnienia cywilizacji ludzkiej. Biorąc to pod uwagę nadal wołałem udawać kamień, bo bezruch był kojący, dający poczucie bezpieczeństwa. Nie jestem ofiarą – mówił organizm – jestem kamieniem, nikt nie rusza kamienia.

I krok, kolejny. Nawet nie krok, bardziej sunięcie odnóży po piachu. Chrobotanie pazurów o polne kamienie, pojedyncze stuknięcie potężnego dziobu.

Było coraz bliżej, tuż za moimi plecami, zamknąłem oczy, miałem ochotę zniknąć, nie istnieć, nie być. A jednocześnie wzbierała we mnie siła, by odwrócić się i wałnąć na oślep. Kopać, bić, krzyczeć jak małpa.

Zacisnąłem pięść, przygotowałem się do uderzenia i usłyszałem, jak odpowiada mi donośny krzyk:

– Jurek!

Zatrzepotały skrzydła, ledwie ułamek sekundy nim się odwróciłem z zamachnięciem. Jakiś cień przeleciał mi przed oczami, zatoczyłem się i upadłem na ziemię. Nad głową stanęła mi dwunożna postać, już miałem ją chwycić i pociągnąć do siebie, ale zaraz zrozumiałem, kto to.

Lusia, stojąca z kagankiem w jednej dłoni i kubkiem w drugiej.

– Martwiłam się, nie chodź samemu po nocy, ojciec cię prosił. – Zapowietrzyła się na moment, przystawiła mi lampy do twarzy. – Ty jesteś nastukany jak budka lęgowa! Ile wypieś, przyznaj się.

– Gdzie ona... Długo za mną stałaś?

Bez słowa wzięła mnie pod ramię jak niedołęgę i pomogła wstać, by zaraz wcisnąć naczynie.

– Pij, nic już z ciebie dziś nie będzie. – Pokręciła głową smutno.

Wypiłem połowę – mocno ziołowe, nieco gorzkie i z metalicznym posmakiem, odbierającym powoli czucie na języku.

– To jakaś herbata? – spytałem, zanim urwał mi się film.



Topię się, pomyślałem, zanim konwulsje szarpnęły moim ciałem i wygięły mnie w bok. Gorąca ciecz lunęła w ciemność, usłyszałem metaliczny dźwięk, znaczy, ktoś mi podłożył miskę obok łóżka na noc.

Dobry kwadrans zajęło mi upewnienie się, że niestrawiony alkohol i ziemniaki opuściły mój żołądek. To było potworne, dawno się tak nie skończyłem. W pokoju było niemal doskonale czarno, tylko nieco światła wpadało z dworu. Mało, zdecydowanie za mało, by cokolwiek dostrzec poza innym źródłem światła.

I dokładnie to zobaczyłem.

W zabitym deskami oknie była dziura po sęku wielkości palca, zwróciłem na nią uwagę, gdy się wprowadzałem. Teraz przez tę dziurę wpadało minimum światła z odległego księżyca. Dziwne przecucie pociągnęło mnie w kierunku okna – i tak chciałem wstać.

Na stole był kubek z wodą, pociągnąłem jeden, solidny łyk i zaraz kubek był pusty.

– Dobrze – mruknąłem tylko sam do siebie i przyklęknąłem przy oknie.

Światło, ciepłe, tańczące jak od ogniska. Właściwie to nie, kilka, może kilkanaście źródeł światła tańczyło pod przeciwległą ścianą lasu. Wyteżyłem wzrok, jednak dzieliło mnie dobre półtora kilometra, może kilometr.

Kilka ogienków, trzymanyh wysoko, skakało obok siebie, odbijało się od wysokich kształtów, możliwe ludzi z kagankami albo pochodniami. To były oczywiście przypuszczenia, to mogło być cokolwiek, na przykład pijacka maligna.

Uszczypnąłem się i westchnąłem od serca. Jeżeli wpada się na pomysł uszczypnięcia to zapewne znaczy, że i tak jest on zbędny, bo w snach nie pamiętamy o takich rzeczach.

Więc to nie był sen; poczułem, jak mdłości nieco ustępują a na ich miejsce wchodzi znajome ukłucie ciekawości.

Nikt mnie nie rozebrał; ktoś musiał mnie odstawić do łóżka i rzucić w ubraniach, ledwie przykrywając narzutą. Zzute buty leżały obok, może nawet sam to zrobiłem przez sen. Wiążąc sznurówki zastanowiłem się, czy nie zabrać lampy gazowej ze sobą. Nie chciałem, by ktoś zobaczył, jak kręcę się po pijaku w nocy. I tak mają mnie za obcego, nie ma sensu wzbudzać ich podejrzeń.

Lampę wziąłem i tak, choć wyłączoną.

Na zewnątrz było zimno, nawet bardzo. O wiele zimniej niż to zapamiętałem, widocznie alkohol zaczął już parować z organizmu, zostawiając rześkie uczucie chłodnego realizmu. Rozwinałem szalik i owinałem nim głowę, kołnierz koszuli rozłożyłem jak wachlarz, by choć trochę chronił szyję. Udało mi się nawet znaleźć rękawice robocze po nieboszczyku i pogrzebacz do węgla.

Przez moment jeszcze wahałem się, jeżdżąc dłonią po materiale płaszcza. Wyłuskałem z kieszeni na sercu pistolet Tokariewa. Nigdy jeszcze do nikogo nie strzeliłem, nawet nie powinienem był mieć tego przy sobie...

Broń spoczęła, zawinięta w zaspie ubrań w bagażu podróжным. Jeszcze mnie ktoś z nią zobaczy i do końca życia się nie wytłumaczę.

Wyszedłem, ubrany i uzbrojony jak pogorzelec w jakimś egzotycznym kraju objętym wojną. Pogrzebacz wziąłem z prostej przyczyny – bałem się jak cholera. Ostatniej nocy krążyły psy, więc mogły i tym razem. Prędejję przestraszy ogień, ale chociaż będę miał się czym odpędzać.

Z takim nastawieniem ruszyłem przez ubocze polnej ścieżki, gotów w każdej chwili skryć się za rowkiem melioracyjnym, wśród wysokich krzaków oddzielających pole od kolein drogi.

Nagle zrobiło się bardzo jasno, droga między polami zdawała mi się być powierzchnią obcej planety, wyschniętym, księżycowym pustkowiem. Czułem się jak odkrywca nieznanych planet, astronauta, który właśnie opuścił swój łazik, by osobiście dotrzeć do celu. Tylko kilka płomyków na horyzoncie, rozbijających się o wiekową ścianę dumnego lasu, utwierdzało mnie w przekonaniu, że jestem na Ziemi.

Im bliżej byłem tym lżej się czułem, jakbym zagłębiał się w coraz pełniejsze tlenu powietrze. Im mocniej dawał zapach żywicy, wilgoci, kory i mchu tym bardziej wszystko było nierealne.

Aż w końcu dostrzegłem, że to co zdawało mi się pochodniami w rzeczywistości nimi było – nie pomyliłem się. Zostało mi jakieś sto metrów do ściany lasu, gdzie błyskały ognie. Widziałem ich sylwetki, siedmioro ludzi, przezornie ubrani w ciepłe rzeczy kontrastowali mocno z pozbawionym źródła światła człowiekiem ubranym w garnitur.

Nierealne, zamrugałem kilka razy, przetarłem oczy ramieniem i zdałem sobie sprawę, że patrzę na niezwykle wymęczonego człowieka, garbiącego się w więzach w nienaturalnej pozie na szerokim pniu. Nie, nie pniu, to była szpula budowlana po kablu. Ot, drewniana, szeroka noga i kapelusz jak u grzyba, na którym można położyć świnię w całości. Ktoś ustawił ją po środku kilku gazrurek u szczytu których stały miski, osypujące się ciecierzycą.

Byłem pijany, na pewno. Alkohol potrafi rozkładać się dwie doby, ale na pewno nie wywołuje takich zwidów. Przetarłem twarz jeszcze raz, podniosłem piekące oczy i zobaczyłem jak procesja – nie wiem czemu pomy-

ślałem o tym słowie – wchodzi od miejsca obrządku na ścieżkę, znaczy zaraz będą obok mnie!

Padłem na ziemię, kaganek zastukał charakterystycznie wstrząśniętym w mocowaniu szkłem, ale nie pękł. Zamarłem w bezruchu, gdy tuż obok mnie przetoczyły się ciężkie kroki ludzi. Uchyliłem powieki, obróciłem z trudem głowę w bok i dostrzegłem zmęczone, zarośnięte, ale zdeterminowane twarze wieśniaków. Sami mężczyźni, wszyscy z kosami i widłami.

Jeden z nich wydał mi się znajomy, ale nie miałem, jak się przyglądać i zasłaniały mi go inne sylwetki. Jeszcze jedna rzecz rzuciła mi się w oczy, charakterystyczna, dziwaczna od samego wjazdu do Chołów.

Wszystkim zwisały naszyjniki z ziaren ciecioriki. Ta roślina była dosłownie wszędzie, za bardzo, jak na miejscową ciekawostkę. Któryś z wieśniaków nagle uniósł naszyjnik do ust, przegryzł ziarno na pół i wciągnął obie części do ust, chrupiąc je głośno.

Minęła dłuższa chwila, gdy wreszcie kroki były dość daleko, bym zdobył się na odwagę i wstał. Liczyłem na to, że nikt się nie odwróci i mnie nie dostrzeże, wszyscy szli w kierunku Chołów, a ja byłem tylko ciemną plamą na tle ciemnej masy lasu.

Musiałem podejść do tej szpuli, musiałem, to już nie kwestia ciekawości. Gdybym tego nie zrobił, to dręczyłoby mnie to po nocach do końca życia.

Więc wlepiłem wzrok w wystrojoną, porzuconą postać i ruszyłem przed siebie. To, co się wydarzyło zdecydowanie zmieniło moje podejście do tego cokolwiek miało miejsce w Chołach.

Szedłem prosto, pewnie, wpatrzony w wyraźnie odcinającą się z bliska sylwetkę na postumencie. Człowiek był chyba nieprzytomny, zmaltretowany, zdecydowanie starszy i ubrany jak na pogrzeb. Nie mogło mnie od

niego dzielić więcej niż osiemdziesiąt metrów. Potem siedemdziesiąt, sześćdziesiąt i tak dalej co parę kroków. Już chciałem go cicho zawołać. Na ułamek sekundy ledwie mrugnąłem i... Koniec.

Nie było go.

Tak po prostu.

Stałem w odległości paru kroków od szpuli, na której wcześniej siedział ubrany w garnitur człowiek. Dookoła nadal stały metalowe paliki, leżała rozsypana cieciora, wszystko na miejscu poza związanym człowiekiem. Nawet nie wiem, czy był przytomny, więc jak on miał uciec?!

Przyłożyłem dłoń do heblowanego drewna. Czy było jeszcze ciepłe, czy to złudzenie?

Rozejrzałem się dookoła. Nie, niemożliwe. Byłem na środku wypalanej polany za miedzą ostatniego pola, pod samym lasem. Nie miał prawa nigdzie uciec. Jedyne, czego nie widziałem to tego, co było za masywnymi pniami drzew, ale przecież nie mógł tam nagle wbiec, bo i po co? Jak? Kiedy?!

I wtedy usłyszałem krzyk.

Odległy, bardzo odległy z głębi lasu. Echo odbijało się między pniami, by rozejść się po polach i zejść w kierunku wioski. Tak może krzyczeć tylko człowiek, którego noga wpadła w sidła na niedźwiedzie, albo którego obdzierano żywcem ze skóry. Nie umiałem sobie wyobrazić, co się tam musiało stać.

Po prostu wolałem nie.

I wtedy usłyszałem narastające kroki.

Pęd, jakby jeleni szarżował w moim kierunku. Myślałem, że skoczy ku mnie jakaś postać, że nie zdąży się zatrzymać i mnie wgniecie w ziemię. Jednak nagle ścichło kompletnie, tylko przerośnięte krzaki berberysu w gęstym mroku zaszurały, na pewno nie od wiatru.

– Pomóż mi, Marek, boli mnie, Marek, Marek, ja nie chcę, Marek, puść mnie, ja nie chcę, boli mnie! – Głos z krzaka powtarzał w kółko te słowa w różnej konformacji.

Podszedłem bliżej, nieomal rzuciłem się na pomoc, bo choć tak potwornie się bałem, to ten głos był stokroć bardziej przerażony ode mnie. Błagalny, agonalny głos kobiety...

Zatrzymałem się, ledwie o odległość ręki od masywnej ściany starego lasu. Pod palcami już czułem przez rękawiczki wilgotne powietrze, nieomal namacalną świeżość, jaka była spomiędzy dwóch dorodnych brzoź, lekko połyskujących w ciemności. Wyglądały one jak białe w ziemi kości gigantów i może to dało mi te ćwierć sekundy wstrzymania.

Ćwierć sekundy, przez które przemknęło mi przez myśl:

Skąd tam u licha nagle kobieta?

– Jezu! Chryste! Pomóż! – Ryk był ogłuszający, męski, głęboki głos dochodził dosłownie zza moich palców. To już nie była kobieta, nagle to była kompletnie inna osoba, ale skąd?!

Cofnąłem się o krok. Poczułem na twarzy gorący oddech.

– Nie chcę! – krzyknął męski, inny, starszy głos. – Ja! Piotr! Nie chcę! Chryste! Ja! Pomóż! Jezu!

Słowa nakładały się na siebie w różnych głosach i tonacjach, wszystkie dobiegały z tego samego krzaku między brzożami przede mną. Liście zatrzepotały, ciemnozielona powłoka wydawała się jednym, uszytym z gałązek kocem.

Cofnąłem się o krok i poczułem, jak padam plecami w miękką ziemię. Lampa stuknęła metalicznie, pogrzebacz odbił się gdzieś bliżej drzew.

Krzaki ponownie wzburzyły się, wyjąc niezrozumiałymi już głosami, nawet nie walczącymi ze sobą o dominację, nie zwracającymi na siebie

uwagi, po prostu ignorującymi, jakby w ogóle nie o to chodziło, by cokolwiek przekazać.

Przewróciłem się na bok, zorientowałem się, że coś łapie mnie za but. Chwyciłem lampę i odkręciłem gaz na całość. Syknął zapalnik, ciepły strumień światła zalał fasadę lasu, której wolałbym nigdy nie zobaczyć.

Nagle cały racjonalizm uciekł.

Po prostu zamknąłem oczy, zakryłem uszy ramionami i zacząłem krzyczeć. Coś ciągnęło mnie po ziemi w stronę lasu, odruchowo kopałem z przekory, ale miałem wrażenie, jakbym kopał beton. Garściami rwałem za sobą ziemię, byleby spowolnić wciąganie.

Sunąc przez zarośla nagle wyczułem coś twardego pod palcami, pogrzebacz. Chwyciłem go odruchowo i zamachnąłem się na oślep. Haczykowane zakończenie weszło mocno i coś w odpowiedzi wyrwało mi narzędzie z ręki, nieomal wyłamując staw łokciowy.

Poczułem na skórze gałęzie, szarpiące i czepiające się wszystkiego z każdej strony. Dookoła mnie nadal nawoływały głosy błagalne, głosy z prośbami o przebaczenie, o litość, głosy przeklinające przypadkowe imiona.

Wtem padł strzał. Coś przeleciało tuż nad moją głową, uchyliłem oczy i dostrzegłem rozsypane dookoła kulki ciecierzycy. Z ciemności wychynęła dłoń, ktoś chwycił mnie mocno za nadgarstek i wyciągnął z lasu z powrotem na polanę.

Dookoła pełzały ogniki pochodni i lamp. Nade mną przeskakiwało kilka osób, dźgając w ścianę lasu kosami i na zmianę rzucającymi nawet nie wiem czym. Ktoś wreszcie pomógł mi stanąć na równe nogi, objął opiekuńczo ramieniem, jak wyciągniętą z pożaru ofiarę i odsunął kilka kroków.

Krzyki powoli cichły, przynajmniej odchodziły dalej w głąb lasu, choć dalej słyszałem niemalże kilkadziesiąt różnych głosów, jakby ktoś uchylił wrota do kręgów piekieł.

Wyszliśmy na drogę między polami, dostrzegłem twarz sołtysa. Była surowa, ale też zmartwiona, rzucał krótkie komendy na boki, oglądał moje ciało wraz z innym, nieznanym mi mężczyzną z kagankiem.

– Żyje pan? Coś pana boli? – spytał, biorąc mnie pod ramię mocniej.

Chyba chciałem coś odpowiedzieć, ale jedynie drżały mi usta i głowa latała na boki.

– Odstraszyliśmy go, spokojnie, nie wróci. Chodźmy do domu, zobaczmy, czy jest pan cały. – Zdjął z szyi naszyjnik z cieciorki, ułamał kawałek i siłą włożył mi w usta. – Gryź i nic nie mów.

Chciałem zapytać co to było, co się stało, ale zamiast tego jedynie pokiwałem głową, zagryzłem szczęki i poczułem jak łyzy spóźnionego przerażenia i ulgi ciekną mi po twarzy.



– Powiedz prawdę! – warknął stary Hieronim Zając, miejscowy interlista. – Piotr, nie będę kurwa ryzykował dla...

– Niedźwiedź – powtórzył po raz kolejny sołtys, nadal mając niezdradzający niczego wyraz twarzy. – Był dosyć spory, ale chyba rozleniwiony, najedzony.

Lekarza zbudzili mimo niehumanitarnej pory i ten od razu zajął się mną w swoim salonie. Nawet nie przeszliśmy do jego przydomowej lecznicy, po prostu kazał któremuś z autochtonów zabrać „dużą, kurwa, czerwoną torbę” i polecił mi usiąść na stole.

W pomieszczeniu oprócz naszej trójki nie było nikogo. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak często otaczają mnie mieszkańcy Chołów. Zdawali się dosłownie chodzić w stadach, nigdy sami, wiecznie spięci. No, może poza Lusią i Maurycym, widocznie oni mieli swoje powody dla samotności.

Mój wzrok błdził gdzieś po noszącym ślady dymu papierosowego, przyżółkłym suficie. Głowa latała mi to w jedną to drugą stronę, ręce drżały. Nawet nie pamiętałem, jak mnie tu zabrali, a przez chwilę nawet skąd.

Nie pamiętam mijanych domów, raczej przydomowe ogródki. Wyso-
kie lipy, mnóstwo czarnego bzu, kilka dorodnych cedrów, nachylający się
nad rowem melioracyjnym orzech, wokół którego nic nie rośło. Niżej je-
sienne kwiaty, rzadkie, skromne, ale mające swój urok. Potem tylko mecha-
ty dywan i kępki trawy wystającej spod drucianych ogrodzeń. Byłem nadal
w Chołach, to na pewno dało się wyczuć.

– Będę was wszystkich, kurwa, szyl jak szmaciane lalki – warknął,
bardziej do siebie, Zając, zaciskając w ustach nić i lustrując z bliska moje
golenie. – A wy będziecie się pierdolić po jakichś zajebanych lasach.

– Hierek, nie – powiedział po prostu Piotr, opierając się mocniej ple-
cami o ścianę, aż przypadkiem wcisnął wyłącznik światła.

Igła wbiła mi się boleśnie w nogę, nagle, jakby z premedytacją. Dok-
tor wstał od stołu, uderzył otwartą dłońią w przełącznik obok głowy sołtysa,
z powrotem włączając oświetlenie.

– Może jeszcze kurwa mnie pociągnij za włosy albo wskocz na bara-
na?! Mam go, kurwa, łatać, czy nie?!

– Dobra, ja wychodzę, porozmawiamy rano. A szanownego pana dok-
tora proszę o spotkanie, bo chyba nie dość jasno się wyraziłem za pierw-
szym razem. Zwierzyna w okolicy potrafi być dzika i niebezpieczna, proszę
tak więcej nie wychodzić samemu! Ani w nocy, ani za dnia!

Piotr stał tak chwilę jeszcze, myślałem, że wyjdzie, a on tylko nastro-
szył brwi i wykroczył w moim kierunku.

– Czy się zrozumieliśmy?

– Tak, będę ostrożniejszy – wybełkotałem, przed oczami nadal mając
berberys, dwie brzozy i ciemnozieloną otchłań.

I na najkrótszą sekundę błysk lampy, wycinającej z ciemności kształt...

– Nie powiedziałem, że ma być pan ostrożniejszy, tylko się nie ruszać bez niczyjej zgody, czy to jasne?!

– Piotr, wypierdalaj, bo tobie zaszyję usta – warknął internista i po raz kolejny zabrał się za długą, szarpaną ranę na mojej nodze.

Sołtys niepyszny mruknął coś jeszcze i zostawił mnie samego z gospodarzem. Ciszę przerywały tylko ciche plaśnięcia mięsa pod igłą i trzepoczące się przy żarówce ćmy.

– Dziękuję panu za...

Uklucie w nodze. Szpila ponownie weszła głęboko, tnąc po nerwach.

– Kurwa, zesz! – wydarł się lekarz. – Jest środek nocy, ja ledwie widzę mimo bryli, nie rozpraszaaj mnie, próbuję się skupić.

Kiwnąłem tylko w ciszy głową.

Reszta poszła rzeczywiście gładko. Nie wiem, czy to z braku wymówek dla złośliwości, czy konował rzeczywiście nie potrafił się wkluć bez kompletnej ciszy. Kilka kwadransów, wypełnionych przemywaniem ran, później był wreszcie kontent ze swojego dzieła.

Byłem owinięty bandażami jak jakaś wynędzniała mumia, przynajmniej od pasa w dół. Jedna z ran pod kolanem była naprawdę poważna, głęboka i wymagała sześciu syntetycznych szwów. Kręciło mi się nieco w głowie, w ustach błąkał się metaliczno-kwaskowaty posmak krwi. Najgorszy był rzecz jasna zastrzyk przeciwężcowy, nienawidzę zastrzyków.

– Jeszcze przeciwbólowy – powiedział spokojniejszym tonem Zajac, sięgając do szafki nad kredensem.

Wypuściłem z siebie cichy jęk, realnie rozważając, czy nie uciec od następnego zastrzyku. Może zaryzykować po prostu, że obudzę się w nocy zgięty w bólu jak harmonijka?

Rozlał wódki do dwóch kieliszków i podał mi jeden. Odruchowo chwyciłem, na moment zatrzymałem się, a on po prostu stuknął o moje szkło i powiedział:

– Zdrowie.

Po czym strzelił przysłowiową lufę nim zdążyłem zrozumieć co się stało. Wzruszyłem ramionami, wypilem swoje, choć w żołądku nadal kołowały się wieczorne zapasy.

– Hieronim. – Uśmiechnął się nawet przymilnie, choć niepokoił mnie jego brak dwóch dolnych kłów. – Skoro już tak wyszło.

Uścisnąłem jego dłoń, była sucha, drobna, ale oddała przyzwoity chwyt.

– Jerzy – powiedziałem krótko, nie bardzo wiedząc co dodać.

– Ponoć przyjechałeś wczoraj, nie mieliśmy okazji...

– Badania robię, rządowe.

Lekarz zagwizdał z aprobatą po czym skrzywił się we współczującym uśmiechu, pokiwał głową i ta wiązanka gestów wytworzyła między nami większą nić zrozumienia, niż dowolna ilość obiadów z sołtysem wsi.

– No właśnie – skwitowałem gorzko, bo obaj znaliśmy realia. – Także szanowny pan sołtys ma mnie za gościa i widać uważa, że jestem szpiclem.

Zając poskubał siwą, bardzo krótką bródkę. Był nieprzyzwoicie zarosnięty, jak człowiek, który goli się średnio co tydzień i regularnie zapomina czy to już, więc podgala się w paru miejscach tą samą, stępioną żyłką, której nie chce mu się wymienić.

– Raczej chucha i dmucha, jak na jajko. – Pogroził mi palcem Hieronim. – Nie wyrzekaj się na Piotrka, to prosty mechanizm, ale nie jest zawodny. Gdyby coś ci się stało, to on musiałby się tłumaczyć. Tylko, kurwa, po tym ostatnim pierdołniku z piecem, to nikt nie ma na to siły.

Odetchnąłem ciężko, wlepiłem wzrok w naścienną tapetę koloru moczku. Spod umorusanych kredkami płatów wystawały na świat kawałki styropianu. W kilku miejscach dojrzałem drobne elementy, niepasujące do otoczenia.

W rogu, przy szafie leżał pokryty kurzem drewniany spinacz w kształcie zielonej kaczuszki. Sklecony mieczyk z dwóch rurek i obok spory worek foliowy wypełniony kolorowymi kłopotami i klockami. Dwie puffy, z wnętrz których wystawały powykęcane kawałki zeszytów do rysowania.

Miałem pytać, chociażby z grzeczności, ale zmęczenie wzięło górę nad kurtuazją. W sumie nic mnie nie obchodziło czy przypadkiem nie obudziliśmy jego syna, jeśli takowego ma. Ile miał lat, czy to jego zabawki. Po prostu chyba chciałem się przed nim popisać, że sam to wydedukowałem.

Natomiast po chwili doszło do mnie, że nie ma żadnej z tych rzeczy na wierzchu. Że wszystkie zabawki są nie tyle nawet pochowane, co w stanie permanentnego zawieszenia z boku. Gdzieś ciepnięte na odwal się, byleby nie zagrażały drogi. Jednak nikt nie zadbał o to, by należycie je schować. Tak jakby nie były już potrzebne, ale w każdej chwili mogły być.

– To co dalej?

– Chuj wie. Musisz sam próbować coś wymyślić, bo jak nie dasz rady, to dupa. Nie masz raczej dużo czasu, prawda?

Zbladłem, zakręciło mi się w głowie i osunąłem się na dywan, plecami opierając się o nogę stołową.

– No już nie przesadzaj tak, jakoś dasz radę, jak nie, to nie – zachnął się Hieronim.

– I co... Amputacja, czy? – zapytałem z przerażeniem, obmacując nogę jakbym ścisnął własną, nowonarodzoną córkę.

Doktor roześmiał się obrzydliwym, charkotliwym głosem, podrapał po łuszczącej skórze twarzy i machnął ręką.

– Ja mówiłem o badaniach. Noga się zagoi, dam ci mleczan etakrydyny na nóżkę, przepisujemy coś ziołowego i będzie cacy... No tak w ciągu kilku tygodni. – Zając zafrasował się na moment, poprawił okrągłe, grube okulary i dmuchnął sobie w nos, zasłaniając szkło parą. – Piękny to nigdy nie będziesz, ale jeszcze będziesz mógł z wnukami spacerować po parku.

Przez moment leżałem tak tylko, odganiając od siebie perspektywę utraty kończyny. Byłem potwornie zmęczony, zniszczony psychicznie, ranny i bez jakichkolwiek perspektyw na dobry dzień.

– Daj jeszcze przeciwbólowego – sapnąłem, na co Hieronim uśmiechnął się zadowolony i przystawił sobie krzesło.



Dzień był wyjątkowo chłodny, co cudownie współgrało z moim kacem. Obudziłem się w „swoim” domu, mając na stole samogon w butelce po mleku, maść do wcierania i dwa opatrunki na następny dzień i na za trzy dni. No i stał jeszcze tajemniczy pakunek, o którego zastosowaniu przypominałem sobie dopiero po śniadaniu.

Zając okazał się być bardzo barwnym towarzyszem rozmów. Niewiele z nich pamiętałem, poza pewnym kawałem o szarmanckim łosiu i kluczowej wskazówce odnośnie dalszych losów moich badań.

Zaśmiałem się pod szalikiem i obejrzałem na koszmarnie mizerną lipę, jaka wyrastała na podwórku najbliższej posesji.

– Szarmancki łos, kto to wymyśla?

Dom był zdecydowanie zaniedbany i to pod każdym możliwym względem. Fakt, że znajdował się blisko centrum wsi, po przekątnej do je-

dynego, brukowanego placyku, był tym bardziej przejmujący, bo mogła być to kiedyś naprawdę urocza dziedzina.

Teraz jednak ogródek zdawał się popadać w stan wstępnego rozkładu, przyspieszonego jakąś nieznaną mi chorobą. Brązowe kropki niby-ropni rozprzestrzeniały się na wszystkim, od trawy począwszy a na wiekowym dębem skończywszy. Było to naprawdę ogromne drzewo i wielka szkoda, że przetrwało w osiedlu ludzi tyle czasu, by teraz umierać tak bezsensownie.

Po podwórku wałało się mnóstwo gratów, sprężyn, kawałków złomu, był nawet rozebrany do połowy traktor, z którego brakowało całej kabiny i kół. Miałem wrażenie, że gdzieś go już widziałem, ale nie mogłem sobie za nic przypomnieć, gdzie.

Ścisnąłem mocniej pakunek w dłoniach. Nieduży, opakowany szarym papierem przedmiot lekko postukiwał wewnątrz i był dosyć lekki. Stojąc tak przed najeżoną kolcami – zapewne na szpaki, a nie na gości – furtką starałem się przypomnieć dokładny sens rozmowy z Hieronimem.

Wiedział, że nie radzę sobie z miejscowymi, kluczę po meandrach przypadkowych postaci, które nie chcą mi nawet odpowiedzieć na najprostsze pytanie. Mimo to udało mu się znaleźć sposób, by nieinwazyjnie włożyć mnie w tryby tej maszyny, w taki sposób, by jej nie zepsuć.

Waldemar, mąż aresztowanej za morderstwo Jadwigi był moim następnym śladem. Miałem mu dostarczyć paczuszkę, chociaż Zając sam mógł to zrobić, bo przecież mieszkał nieledwie paręset metrów dalej. Nie wiedziałem co w niej jest, ale postawiłbym na jakieś leki na uspokojenie albo zaległą pożyczkę.

Już miałem otworzyć bramkę, gdy na moment zatrzymałem się w miejscu.

A gdyby tak po prostu wszystko to rzucić? Ludzie na świecie w najgorszym wypadku zostaną żywy w czasie badań w terenie. Czasem

zdarzy się jakieś pobicie, bo naród za kołnierz nie przelewa. Tylko mnie się trafiają nawiedzeni wariaci. Czemu miałbym się męczyć z tym wszystkim?

Tylko, że... jakoś sama myśl opuszczenia Chołów powodowała we mnie uczucie, iż coś było nie tak. Po plecach przekradł mi się lodowaty dreszcz, jakbym chciał włożyć dłoń w gniazdo węży. Organizm zbuntował się od razu: nie, nie pozwalam.

Obiecałem sobie, że jeśli nie uda mi się wyciągnąć żadnych informacji od Waldka, to po prostu wracam. Najlepiej, zanim ojciec Maurycy podpali mi dom albo naśle na mnie miejscowych. Chyba zaszedłem mu za skórę tym dyktafonem.

Zawiasy skrzypnęły cicho, spodziewałem się jakieś długiego, agonalnego jęku, a tu nie. Ot, po prostu zwykła bramka. Nerwy miałem jak postronki, więc oczekiwałem najgorszego.

Zawiesiłem wzrok na oknach chaty, były zakratowane i najeżonymi długimi na kilkanaście centymetrów, zaostrzonymi drutami zbrojeniowymi. Wyglądało to co najmniej jak fortyfikacja na niedźwiedzia.

Zapukałem kilka razy w drzwi i odczekałem, tak jak mówił Zając. Powtarzałem to do skutku, bez konkretnego rytmu, czy jakiegoś tajnego kodu. Ot, miałem pukać, to pukałem.

Minęło kilka dobrych minut zanim szkiełko judasza błysnęło, znaczy, ktoś odsunął zaślepkę i gapił się na mnie.

Uniosłem jedynie paczkę na wysokość twarzy i powiedziałem w miarę spokojnym głosem:

– Zając.

Zajął to kolejną chwilę, ale drzwi uchyliły się wreszcie, przez szparę wleciało trochę światła i dostrzegłem przekrwione oczy, wystające spod gęstej czupryny włosów. Tak powinien wyglądać myśliwy z czasów neolitu, a nie prosty rolnik.

Ogromne, brudne ręce wyskoczyły zza rogu i chwyciły mocno pakunek, chcąc go wciągnąć do środka. Zapałem się, jakbym mocował się z psem i syknąłem:

– Przyszedłem porozmawiać. To ważne.

Ten jednak zdawał się kompletnie ignorować to co powiedziałem, otworzył drzwi szerzej, by móc lepiej złapać przesyłkę i pociągnął do siebie. Puściłem paczkę, gospodarz z impetem uderzył plecami o ścianę i nim zdążył zamknąć drzwi, zastawiłem framugę butem.

– Waldek, wszystko mi Zająć powiedział, chcę tylko porozmawiać, proszę!

– Ja nic nie wiem! – odezwał się w końcu. Głos miał jak konający wieprz, ton przesiąknięty był spazmatycznym, długotrwałym płaczem, który teraz zdawał się rezonować w każdym słowie. – Zostawcie mnie po prostu wszyscy!

Napałem mocniej, skrzypnęła deska podłogowa, wepchnąłem drugi but i zastawiłem przesmyk ramieniem. Opór zelżał, zdecydowanie ciężko było Waldkowi trzymać drzwi i paczkę jednocześnie, a chyba bardzo nie chciał jej odłożyć.

Wpadłem wreszcie do środka, nieomal przewracając się na brodacza. Zamknąłem za sobą drzwi, wystawiłem ręce „nie mam broni”, jak do dzikiego psa.

– Po prostu porozmawiajmy chwilę i ja sobie pójdę, obiecuję, naprawdę, obiecuję! – Powtórzyłem głośno i dosadnie, uderzając się w pierś.

Dzikus uspokoił się na moment, ciężkimi krokami przeszedł ciemną sień i wkroczył w szarówkę izby. Podążyłem za nim, powoli zmieniając zdanie, czy to był taki dobry pomysł.

To tutaj, pomyślałem w pierwszej chwili, to w tym miejscu się wszystko zaczęło.

Piec chlebowy nie był w użyciu, drzwiczki były szczelnie zamknięte, wszystko dookoła skrywała delikatna warstwa kurzu. Tylko kilka miejsc nosiło ślady niedbałego przeciągnięcia palcami, kończących się grubymi kotami.

Dla wielu to nie byłoby nic. No bo co? Ktoś przeciągnął ręką po zakurzonej blacie i tyle. Tylko w tym rzecz, że tak ludzie nie robią. Człowiek brzydziłby się, albo zdenerwował i stwierdził, że trzeba to posprzątać. Dmuchałby, przeleciał szmatką chociażby na sucho, cokolwiek. Nikt nie zostawia po sobie wszystkiego tak bezwiednie. Nikt, poza ludźmi, którzy tracą ludzkie odruchy.

Waldemar przysiadł z paczką przy stole, przez firany wpadało trochę światła, osadzającego się na wiszącej w powietrzu mgiełce. Własnymi pazurami rozciął przesyłkę i dobył prostego, drewnianego pudełka z wymalowaną szachownicą.

– Gra królów – wymknęło mi się z uśmiechem.

Po czym dostrzegłem, jak otwiera wnętrze planszy do gry i wyciąga ze środka niewielki słoiczek żółto-brązowej, oleistej cieczy. Samo pudełko na szachy po prostu zamknęło się, puste, pozbawione podparcia, niepotrzebne. Chodziło tylko o ten słoiczek.

Z narastającym napięciem obserwowałem, jak dzikus zaczyna coraz bardziej niecierpliwymi ruchami krzątać się po kuchni, ignorując moją obecność kompletnie. Zaaferowany w końcu rozwarł lodówkę i wyjął ze środka plastikową strzykawkę.

Obróciłem się natychmiastowo, chwytając za nadgarstki. Poczulem jak mi słabo, twarz zawężyła się, oczekując wymiotów. Rzuciłem głową, drżąc jak w febrze, nie chciałem na to patrzeć za nic w świecie.

Usłyszałem cichy, błogi jęk po czym gardłowy pomruk i wydychane ciężko powietrze. Byłem na skraju omdlenia.

Jeździłem dłońmi po własnych bicepsach, wyobrażając sobie jak to było, gdy ścisnęła mnie matka. Myślami uciekałem daleko, het, za Choły, za las, do bezpiecznych objęć rodziny.

– No to czego? – warknął zarośnięty ćpun.

Objęcia rodzicielki zmieniły się w brudne wnętrza opustoszałej, wiejskiej izby. Wróciłem myślami do prawdziwego, gorszego świata.

Zebrałem się na odwagę i obróciłem, stale jednak patrząc ponad głowę Waldemara. Zerkalem gdzieś w sufit, w okno, byle nie na stół, na którym leżał słoiczek, strzykawka i kilka rozlanych kropelek cieczy.

– Zapewniam, że jestem ostatnią osobą, która do ciebie przychodzi w sprawie Jadwigi. – skłamałem zapewne, ale trudno. – Więc powiedz mi proszę...

– Nie – mruknął ospale dzikus, ewidentnie zdenerwowany, lecz pograżony przez chwilę w stanie fizjologicznej błogości. – Po prostu wiesz... Idź stąd i...

– Skup się i odpowiedz mi na kilku pytań.

– Nie...

– Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego to zrobiliście.

Czułem jak sama obecność strzykawki sprawiała, że miałem ochotę jak najszybciej zakończyć rozmowę, jednak nie po to się tyle męczyłem w Chołach, by opuścić je bez odpowiedzi.

– Mówiliśmy tyle razy, że dziecko się zaczadziło.

– Jesteś wierzący, Waldemarze?

Gospodarz spojrział na mnie nieobecny wzrokiem, a ja mocno walczyłem ze sobą, by nie spojrzeć na blat stołu. Uchylił lekko usta, ściągnął brwi nie bardzo wiedząc co powiedzieć i na chwilę w jego oczach błysnęła jasność.

– Tak, wierzę w Boga.

– Więc czemu kłamiesz? Kłamiesz o swoim dziecku, to chyba grzech śmiertelny.

– Nic nie kłamię! – zapieklił się, nieudolnie spróbował wstać i znów opadł na krzesło.

Strzykawka podskoczyła i potoczyła się po stole. Przez plecy przebiegł mi zimny dreszcz.

– Ojciec Maurycy wszystko mi powiedział. – Postawiłem na jedną kartę, chcąc przyszpilić Waldemara, póki nie robił się agresywny. – Od ciebie chcę tylko potwierdzenia, dla twojego dobra i tylko dla tego.

Widać było, że się zastanawiał, analizował na tyle na ile był w stanie, choć zapewne tylko łapał pojedyncze wątki, myśli, emocje i słowa. Zdobył się w końcu na odwagę i zaczął mówić:

– Jadwiga myślała, że się uda... – Powoli artykułował słowa, nieufnie, próbując zogniskować wzrok na mojej twarzy, nadal badał grunt. – To ona za tym wszystkim stała, my nie wiedzieliśmy.

– My?

Zawarł usta, machnął ręką obojętnie i niewyraźnym głosem dopowiedział:

– No my, znaczy ja i wszyscy inni. Dopiero jak wstałem, to się dowiedziałem.

– Jak wstałeś?

– Tak.

– Nie obudził cię płacz piekącego się żywcem dziecka?

Na moment zapadła cisza, w której dopiero po chwili zaczęły narastać wdechy i wydechy. Widziałem jak nozdrza mojego rozmówcy unoszą się jak u wściekłego zwierzęcia, oczy nabiegają przysłowiowymi kurwikami, na czoło wystąpił pot, twarz pokraśniała.

– Zadałem ci pytanie, obywatelu. – Zdobyłem się na najtwardszy ton jaki byłem w stanie, wyprostowałem plecy. To była próba sił: nie wiedział, kim jestem, ale warto było zrobić wrażenie osoby, której się nie odmawia.

– Obudził... I wtedy wstałem – zawarczał bardziej niż powiedział.

– I co zrobiłeś?

– Nic.

– Nic? Znaczy, nawet go nie ratowałeś? Nie powstrzymałeś jej?

Waldemar wstał, opierając się ciężko o stół, chwiejąc całym ciałem na boki, ale wstał. Krzesło trzasnęło o podłogę, zaskrzypiały deski, strzykawka zleciała z blatu, a on krzyknął nagle:

– Próbowałem! Ale było za późno!

– Było już martwe, tak?

– Nic złego nie zrobiłem.

– To twoje oficjalne zeznania?

– A ty, kurwa, co, z komendy?!

– Świadkowie twierdzą, że to nie tak było.

Na moment zatrzymał się, zamrugał kilka razy i niemal namacalnie zeszło z niego powietrze. Dostrzegłem w jego oczach niedowierzanie, ustępujące strachowi. Tak jakby widział walącą się w posadach górę, która schodzi na niego lawiną.

– Nie było świadków – szepnął, ale wzrok schodził mu już w bok.

– Byli, oczywiście, że byli. Nie tylko ksiądz Maurycy mi powiedział, ale również...

Zatrzymałem się na moment, zamrugalem, przymknąłem usta i szybko złapałem wiązankę nim ta uciekła.

– Andrzej... – Twarz gospodarza opadła jeszcze dalej, przybita coraz mocniej smutkiem i niedowierzaniem. Jednak dobrze zapamiętałem imię, mało brakowało. – Andrzej, dostawca, on też zeznał mi wszystko.

Celowo powiedziałem „zeznał mi”. Etyka zabraniała mi kłamać, ale zeznał brzmi jakby złożył zeznania, co znaczy, że miałbym być rzeczywiście agentem w cywilu prowadzącym dochodzenie. Wszystko udawane, na granicy prawa, ale nie nielegalne. Przez moment zastanowiłem się, czy to jest to, co chcę robić, ale nie było miejsca na wycofanie.

– Przecież to nie tak było i obaj o tym wiemy. Masz lekki sen, nie prześpisz całej nocy bez chęci zapalenia papierosa, to też wiem.

Wkraczałem na grząski grunt szarlataństwa, schodząc z jasnej ścieżki psychologii. No, niestety, takie rzeczy najlepiej działają. Miałem już szczerze dość chodzenia z kwestionariuszami od drzwi do drzwi.

Spojrzałem na łamiącą się w posadach sylwetkę człowieka, który wlepił przerażony wzrok w blat zalanego narkotykiem stołu. Drżała mu grdyka, bladła brudna twarz, skakały na wszystkie strony wilgotne oczy.

Trzeba było uderzyć.

– Masz ostatnią szansę by mi powiedzieć krok po kroku, co się wydarzyło.

Waldemar lekko pokiwał głową, nie zwlekał już z niewiarą, chciał mi wszystko powiedzieć, MUSIAŁ mi wszystko powiedzieć. Po prostu sama myśl o tym co się stało, była dla niego teraz abstrakcyjna po całym tym czasie odwlekania nieuniknionego.

– Trzymali mnie, kazali się nie ruszać. Ja krzyczałem, szarpałem się, próbowałem ratować dzieciaka. Nie pozwolili mi, mówili, że tak trzeba. Tak wyśpiewał las, wszyscy wiemy, ale to nigdy nie jest łatwe. Pan nie wie jak to jest, nikt nie wie, a ja nie umiem powiedzieć.

– Czemu wszyscy chcieli spalić twojego syna?

– To nie był mój syn – odpowiedział cicho Waldemar, zbijając mnie z pantałyku.

– Mówiłeś, że chciałeś go ocalić, tak?

– Tak, chciałem.

– Bo chciałeś go chronić?

– To nie jest takie proste. Ja naprawdę nie wiem. Tak strasznie się bałem, bo te usta, to czoło, te oczy, proszę pana... Te oczy. On wyglądał jak diabeł, jak potwór, ale jednocześnie. Jednocześnie to było dziecko, nie moje, ale nadal dziecko. Nie wymieniałbym nieswojego dziecka za swoje. Nie wolno zabijać, tak się nie robi.

– Powoli, czyje było to dziecko.

Waldemar uniósł zarośniętą głowę. Spod spoconych włosów mignęły obłąkane oczy, ogniskujące się tylko na mnie. Teraz, w przytłumionym świetle poranka chata nabiegała jaśniejszymi odcieniami, kontrastującymi z ciemnymi zakamarkami jeszcze bardziej. Wszystko wyglądało jak szkic atramentowy po środku którego stały nasze dwie, poszarpane sylwetki.

– Mamuny – szepnął przejmująco i zamilkł od razu.

Zawiał wiatr, zaskrzypiała powała. Waldemar jęknął przejmująco, jakby ktoś mu nanizął głowę na pal, ale zaraz wszystko ucichło, a on tylko szlochał między własnymi ramionami. To był tylko wiatr, musiał być.

– Czym jest mamuna?

– Kim – poprawił mnie gospodarz, rozglądając się dalej na boki, jakby zaraz miała co najmniej wyskoczyć z szafki na prześcieradła. – To las, jak wszystko. Pytasz, jak wygląda? Nie wiemy. Raz była bardziej kobietą, a raz bardziej wroną, żoną Gawrona.

– Nie rozumiem...

– Tego, który przebija dzioby. Tego, o którym śpiewają najstarsze iglaki, sękaty drzewa bez liści i padlinożercy.

– Waldemar, odpowiedz mi na pytanie. – Powstrzymałem się od cofnięcia o krok. Bałem się, że „kompot” który sobie wstrzyknął miał jakieś

działanie psychodeliczne, które teraz przejawiało się w tych bredniach. – Kim jest Mamuna i gdzie mieszka?

Zaśmiał się, jakby usłyszał coś bardzo niedorzecznego. Na moment twarz przybrała miłszy wyraz twarzy, ale niemal płynnie przeszła w strach i oczekiwanie.

– Mamuna mieszka w lesie, jak wszyscy. Nikt nie wie, gdzie, ale na pewno nie tam, gdzie Gawron, już nie. Szukają się, on idzie jej śladem, ona ucieka od niego. Ona podmienia dzieci, by ten nie znalazł jej. Każdy niesie swój krzyż, rozumiesz?

Nie odpowiedziałem nic, bo choćbym powiedział, że nie, to i tak by opowiedział to samo, a ja chciałem konkretnych informacji.

– Na co liczyliście, gdy wkładaliście dziecko do pieca. Czego Jadwiga chciała, kto cię powstrzymał, dlaczego wszystkim tak na tym zależało?!

– Mamuna bardziej, niż o siebie, dba tylko o własne dziecko – powtarzał dalej. – Gdyby usłyszała, że przejrzelśmy jej podstęp, przyszłaby i je zabrała. To w gruncie rzeczy dobra matka, ale na swój sposób. Podrzuciłaby znajdę komu innemu, ale później, dużo później. Może za kilka lat, może za kilkanaście, gdy już kolejni rodzice się pojawiają, co nie znają Mamuny.

Waldemar nachylił się na moment, uśmiechnął z nieomal pewnością siebie wymalowaną na twarzy. Jedyne moment, gdy mówił z przekonaniem i siłą o tej całej Mamunie.

– Jednego nam nie zabiorą, pieśni. One zostaną z nami. Mnie już nie będzie, ciebie nie będzie, pieśni Chołów pozostaną. Będą nas chronić przed wszystkim, będą naszym językiem lasu.

– Więc... Czemu się nie udało? Co poszło nie tak?

Gospodarz zasępił się na moment, pokiwał w zamyśleniu głową. Sam też nie wiedział.

– Las to nie maszyna. To nie czajnik, że napełnisz wodą, podpalisz i zagwiżdże. Las ma swoje zasady, ale od nich też są odstępstwa. Może ktoś złapał Mamunę? Może była wtedy daleko, może nie zdążyła dolecieć. Gdy już zrozumieliśmy co się stało, Jadwigę trzeba było trzymać, już nie mnie. To co widziałem na jej twarzy, gdy zrozumiała, czego się dopuściła...

– Co na to sołtys?

Liczyłem, że zyskam trochę na czasie, by ułożyć sobie ten chaos w głowie. Zamiast tego przypadkiem trafiłem w żyłę, nie złotą, a bardziej zaropiałą, zatkaną żyłę, która do tej pory nie dawała mi spokoju przy każdym uderzeniu serca.

– To co zawsze, las zadecydował.

Wszystko stało się jasne. Byłem tak ślepy, że nie dostrzegłem tego co było przy samej powierzchni. Tu nie chodziło o jakiś bimber w piwnicy, przewały urzędowe, czy nawet zatajenie morderstwa. Tu chodziło o to, że sam sołtys był odpowiedzialny za śmierć dziecka. To sołtys napędzał tę całą maszynę szaleństwa. Te wszystkie gusła, durne obrzędy. Mówienie za każdym razem, bym się nie oddalał, bym nie odkrył śladów jego działalności.

Na moment poczułem jak szybciej bije mi serce. Przestała mnie boleć noga, nabrałem powietrza pełną piersią, razem z wilgocią chaty i swędem spoconego ciała. To mogło być coś o wiele więcej, niż badanie jakiejś tam wioski. Mogłem być bohaterem narodowym! Odkryłem cały zbrodniczy proceder, to coś więcej niż po prostu jakieś bajki i wierzenia, to zbrodnia!

– Co będzie z Jadzią?

Na moment otrzeźwiałem z ekscytacji. Jakiej zbrodni, do jasnej cholery?! Przecież stąd trzeba uciekać jak najszybciej!

– Jadzią? – odpowiedziałem jak echo i rozłożyłem ręce, próbując zebrać myśli. – Zobaczymy, na pewno nie masz już na to wpływu. Pytanie

powinno brzmieć: co z dzieckiem? Mam na myśli twojego syna, skoro Mamuna, czy jak to tam powiedziałaś, jest prawdziwa, to nadal powinna go mieć, prawda? Czemu go nie poszukasz?

– Jak to tak, poszukać? Gdzie?!

– Nie wiem, chociażby w lesie – rzuciłem od niechcienia, myśląc, czy najpierw donieść milicji, czy wpierw uciec ze wsi. – Idź do lasu i go poszukaj, to raczej nie może być trudne.

– Do lasu się nie chodzi – powiedział głucho Waldemar, jakby to zdanie w życiu wymawiał już setki razy.

– Sam mówiłeś, że są wyjątki od reguły? Może to jeden z nich? Ta wasza Mamuna nie przyszła, to może wy powinniście?

Waldemar zasępił się na moment, chyba poważnie zaczął się zastanawiać nad moimi słowami. Jednak nie miałem już dla niego więcej czasu, wszystko się ułożyło, jak należy, został ostatni krok.

Wyciągnąłem spod płaszcza pomietą kartkę, nie wziąłem ze sobą torby i wraz z długopisem podałem gospodarzowi.

– Podpisz.

Ten zrobił to odruchowo, nawet nie czytając treści kwestionariusza in blanco. Takie czasy.



Jeszcze tego samego wieczora siedziałem w „swoim” domu, popijając gorącą herbatę i wypełniając kartkę najbardziej poręcznymi dla mnie zeznaniami.

Ziewnąłem od niechcienia, zakręciłem ramionami, coś strzeliło mi w obojczyku i zrozumiałem: na dziś koniec.

Jak człowiek siedzi tyle lat w papierologii, to zachowuje się podobnie do sportowca. Ma drugą osobowość, przeznaczoną do pracy, a z tą osobowością idzie też drugi organizm i jego zasób energii. Oddzielna siła przeznaczona tylko do tego konkretnego zajęcia, która to siła właśnie mi się wyczerpała.

Przekręciłem się na krześle na bok; niezdrowo dla pleców, ale trudno. Przez moment obserwowałem, jak nitka pajęczyny łopocze na wietrze, świszczącym przez szczeliny chałupy. Na końcu nitki dyndał nieduży nasosznik, pospolicie nazywany po prostu pajakiem, bo i do pajaka rażąco podobny. To, że coś wygląda jak pajak nie znaczy, że nim jest.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli; ot, ułożyło mi się niesamowite przesłanie rodem z cygańskiej wróżby.

I nagle słowa uwięzły mi w gardle, kilka sylab zakotłowało się na końcu języka, wystającego przez otwarte szeroko usta. Zdałem sobie sprawę, że był jeden, drobny, niepozorny element układanki, którego nie sprawdziłem.

Wstałem raptownie, sięgnąłem do kieszeni płaszcza. Zaszamotałem się, na moment serce mi stanęło. Czyżby dziennik z piwnicy też mi się tylko przyśnił? Ktoś go zabrał?

Nie, był po prostu w drugiej kieszeni.

Zaśmiałem się sam do siebie, odetchnąłem bardzo, ale to bardzo głęboko i uspokoiłem myśli. Naprawdę robiło mi się już nieswojo od tego wszystkiego, paranoja goniła paranoję, a przecież wszystko miało logiczne wyjaśnienie.

Bez specjalnego pietyzmu rzuciłem dziennik na stół, wręcz nonszalanckim ruchem, jak obrażony arystokrata. Tak bardzo się czułem osamotniony, że szukałem jakiegokolwiek sposobu kompensacji. A co jest lepsze,

niż wmówienie sobie, że jestem samotny, bo jestem lepszy od tych tam szaraczków w dole, co pędzą bimber po piwnicach i piszą pijackie dzienniki?

Zielona wstążka wypadła ze środka; nieszczerólnie mnie interesowało co oznaczała, pewnie nic. Zajrzałem mimo to, przyświecając sobie podsufitową jarzeniówką bez klosza.

Czytałem kolejno, od pierwszej strony, dla własnej rozrywki i relaksu.

Początek stanowił coś w rodzaju oddzielnego chronologicznie centrum zapisków, gdzie najstarsze wpisy datowane były na kilkadziesiąt lat wstecz, a najnowsze były współczesne.

~~20 od Więka~~ oddane

~~20 od Więka~~ oddane

20 od Więka

~~20 od Zdzicha~~ oddane

~~20 od Zdzicha~~ oddane

20 od Zdzicha

Przymknąłem oczy, nie mogłem czytać dalej ze śmiechu. To było tak absurdalne, zaś samo wczytywanie się w czyjeś życie było takie uroczo wścibskie.

I wtedy sobie przypomniałem, że autor dziennika nie żyje, a ja robię to po prostu w jego domu, gdzie przez całe życie mieszkał.

Humor mi opadł i przekartkowałem kilka lat dalej: początek wojny.

Zauataćstrzę u Miedziakuw.

Wspulna modlitwa o 20

Procesja o 22

Rano wstawić malwę do kadzielnicy.

Załatfićbenben i sześć metrów kwadratowych blachy do dyspenzera.

Jarek, Zdzych i Piotrek, pierwsza kwarta pod jabłonkami, zabrać dwa pojemniki na Posocznice i pszynętę dla Pyszczków.

Robiło mi się nieswojo od czytania dziennika. Zaczęło się niewinnie, normalnie. Potem wojna, niemalże setka piosenek, poezji śpiewanej, przysłów ludowych i cholera wie czego jeszcze.

– Poeta się znalazł – burknąłem do siebie, ni stąd, ni zowąd.

Ułożone według jakiejś bardzo specyficznej kolejności zajmowały dziesiątki stron. Część tekstów była podkreślona, obok znajdowały się dopiski, pytańniki, interpretacje, mało co skreślone. Po czasie doszło do mnie, że sam nie pisał tych wszystkich piosenek. On je spisywał.

Lewa ręka brzoza dzika, prawa ręka lyko chwyta.

Lewa ręka idziesz sam, prawa ręka wracaj tam.

Lewa ręka mech pod palcem, prawa ręka kręci walce.

Potem naprawdę było coraz dziwniej, chaotyczniej. Nie jestem grafologiem, ale coraz mniej zadbana forma, gryzmoły, często nieczytelne. Nie-wytlumaczalne zdania, wręcz absurdalne opowieści, jak ta, już po wojnie:

25 września, pełnia. Kukła ze snopków, szkielet z żerdzi na papugę od Powrońskiego, oddać z pięcioma ciećkami. Pilnować, żeby ten czort Furtmańskiej nie gwizdnął motyki. Ustawić obok kukły ojca Maurycego, strzeżonego Pan Bóg strzerze. Ten diabeł Poliński znowu się miga od roboty, sprawdzić wieczorem czy nie krenci się po polu.

26 września, dzień po pełni. Dwóch w Cichych albo martwych. Młody Furtmański na dupie nie usiedzi tydzień, chciał podpalić całą szopkę, ja bym

mu połamał ręce, zresztą wszyscy tak myślą tylko nie Ojciec i sama Furmańska, ale biesy wiedzą w jakie łapki ona gra. Poliński przyszedł do mnie puźnym wieczorem, gdy już na nas szło. Ublagał, byłem na to gotowy, za pięćdziesiąt litrów samogonu i trzy kopy jajek odstąpiłem mu chochoła. Jeszcze mnie po rękach całował, dóreń. W tym miesiącu przyszło szybciej, na razie zostawiamy aktorów, tak jak stary Matysiak powiedział.

27 września, Gopulska kazała kilka lepszych zostawić na za rok, reszta poszła na wieszanki. W tym roku chochoł pasikur nie zadziałał, miała racje jak ze wszystkim. Węgłem w kominie idzie zapisać mądrości tego lenia Szewczuka, niech mu las spokojnym będzie.

Przeczytałem wpis drugi raz, trzeci. Popatrzyłem na tydzień wstecz i wprzód, i nie miało to sensu, jakby nie próbować. Podobne wpisy były na większość pełni, choć nie każdą. Im dalej tym mniej. Gospodarz musiał zapisywać jakieś wydarzenie co miesiąc; coś się działo, ludzi wypisywano z rejestru, znikali, może rzeczywiście ginęli, ale przez co?

Natomiast w przeciwnych momentach miesiąca, gdy księżyc był w nowiu, w sierpnie zanikającym lub pierwszej kwarcie, było inaczej. Wtedy były jakieś spotkania, jakieś wyprawy, dziwne przedmioty i bardzo, ale to bardzo dużo obco brzmiących nazw. Może to ta słynna, wschodnia gwara?

Zmartwiłem się na moment, to strach przed nieznanym. Do najbliższej pełni zostało bagatela półtora tygodnia, ale to przecież... Znaczy... Co z tego? Co niby miało się stać? Co ja, pełni nie widziałem w życiu? W wilkołaki wierzą czy inne zachodnie głupoty?

Potem tempo dziennika się zmieniło, powstały luki mniej więcej w czterdziestym ósmym roku. Jakkolwiek dziwnie to nie zabrzmie, wyjaśnienie znajduje się w samej książce i jest przerażająco lakoniczne.

Marysia wyszła w nocy.

I tyle. Dopiero dalej można wywnioskować z tego, jak najpierw próbował sprostać nowym obowiązkom domowym, poddał się, próbował znowu i przestał nawet o nich pisać, a pewne rzeczy same poszły w stan zapadłości. Jego żona musiała najwyraźniej umrzeć, natomiast określenie „wyszła” jest... Dziwne. To tak, jakby podał przyczynę zgonu, ale ja jej nie rozumiem. Zaginęła w nocy, czy może wyszła i nie wróciła?

Dalej widać powtórzenia z piosenek z samego początku, ale krótsze, zdawkowe, niemalże jak dla kogoś, kto nie jest w stanie zbyt dużo zapamiętać:

Palić kwiatami w kadzielnicy raz na tydzień. Trzymać ciećki blisko, trzymać ciećki blisko, TRZYMAĆ CIEĆKI BLISKO! Zaznaczyć w kalendarzu pełnie, zabić szczelniej płot, iść przynajmniej na jedną mszę w tygodniu.

To tak, jakby spisywał sobie nawet nie plan dnia, a coś w rodzaju instrukcji życia. Jakby wiedział, że każdego dnia będzie się tylko degradował umysłowo i nie będzie miał nikogo, kto by się nim zajął.

Odłożyłem książeczkę na bok.

Przecież nic go nie zabiło, prawda? Nic z „tych rzeczy” o których pisał. Żadne pełnie, żaden brak malwy w kaganku czy czegośkolwiek. Ot, po prostu nadział się na coś ostrego po pijaku. Przynajmniej tak mi powiedziano, mogli skłamać. Jeśli skłamali, to po co? Za co mieliby go zabić? Za zdradzenie prawdy o sołtysie? A kto by się przejmował starym pijakiem?!

Chyba że chodzi o coś ważniejszego. Coś tak ważnego, że zależał od tego los wszystkich. Dlatego nawet najmniejsza szansa na to, że ktoś z ze-

wnątrz miałby się dowiedzieć, sprowadziła na niego niesławę wśród wioskowych.

Z każdą chwilą coraz bardziej nieswojo czułem się w mieszkaniu po nieboszczyku. Przemyłem twarz w miednicy, spojrzałem we własne, prześwitujące odbicie w wodzie i stwierdziłem, że źle na mnie wpływa to miejsce, ci ludzie, cała ta niewypowiedziana, niejasna groźba.

Czułem się jak w obcym kraju, jakbym w każdej chwili mógł urazić obyczaje miejscowych nie wiedząc czym i musiałbym odpowiadać zgodnie z lokalnymi, nieznanymi mi zasadami.

Moje rozmyślenia przerwał jednak hurgot setek butów, drepczących w miejscu, biegających nieskładnie i przestępujących na siebie nawzajem.

Gdy wyjrzałem przez drzwi, ukazało mi się kilkanaście twarzy, oświetlanych przez przypięte do kurtek latareczki. Na przedzie zbieraniny stał jeden z chłopów znanych mi z twarzy, taki co to zawsze kręcił się blisko sołtysa. Gdzieś dalej stała druga grupa, jeszcze liczniejsza, a zaraz obok niej następna. Zdawało się, jakby wszyscy mieszkańcy zebrali się na skraju wioski, co wypadło przed moją chatą.

Zabiją mnie, pomyślałem, padnę ofiarą pogromu albo Bóg raczy wiedzieć czego!

Czyli miałem rację, ale zbyt późno się tego domyśliłem, co za paskudne zrządzienie losu.

Zebrałem się na odwagę, wypilem do końca herbatę, myśląc szczerze, że mogła być moją ostatnią w życiu. Otworzyłem drzwi z impetem, ściskając w dłoniach pogrzebacz do węgla, który zabrałem z komórki po utracie poprzedniego.

– Hej ty! – podniosłem głos do najbliższego z mężczyzn, który popijał jakieś tanie wino, opierając się o płot „mojej” posesji. – Co tu się dzieje, co to za zebranie?

Świńskie oczka zwróciły się ku mnie, błysnęły na chwilę zdziwieniem, ale zaraz człowiek obojętnym tonem odparł coś, co zdawało się być oczywiste dla wszystkich obecnych:

– Waldek zniknął, poszedł do lasu.



– Dawno trzeba było to zburzyć – krzyknął ojciec Maurycy, wskazując przed siebie.

Tuż pod lasem znajdowały się dwie kapliczki, absolutnie od siebie odmienne. Pierwszą z nich była zarośnięta dziką różą od stóp do głów figura Matki Boskiej, znajdująca się u szczytu niewielkiej gablotki ze zniczem. Napis na wewnętrznej tabliczce był jedną z tych modlitw, co to tylko najbardziej zapalone dewotki wiedzą, że w ogóle istnieją a zapewne jedynie duchowni znają słowa.

Ciekawsza była jednak ta naprzeciwno Maryi. Na piedestale z traktowego koła o średnicy równej wzrostowi dorosłego człowieka stała wielka, szklana gablota. Nie taka, jak pod Matką Boską, stylizowana, sensowna, chroniąca znicz i drobne wota od wiatru i zwierząt. Gablota zrobiona ze zdemontowanej kabiny ciągnika. Wewnątrz było coś, co zakrawało na parodię rodem z zakamarków antyklerykalnych czeluści poczucia humoru.

Rzeźba z utwardzonej gliny i błota, obudowana dookoła rdzenia ze spróchniałej kłody.

Pojedyncze oko dziupli zdawało się świdrować każdy nasz ruch. Ktoś nawet wstawił do środka czerwoną szybkę, potęgującą to dziwaczne wrażenie. Dookoła zwisały uschnięte wiązanki kwiatów, papierowe ozdoby i wianki z polnej koniczyny. Niepokojące było to, że u stóp drewnianego po-

sągu leżało kilka drobnych świecidełek. Zaśniedziałe metale odbijały światło lamp i latarek, szczerząc się wiekowymi szczerbami.

Ktoś składał ofiary lub coś w rodzaju danin zarówno dla Matki Boskiej jak i tego... czegoś.

Wszyscy byli wyraźnie przeciwni, bym z nimi szedł, jednak nie mieli żadnych argumentów, by mnie przekonać. Po pierwsze: potrzebowali jak najwięcej ludzi zdolnych iść w nocy o własnych siłach, by odnaleźć zaginionego Waldka. Po drugie śpieszyli się: jak sami mówili, tylko dziś mieli okazję go odnaleźć, cokolwiek to znaczyło. Po trzecie i dla mnie najważniejsze: gdyby go znaleźli, a on zdążył nawciskać im, że to ja go wysłałem do lasu, to...

Co za absurd. Dorosły facet poszedł nazbierać grzybów, czy po prostu romantycznie nawalić się w jakimś zagajniku i już trzeba wszystkich zrywać, bo, olaboga, jeszcze się zgubi.

Zebrało się dobre dziewięćdziesiąt osób, kobiet i mężczyzn. Wszyscy z latarkami, lampami, widziałem nawet parę ogników pochodni i wiązanek światełek odblaskowych. To było jednak nic, niemal wszyscy mieli kosy, widły, cepy – swoją drogą, nie wiedziałem, że ktokolwiek jeszcze ich używa w tych czasach – i mnóstwo innego żelastwa, z którego najbardziej przerażały mnie nieużywane, pordzewiałe sierpy.

Kilku mężczyzn miało broń. Głównie jakieś zabytki z czasów wojny, które skrzętnie ukrywali zapewne na poddaszach, strychach i w komórkach. Na początku to tylko pogłębiło moje podejrzenie, że z jakiegoś powodu chcą mnie zabić, ale to była tylko moja paranoja. Leśniczy – Franek z imienia, jak pamiętam – wyjaśnił, że jest sezon niebezpieczny i zwierzęta się zrobiły bardzo terytorialne.

Oczywiście wieść o mojej nocnej eskapadzie zdążyła obieć wioskę. Więc ludzie tylko popatrzyli na moją rozharataną nogę, na którą nadal uty-

kałem, pokiwali głowami rozumnie i przyznali rację sędziwemu myśliwemu.

Swoją drogą, leśniczy był zdecydowanie pod wpływem jakiegoś wyskokowego specyfiku. Nie sprawiał w ogóle wrażenia osoby pewnej siebie, był przerażony i trząsł się nawet nie z zimna. Ba, ludzie w ogóle byli złęknieni, garnęli się do siebie i reagowali przesadnie na każdy cień i szelest, ale sam Franek to już był dosłownie strzępem człowieka.

Tak oto znalazłem się w ekipie poszukiwawczej z moją lampą gazową – którą któryś z chłopów zabrał wczorajszego dnia spod ściany lasu wraz ze mną – oraz nowym pogrzebaczem.

I to wszystko było kompletnie nie na miejscu. Nie wiedziałem już kto co wie, komu mogę ufać, czy to ja popadałem w stany lękowe, czy naprawdę byłem w niebezpieczeństwie. Nie wiedziałem, czy to co wczoraj widziałem... Cokolwiek to było; jakoś nie wierzyłem, by to był niedźwiedź.

Wzdrygnąłem się na samą myśl; dałbym sobie wszystkie palce uciąć, że widziałem rogi i... I chyba dłonie, ludzkie. Tylko to wszystko nie miało sensu; ani nie miałem na nic dowodów, ani nikt nie chciał ze mną o tym rozmawiać, ani w nikim nie miałem oparcia.

– Wszystko w porządku? – Lusia miękko przylgnęła do mnie i położyła dłoń na ramieniu. – Słyszałam, co się stało.

No, prawie w nikim.

– Tak, twój ojciec dał mi już reprimendę, a teraz popatrz, sam ciągnie mnie do tego lasu.

Łucja uśmiechnęła się, ale jakoś smutno. Poglądziła mnie chwilą po bicepsie, zjechała niżej, ścisnęła za łokieć i pociągnęła do siebie. Jej twarz przybrała nijaki wyraz, jakby myślami była bardzo odległa.

– Będziesz się oddalał – stwierdziła, chociaż miało to być pewnie pytanie.

– Nie mam powodu...

– Będiesz?

– A nie chcesz?

– Bardzo. – Na moment miała determinację i niemalże błagalną prośbę w oczach.

– To nie będę – odpowiedziałem szczerze.

Łucja uśmiechnęła się już pogodniej, odetchnęła, ale bez szczególnej ulgi i skierowała światło latarki na „drzewną” kapliczkę, szepcząc do mnie jednocześnie.

– To Gopulska; znaczy jej robota, a nie, że to ona. Zrobiła figurę do ogródka chyba, ale jej ciągle indor strącał, taki stary, wredne bydle, już nie żyje. No, ale zadecydowała, że nie ma gdzie trzymać tej rzeźby, także zgodziliśmy się jej zrobić przyjemność i postaviliśmy tutaj. Potem ludziom się spodobało, zaczęli sami się bawić w znoszenie różnych rzeczy; sprawy wymknęły się nieco spod kontroli, bo ojciec Maurycy twierdził, że to bluźnierstwo.

– I chyba miał rację. – Łypnąłem wzrokiem na kanoniczną figurę, konkretniej na oczy Matki Boskiej, która miała mongolski wyraz przyglut-piego cielaka, znak niewprawnej ręki artysty.

– Tak, poniekąd. Rzeźby było szkoda, no wiesz, nikt się do niej nie modlił przecież, po prostu taka... zabawa. Taki jakby symbol wioski, wspominka na przyszłość: jak już Gopulskiej nie będzie, to po niej coś zostanie. Traktor nowy Więcek miał, bo mu ojciec zmarł i przejął po nim gospodarstwo za Warszawą i... Zanudzam cię?

Nikt się nie ruszał. Ludzie stanęli przed wejściem do lasu, jeżdżąc tylko latarkami po grubych pniach dębów, wyniosłych świerkach, rozłożystych platanach i całej reszcie tej urzekająco kolorowej czeredy gigantów. Z drzewa zeskoczyła jakaś plama: zwykły ptak spłoszony światłem, poszy-

bował w dół i zniknął w chaszczech. Mimo to ludzie zareagowali jakby co najmniej miał wybuchnąć przy zetknięciu z ziemią.

– Nie, po prostu wchodzimy, chyba.

– Do lasu? No tak, skoro mamy go tam szukać, to chyba musimy.

– Wiem, ale coś jest nie tak. Po prostu mam takie uczucie jakbym, no nie wiem. Jakbym miał coś jeszcze zrobić i chyba inni też, bo patrz, jak stoją.

– Chcesz uklęknąć i się przeżegnać?

– Bardzo zabawne. – Przywołałem na twarz udawany uśmiech, bo miała rację.

Naprawdę myślałem przez moment, że ludzie po prostu padną na kolana i zaczną się cofać jak goniec po dostarczeniu wieści przed oblicze króla. Albo nie, gorzej, mogliby jeszcze pełznąć w kierunku lasu, tam w ciemność, do atramentowej czeluści liści, gałęzi, pni, szorując twarzą po dywanie z mchu, pielgrzymując do wiekowego matecznika, by usnąć w korzeniach natury we własnej osobie.

Otrząsnąłem się, chyba minęło kilkanaście dobrych minut, bo sołtys kończył przemawiać, a ludzie rozciągnęli się tyralierą, długą na dobry kilometr. Ktoś postąpił niepewnie do przodu, ciągnąc za sobą pozostałych. Padł pierwszy, niepewny okrzyk:

– Waldemar?! Waldek chodź!

Ludzie spoglądali co chwila na siebie, szli na tyle blisko, by do każdego można było dobiec w kilka, kilkanaście sekund. Pokrzykiwali na różne sposoby, głównie imię zaginionego. Światło tańczyło wzdłuż szpaleru ludzkich sylwetek, upewniając się, że nikt zaraz sam nie zaginie.

Lusia pociągnęła mnie za ramię, by dodać otuchy. Sama miała tylko latarkę na baterie w jednej dłoni; ja zastanawiałem się, na cholerę mi ten pogrzebacz.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała poważnym tonem. – Załóż to, proszę.

Poświeciłem przed sobą: dziewczyna miała w dłoniach długą, niebieską nitkę, na którą nawleczono około dziesięciu ziarenek ciecierzycy oraz kilka płatków nieznanych mi kwiatów. Przyjąłem dziwny prezent i nałożyłem na siebie, nie skrywając przy tym irytacji.

– I pewnie nie odpowiesz mi, dlaczego to nosicie, a zarazem jakoś nikt nie chciał mi w ankiecie odpowiedzieć na żadne pytanie – niemalże już warknąłem ze zmęczenia.

– Nie podnoś na mnie głosu, gdy robię ci prezent.

– Dziękuję za prezent; a teraz powiedz, co to jest?

– Naszyjnik – rzuciła krótko i już byłem pewien, że nie odpowie mi na pytanie.

– Dlaczego tyle tego tutaj i po co to nosicie? Odganiacie jakieś złe duchy?

Łucja fuknęła niezadowolona, odgarnęła grzywkę płowych włosów z czoła i z pewnym znużeniem w oczach powiedziała:

– Zapewniam cię Jurek, że nie odstrasza to żadnych demonów, duchów czy zjaw. Nie jest to żaden wisiorek zdrowotny ani nic z tych rzeczy. Po prostu mamy swoje tradycje, jak każdy. Po pierwsze jest to ładne, a po drugie nawet w stolicy chyba na nowy rok łuskę karpia się wkłada do portfela.

– To nie to samo! – odpowiedziałem zezłoszczony i przypomniałem sobie jak siostra cioteczna wpychała mi całą garść tych łusek, tak jakbym miał się od tego stać milionerem. – Powiedz mi tylko jedno, dlaczego dajesz mi to teraz, gdy wchodzimy do lasu?

– Bo zaczęłam go dla ciebie robić dopiero jak się dowiedziałam o twoim wypadku, a od tamtej pory się nie widzieliśmy.

Zmiliłem w ustach przekleństwo. Komu jak komu, ale Lusi ufałem, była najnormalniejsza, najbardziej chętna do pomocy i... No po prostu robiła dobre wrażenie, to mi wystarczyło.

Dołączyłem do pokrzykiwania, przestępując nad linią rowu, przez który mozolnie przepływał mizerny strumyk.

Świat zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Dywan świeżych liści i mchu zdawał się wręcz pulsować w oczach, podrygując za każdym razem, gdy z ciemności wykroił go blask lampy. Powietrze było rześkie, zimne, a zarazem przesiąknięte ciężką wonią zgniłej biomasy i grzybów. Wydawało mi się, jakbym w jednej chwili mógł wznieść się w powietrze z tej lekkości, a po chwili ściągał mnie i przygniatał do ziemi gęstniejący w powietrzu tuman pyłków.

Kilka dorodnych grabów zdawało mi się teraz być kolosami o dziesiątkach ramion. Już z daleka były wielkie, owszem, ale teraz były zwyczajnie nienaturalnie olbrzymie. Próbowałem ocenić na oko, ile mogły mieć lat, ale żadne z drzew nie było ścięte, a technikę liczenia słoików znałem jedynie z historyjek.

Może ten las był tu od zawsze, przeszło mi przez myśl, jak puszcza Białowieska: nietknięta, nieskazitelna. Taki kompletny przypadek na mapie kraju, gdzie nikt nie zapuszczał się do boru, nawet lokalni chcący nazbierać drewna.

Pod butem strzeliła mi gałązka, Łucja obejrzała się na mnie ze strachem; myślała, że nie zauważę, jak nagle zmienia wyraz twarzy na pozornie obojętny. Szła ostrożnie, w ciszy, nie licząc nawoływań do zaginionego.

Próbowałem sobie przypomnieć coś, co już wcześniej nie dawało mi spokoju; myśl odbierająca spokój, coś co już na pewno zauważyłem. Niemalże fizycznie czułem ucisk głowy, gdy za wszelką cenę chwytałem ulotną

myśl, nim ta odleci za daleko. Na co takiego jeszcze zwróciłem uwagę, co było nie tak?

Ciecioraka, piosenki, Mamuna, zaginięcia, dalej, dalej...

Drewutnia.

Zamrugalem jakby wreszcie zadanie matematyczne dobiegło końca. Miałem niemalże namacalnie przed oczami wynik myśli z ostatnich dni. Element otoczenia, a raczej jego brak, coś, co nie pasowało do mozaiki.

Nie było drewutni, nigdzie. Nikt nie rąbał drewna, jeśli już było to zawsze gotowe, żadnego chrustu nawet. Drzewa, wszystkie pobielone od robactwa, zagracające posesje, przeszkadzające na działkach, ale niewycięte. Brak pniaków, zardzewiałe siekiery w szopie starego Romka.

Ci ludzie za nic nie chcieli... uszkodzić lasu? Naprawdę, tylko o to chodziło? Aż o to? To przecież były tylko wymówki, chcieli mnie wystraszyć albo cokolwiek. Jednak nie, oni NAPRAWDĘ nie robili tych wszystkich rzeczy, a nie tylko udawali. NAPRAWDĘ nie chodzili do lasu, nawet teraz zebrali się w takim przerażeniu, ledwie drepcząc na odrobinę w głąb, trzymając się blisko siebie, biorąc ze sobą broń, mając ciągle za plecami ścieżkę do domu.

Wciągnąłem głęboko powietrze, przytrzymałem i wypuściłem z ledwie widoczną chmurką pary.

Nigdy nie wierzyłem w jakiekolwiek rzeczy nadprzyrodzone.

I nadal nie miałem zamiaru. Niech robią co chcą, czucie i wiara nie mówi do mnie silniej niż mędrca szkiełko i oko. Pieprzeni romantycy, siłą oderwani od chomąta. Odnajdę tego ćpuna, przywlokę do wsi, sam wypełnię wszystkie dokumenty i jeszcze jutro będę w drodze do Warszawy. Tam zaszyję się na kilka tygodni, poudaję, że ciągle jestem w Chołach i wyskoczę od razu z gotowym raportem.

Krzyk, z daleka, z przodu.

Oczy skupiły się w jednym punkcie i wyłowiły dokładnie ciepły, równy płomyk w oddali. Tam, za kilkoma brzożami, chyba w jakiejś przecince albo w jarze, coś musiało być.

Obejrzałem się na szpaler poszukiwaczy, dalej mozolnie przesadzający krok za krokiem w miękkie kępy mchu za śliskimi kłodami. Nie usłyszeli, czy może nie chcieli tam pójść? W ten sposób nigdy nic nie osiągną.

Puściłem się biegiem, wyprzedzając Łucję:

– Chyba go widzę!

Oczywiście krzyczała coś za mną, ale niczego innego się nie spodziewałem. Urokliwa, miła, ale nadal prosta wieśniaczka. Co tym razem mogła powiedzieć? Że diabeł mnie napadnie, czy że podepczę świętą pa-proć?

Szelest gniecionych liści pod moim butem uświadomił mnie: właśnie jedną zgmiotłem. Przeskoczyłem nad niedużym wykrotem, przysypanym rudą ziemią. Lampa chybotwała się na boki, pogrzebacz nieprzyjemnie ciążył w dłoni, spowalniając jedynie. Co chwila umykałem spotkaniom z szerokimi pniami drzew. Szare, brązowe, niemalże czarne, a czasem wręcz całkowicie białe kolumny migały mi przed oczami w mroku, gdy wymijałem kolejne z niezliczonych gatunków w lesie.

Krzyk był coraz bliżej, wyraźny, męski, pojedynczy.

W końcu dostrzegłem mocne, ciepłe źródła światła bijące z szerokiego na kilkadziesiąt metrów wgłębienia, otoczonego jarzębinami i brzożami. Wbiegłem pod pulchnymi, czerwonymi owocami wprost w pustkę. Nogi zabuksowały bezradnie w powietrzu, szukając punktu zaczepienia. Świat poleciał w górę, a ja w dół.

Przejechałem się plecami po wystających z boku dolinki korzeniach i piachu, zjeżdżając pod same nogi kogoś stojącego z lampą.

– Chryste, moja noga. Czemu nie odpowiedziałeś?! – syknąłem do Waldka, bardziej ze złości na świeżą ranę niż na niego.

Ten jednak nie odpowiedział. Stał tak nade mną w brązowym, długim płaszczu, trzymając w dłoni dającą mocnym blaskiem lampę.

Zatrzymałem się, w połowie wstając z kolan. Przed moimi oczami przesuwały się i niknęły dziesiątki szwów, trzymający w kupie masę skór, wyprawionych futrem do zewnątrz. Tuż obok Waldka stała kolejna osoba, ubrana identycznie, dalej kolejna, następna, wszyscy mieli ze sobą lampki, to stąd tak mocny blask.

Myślałem powoli, świat się dla mnie zatrzymał, organizm siłą wstrzymywał mnie przed zrozumieniem faktu, że właśnie wylądowałem u stop gromady obcych mi ludzi.

– Zaraz, moment – zająknąłem się, wyciągając przed siebie pogrzebacz.

Szpikulec narzędzia o mało nie dźgnął obcego przede mną w twarz. Odskokczyłem w tył z przerażeniem, gdy zrozumiałem, że widzę czaszkę jelenia. Pokryta malunkami z ochry, obwieszona paciorkami, z wrytymi w kości symbolami. Za oczodołem jelenia błyszczało intensywnie zielono oko, ewidentnie ludzkie, a przynajmniej rozumne.

W osłupieniu spojrzałem na boki, było ich kilkunastu, wszyscy mieli płonące żagwie, a nie żadne lampki. Kilku trzymało płomyczki w kościanych skorupach, wydrenowanych czaszkach zwierząt. Wysocy na najmniej dwa metry każdy, przeraźliwie wąscy ciałem pod tą masą skór i futer, absolutnie cisi.

– Nie! – dobiegł mnie stłumiony krzyk.

Dopiero wtedy dostrzegłem, jak kilka z postaci trzyma kogoś przy ziemi i wkłada mu w usta knebel, napycha do uszu...Wosku? Mchu? Brązowo-pomarańczowej brei, lepiącej się do twarzy leżącego Waldka.

Ten ewidentnie szarpał się, próbował uwolnić, gdy ci naciągali mu na oczy kawałek grubej, brudnej szmaty.

Bez namysłu zamachnąłem się pogrzebaczem. Usłyszałem trzask, kościana maska przede mną odprysnęła się fragmentami na boki. Człowiek... czy może istota zachwiała się i opadła na bok, odsłaniając nagie, niemalże czarne łydki i stopy z łapcami z łyka.

– Bydlaki! – wydarłem się pierwszym, co mi przyszło przez głowę.

Wystawiłem jedną rękę przed siebie, zamarkowałem zamachnięcie i po raz drugi uderzyłem w leżącego rogacza. Pogrzebacz łupnął tępą stroną w ramię, usłyszałem ciche pęknięcie, może skruszyłem mu obojczyk.

Odsunęli się ode mnie, kilku odciągało towarzysza do tyłu. Dziwne, mogliby mnie pewnie z łatwością powalić jak i Waldka, gdyby tylko...

Coś uderzyło mnie mocno nad piętą. Nogi poszybowały w górę a po chwili ziemia upomniała się o swoje, grzmotnąłem plecami w piach. Ktoś rzucił się na mnie od tyłu, wyciągając pazurzaste dłonie do gardła.

Chciałem krzyczeć, rwać się, lecz zrazu zamarłem w bezruchu, gdy dojrzałem twarz Łucji. Miała przerażenie w oczach, nie gniew, nie determinację, ale autentyczne przerażenie. Miękkie dłonie zacisnęły mi się na zmianę na ustach, uszach i oczach po chwili przygniotła mnie całym ciężarem, jakby chciała mnie zasłonić od świata.

Wtedy rozległ się dziki ryk, wstrząsający koronami drzew, gdzieś w głębi lasu.

– Cii, błagam, na miłość boską, błagam – szeptała Łucja, zniżając głos to cichego jęku, który w końcu też uwiązł jej w gardle.

Położyła mi moje własne dłonie na uszach, sama wtuliła głowę w ramiona. Kątem oka dostrzegłem, że rogate postacie zastygły w bezruchu jak posągi.

Łucja wykręciła mi głowę w przeciwny bok, w kierunku wioski, z dala od źródła dźwięku. Widziałem tylko morze liści nad naszymi głowami z pojedynczą wysepką gwiaździstego nieba.

Dwa drzewa obok nas wygięły się jakby zaraz miały się zawalić. Gałęzie zawadziły ciężko o następne, przekazując ciężar, który na nie narzucono. Coś zdawało się być tuż na granicy widzenia, wystawało ledwie ciemnym obrysem pod szczytami drzew.

Zapadła cisza, w tle dyszało coś i furkotało jak dzik parskający chrapami i to tuż nad moim uchem, choć wiedziałem, że to coś musiało być dalej.

Jakiegokolwiek rozmyślenia przerwał mi kolejny ni to ryk ni to skowyt. Chciałem krzyczeć ze strachu, z bólu, ale jedynie zacisnąłem oczy, zawarłem usta i zasłoniłem uszy palcami.

– Piotr! Janek! Anieli! Zofia! – Imiona mieszały się ze sobą, to było znowu to uczucie.

Jakby ktoś otworzył bramy piekła i dusze zmarłych mogły nawoływać swoich bliskich z zaświatów. Urywki zdań, pozornie bezładne, niemalże przypadkowe. Zdawało się, jakby to Coś powtarzało istniejące zdania, ale nie bacząc na to w jakim kontekście, czy całe, czy tylko część.

– Nie możecie mnie tu zostawić! To się zagoi! Muszę po nią iść! Na pewno się uda! Cicho bądź! Zawiąż porządnie!

Dziesiątki głosów, wszystkie krzyczące, wszystkie rozemocjonowane, wszystkie ludzkie, niewypowiadane przez człowieka.

Łucja tylko leżała na mnie, czułem przez materiał płaszcza jak łupie jej serce: jak oszalałe, zupełnie jakby miała zaraz zejść na zawał.

Chociaż to mogło być też moje serce.

Wszystko ścisnęło nagle. Nie było słychać najmniejszego szmeru. Nie słyszałem, by to Coś sobie poszło, ale tak bardzo chciałem wiedzieć. Led-

wie minimalnie uchyliłem oczy, wygiąłem kark wbrew naciskowi Łucji i dostrzegłem.

Tym razem większe, może nieco w innych barwach, ale tak. To samo widziałem pamiętnej nocy, gdy człowiek w garniturze zniknął w lesie. Mogłem to przed sobą przyznać, sołtys też wiedział, choć kłamał mi w żywe oczy.

Tego człowieka zawleczono do lasu.

Spojrzałem szerzej na Coś. Było wysokie najmniej na kilka metrów, masywne, umięśnione cisnęłoby się na usta, gdyby nie fakt, że kończyny zdawały się być giętkimi pędami, obleczonymi bluszczem i liśćmi. Dostrzegłem pokryte gdzieniegdzie futrem płaty ziemistej skóry, to jest: dosłownie skóry zrobionej z czarnoziemu.

Kostropatymi palcami rozchyłał rosłe brzozy na boki, tak by się przecisnąć nad zagłębienie, w którym leżałem. Jego twarz była niehumanoidalna, na szczęście. Gdyby miał głowę człowieka to chyba bym oszalał albo zemdleł ze strachu. Czaszka tura, rogi natomiast szerokie, rozłożyste, zaciągnięte wysoko w górę...

– WIDZĘ CIĘ!

Jęknąłem cicho i skuliłem się na nowo, udając, że nie istnieję.

Nic się jednak nie zmieniło, to był tylko kolejny krzyk. TYLKO kolejny krzyk, tak jakby to było coś pozytywnego. Nie wiem jakim cudem, ale koścista żuchwa wydawała z siebie ludzkie dźwięki. Wszystkie naraz.

Głosy mieszały się w jego rozchylonej paszczy, gdy ten trzymał głowę idealnie nieruchomo. Ślepa czaszka, bezwonna, natomiast słyszająca i niewątpliwie mówiąca. Kość po bokach przeradzała się w brązową, ciemną skórę i kończyła wysokimi, rysimi uszami.

Chciałem zaskoczyć sam siebie jakąś błyskotliwą myślą, ale jedynie poczułem, jak łzy leją mi się do oczu. Bałem się śmierci, byłem jej prawie

pewien. Lampa gazowa leżała gdzieś z boku i syczała cichutko, był to prawdopodobnie jedyny dźwięk jaki wyłapywało monstrum. Nawet odległe nawoływania mieszkańców Chołów ucichły.

Dalej nic nie widziałem. Zacisnąłem oczy, sporadycznie spoglądając w niebo. Nikt się nie odezwał, nie ćwierkał ptak, nie przebiegł żaden nocny zwierz ani nawet nietoperz nie zakotłował się nad wierzchem lasu. Kompletna cisza aż do rana.

Długie godziny błdziłem wzrokiem na zmianę po gwiazdach i stadku godujących w powietrzu świetlików, zdających się świętować nad rozkopaną dolinką. Latały wesoło, kręcąc się i bzycząc cicho, kompletnie ignorując zastane w bezruchu postaci, traktując je jak element otoczenia, pnie czy kamienie.

Plecy ciągnęły zimnem od ziemi, ból w nodze narastał, czułem, jak wilgotnieję, gnę się paskudnie i powstrzymuje z trudem jęki.

Było coraz zimniej, mroźniej, po czasie zacząłem się trząść. Łucja wtuliła się we mnie mocniej, zapewne dla zyskania cennego, uciekającego ciepła. Nie wiem, czy spała, ja nie zmrużyłem oka do rana, wodząc wzrokiem za świetlikami.

Bo tak, nastało rano. Stworzenie było koszmarnie cierpliwe, a po czasie dałem radę się uspokoić. Właściwie to nawet zastanawiałem się, co z tym fantem zrobić. Na niebie wzrastał leciutko cieplejszy gradient, na skraju pojawiał się delikatny, pąsowy pasek ciepła.

Przyjąłem to do siebie, że jestem świadkiem Czegoś i jeśli zaraz tego Czegoś nie nazwę to oszaleję ze strachu, więc zrobiłem to co, ludzkość robiła od dziesiątek tysięcy lat. Nazwałem to po prostu Krzykaczem. Ot, Krzykacz, potwór, stwór z lasu, bestia, lichy, mam to gdzieś.

Strach ustąpił miejsca racjonalistycznej kalkulacji, a czasem i po prostu gniewowi: na siebie i na wioskowych, a głównie to na nikogo. No, oni

mnie okłamali a zarazem ostrzegali, to prawda. Natomiast ja i tak bym im nie uwierzył, więc na kogo miałem być zły? Chyba tylko na szyszki pod plecami.

Zaszeleściły korony drzew, Krzykacz wydał niemalże wyczuwalnie zirytowany pomruk: „uciekli, strata czasu” i odwrócił się koszmarnie powoli. Słyszałem jak następne drzewa gną się, ustępują pod naporem liściastych łap i wytyczają ścieżkę przemarszu giganta.

Rogacze ruszyli się pierwsi, zaraz za nimi Łucja – widocznie nie spała – ewidentnie przemarznięta i zmęczona.

Spojrzała na mnie takim smutnym, zawiedzionym i jednocześnie bezradnym spojrzeniem, po czym stało się coś jeszcze dziwniejszego, nawet w skali spotkania z lichem.

Łucja obróciła się do jednej z rogatych postaci, które przestały w pionie całą noc. Około dziesięć godzin w bezruchu, niehumaniczne, absurdalnie straszne.

I wtedy po prostu zamachała dłońmi, wygięła dziwacznie palce, zabębniła bezgłośnie o wierzch i zamlóciła w powietrzu. Zdębiałem, ale po chwili jeden z rogaczy odpowiedział podobnymi gestami i zrozumiałem, że to coś w rodzaju języka migowego.

Rogaci byli absolutnie cisi do samego końca, zamienili kilka... No właśnie nie wiadomo czy zdań, czy luźnych sygnałów, w każdym razie ewidentnie rozmawiali z córką sołtysa, co już rodziło pewne bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne implikacje.

Między kolejnymi zdaniem wszyscy ukradkiem podskubywali ciecierzycę, jakby łaknęli jej przez całą noc. Łucja zdarła z naszyjnika trzy ziarna i zagryzła między trzonowcami. Rogacze chudymi, czarnymi od brudu, poznaczonymi liszajami dłońmi wkładali sobie kawałki ciecioriki między zęby jelenich czaszek.

W porannym świetle dostrzegłem to, czego nie widziałem w nocy. Te rogate czaszki przystawały bardzo, ale to bardzo ciasno do ich głów. A w oczodołach co chwila odbijało się wschodzące słońce, błyszcząc jak w tafli wody.

Po chwili, jak gdyby nigdy nic Łucja odwróciła się i wzięła mnie za rękę, gdy ci zaczęli ciągnąć za sobą przemarzniętego, bladego Waldka.

– Puszczaj mnie – warknąłem, wyszarpując dłoń.

Lusia poraziła mnie wzrokiem, przyłożyła palec do ust i spróbowała ponownie pociągnąć za sobą. Wyrwałem się i wskazałem ręką na Waldka, na co ona tylko pomachała głową na boki.

Podniosłem z ziemi pogrzebacz i postacie z lasu stanęły jak wryte. Obrócili się do mnie niemalże jednocześnie, zbliżyli, górując nade mną o jakieś pół metra.

Wschodzące słońce pięknie grało między złocistymi liśćmi lasu, pojedynczy promyk znalazł drogę do kotlinki, spadł na mnie spomiędzy ramion dziwadeł. Ci zdawali się nawet nie grozić, a wprost pokazywać ewentualne konsekwencje.

Przypomniałem sobie trask łamanej czaszki jelenia na głowie jednego z nich, westchnąłem od serca i przepchnąłem się między nimi do swojej lampy. Cały gaz się wypalił, jednak nie miało to znaczenia. Poderwałem ją po prostu do góry i zacząłem miarowo, twardo zmierzać w kierunku swojej chaty, zostawiając za sobą cały ten chaos.



Nie mogę tak żyć, pomyślałem. Nawet jeśli stąd wyjadę, to nie będę mógł tak żyć.

Obejrzałem się na łóżko, gdzie leżała spakowana torba podróżna. Zdrzemnąłem się tyle, ile mogłem, słońce już dawno minęło punkt zenitu, ale zostało jeszcze sporo dnia. Mogłem, na przykład, się zastrzelić albo domagać się telefonu od sołtysa, a potem na nich donieść.

– Halo? Czy to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych? Tak, chciałem zgłosić nielegalny kult, chowający w lesie ruchome wrota piekła. Co? Tak, piłem, ale... Tak na lekach, ale... Halo... Halo.

Odstawiłem od ucha palce, udające aparat telefoniczny. Dokładnie tak sobie wyobrażałem tę rozmowę, bez sensu.

A najbardziej w tym wszystkim przerażało mnie to, że przestawałem wierzyć w ucieczkę. Każdego dnia zapuszczałem korzenie, dosłownie. Czułem się coraz bardziej ospały, bezwładny, jak suchy liść, płynący z prądem rzeki.

Wiedziałem, że jeśli nie ucieknę teraz, to nie zrobię tego nigdy. Nie ważne, co jest w tym miejscu nie tak. Może najwyższy czas zmienić poglądy na życie, ale zrobię to z odległości co najmniej stu kilometrów, siedząc w ciepłym mieszkaniu.

Naciągnąłem na głowę wełnianą, prostą czapkę, obwiązałem głowę szalikiem, wdziałem płaszcz i włożyłem buty.

– Spieprzam stąd, już – warknąłem do siebie i jeszcze uszczypnąłem między palcami, by dodać pewności.

To jak ze wstawaniem rano po kolejnej drzemce: albo zedrzesz z siebie tę pleśń i wstaniesz, albo będziesz tak tylko leżał i powtarzał sobie, że zaraz wstaniesz. A ja miałem zamiar rzeczywiście wstać.

W jedną dłoń wziąłem torbę podróżną, w drugą zwyczajową, gdzie trzymałem niezbędności. Zamknąłem za sobą drzwi nogą i bez słowa zacząłem iść do głównej drogi.

Pewnie nic stąd nie złapię, najwyżej przejdę się na piechotę, przy-
najmniej zanim zacznie padać.

Obejrzałem się jeszcze raz na błękitno-zieloną ścianę lasu: zdawała
się kompletnie nieruchoma, jak obraz na ścianie. Na moment jakaś myśl
zabłąkała mi się, już miała zeskoczyć z języka, ale się w niego ugryzłem.
Jeszcze to byłoby coś głupiego!

Przywitałem się zdawkowo z kilkoma przechodzącymi chłopami;
ci patrzyli na mnie z pode łba w ciszy, nie odpowiadali. Okna trzeszczały
niepokojąco, cichutko, gdy napierały na nie twarze ciekawskich gapiów.
Wszyscy zdawali mi się przyglądać.

Minąłem centralny plac, gdzie pod sklepem siedziała zapewne zwy-
czajowa szajka, ubrana w brudne jak sto nieszczęść kurtki wiatrowe
i uszanki. Ci też mieli dziwnie trzeźwe, przyziemne spojrzenia, wszystkie
skierowane ku mnie.

Wtem podnieśli się, jeden z nich powiedział coś, czego nie mogłem
usłyszeć i pięciu mieszkańców zaczęło iść w moją stronę.

Przyśpieszyłem kroku, odwracając wzrok.

Z naprzeciwka zaczął do mnie iść ponuro wyglądając typ w prochow-
cu i sztybletach z weluru. Ten jakby też się na coś szykował, strzelił wzro-
kiem w bok, spojrzałem w tamto miejsce i dostrzegłem następną postać
i następną.

Na skraju wsi zatrzymałem się, kompletnie złęknięty, zaszczuty jak
zwierzę. Szedł za mną z tuzin ludzi, nikt się nie odzywał ani słowem, nikt
nic nie robił, tylko coraz bardziej skracał dystans do mnie.

Przełożyłem obie walizy do jednej ręki, położyłem dłoń na piersi,
wymacałem kształt tetetki i kilku z idących zwolniło na moment. Nie wie-
dzieli co tam miałem, ale sam gest był niedwuznaczny.

Na moment zatrzymali się, ja również. Stanęliśmy tak na skraju wsi, gdzieś w tle zaryczała koza, przetoczył się mocny wiatr, ściągając z pola lekki pył ziemny.

Przecież ich nie pozabijam, pomyślałem, czego ode mnie chcą?

– Odchodzę – powiedziałem po prostu, zgodnie z prawdą.

Któryś ze starszych pijaczków uśmiechnął się paskudnie, jakbym co najmniej rymsnął twarzą w błoto. Ktoś inny splunął przez ramię, inny skrzywił się wrednie.

Przed bandę wyszedł jeden z miejscowych, co go wcześniej widziałem dwa razy pod sklepem. Krępy, że szczeciniastym, nieco siwym zarostem i z papierosem w kącie ust. Wypisz wymaluj typowy, osiedlowy bysior, który przepuścił swoje wszystkie autobusy do spokojnego życia i zesta-
rzał się ze swoją bandą.

– Chodź tu.

– Słucham pana? – Zacisnąłem dłoń na rękojeści pistoletu.

– Nie pajacuj, tylko chodź żesz tu człowieku.

– Obawiam się, że nie mogę ci w tym pomóc – odpowiedziałem spokojnie. Już chciałem coś dodać, miałem na końcu języka, jednak świat zawirował naraz i zderzyłem się z asfaltem.

Leżąc tak, widziałem tylko przesuwające się w moim kierunku nogi, krew zbierającą się wokół mojej głowy i dodatkową postać, stojącą nade mną. Ktoś zaszedł mnie od tyłu, tak po prostu, prymitywnie.

Głowa bolała jak sto diabłów, krew przesiąkała przez materiał czapki, znacząc ścieżkę pojedynczymi kropelkami grawitacyjnymi. Wodziłem wzrokiem po tych samych, brudnych, pomarszczonych twarzach, które śledziły mnie od samego początku mojego pobytu w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

– Oby was wszystkich diabeł! – odwarknąłem tylko, choć brzmiało to zapewne jak zwykły bełkot półprzytomnego.

W pewnym momencie po prostu nałożyli mi jutowy wór na głowę, zacisnęli na szyi sznurek. Wlekli mnie długo, najpierw w lewo, czyli chociaż z dala od lasu, zakręcaliśmy, skrzypnęła charakterystycznie bramka, zaszeleścił żwir.

Dom sołtysa, przynajmniej tak to brzmiało, tę jedną ścieżkę znałem nieźle. Tylko potem się zrobiło dziwnie. Zatrzymali się na moment, chyba ktoś do nich dołączył na ułamek chwili, zakręcili się, zaciągnęli mnie w bok. Jedne drzwi, drugie, trzecie, drewniana kłapa, schody, po których ciągnęli mnie jak wór ziemniaków.

Zapachniało wilgocią, pleśnią, starą krwią.

Rzuciłem się, szarpnąłem nagle, nawet ktoś omal przeze mnie nie potknął się na schodach, ale trzymali mnie mocno. Postawili na krześle, przewiązali ręce z tyłu, zgasili światło i wyszli, tak po prostu.

Cisza, pustka, tylko pojedyncze krople momentami zdawały się skapywać w kałużę pode mną, jakbym unosił się nad zbiornikiem wodnym.

Świetnie, pomyślałem, znaczy jednak wariaci. Zabiją mnie tak po prostu, bo raczej nie porwą dla okupu.

Każdy oddech szarpał bólem, czułem, jak kłuje mnie coś w sercu. Nagle krótka myśl przeszła mi przez głowę: nawet nie mam po co krzyczeć.

Z przerażeniem zrozumiałem, że żarty się skończyły. Wcześniej jeszcze myślałem, że coś tu znajdę, że coś ugram, albo po prostu wyjdę, jak gdyby nigdy nic. Jednak gdybym miał rację i odkrył, to co się dzieje w Chochłach, to po prostu by mnie z nich nie puścili.

Nie dowierzałem do samego końca, a teraz przyszło mi zapłacić za to najwyższą cenę.

Wsluchałem się w skapujące krople krwi, chyba znowu straciłem przytomność i wraz z nim poczuć czasu.

– Mamuna, chodź tu – szepnąłem ni z tego, ni z owego. – Jeśli naprawdę jesteś, to chodź tutaj i... Zawrzyjmy umowę, cokolwiek. Jezu, ja nie chcę umierać, Boże, ktokolwiek!

Wtem usłyszałem trzask otwieranego zamka. Ktoś otworzył drzwi i zaczął miękko stąpać po kamiennych schodkach. Po karku zszedł mi zimny dreszcz. Myśl na granicy zrozumienia krzyczała: doigrałeś się!

– Uratuj mnie, dam ci, co zechcesz – zdławionym głosem jęknąłem, siląc się na cokolwiek. – Oddam ci wszystkie pieniądze, dam ci, co zechcesz, uratuj mnie z tego piekła.

Wtem, dwie smukłe dłonie opadły mi na ramiona, chwilę poobracały głowę, zakrzętały się przy więzach i zdjęły z mojej twarzy worek.

Oczekiwałem wielkiego dziobu, czarnych piór, monstrum z najgorszych koszmarów. Zamiast tego była po prostu Lusia.

– Przysłaś mnie ocalić – szepnąłem, zaszklily mi się oczy.

Łucja miała chłodny, niemalże pozbawiony emocji wyraz twarzy. Lekko drżące usta zdradzały pewien smutek, poczuć przykrego obowiązku. Obejrzała moją spanikowaną twarz, wyjęła z przepastnej kieszeni fartucha roboczego bandaż i gazę.

– Rozwiąż mnie.

Pokiwała głową na boki i zajęła się raną na mojej potylicy.

– Rozwiąż mnie, ty walnięta suko! – wydarłem się, próbując rozsypać więzy na nadgarstkach. – Czemu nie możecie mi dać odejść? Czemu się nie odzywasz?!

– Przykro mi, naprawdę – powiedziała to tak cicho i wstydliwie, że prawie jej uwierzyłem. – Chciałabym ci pomóc, ale to nie ode mnie zależy. Możesz mnie teraz nienawidzić, ale to nie moja wina, przysięgam.

– Więc twojego skurwiałego ojca, tak? Po prostu mnie wypuść, zostaw, daj iść! Mam już w dupie wasze zabobony, mam w dupie ten grant, zrezygnuję, pochoruję się, pójdę gdzieś indziej. Napiszę, że tu wszystko jest normalnie, albo nie napiszę nic! Po prostu błagam cię, na litość Boga, uratuj mnie!

– Pamiętasz stworzenie?

Zmilkłem na moment. Łucja po prostu przysiadła w kukki przede mną i rozłupywała orzechy z kieszeni w dłoniach, sporadycznie częstując mnie niektórymi.

– Krzykacza?

Przytaknęła, lekko się uśmiechając, jakby spodobała jej się nazwa.

– Nie miałabym odwagi go tak nazwać.

– Nie masz odwagi, PONIEWAŻ go nie nazwałaś. To psychologia prosta, dlatego się nie boję.

Łucja skrzywiła się z pobłażaniem i pokręciła głową.

– Spieprzyliśmy strasznie, Jurek. Teraz ty poniesiesz konsekwencje i nie czuję się z tym dobrze. Przypadkiem zaciągnęliśmy dług, daliśmy mu się zobaczyć, wtedy, w tej piaszczystej jamie z Cichymi.

– Nie rozumiem. Czemu nie możecie mnie puścić tak po prostu?

– To coś chce zapłaty, przynajmniej od jednego z nas, nim będzie kontent. Są dwie możliwości. On pójdzie za tobą, tajemnica się wyda, a nas wysiedlą, czyli właściwie to samo co zabiją.

– Albo pójdzie za tobą – odpowiedziałem jakby sam, powoli rozumując przynajmniej, jakie są zasady, jeśli nie jaka jest gra.

Lusia przytaknęła i włożyła mi w usta rozłupanego orzecha.

– Był z nami jeszcze Waldek, pamiętasz? Doszłam do wniosku, że sam go tam wysłałeś. Papa jeszcze nie wie, domyśliłam się pierwsza,

bo Zając mi wygadał, że tam poszedłeś. Stary bezpieczniak Zając, jak ja go nie znoszę.

– Powiedziałaś, że przesiedlenie was zabije, ale dlaczego?

– Mamy umowę, Jurek.

– Z kim?

– Z lasem.

– W mieście też da się żyć, to nie jest chyba taka tragedia...

– Jurek – przerwała mi poważnym tonem i powtórzyła dobitniej. – Mamy dług u lasu i jeśli go nie spłacimy, to las wywindykuje ten dług od nas.

Wskazała nagle palcem pode mnie.

Wychyliłem się, jak mogłem i dostrzegłem, że przez cały ten czas krew ze mnie skapywała do sporej kratki kanalizacyjnej, pod którą była bladoróżowa kałuża deszczówki i właśnie krwi. Natomiast nie mogła to tylko być moja krew, bo aż barwiła wodę, w której wiły się i drgały ogromne korzenie.

– Wypuść mnie, przesuń, odsuń, błagam, Jezu! – zaterkotałem przerażony, wlepiając wzrok w zapleśniony sufit.

– Uspokój się, las cię nie weźmie tak po prostu. Wszystko ma swoje obrzędy, ustalone normy i tradycje.

– Zabijecie mnie?

– Nie, oddamy. Jeśli las cię zabije, to będziesz szczęściarzem.

Przez moment milczałem, było mi nagle tak zimno, obojętnie. Po głowie przeskoczyło kilka płonnych myśli o możliwościach wyrwania się, ogłuszenia jej, rozwiązania czy czegokolwiek. Natomiast wiedziałem, że samemu nie dam rady się stąd wydostać.

– Jaką macie umowę? Jesteście zakładnikami? – sapnąłem zrezygnowany, powoli przyjmując, wszystko co mi mówiono za prawdę. Nie analizowałem już nawet, po prostu słuchałem i liczyłem na cud.

Łucja wstała, otrzepała się i z nieodgadnioną miną spojrzała na pulsujące pod nami korzenie niewiadomego pochodzenia.

– To stara i długa historia.

– Mamy chyba czas.

Na moment uśmiechnęła się, czarny humor potrafi zdziałać cuda.

– Nie zawsze tutaj tak było. Las nie był tutaj od zawsze, a raczej... Ciężko to wyjaśnić. My nie zawsze go widzieliśmy albo nie chcieliśmy go widzieć. Wszystko się zmieniło pamiętnego dnia, siedemnastego września roku trzydziestego dziewiątego.

– Masz na myśli...

– Nie mieliśmy żadnych szans – kontynuowała smutnym tonem. – Więc zrobiliśmy to, co setki innych miejscowości na trasie przemarszu wielkiej armii. Modliliśmy się, długo i mocno. Jednak ciężko się modlić w biegu, mając na rękach płaczące dzieci, pozostawiając dobytek, niedołężnych członków rodziny, kalekich ojców. Już na początku miesiąca zaczęliśmy kopać wielkie doły w polach, tam pod lasem, gdzie teraz się nie sieje. Spodziewaliśmy się czegoś innego, ale wojna zastała nas z drugiej strony.

Miała w oczach ten sam błysk, który miał Maurycy, ten sam, który miał Waldek. Mętne oczy, wodzące powoli po innym świecie, niemalże realnie widzące po raz kolejny zdarzenia, które rozegrały się kiedyś. Tym razem jednak czułem, że chodzi o coś o wiele większego.

– Schowaliśmy się w dołach, był dzień niemal taki jak dziś, pochmurny, ciężki, zwiastujący deszcz. Gdy weszliśmy w ziemię, zaczęło padać. Zagrzebaliśmy się tam pod warstwą słomy na rozciągniętym łyku. Udawaliśmy po prostu bulwy, kamienie, trupy. Udawaliśmy, że nie istniejemy,

modląc się jedynie w ciszy. Los chciał na nasze szczęście lub nie, że tego dnia ktoś słuchał modlitw.

Oczy jej się zaszkliły, usta zadrżały ze strachu, choć przecież była za młoda, by wtedy żyć. Mimo to wyglądała, jakby właśnie znalazła się w takim dole.

– Las nas usłyszał. Prawdziwy bóg, istota z innego świata, przenikająca nasz ledwie wyczuwalnie jak babie lato na drucianej siatce. Błagaliśmy go i zapłaciliśmy cenę na całe pokolenia. Otworzyliśmy mu drzwi, a on wstawił nogę, by upewnić się, że ich nie będziemy w stanie zamknąć. Zarosło wszystko, las, armia, Choły, moi rodzice pogrzebani żywcem.

Spojrzałem w dół jeszcze raz na lekko drżące, gibkie macki korzeni, które zdawały się spijać ściekającą wodę.

– To trwało dni... Tygodnie, nikt nie wie. Korzenie zalepiły wszystkich, wtopiły w siebie, ułożyły jak w kołysce. Wtedy zaczęły śpiewać. Śpiewały tak długo, aż we wszystkich wrosły pieśni. Nauczyli się żyć według tych pieśni, przekazywali je swoim dzieciom, w tym i mnie. Nikt nie wie, czym jest las. Ojciec Maurycy ma go za diabła, choć czasem mi się zdaje, że zrobił dla nas więcej niż Bóg. Momentami mam wrażenie, że otworzyliśmy bramy do raju, tego samego, z którego wygnano ludzi. Bezpiecznego, ciepłego, leśnego raju.

– A jaka jest prawda? – spytałem przez zaciśnięte z wrażenia gardło.

Łucja pokiwała całym ciałem na boki jak w transie, miała na zmianę smutny i wesoły wyraz twarzy. Zamrugwała, wyrwana nagle z sobie tylko znanych rozmyślań. Spojrzała na mnie, wzrokiem całkowicie obojętnym, jak na kamień.

– Robili to moi dziadkowie, zrobię to i ja. Wieczorem oddamy cię... Krzykaczowi. – Ledwie na mgnienie coś błysnęło w jej twarzy jak uśmiech rozbawienia. – A teraz możesz się modlić.

Skierowała się do wyjścia, obróciła jeszcze i powiedziała:

– Nam kiedyś pomogło. – Po czym wyłączyła światło.



Z oddali słychać było tylko terkot karabinów, więc musiał padać deszcz. Modulowany przez warstwy cegieł dźwięk spadających kropel był jedynym dźwiękiem w całej piwnicy. To znaczy do czasu, gdy na jego tle zaczęło dobiegać mnie coś zgoła innego.

Szepty.

Czułem je pod sobą, absolutnie realnie. Korzenie drzewa pod kratką kanalizacyjną zdawały się płaszać w nabierającej wody kałuży. Gdzieś musiała być rura odpływowa i teraz poziom wody się podnosił.

Cóż, pomyślałem, raz śniłem o spaleniu się w piwnicy, teraz mogę się w niej utopić.

Jednak nie, korzenie naprawdę były blisko, ślizgały się po prętach i jakby nieśmiało, nieco wręcz dziwnym gestem próbowały dotknąć moich stóp. Ledwie któryś biały załazek świeżego korzonka ocierał się o moją kostkę i zaraz zawracał, przytrzaśnięty moim kopnięciem.

Było ciemno, większości się jedynie domyślałem. Raz usłyszałem szczura, popiskiwał cichutko, mogła to też być mysz albo jakaś inna nornica, wszystko mi jedno. W pewnym momencie zbliżyła się do mnie, usłyszałem szurnięcie, zwierzę zapiszczało, nastąpiło chlupnięcie i cisza.

Nie interpretowałem tego, co się stało, byłem wdzięczny, że to nie ja byłem tą myszą.

W pewnym momencie jednak korzeń sięgnął mojej nogi, nie dał się strącić, oplótł krzesło dokładnie, z każdej strony i chwycił jednocześnie

przeguby dłoni i kostki. Szarpałem się, tłukłem, ile mogłem, ale to go jedynie spowolniło na moment.

Ucisk bólu sprawił, że zrozumiałem.

To nie był sen.

Naprawdę korzenie wiły się jak macki, były niemalże żywe. Nie tak jak żywe są drzewa, a tak jak żywe są zwierzęta. Realnie poruszając się, planując, podejmując decyzję, polując...

Szepty nasiliły się. Początkowo były jedynie cichymi podmuchami wiatru, możliwymi do pomylenia z czymkolwiek, z czasem jednak nabrały mocy i sylabizowały się, składały na pojedyncze zgłoski i wreszcie słowa. Fałdy następnych zdań nakładały się w długie, świszczące nawoływania, monolog drzew.

Nie wiem, jakim językiem mówiło drzewo, natomiast myśli jakby same wpadały mi do głowy. Widziałem przed oczami utkane z kolorów kształty w mroku. Drzewa, mnóstwo drzew, jakby w całej piwnicy wyrósł pradawny bór.

Zdawało mi się, jakbym mógł wstać i iść. Krzesło i więzy zniknęły, korzenie nie. Mimo to mogłem iść, splątany, ale wolny. Surrealistyczne wrażenie nasilało się coraz bardziej z każdą chwilą, aż nie ujrzałem ogromnego, jasnoszarego drzewa o wysokiej, rozłożystej koronie.

Z kilkudziesięciu metrów nad ziemią zwisały wielkie kokony, owinięte białym bluszczem kontury, duże i małe, szerokie, wąskie. Przypominały mi brzydkie i suche owoce, aż w ustach mi zaschło na samą myśl.

Pień drzewa otworzył się, jak mają to w zwyczaju stare, parkowe platany. Dostrzegłem ciemność, doskonale czarną pustkę. Zbliżyłem się, wydawała się dziwna, było od niej ciepło i poczucie bezpieczeństwa.

Palce nadziały się na coś miękkiego, lepkiego. Żrenica wielometrowego oka zawężyła się, ukazując większą część wielkiego białka, pokrytego zielonkawymi żyłami.

Niemożliwe, nierealne, a jednak byłem świadkiem, jak gigantyczne oko drzewa wlepia się na mnie; omyłkowo wziąłem je za dziurę.

I wtedy usłyszałem bicie wielkiego serca, a potem szept. Dobiegał zewsząd, dziesiątki głosów z kokonów, szum liści, szmer trawy, trzeszczący chór korzeni, ciągnących się pod skorupą świata. Zadano mi pytanie, którego nie znałem treści.

– Pomóż mi – powiedziałem pierwsze, co przyszło mi na myśl.

Oko mrugnęło, a było tak masywne, że poczułem powiew na twarzy, gdy korowe powieki zacisnęły się na sobie z chrzęstem.

Drzewo odśpiewało odpowiedź, zapachniało rosą, przez gruby kożuch liści błysnął pojedynczy promień słońca. Wszystko dookoła uspokoiło się nagle, zdało się ciche, harmonijne.

A mimo to, nic nie przychodzi bez ceny, przemknęło mi przez głowę.

Wielka powieka drzewa otworzyła się, oko zaczęło wsiąkać w górę wydrenowanego pnia, zostawiając małą, ciemną jamkę, akurat wielkości człowieka.

Zbliżyłem się o kilka kroków, spojrzałem na bijącą ciepłem masę. Dawała ona wilgotne poczucie pojednania z naturą. Obiecała odpoczynek, wygodny, kojący sen. Coś pozazmysłowego, z innego świata.

Czułem pod koniuszkami palców tę błogość. To, czego nie dało się poznać tak długo, a chodziło za mną po Chołach. Jeśli tylko wszedłbym do środka, to z pewnością poznałbym ten inny świat, zrozumiał pieśni, pojął rzeczywistość jak żaden człowiek nauki przede mną.

I dlatego cofnąłem dłoń.

Jama zamknęła się z hukiem, nieomal urywając mi rękę.

Światło uderzyło w oczy bardzo mocno, rozpędzając cienie, gałęzie i szept na boki. Drzwi przede mną otworzyły się nagle, a po schodach zaczęła powoli i niezgrabnie schodzić pochylona sylwetka człowieka.

Spodziewałem się, że moi oprawcy będą więksi, a przynajmniej liczniejsi. W końcu mnie chyba również przebrać powinni jak tamtego nie-szczęśnika pod lasem. Jakby tylko mnie rozwiązali, to bym im taką śliwę nabił, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką bym zrobił.

Po chwili zogniskowałem wzrok na kolorowej plamie jasności i wyodrębniłem poszczególne kształty. Myślałem, że coś ze mną nie tak, że jednak śnię, ale przede mną stanął nie kto inny, jak Zofia Gopulska.

Kobieta bez słowa podeszła do mnie i zaczęła rozplątywać więzy na moich nadgarstkach, wcześniej odstawiając pod ścianę kosz z naręczem oberwanych, mokrych kwiatów.

– Nie rozumiem.

– Zrobisz coś dla mnie, chłopcze – szepnęła rozumnym tonem. – Będziemy mieć umowę, ty i ja.

– Oczywiście, zapłacę, bardzo dziękuję nie spodziewa...

– Nie chcę pieniędzy. Chcę przysługi, która może cię kosztować o wiele więcej. Jednak masz do wyboru to, albo złożenie głowy na pieńku.

– Co mam zrobić? – Pożegnałem ulatującą nadzieję, że uda mi się po prostu wykupić z tego piekła. – Czego pani chce?

Rozmasowałem nadgarstki, przeciągnąłem się, aż coś chrupnęło. Kobięcina zabrała koszyk z podłogi i wyjęła spod naręcza kwiatów wianek. Długa niebieska nitka dźwigała na sobie kilkanaście kulek ciecioriki, kolorowe płatki i orzechy laskowe.

– Pójdiesz do lasu i zrobisz, co będzie ci kazała – powiedziała, nakładając mi na szyję wieniec. – Nie zdejmuj go! Nawet nie próbuj, jeśli ci życie miłe. Co jakiś czas przegryzaj, tak, nie patrz się tak, przegryzaj.

Jak znajdziesz w lesie następne albo chociaż łopian czy krwawnik znajdziesz to od razu... Wiesz, jak wyglądają?

– Nie. Nie rozumiem, czemu mam.

– Cicho bądź i słuchaj. – Kobieta była wyraźnie zaaferowana, oglądała się co chwila za siebie, w górę schodów, skąd dobiegało dudnienie deszczu. – To ochroni cię przed lasem, ale nic ci nie pomoże, jeśli zabraknie ci rozumu. Jeśli czegoś nie rozumiesz, to unikaj tego, dobrze? Idź dwa dni w głąb lasu, mając słońce po lewej rano i po lewej pod wieczór. Nie patrz się tak, tylko zapamiętaj. Znajdziesz w lesie Cichych, stamtąd szukaj najstarszej kobiety, jaką znajdziesz. Może nosić rogi, ale nie powinna.

– Czemu nie mogę po prostu odejść?

– Bo cię złapią, będą pilnować dróg, będą szukać i wierz mi, że znajdą. Wyczują twój zapach. Poza tym... – Uśmiechnęła się na moment tak, że jej twarz przybrała kształt dojrzałej, soczystej rodzyнки. – Mamy umowę, prawda?

Ścisnęła mi dłoń ni z tego, ni z owego i poczułem pod palcami ukłucie, jakbym włożył rękę w pokrzywy. Gdy spojrzałem na palce, to nie było żadnego śladu, nawet zaczerwienienia.

– W nocy zatykasz uszy, zamykasz oczy, zagryzasz usta i się nie ruszasz.

– Jak jaszczurka – wymusknęło mi się nagle na wspomnienie feralnej nocy.

– Jak jaszczurka albo kamień. – Pokiwała poważnie głową. – Będą za tobą szli, ale ty będziesz szedł szybciej niż oni. Nie nadrabiaj w nocy odległości, nie będą ryzykować własnym życiem: sołtys swoje, ale ludzie swoje.

Wymacałem na piersi kształt pistoletu, którego z jakiegoś powodu mi nie zabrano, pokazałem go starej Gopulskiej. Nie wiem, czy chciałem sobie

dodać otuchy, czy dać jej zapewnienie, że mi się uda. Może po prostu liczyłem na jakąś opinię i właśnie to dostałem.

– Nie używaj tego, chłopcze. Nie warto, po prostu nie – szepnęła groźnie, w oczach błysnęło jej coś ponurego. – Dla własnego dobra nie wydawaj dźwięków, nie krzycz, oddychaj płytko i przez szmatkę. Właśnie, najważniejsze.

Wtem Gopulska obróciła się w kierunku schodów, nie miała prawa nic usłyszeć, ale mnie też coś zaniepokoiło. Jak jakaś nowa obecność.

– Idź do domu, załóż poroże jelenia, módl się – wyszeptała tylko, po czym pociągnęła mnie za sobą na górę.

Schowałem się za drzwiami w starej klitce, zapewne będącej niegdyś łazienką. Ściany pokrywały zawilgocone kity, które niedołącznie czepiały się okopconych jak sto nieszczęść kafelków. Opuściłem wzrok coraz niżej i niżej, aż dostrzegłem brudną, zaplamioną starą czerwienią kotarę, opijającą się na schowanej w rogu balii pod natryskiem.

Przywarłem plecami do drzwi, po drugiej stronie była Gopulska, wybiegała przez korytarz i słyszałem, jak krzyczała do kogoś w oddali:

– Uciekł! Uciekł do młyna, widziałam!

Na zewnątrz był jakiś gwar, ludzie zebrali się pod domem, zaczęli dopytywać o coś starej kobieciny, jakby nie do końca dowierzając.

Wtedy coś szarpnęło się w bali, kotara osunęła się, żerdź pod sufitem zajęczała przeciągle i spadła z łoskotem na ziemię, odsłaniając leżącą w wanience kozę. Beczała głośno, charkotliwym, paskudnym głosem.

Na ziemi połała się krew zmieszana z wodą, która zalegała na dnie wanienki a wytrysnęła, gdy okaleczone stworzenie rzuciło się w więzach. Leżała na plecach, przywiązana do uchwytów w ścianie. Cały brzuch od szyi do tylnych nóg miała pocięty i poszarpany paskudnie. Z ran wyrastały zielone strączki, białawe nitki korzeni i gęsty mech.

Zasłoniłem usta ręką, zamknąłem oczy, miałem ochotę zwymiotować. Chciałem do domu, uciekać, gdziekolwiek dalej stąd z tego przeklętego końca świata.

– Rysiek, idź, uspokój Rózię – burknął ktoś z zewnątrz.

Podłoga zaskrzypiała pod ciężarem kroków, które były coraz bliżej mojej klitki.

Doskoczyłem do zwierzęcia, nieomal potykając się o leżący karnisz, chwyciłem mocno za długi pysk kozy i ścisnąłem z całej siły, aż zabolalo mnie w knykciach. Zwierzę siłą rzeczy zmiękło, choć nadal bulgotało gardłem.

Klamka za mną opadła powoli, zgrzytnął zawias.

Umrę, pomyślałem.

– Dobra, tylko się szarpnęła – lekceważącym tonem powiedział ktoś tuż za drzwiami.

Nawet nie uchylił drzwi, by spojrzeć, klamka odskoczyła z powrotem, drzwi na moment się rozwarły. Serce zatrzymało mi się w piersi, gdy spostrzegłem plecy wysokiego mężczyzny w watowanej kurtce.

Zamarłem w bezruchu, wstrzymałem oddech.

Zrobił krok do przodu, drugi, trzeci i po prostu odszedł do zebranych przed chatą ludzi, zostawiając drzwi do łazienki otwarte.

Przełknąłem ciężko ślinę i poprawiłem chwyt na kozie, czekając, aż wszyscy pójdą. Wsluchiwałem się w krótką rozmowę o tym, kogo zawołać i z której strony mnie zająć.

Dobrzy byli, sprytni.

Gdybym rzeczywiście uciekł, to poszedłbym, tak jak mówili. A oni odciąliby mi drogę i byli kilka kroków przede mną. Dogonili samochodem albo traktorem w pole, albo po prostu spuścili psy ze smyczy.

A ja byłem tutaj, kilka metrów od nich, oddzielony korytarzem i pół-otwartymi drzwiami z dykty.

Najciemniej pod latarnią, pomyślałem i odczekałem swoje.

Wychyliłem się na zewnątrz, zostawiając potwornie rozbebeszone i – zdaje się – załatane na nowo zwierzę. Deszcz ciężko walił z góry, po wsi ciągnęła się delikatna mgielka z podnoszącego się pyłu i zmywanej ziemi. Przynajmniej aura była po mojej stronie.

Nie ryzykowałem pójścia drogą, zamiast tego sunąłem wzdłuż ogrodzenia sołtysa od wewnątrz, między iglakami. Przesadziłem niewysokie ogrodzenie, trzymane bardziej na zwierzęta niż na włamywaczy – bo i kto miałby się włamać na wsi – a następnie pognałem na złamanie karku do domu starego Romka.

Uchyliłem bramkę niezwykle powoli, wręcz z pietyzmem. Ostrożności nigdy za wiele, ale chyba naprawdę miałem swoje pięć minut szczęścia, nie zastałem nikogo w obejściu. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że ktoś pokusi się na mój skromny dobytek i postanowi sobie go pośmiertnie przywłaszczyć.

Na moment zatrzymałem się i obejrzałem na kolosalne, szarozielone giganty drzew w oddali. Las zdawał się kompletnie nieruchomy, jakby wcale wiatr i ślota nie szarpały wszystkim dookoła, jakby chciały wyrwać ludzi i domy z korzeniami. Nie, zamiast tego las był zgięty nieco, zdawał się patrzeć w niebo niewidzialnymi dla mnie twarzami i chłonać ulewę.

Wkroczyłem do sieni, rozejrzałem się ostrożnie w ciszy. Nic, waliło tylko w okna, wiatr leciutko huśtał firankami przez szpary, ale ani żywej duszy. Wszystko było tak, jak zostawiłem, był pogrzebacz pod ścianą, nieumyty kubek po herbacie w kuchni, wybebeszona walizka...

Zamrugalem kilka razy, nim z opóznieniem doszło do mnie, co jest nie tak. W tle zabrzęczała woda, chlapiąca o miednicę z cienkiej blachy. Ktoś właśnie wychodził z łazienki.

Skoczyłem pod przeciwległą ścianę i przywarłem plecami, gdy zawiasy po drugiej stronie kuchni skrzypnęły głucho. Pierwsze kroki zmierzały przez drugą sień aż do kuchni. Spojrzałem na drzwi dzielące moją izbę od nieznajomego i leciutko popchnąłem je stopą, by przymknąć drewniane skrzydło.

Deski podłogowe zaskrzypiały przeciągle.

Cisza, nagle. Krok wstrzymany w połowie, znak, że włamywacz mnie usłyszał. Zagrał charakterystyczny dźwięk noża wyciąganego ze stojaka. Ja skoczyłem ukradkiem na drugą stronę drzwi, bliżej piecyka i naprężyłem się jak struna, by sięgnąć pogrzebacza.

Drzwi otworzyły się z impetem, przygniatając mnie do ściany. Zaciśnąłem palce na pogrzebacz i zaraz przed oczami błysnęła mi stal. Zgiąłem się w bok, ostrze wbiło się płytko tuż obok mojej głowy w ścianę.

Zza rogu mignęła szpetna, czerwona twarz, wystająca znad dziurawego swetra. Nieznajomy ni to warknął, ni krzyknął coś i spróbował się zamachnąć ponownie.

Wypuściłem z dłoni pogrzebacz, który z brzękiem uderzył o panele. Naparłem z całych sił na drzwi, taranując stojącego po drugiej stronie człowieka. Ten poleciał nagle, odbił się od komody i jęknął. Kilka drewnianych puzderek i para kapci spadły na ziemię, mebel zachybotał się, grożąc zawaleniem.

Rzuciłem się w bok, próbując podnieść z ziemi pogrzebacz, jednak zaraz rozległ się łoskot i złodziej przyskoczył do mnie. Ręka mocno zaciśnęła się na moim gardle, nóż zawisł nad obojczykiem.

Trzask i łomot, komoda runęła z impetem na stół. Żarówka pod sufitem zachybotała się, kilka ceramicznych misek i figurek wysypało się z szafki, tłukąc o podłogę.

Nieznajomy jakby na moment zawahał się, nadstawił ucha, więc pochyliłem się i wygiąłem w pałąk, uderzając potylicą w jego szczękę.

Uścisk zelżał, chwyciłem za pogrzebacz i odwróciłem się, robiąc od razu wymach. Omal nie upadłem, gdy żelazny pręt po prostu śmignął przez powietrze i zahaczył o framugę niezabitego okna. Obcy na swoje szczęście potknął się i rymsnął plecami na przewrócony mebel, wybijając dziurę w cienkiej sklejce.

Uniosłem w górę pogrzebacz, na ledwie sekundę przycelowałem i rąbnąłem z góry. Ostry koniec wbił się w zgiętą zaślepkę tyłu komody i ugrzązł na krótko.

– Ty łajzo! – ryknął zapewne dla animuszu człowiek, po czym spróbował niezdarnie przekręcić się na bok.

Przed oczami mignął mi tył swetra, najeżonego wiórami i od lat nieścieranym kurzem. Ostatnia rzecz, jaką zobaczyłem, nim wyrwałem narzędzie obrony i wałęsałem na odlew, byle jak.

Weszło tępym końcem na kręgosłup. Usłyszałem cichutki, może wyobrażony trzask i złodziej zgiął się, jęcząc donośnie z bólu. Wypuszczony z dłoni nóż upadł na framugę między dwoma pokojami i odskoczył w kierunku kuchni.

Przyskoczyłem do włamywacza i popchnąłem go na ścianę. Ten w ostatniej chwili, jakby odruchowo, zaparł się i zminimalizował impet i odwrócił wściekły w moją stronę.

Pogrzebacz rymsnął z góry, celowałem prosto między oczy. Ku mojemu zdziwieniu cios nie poskutkował, niedoszła ofiara chwyciła zapewne boleśnie, acz skutecznie koniec pogrzebacza i próbowała mi go wyrwać.

Pociągnięty jego siłą wykorzystałem moment i wpadłem na stojącego, pięścią celując w wystający spod odwiniętego swetra brzuch.

Złodziej puścił mój pogrzebacz, jednak ja nie dawałem już o to baczenia. Pchany jakąś nieznana siłą, o której posiadanie nawet się wcześniej nie podejrzewałem, zrobiłem to, co każdy rozsądny człowiek zrobiłby na moim miejscu.

Kopałem, tłukłem, waliłem z góry, w odsłonięte i zasłonięte miejsca, próbując sięgnąć oczu, uszu, szyi, miękkiego.

Nawet nie zauważyłem, kiedy zacząłem warczeć w tej wściekłości i zorientowałem się, że stoję nad okrutnie bezmyślnie poobijanym człowiekiem.

Miejscowemu leciała krew z brutalnie prymitywnych zadrapań, twarz nabiegała purpurą, a klatka piersiowa nie ruszała się ani na jotę.

Zamarłem w bezruchu, na moment obejrzałem się na zdemolowane mieszkanie.

Czy ja go zabiłem? Przemknęło mi przez myśl i ciągle ciężko dysząc, schyliłem się nad pobitym. Powoli przystawiłem mu ucho do ust, spojrzałem na zaciśnięte wokół brzucha dłonie.

Leciutki powiew ciepłego, pachnącego fasolą powietrza rozbił się o moją twarz, wykrzywiając ją paskudnie.

Szarpnął się nagle, myślałem, że mi odgryzie ucho. Otworzyłem usta, zrobiłem ni to krzyk przerażenia, ni to jęk i zrozumiałem, że tylko mi się przywidziało. Dłonie trzęsły się jak w febrze, na zewnątrz bił jedynie deszcz o ściany i szumiały drzewa.

Kilka głębokich oddechów później pomasowałem napuchnięty od uderzenia drzwiami policzek, przeciągnąłem się i spróbowałem zebrać myśli.

– To teraz mnie na pewno zabiją – zwerbalizowałem myśli i zacząłem przypominać sobie słowa Gopulskiej.

Co ona chciała? Mnóstwo dziwnych rzeczy, na pewno kilka dni miałem spędzić w lesie, co już było absurdalne, ale...

Na moment zastanowiłem się, mogłem po prostu przejść PRZEZ ten las na drugą stronę, do drogi jakiegokolwiek, szosy, innej wsi. Stamtąd dałbym radę uciec, był to jakiś plan. Mimo to pozostawała kwestia, jak daleko jest jakaś cywilizacja w tamtym akurat kierunku?

Wyjrzałem na zewnątrz, czysto, wybiegłem w deszcz i jak strzała wpadłem do piwnicy, zapalając jarzeniówkę pod sufitem. Nie pamiętałem nawet czy wcześniej jej tam nie zauważyłem, wtedy jeszcze bawiłem się gazówką, ale widocznie czas się na to skończył. Teraz musiałem pomyśleć jak przeżyć.

Warsztat z narzędziami – może i przydatny, ale mnóstwo ciężkich i mało poręcznych rzeczy. No i gdzie ja to wsadzę? W pierwszej kolejności wypadałoby mieć jakiś plecak, jedzenie, wodę pitną, cokolwiek.

Czułem, jak kręci mi się w głowie, zarówno od szarpaniny, rany na głowie, jak i braku obiadu. Powolnym, kontrolowanym krokiem zbliżyłem się do metalowej szafy pod ścianą i szarpnąłem drzwiczki.

– No oczywiście – warknąłem, gdy ku niczyjemu zdziwieniu okazało się, że pseudopancerna szafa była zamknięta.

Zbliżyłem się do hydroforu, nie było co z nim robić, natomiast obok w ścianę wbity był kran. Co prawda zwykły, brudny jak sto nieszczęść i nieczyszczony od instalacji, ale nadal kranik.

Odwiodłem kurek i na betonową wylewkę zaczęła ciurkać woda. Przyssałem się do źródelka, z całej siły nie myśląc o tym, jak zwierzęco to musi wyglądać

Rozejrzałem się kolejny raz, serce biło mi coraz mocniej. W każdej chwili bandyta mógł się ocknąć, mógł po niego przyjść ktokolwiek z zewnątrz, ktoś mógł mnie zobaczyć albo...

Dłońmi przejechałem po twarzy i wziąłem głęboki oddech. To były wszystko możliwości, ja musiałem trzymać się realiów.

W oczy rzuciło mi się trofeum, jelenia czaszka na ścianie, którą zobaczyłem już wcześniej zarówno w śnie, jak i prawdziwym świecie. Teraz wydawało mi się to podwójnie dziwne, zwłaszcza że Gopulska konkretnie wspomniała o tym porożu.

Zdjąłem czaszkę jelenia, była masywna, naprawdę ogromna. W życiu nie miałem jelenia na odległość ręki, ale mógłbym wsadzić głowę w tę czaszkę i jeszcze byłoby miejsce.

I wtedy do mnie doszło, że polecenie Gopulskiej nie było tak stuprocentowo bezsensowne. Nie mając żadnej lepszej opcji, zajrzałem pod głowę rogacza i dłońmi wyciągnąłem stare pajęczyny i splątane ofiary pająka, którego nie znalazłem na swoim miejscu.

Poroże rzeczywiście okazało się maską, wyłożoną od wewnątrz gumą, z czymś w rodzaju wymiennego filtra przy dopasowanej do nozdrzy rurze i dwoma szkiełkami w oczodołach.

Wyglądało to jak maska przeciwigazowa, co było tym zabawniejsze, że kiedy ją założyłem, zaczęła ściśle przylegać do mojej głowy. Nieco za ściśle jak na moje standardy. Krótka myśl przeleciała mi przez głowę, że nie będę w stanie zdjąć tej maski, jednak to był absurd.

Bardziej zaciekał mnie fakt, że pociągając nosem, czułem nie tylko charakterystyczny zapach, jakim obrastają stare, zakurzone przedmioty. Była również nuta kwiatów, miodu i czegoś wchodzącego mocna w nozdrza jak cynamon, albo ciastka korzenne.

Obróciłem się na moment, dostrzegłem drobny kluczyk, zawieszony na kołku, na którym wisiało poroże.

– No jasne – mruknąłem do siebie i zauważyłem, że maska tłumi dźwięki.

Wymacałem dłońmi dwa małe guziki, które zasłaniały usta. Na moment spróbowałem rozgryźć, w czym rzecz, przypominając sobie, jak w lesie spotkali mnie i Łucję ci ludzie w porożach.

Może oni nosili właśnie takie maski?

Wzdrygnąłem się na wspomnienie poczerńiałych kończyn i jednocześnie wysokich postaci.

Widocznie, pomyślałem, jedzenie od czasu do czasu było ważniejsze od szczelnego oddychania. Przynajmniej to by tłumaczyło ten naszyjnik od Gopulskiej.

Zagrzmiał piorun, strasząc mnie nie na żarty. Zageściłem ruchy i sprawdziłem, czy klucz pasuje do szafy i rzeczywiście nie myliłem się choć raz. Jednak zawartość samej szafy była naprawdę niezwykła i zaskakująca.

Zarówno w centrum, jak i na drzwiach zamontowano haczyki, z których zwisały naręcza wianków, rośliny, utensylia oraz przedmioty, których pochodzenia i zastosowania nawet nie rozumiałem.

Nie było jednak sensu ani możliwości, by zwlekać chociażby chwilę dłużej. Zabrałem z szafy siermiężny plecak, przypominający bardziej wór oraz bardziej poręczny, wojskowy plecak, zapewne z demobilu, albo kradziony. Amatorsko napchałem wszystkiego, co mi przyszło do głowy i tak objuczony po prostu wybiegłem z piwnicy.

Wyjrzałem na moment, by upewnić się, że nikogo nie ma, przeszedłem bramkę, nie zamknąwszy jej nawet za sobą i pognałem w kierunku lasu na wyścigi.

Po drodze uderzyło mnie, że chyba wziąłem dwa termosy ze sobą. Czy ja tam widziałem w ogóle dwa termosy? Nie było sensu nagle grzebać w biegu i wyrzucać rzeczy, chociaż fakt faktem, ciążyło to nieprzyjemnie. Wolałem jednak nie pozbywać się niczego, na to zawsze jest czas.

Do ostatniej chwili mieszały mi się w głowie dwie myśli: po pierwsze to szaleństwo, a po drugie, że właściwie to nie ma znaczenia. Mogłem zabrać o jedną puszkę konserwy turystycznej więcej, ale z jakiegoś powodu pamiętam, że cofnąłem rękę, potarłem brodę i po prostu się obróciłem.

Ta konserwa może oznaczać dzień więcej w lesie, pomyślałem, dzień, którego mi zabraknie, by uciec z tego piekła.

Wierzyłem, że po prostu przejdę las, bo przecież nie mógł być wielki, nie aż tak wielki. Gdzieś po drugiej stronie musiała być droga, prowadzącą do domu.

Przestałem w to wierzyć, gdy stanąłem pod ścianą monumentalnych drzew. Wejście do lasu przypominało świątynię, z liściastym stropem, podtrzymywanym brązowymi kolumnami. Zdawały się sięgać nieba i rozpryskiwać fontanną gałęzi.

Cóż, jednak las rzeczywiście mógł nie mieć końca.

Przez moment chciałem zdjąć poroże. To nie tak nawet, że przeszkadzało. Same rogi były bardziej dodatkiem, mam wrażenie, ozdobą. Były niewielkie i nieszczególnie przeszkadzały, a nawet zabawnie się nimi na początku balansowało, gdy ciążyły to w przód to w tył. Nawet wygodnie oddychało się przez maskę, której szkiełka nie parowały zbyt mocno, a filtry zapewniały przyjemny zapach, podobny do koszyczka świątecznego.

Po prostu maska przypominała mi o tym, że biorę to na poważnie, a nie chciałem. To trochę jak z obozem zagłady. Pamiętam, że ludzie po latach opowiadali, iż mimo upadku Rzeszy wiele lat temu, nadal nikt nie ważył się dotknąć ogrodzenia. Prąd odłączono dawno, to był teraz tylko

kompleks budynków. Mimo to, nikt nie dotykał, bo coś na granicy zmysłów zabraniało sobie kpić z niebezpieczeństwa.

Tak też się wtedy czułem, mijając dwa okazałe dęby, chylące się ku sobie, jak łuki gotyckiej katedry. Liście zdawały się dosłownie pulsować jaskrawą zielenią, mimo wczesnojesiennej pory. Cała reszta lasu przykryta była kobiercem pierwszych, złocistych liści. Mimo to, te dwa drzewa były w pełni sił witalnych.

Poprawilem paski plecaka i spojrzałem po sobie. Tu i ówdzie kilka kropel krwi, brudny płaszcz, zmechacony, czarny sweter. No tak, świetny kostium, by spędzić parę dni w lesie i poczuć się jak na wycieczce turystycznej, albo jak bezdomny.

Żarciki, śmieszki, kolejne poprawienia pasków, przestąpienia z nogi na nogę. Nie, nie wszedłem do lasu, nie i tyle. Pogoń jeszcze nie szła, pewnie puszcza przodem psy tropiące. Powinienem chwycić garściami każdą piędź ziemi i metr korzenia, który oddzieli mnie od zdyszaney bandy autochtonów. A mimo to wszystko po prostu stałem przed wielobarwną świątynią i liczyłem na to, że nic nie dzieje się naprawdę i zaraz obudzę się w domu.

Wziąłem głęboki oddech i ruszyłem przed siebie, w las.

ROZDZIAŁ DRUGI:

PIKNIK W LESIE

Zgubiłem się.

Ktoś przytomnie mógłby spytać, jak można się zgubić, idąc prostą drogą? Otóż, też tak myślałem, wchodząc do lasu. Jednakże tak się złożyło, że koleina szybko zmieniła się w wydeptaną ziemię, ta następnie w wyjałowioną, potem po prostu rzadszą wycinkę, by następnie zniknąć bez pożegnania.

Najpierw były pojedyncze chwasty, wyższe trawy, krzewy jałowca, głogu i dorodna jarzębina. Później dziwnie blisko drogi gimnastykowała się do ziemi brzoza, jakby próbowała zawinąć łuk nad ścieżką. W końcu dostrzegłem drzewo, konkretniej akację, rosnącą dziko na środku czegoś, co z dużą dozą dobrej woli nazwałbym bezdrożem.

Droga nagle traciła swą jedność. Jeśli spojrzeć w prawo, drzewa były rzadsze, niskie, przysadziste, jak w górach, gdzie wieją porywiste wiatry.

To było jednak złudzenie, gdyż jak mi się zdało, dalej była zwarta ściana zieleni, absolutnie nie do przejścia w cywilizowany sposób.

Na lewo było gęściej, zdecydowanie. Troiło mi się w oczach od setek wysokich, smukłych topoli. Nakładały się na siebie, a następnie zdawały wymieniać z równie wyrośniętymi cedrami. Te z kolei wyglądały jak kilkumetrowe sylwetki anachoretów, którym broda porosła całe ciało i zzieleniała od mchu.

Na moment nieprzyjemny dreszcz przeszedł mi po karku. Któryś z cedrów drgnął. Nie, nie to, że wiatr nim poruszył, albo mnie się zdawało ze strachu. Drzewo zafalowało od podstaw do czubka, jakby wzdrygnęło się, ruszyło, minimalnie obróciło.

Odwrociłem się – lepiej było ignorować i unikać tego, czego nie rozumiałem, tak jak mówiła stara Gopulska.

Deszcz padał nadal, to prawda. Ba, żeby tylko – lało jak z cebra, a ja nie byłem nawet odrobinę mokry. Las nie przepuszczał nic przez gęsty sufit liści. Fizycznie jakieś krople musiały spadać, oczywiście, że tak. Tylko co z tego, że musiały, skoro nie spadały? Wszędzie było wilgotno, ziemia była miękka, a wysoko, hen nad moją głową, ulewa waliła o korony.

Był to dobry moment na odpoczynek, jak i każdy inny zresztą, gdy jest się panem swojego losu. Pomyślałem, że pogoń będzie zmierzać tą samą trasą, aż do tego rozwidlenia. Jeśli zostawię tu swój zapach, to psy tropiące na pewno będą miały dłuższą zagwozdkę.

Uśmiechnąłem się do siebie, drobny dreszczyk emocji zamalował mi policzki pod maską. To była taka ekscytująca, niemalże chłopięca myśl. Większość czasu i tak umierałem z nerwów, plecy bolały jak jasna cholera, nie wiadomo, czy jeszcze przez przepychanki z włamywaczem, czy po prostu od napięcia. Dlatego tym bardziej z ulgą przywitałem ten moment spokoju i przysiadłem pod akacją, wgapiając się w szeroki parasol liści.

Pojedynczy ptak przysiadł na skraju długiej, dorodnej gałęzi. Wyjątkowo jasny gawron o dziobie przebitym gwoździem i jarzębinowych oczach.

Przelknąłem nerwowo ślinę, wypuściłem powietrze ustami i napałem dłońmi na boki maski. Na moment zastygłem w bezruchu, mając ogromną ochotę zdjąć z siebie poroże, ale nagle pomysł zdał mi się bardzo niemądry. Porównując ostatnią wizytę w lesie bez maski i to, ile przeszedłem teraz bez dziwacznych zdarzeń, ale za to z maską, doszedłem do wniosku, że ta korelacja może nie być pozbawiona sensu.

Plecami ciężko oparłem się o wielką akację, mocno wyciągnąłem przed siebie ręce, aż coś strzeliło w stawach i z nieudawanym zadowoleniem przymknąłem oczy.

Świat był dość cichy i spokojny, deszcz miał swój rytm. Drzewa szumiały kojąco, nawet gawron przestał mi się zdawać taki straszny, choć co chwila spoglądał na mnie z nieukrywaną celowością.

Wzrok mój poniósł się wyżej, aż do szczytu pod koroną drzewa, gdzie do tej pory widok zasłaniał płaszcz poszarpanych liści. Teraz z tej perspektywy, siedząc pod pniem, mogłem dostrzec dokładnie, że wisiał nade mną człowiek.

Zacisnąłem mocno zęby, przymknąłem oczy, ponownie wypuściłem zimne powietrze przez drżące usta i po prostu odwróciłem wzrok na byle co – padło na plecak.

Minęła nieledwie minuta, a ja po raz drugi ignorowałem coś tego kalibru.

– I tak daleko nie zajdę w ten sposób – mruknąłem do siebie, dla dodania otuchy, jednak poprzedni spokój zniknął.

Lina wisielca skrzypnęła cicho, mimo braku wiatru.

Może nie powinienem był się odzywać? Krzykacz nadal mógł mnie słyszeć, cokolwiek mogło mnie słyszeć. A może w deszczu nie mogło?

Zgodnie ze swoim doświadczeniem zająłem czymkolwiek myśli, byleby nie szubienicznikiem. Z pietyzmem i dokładnością właściwą sobie wypakowywałem kolejne przedmioty z wnętrza przepastnej torby.

Po krótkiej chwili z dumą spojrzałem na wyrastające dookoła półkole zebranych skarbów, które mogły uratować moje życie; albo je pogrzebać, przez przymus targania ich na plecach.

Osiem konserw, konieczne. Butelka mineralnej, używana od dawna, napelniana kranówką, ale chyba pitna.

Przystawiłem szyjkę pojemnika do nosa i wciągnąłem mocno zapach. Już się bałem, że to będzie samogon.

Przeglądałem dalej przedmioty, aż dostrzegłem dwa termosy. Tak, debilizm, jeden do wyrzucenia, spakowałem bez namysłu, ludzie popełniają błędy.

Przez moment patrzyłem na dwa, cylindryczne kształty, pokryte licznymi bruzdami, plamami, rysami i wgnieceniami. Jeden z termosów był naznaczony plamą jak po przypaleniu palnikiem albo trzymaniu nad ogniskiem.

Przypomniało mi się jak w dzieciństwie omal nie spaliłem meblościanki, bo zapaliłem świeczki na półce. Tak się złożyło, że ta półka była pod inną półką i o tym już nie pomyślałem. Tak, tym razem błędy i niedopatrzenia mogły kosztować o wiele więcej, niż przypalony kawałek mebla.

Chwyciłem termos, wstrząsnąłem nim i coś zabrzęczało głucho wewnątrz. Po otwarciu dostrzegłem, że wewnątrz nie było wcale miejsca na napój, a był jedynie wyciągany, cylindryczny schowek z kilkoma przegródkami.

Z jednej z czarnych, metalowych szufladek wypadła szyszka, drobna, błękitna. Chwyciłem znalezisko przez rękawiczkę i przystawiłem do oka, oglądając dokładnie. Zdawało mi się w pierwszej chwili, że załęgło się na niej jakieś robactwo. Już chciałem odrzucić zbędny balast na bok, jednak powstrzymało mnie coś intrygującego, co przykuło wzrok na dłużej.

To nie było robactwo, tylko bardzo drobne kropeczki, drobiny substancji spływające spiralnie od szypułki, aż do nasady szyszki. Tam mozolnie zbierały się w pojedynczą kroplę, ciemnego, czerwonego płynu, który skapywał niżej i lekko parował.

Kropla spadła mi na ubranie; mając przekleństwo w ustach zacząłem ścierać parującą plamę, aż zorientowałem się, że ta nie chce zejść. Na moment przyjrzałem się konsystencji, zapachowi, już miałem wziąć nową kroplkę na język jednak zatrzymałem się, zawierając intuicji.

– Krew, ona krwawi – szepnąłem z niedowierzaniem na głos, strzeliłem wzrokiem na boki i odłożyłem szyszkę z powrotem do przegródki.

To był ten moment, w którym wyjątkowo nie posłuchałem zasady Gopulskiej o unikaniu niezrozumiałych rzeczy.

Drugi pseudotermos był mocno wygięty, niemalże nie mógł stanąć w pionie po położeniu na płaskiej powierzchni. Unoszący się z wnętrza swąd zgnilizny pomógł mi zdecydowanie w podjęciu decyzji i po chwili cylindryczny pojemnik wylądował w krzakach, spłaszczając dzikiego ptaka.

Następny okaz z plecaka był zwyczajnie tak absurdalny, że miałem przez chwilę ochotę po prostu rozłożyć się pod tą akacją na zawsze i śmiać się, aż mnie znajdą.

– To jest po prostu... – prychnąłem śmiechem, dalej nie mogąc zebrać myśli i podniosłem z ziemi solidny, choć nieco zaśniedziały sierp, z którego zwisało coś w rodzaju malutkiego kadzidełka.

Chwyciłem dziurawy breloczek, nie większy od kciuka i przyjrzałem się z bliska, niemalże natychmiastowo wymiotując. Choć nie mogłem się zobaczyć, to byłem pewien, że pozieleniałem na twarzy. Odstawiłem jak najdalej od siebie narzędzie, śmierdziało potwornie.

Choć zapach był niezwykle porażający, to zasępiłem się na moment i niechętnie uznałem, że musi być tam obecny z jakiegoś powodu. Przypominał nieco odór soli trzeźwiących, choć jego umiejscowienie było dziwaczne. Człowiek nachylający się nad łanem zboża, czy kępą ziół, natychmiastowo odsuwałby głowę i zatykał nos z odrazą.

I to właśnie mnie uderzyło, w głowie już zacząłem szukać sensowności. Widocznie taki był cel tego narzędzia. Ewidentnie ktoś zaprojektował małe kadzidełko właśnie w ten sposób i przez długi czas nie uznał za stosowne tego zmienić.

Musiałem wreszcie zaakceptować, że ludzie z Chołów mieli jakieś sposoby przetrwania i te metody zwyczajnie działały! Jeśli ktoś przy ścinaniu ziół używa koniecznie sierpa, który ciągle go zachęca do odsunięcia twarzy, to widocznie taka jest potrzeba.

Z wielką niechęcią obejrzałem jeszcze raz sierp, zamachnąłem się raz, drugi, uśmiechnąłem pod maską, już bez kpiny i zaczepiłem sznurek kadzidełka o karabińczyk przy pasku. To była jedna z najbardziej użytecznych rzeczy, jakie znalazłem w szafie: zestaw karabińczyków, by nie nosić wszystkiego w plecaku.

– To są jakieś... rzeczy – stwierdziłem niezbyt odkrywczo, przyglądając się kolejnym wiązankom uschniętych ziół, jakie wyjąłem z szafki w ferworze.

Część z ziół pokrywała się zapachami z małym zestawem w drewnianym pudełku. Tam były zarówno maści, jak i coś w rodzaju perfum, a nawet plastrów. Dziwaczna ni to apteczka, ni to kosmetyczka zdawała się być

ręcznie robiona razem z całą zawartością. Ktoś musiał włożyć w to dużo trudu, który teraz miał iść na marne.

Rozważałem przez moment zostawienie uroczego puzderka, mimo napracowania włożonego przez jego twórcę. Nie wiedziałem do czego służyły te maści, zapachy flakoników nie były szczególnie oszałamiające, a całość stanowiła dodatkowy balast. Męczyłem się ze swoimi myślami kilka minut i w końcu zdecydowałem się stanąć po stronie fanaberii, dołączając pakiecik do reszty przedmiotów.

W ciągu najbliższego kwadransa w runo leśne posłałem jeszcze kilka zbędnych utensyliów: ebonitową pałeczkę, miedziany czajniczek, niedziałający czasomierz i zdecydowanie za dużo haceli.

Zważyłem na nowo plecak, dołożyłem jeszcze motek sznurka oraz lartarkę na dynamo i mozolnie wstałem z miejsca, wyraźnie odwlekając chwilę odejścia.

Wtem coś zatrzeszczało tuż za moimi plecami, na dźwięk czego odwróciłem się natychmiastowo z lękiem. Tam, gdzie jeszcze przed momentem leżałem, oparty o akację, teraz był lekko zazieleniony kontur mojej postaci. Tak jakbym przywarł nazbyt długo i mój płaszcz odbarwił korę.

Niedowierzałem, wsłuchiwałem się w odgłosy organizmu i wiedziony jakimś dodatkowym zmysłem, postanowiłem obejść drzewo dookoła. Niestety rzeczywiście, miałem rację.

Po drugiej stronie mocarnego, pochylonego pnia, spoczywała ludzka postać w szarym szynelu i pikowanych spodniach. Powoli uniosłem wzrok na twarz denata, dookoła zaschniętych, pożółkłych policzków, opinała się boleśnie znana uszanka.

Myślałem, że zwymiotuję, a to nawet nie kwestia zapachu, bo ten jakby dawno uleciał, albo został celowo powstrzymany wskutek konserwacji.

Przede mną, oparta tak samo jako i ja, ale z przeciwległej strony pnia, leżała sylwetka żołnierza Armii Czerwonej.

W dłoniach trzymał żółkły już całkiem, niemalże rozlatujący się w oczach dzienniczek. Na papierze spisano coś drobnym maczkiem, ale teraz nie sposób było nawet odczytać znaków, zwłaszcza, że z rosyjskiego zawsze byłem noga.

Zbliżyłem się, zdecydowanie zbyt brawurowo i głupio. Powinienem był zostawić trupa w spokoju, nie zakłócać wiecznego snu i po prostu sobie pójść. Mimo to chwyciłem za dziennik, zdawało mi się, jakby zaraz miał mi odgryźć rękę, cokolwiek.

Tak się jednak nie stało. Zwyczajnie wyjąłem interesujące mnie znalezisko, a żołnierz nawet nie drgnął.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że jest on wrośnięty w drzewo, korzenie oplatały go, wchodziły w tył głowy, wiły się dookoła uszu i zaglądały do wnętrza małżowiny. Kilka drobnych, białych porostów wczepiało się w skronie człowieka, jakby próbowały tam znaleźć źródło pokarmu.

To ostatnie skojarzenie było dla mnie wyjątkowo niezręczne, więc odsunąłem się jeden krok, drugi, trzeci, sukcesywnie oddalając się od przekłętego miejsca.

Z tyłu głowy kołatała mi się myśl, może irracjonalna, ale w tamtym momencie jak najbardziej dla mnie sensowna: gdybym nie wstał, to skończyłbym jak on. Mógł umrzeć z głodu, a sądząc po stroju to nawet zamarznąć pod tą akacją, niecałe pół wieku temu. Natomiast to wszystko nie dawało mi tak spójnego wyjaśnienia, jak myśl, że on również w pewnym momencie swojej wędrówki uznał, że akacja jest tak dobrym miejscem na odpoczynek, jak każde inne.

Odwróciłem się w kierunku gęstej części lasu, tam, gdzie rosły topole i cedry. Bez zbędnego zwlekania ruszyłem tam, jakby nieco przyspieszając, mimowolnie.

W głowie kołatało mi się kilka myśli, a na jakiegokolwiek z nich bałem się zatrzymać, choćby na moment. Jednak przestępując nad mrówczym kopcem, który nie rzucał cienia, zrozumiałem wreszcie.

Spieprzyłem kierunki.

Gopulska dała mi jakąś instrukcję, że najpierw po lewej stronie słońce, a potem po prawej, tak? Czy na odwrót jakoś? Zresztą nie, jak się idzie do lasu, to słońce wstaje po prawej, no to, co ona liczyła, że zmieni zwrot i wstanie na zachodzie? Zresztą, nawet jeśli bym znał kierunek, wiedział, jak ma być słońce ustawione, to i tak ścieżka się rozeszła i koniec.

Coś zakłuło mnie w sercu, nad wyraz znajomym bólem. Skuliłem się, sycząc, a syk zmienił się warkot, gdy już nie mogłem wytrzymać i czekałem, aż narastający ból zejdzie sam. Zawsze znikał, ale zawsze też zdawał się trzymać mikrosekundę dłużej.

Oparłem się o rozłożystą, gęstą choinkę o wielu gałęziach. Była tak zbita w jedną masę, że mogłem zagłębić w niej rękę, dać sobie oparcie i rozważyć samobójstwo.

Zacisnąłem oczy. Zgubienie się w lesie jest przerażające samo w sobie, nie patrząc nawet na pogoń i całą resztę tego burdelu. Miałem prawo płakać, choć z niego nie skorzystałem. Na moment wystarczyło, bym chociaż mógł złapać oddech i odpocząć od ciągłych zmian.

Na granicy słyszenia zagrał nowy, niezrozumiały dla mnie dźwięk.

Coś załaskotało mnie w dłoń. Obróciłem się w stronę choinki, o którą się opierałem i dostrzegłem, jak się na mnie gapi. Fałdki powiek obrośniętych kleszczami, szeroki nos, obłożony pancerzykiem jak szyszka, ciekące

żywicą usta, a wszystko to schowane w zielonej, mechatej brodzie gałązek i porostów.

Krzyknąłem i natychmiastowo się skuliłem. Maską stłumiła nieco dźwięk, mimo to nadal odruchowo spróbowałem zasłonić usta. Serce waliło mi jak oszalałe, przed oczami zaczęły przelatywać kolorowe plamy, coś podeszło mi do gardła.

Dziadowska twarz, zatopiona w sylwetce drzewa po prostu gapiała się przeze mnie. Nie patrzył na mnie, tylko takim przyglupim, zdradzającym objawy psychozy wzrokiem świdrował coś za mną. Obróciłem się na moment, jednak tam była tylko ściana lasu.

Nie, pomyślałem, Jurek zastanów się rozsądnie.

Skupiłem wzrok na pojedynczej, wystającej z całej reszty drzew choince, której gatunku nie umiałem nawet odgadnąć. Zaraz po niej spojrzałem na kolejną i następną, tworzyły własny typ, oddzielny od reszty. Gałęzie o miękkich, długich igłach schodziły w dół pnia, opinały się na smukłej tycie drewna, a u szczytu nie miały czubka, tylko coś w rodzaju wygładzonej kopuły jaskrawozielonych pączków.

Wtedy jedno z drzewek wstało. Mogłem dostrzec sięgające kolan dłonie, drgające ospale, jakby wybudzające się ze śpiączki. Przez deszcz przebił się chrobot korzeni o kamienie, gdy noga drzewa wysunęła się z gruntu, trąc o inne korzonki.

Noga drzewa, pomyślałem, chciało mi się śmiać i na zmianę mdleć z przerażenia, ale oprócz absurdalności, nie czułem bezpośredniego zagrożenia.

Dziad wyciągnął drugą nogę, stanął wyprostowany; miał co najmniej trzy metry albo i więcej, a nie był najwyższym ze swojego gatunku. Zaraz za nim powstawali następni. Niektórym zwisały spod gałęzi brązowożółte

szyszek, inni mieli twarze suche i spękane jak kora drzew, część osypywała się ziemią, ktoś na głowie nosił ptasie gniazdo.

Ten, o którego się opierałem, a zabrałem rękę, gdy się ruszył, również zaczął wstawać. Z trudem wyciągał pierwszą nogę, podpierając się o ziemię dłońmi, zginając się w koci grzbiet. Zdawało mi się, że miał problem, może zahaczył się o coś.

I za to normalnie bym się zrugął od najgorszych. Nazwałbym się skończonym głąbem, ale zrobiłem to, czego wszelkie rady i zdrowy rozsądek zabraniały.

Po prostu pomogłem dziadowi wyciągnąć nogę.

Przyklęknąłem do ziemi ostrożnie, mamrocząc coś pod nosem uspokajająco, jakbym wyciągał zaplątane zwierzę spod drucianego ogrodzenia. Chwyciłem ostrożnie nad kolaniem, a raczej czymś, co powinno być kolaniem, a było którymś ze zgrubień w nodze. Z całej siły pociągnąłem ku górze, zapierając się nogą o sąsiednie, prawdziwe, drzewo.

Coś trzasnęło, aż mnie zaboląło na samą myśl. Pierwsze straszne skjarzenie: złamałem sobie jakąś kość. Drugie, wielokrotnie straszniejsze: złamałem JEMU jakąś gałąź.

Leśny dziad wydał z siebie krótki, przeciągły jęk na częstotliwości tak niskiej, że mogły być to równie dobrze płyty tektoniczne, przesuwające się pod powierzchnią kontynentów.

Noga poleciała do góry powoli, z właściwą sobie gracją, ze zdeterminowanym brakiem pośpiechu, tak jak tylko drzewo umiałoby wstać.

Sylwetka zrobiła krok, następny, ziemia osypywała się z jej bagatela pięciometrowego ciała. Na jej plecach dostrzegłem wiszące sznurki z powiązanych winorośli. Z kolei na końcu tych sznurków były kości, a raczej kostki, powiązane ze sobą, małe kosteczki, na których ktoś wyrył symbole i napisy.

Nie wyglądało to jak groźba; szczerze to nie wiem, jak to wyglądało. Ktoś po prostu musiał umyślnie lub nie, zawiesić na tym stworzeniu ozdoby. Czy to możliwe, że umiał się komunikować? Może miał kontakt z tamtymi ludźmi z lasu, na przykład handlowali wisiorkami?

Bez sensu, pomyślałem, powoli krocząc za grupą.

Dziadów było około kilkudziesięciu, no tak z trzy tuziny jak nie. Różnili się nieznacznie odcieniami, znacznie wzrostem i ciężką do stopniowania dziwnością. No bo jak dla mnie to wszyscy byli równie groteskowi, ale każdy na swój sposób.

Ten mój miał wisiorki z kości, ale inny to już na przykład miał girlandę z czerwonej, długiej wstęgi, zdającej się pulsować i ociekać równie czerwoną żywicą. Jeszcze inny miał jemiołę na głowie, nie wiem jakim cudem coś widział przez jej liście.

Ścieżka schodziła coraz niżej, topole wyrastały więc na jeszcze większą wysokość, jakby ignorowały opad terenu i dorastały do jakiejś konkretnej wysokości.

„Ustalonej”, samo przyszło mi na myśl. Zadrzałem.

Dziady zdawały się migrować. Miałem przeświadczenie graniczące z pewnością, że zmierzają w konkretnym kierunku razem. Rozciągnęli się na kilka szeregów i schodzili coraz niżej, do ciemniejszej czeluści lasu, gdzie docierało coraz mniej światła, a na końcu której widniała wąska kreska jasności.

To było niesamowite uczucie, nawet nie pierwotne, a na swój sposób mistyczne. Wiedziałem jakie procesy w organizmie za to odpowiadają, wiedziałem co to znaczy, wiedziałem, czemu mózg to robi. I to wszystko było bez znaczenia, bo ja się czułem, jakbym dostępował wniebowstąpienia.

Chociaż bardziej było do *wziemiozstąpienie*, ale ładunek emocjonalny był ten sam.

Zbiegałem coraz szybciej i szybciej, czując, że na samym końcu wędrówki jest coś, co muszę zobaczyć. Ścieżka przemarszu nie była nawet prawdziwą ścieżką, tamta już dawno zniknęła w gąszczu traw i krzewów. Przeskakiwałem po prostu między spróchniałymi pieńkami, pokonywałem jamy i wykroty, z których część zapewne była śladami po poprzednich sadzeniach dziadów.

Dookoła mnie była tylko porażająca ciemność, dziesiątki postaci wielometrowych starców i tam, kilkadziesiąt metrów nade mną, sufit lasu, o który dudniła ulewa.

I wtedy dobiegłem do jasnej krawędzi, wychodzącej na jezioro, wzburzone milionami uderzających kropli. Z ciemnoszarego nieba zstępowały do ziemi gromy, jeden z piorunów mignął mi na ułamek sekundy przed oczami, uderzając w toń jeziora. Tuż za nim zagrał werbel grzmotu, porażający bębni słuchowe.

Widok był cudowny, przytłaczający swoją siłą. Dziesiątki odcieni następowały po sobie tuż przed moimi oczami. Biała nitka pioruna, jasnoszare krople deszczu, lecące przez siwą mgiełkę aż do czarnej toni jeziora, rozplywającej się po grafitowym brzegu na obszarze wielu kilometrów.

Jezioro było gigantyczne; nie miało prawa znajdować się w lesie, a jednak w nim było.

Minął mnie pierwszy dziad, stanął nad brzegiem i jakby niepewnie obejrzał się za siebie na resztę stada. Ci ospale człapali w dół, wychylali się pojedynczo z ciemności, rozwierając zdziwione usta pełne żywicy. Ten pierwszy wydawał się szukać ludzi, gotowych pójść za nim. Może bał się wejść jako pierwszy, może bał się burzy, może po prostu czekał na resztę grupy dla własnego spokoju. W końcu włożył długą, korzeniastą nogę w toń, zaraz za nią drugą i z uporem jął nurzać się w mulistym dnie.

Zaraz za nim wszedł następny dziad, niższy, bardziej krępy, burego koloru. Po chwili dołączył ten, który miał ptasie gniazdo na głowie i następni, kompletnie ignorując moją obecność.

– Zaczekajcie, moment! – krzyknąłem, ale mój krzyk uwiązł mi w gardle, gdy w toń wałnął piorun.

Leśni dziadowie zastygli na ułamek sekundy w bezruchu, drgnęli i zaczęli dalej iść, zanurzając się coraz głębiej i głębiej. Gdyby byli ludźmi, to już by nie żyli.

Poczułem, jak coś przejeżdża mi po karku i opada na ramie, drapiąc lekko i łaskocząc. Spanikowany obróciłem głowę i dostrzegłem wielometrową sylwetkę dziada, któremu pomogłem. Patrzył na mnie niemalże rozumnie, zalepionymi żywicą i robactwem oczyma.

Przykucnął, tak po prostu, mrucząc coś niezrozumiałego basem.

Serce fizycznie mogło wyskoczyć mi z piersi ze strachu, czułem się, jakbym kładł rękę na krawalnicę do mięsa. Podskoczyłem, podparłem się nogą na wystającym z jego pleców schodku z kapelusza huby, znalazłem podparcie i zająłem pozycję na jego ramionach. Czułem się przez moment jak dziecko na plecach ojca, bo tylko tak można się czuć przy kimś kilkakrotnie większym.

Mój dziad postąpił niepewnie, nieprzyzwyczajony do ciężaru, niepewny kroku, ale po chwili szedł tym samym, wyuczonym albo wrodzonym tempem. Noga weszła w jezioro, zaraz za nią następna; przed sobą mieliśmy stado idących po dnie stworzeń. Jednym wystawały ponad taflę głowy, innym woda sięgała ledwie do mostka.

Piorun uderzył w jezioro, obok mnie przepłynęła siła, zdolna usmażyć mnie w mniej, niż trwa proces potrzebny oczom na zarejestrowanie zdarzenia.

I nic się nie stało, drewniane ciało mojego wierzchowca wyizolowało mnie od pewnej śmierci.

Krzyknąłem podekscytowany, głos mój zginął w następującym jednocześnie gromie.

Później obróciłem się, by zobaczyć, jak daleko od brzegu byliśmy i dostrzegłem coś w ciemności. Mogło mi się wydawać, mógł to być podniesiony, widziany z tej odległości pyłek albo część mgiełki, wzniecaną przez wałący dookoła mnie deszcz. Mogło, oczywiście, ale byłem pewien, że tak nie było.

Ktoś mnie obserwował z brzegu, który właśnie opuściłem.

Wczepiłem się mocniej w kark dziada, zrobiłem się senny. Dookoła falowało wzburzone jezioro, do suchego lądu było jeszcze parę kilometrów jak nic. Wtuliłem głowę w wyrastającą kępkę mchu i porostów, poroże zaczepiło się o kawałek huby, ale o dziwo nie było mi z nim niewygodnie.

Ziewnąłem przeciągle, deszcz zdawał się schodzić gdzieś w tło. Czuliem wzbierające we mnie fale ciepła i spokoju, jakie były od maszerującego drzewa. Nie zorientowałem się, kiedy, a odpłynąłem w ciemność, słysząc tylko odległy, niosący się nad wodą głos starca.

– O, smutne noce, gdy wichur łamie stare drzewa. O, smutne dni, gdy słońce wypala kołyskę ziarna. O, smutna to droga, przez deszcz i zawieje, gdzie nawet pies nie skowycze. O, smutna to dusza, co brnie przez groby, by złożyć się na skraju spokoju. O, smutny to las, co jarzy się jak próchno, półżywy chwytając życie, zamiast złożyć matecznik w ziemi. Smutne noce i dni, drogi i dusze, lasy i życie.



Słońce miało się ku zachodowi i burza zdawała się odchodzić, gdy desantowaliśmy się na przeciwnym brzegu. Mokrzy dziadowie dostojnie wyczołgali się na brzeg, niosąc ze sobą zerwane tataraki i liście, rozchlapując muł nogami. Brnęli nieustannie, nie bacząc na nic.

Przespałem większość drogi, sporadycznie wybudzając się do półletargu i spoglądając na żywe drzewa, na których przysiadły pojedyncze mewy i kormorany. Wydawali się kompletnie ignorować otoczenie; gdy czepiali się o leżące na dnie gałęzie, to po prostu ciągnęli je za sobą.

Dokąd tak zmierzali? Nie zastanawiałem się nad tym, zamiast tego w głowie miałem ciągle biały błysk na brzegu, który opuściłem. Sen dołożył swoje obrazy do moich wspomnień. Im dłużej wyciągałem z podświadomości tę scenę, tym bardziej stawała się ona mętna i rozmyta. To jak z wlewaniem kropli mleka do szklanki wody, z każdym przypomnieniem było inaczej.

Jednak nie mogłem zaprzeczyć, że coś widziałem, inaczej nie męczyłoby mnie to tak długo. Mogli iść za mną oni, chłopci. Ilu by wysłali? Jak szybko zorientowaliby się, że jestem w lesie?

Raz nawet miałem myśl, która była absurdalna, ale jednocześnie przerażająca. W końcu absurd stał się ostatnimi czasy czymś powszechnym. Przyszło mi do głowy, że Chołów już nie było.

Że przespałem pod akacją całe lata, zawieszony w innym świecie, w lesie. Choły były korytarzem między światem, który przez swoje życie miałem za prawdziwy i jedyny, a światem lasu, mitów, nieznanymi mi reguł, pieśni i szaleństwa.

Czy czas w lesie płynął tak samo szybko, jak w Chołach?

Otworzyłem oczy szeroko, wstrząsnąłem głową. Dziadowie przystanęli na moment, z nieznanego mi powodu.

Osunąłem się z pleców mojego dziada, chciałem go poklepać po plecach, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Takie coś zrobiłbym koniowi po przejeździe, a nie człowiekowi...

Sam do siebie się skrzywiłem, zmieliłem przekleństwo w ustach. Ciężko było go nazwać człowiekiem, ciężko było go tak nie nazwać. W ogóle, wszystko się jakieś skomplikowane zrobiło.

Dookoła była zadbana polanka, dalej gęsta, ciemna ściana lasu i ciemnoszare niebo, prześwitujące między wysokimi olchami i rozłożystymi wiązami. Ze sto metrów za nami był brzeg jeziora i pomost, zбитy z paru kłód, dających oparcie warstwom blachy falistej. Ktoś zadał sobie trud, by przytaszczyć tu okropnie wystrzępioną kanapę z wystającymi sprężynami.

Zatrzeszczały korzenie, zaszumiały liście i dostrzegłem, że dziadowie ustawili się tylko w pozornym chaosie, teraz zagłębiając się w jakieś przygotowane zawczasu jamki. Na moich oczach korzenie poruszały się z prędkością sunięcia ślimaka, ale jednak, jak na korzenie, zaskakująco szybko. Po chwili dziady zajęły miejsca, zagęściły korzenie, przymknęły oczy i zasnęły na stojąco.

Zostałem sam, otoczony śpiącymi starcami.

Wziąłem głęboki oddech, położyłem na plecach najbliższego z leśnych dziadów rękę i szepnąłem:

– Dziękuję ci.

Strzała śmignęła mi tuż przed twarzą. Usłyszałem trzask łamanych gałęzi, gdy wleciała z impetem w krzaki po mojej lewej.

Obejrzałem się przestraszony. Dookoła stały wysokie słupy dziadów; nie wiedziałem, co się stało, skąd, jak...

I wtedy coś trzasnęło mnie w głowę tak mocno, że upadłem. Przeturlałem się po ziemi, wyswobodziłem rękę z szelek plecaka, spróbowałem wstać i obok mnie przeleciało coś ponownie, rozcinając powietrze.

W wizjerze mignęła mi ogromna czaszka, stojąca na wysokości dwóch metrów tuż obok mnie. Masywna postać wzniosła coś ku górze i ponownie spróbowała uderzyć. Rzuciłem się na bok, chwytając się ramienia leśnego dziada, by nadać sobie rozpędu i wylecieć jak najdalej.

Gnałem na złamanie karku, zostawiając za sobą plecak. W biegu przypomniałem sobie o pistolecie, wyluskałem go z trudem urękawiczoną dłonią, jednak chwyt był zbyt niepewny i tetetka wypadła mi w trawę. Obróciłem się, ślizgnąłem podszewkami po mokrej trawie i rymsnąłem na ziemię. Coś strzeliło mi w plecach, aż stęknąłem z bólu.

Zza szeregów drzewnych ludzi biegła na mnie obca postać, przytłaczającej postury. Miała wielkie poroże tura na głowie i łuk, który ścisnęła jak kij do okładania.

Począpiałem na czworaka za najbliższego leśnego dziada, skryłem się w jego gęstych gałęziach i skuliłem. Z trudem odpiąłem karabińczyk przy pasku, z nerwów nieomal wyszarpując go. Zacisnąłem palce na sierpie, złapanym oburącz.

Kroki przyśpieszały, tur biegł w moim kierunku. Wiedział, gdzie byłem; nie wiedziałem czemu, ale na pewno chciał zrobić mi krzywdę.

Był blisko, kilka kroków, coraz bliżej, tuż za rogiem!

Wtem usłyszałem krótki dźwięk, charakterystyczny, jak przy odkorkowywaniu szampana. Kroki zniknęły całkowicie, byłem tylko ja, szumiące drzewa i bijące jak oszalone serce.

Zamachnąłem się za róg osłony, sierp przeciął powietrze, tam, gdzie powinien być tur, gdyby nadal biegł. Wyjrzałem: nic, nikogo nie było. Machnąłem przed siebie na odlew, w nicość.

Jak coś może w jednej chwili być, a zaraz rozmyć się jak kamfora?!

Powietrze zafalowało ledwie na granicy widoczności. Serce zakłuło mnie bólem, płuca wyprasowały się, wypychając całe powietrze przez roz-

warte gardło. Byłem pewien, że gałki oczu wyskoczą mi z orbit. Coś dociskało mnie z ogromną siłą do pleców jednego z dziadów.

Wzleciałem ku górze dobre pół metra. Czubki butów nie dosięgały już ziemi, przed oczami ciemniało mi, latały kolorowe plamy.

Ogarnęła mnie jakaś wściekłość, gniew, byłem zły na to, że nie rozumiałem, co się działo. Zacisnąłem mocno dłoń na sierpie, wygiąłem rękę i zamachnąłem się. Ostry zadziór wszedł w coś miękkiego... W powietrze.

Po prostu dźgnąłem nim w powietrze przede mną, koniec zagłębił się w pustkę, po stali zaczęła spływać ciemna posoka. Przed moją twarzą rozległ się warkot, przypominający mi udawane dźwięki Krzykacza, dochodzące pozornie znikąd.

Chwył żelzał, zadziałałem instynktownie i uderzyłem kolanem. Mięśnie domyślały się, że ktoś mnie przyduszał, choć przecież nikogo nie widziałem. Uderzenie trafiło, uścisk żelzał kompletnie, poleciałem na ziemię, chwytając powietrze z trudem.

Niewidzialna postać ryczała z bólu, powietrze zabarwiło się lekko na różowo, sylwetka człowieka-tura wydawała się niemalże półprzezroczysta. Nie miałem pojęcia jak to zrobił, ale nie było sensu nad tym deliberować. Był za to sens wykorzystać jego chwilę nieuwagi i ciąć ponownie.

Ostrze weszło na wysokości kolana, przebijając się przez jakiś mocny materiał. Pociągnąłem broń do siebie z całej siły, postać przyklękła, skowycząc z bólu. Wbrew logice puściłem broń, oparłem się o leśnego dziada by wstać i uderzyłem łokciem przed siebie.

Cios wszedł na maskę tura, ten zgiął się na bok i wyprostował się, rycząc z wściekłości jeszcze donioślej. Ręka zapulsowała bólem, czułem się jakbym uderzył w beton albo stalowy słup.

Kopnąłem prymitywnie, znowu celując w miękkie, jednak byłem zdecydowanie zbyt wolny. Noga utkwiała w powietrzu, tur chwycił mnie za go-

leń i ścisnął mocno. Nie miał prawa wiedzieć, że tam była rana po spotkaniu z Krzykaczem, jednak mój skowyt bólu musiał dać mu jakąś wskazówkę.

Zamachnął się ciężko, jak siłacz pchający kulą. Obrócił się do połowy, ciągnąc mnie w powietrzu i rzucił po prostu jak wór kartofli. Przeleciałem kilka metrów, krzycząc bardziej z przerażenia i uderzyłem plecami o ziemię.

Usłyszałem trzask, tym razem mocny, donośny dźwięk łamanych kości. Łzy naszły mi do oczu, byłem pewien, że złamałem kręgosłup, albo żebro.

Krok, za nim następny, kolejny. Młaśnięcie, jednoznacznie brzmiące jakby ktoś sobie coś wyjmował z ciała, zapewne tur mój sierp. Wielkolud stanął nade mną, jego sylwetka była coraz wyraźniejsza, mogłem dostrzec zszYTE futrem do zewnątrz skóry, zwisające trzy sznurki ciecierzycy, naszYTE blachy prymitywnego pancerza.

– Zostaw – jęknąłem marnie. – Ja nic nie zrobiłem.

Łzy naszły mi do oczu; spróbowałem się podnieść, ale potworny ból w plecach odwiódł mnie od tego pomysłu. Olbrzym rozkraczył się nade mną, wyjął zza paska niewielką siekierę i wzniosł ją do rąbnienia.

Coś zaszeleściło nad moją głową, rozległ się świst, trzask, niski pomruk i zdławiony okrzyk zdziwienia.

Cóż, to nie były dźwięki jakich się spodziewałem na zakończenie życia. No, chyba że rozłupałby mi ktoś czaszkę, znalazł w niej szyszki i jęknął ze zdziwienia, zafrasowanym jakże interesującym z punktu taksonomii wydarzeniem.

Żarciki się mnie trzymały, chociaż łzy leciały ciurkiem po policzkach i w panice nie rozumiałem, co się działo. Ogarnęło mnie szaleństwo, jakie czuć może tylko królik w pętli, który próbując się wyszarpać, zaczyna tylko huścić się w powietrzu i traci rozeznanie w kierunkach.

Otworzyłem oczy, niepewnie, bojaźliwie, jakbym zaraz miał ujrzeć skaczącą w moim kierunku stal. Zamiast tego był tur, próbujący wyszarpać siekierę z cedrowej ręki leśnego dziada. MOJEGO leśnego dziada.

Dziad mruczał coś bardzo nisko, prawie zrozumiale, ale słowa były jak spowolnione nagranie, niemożliwe do zrozumienia, przynajmniej dla mnie. Krew dudniła mi w skroniach, plecy paliły żywym ogniem, panika kazała brać nogi za pas, a te właśnie niezbędne mi nogi odmawiały posłuszeństwa.

Tur trzymając nadal w dłoniach siekierkę gestykulował coś żywo, dziad odpowiadał mu bardzo powoli, co wyraźnie irytowało tura. Zdawało się jakby ci dwaj po prostu ze sobą rozmawiali i się rozumieli. Pierwsza myśl wydała mi się najbardziej logiczna: dziad się za mną wstawił. Za co? Za to, że mu pomogłem odrobinę? Czy może po prostu miał taką osobowość i czuł do mnie sympatię?

Milczałem, w głowie szalała mi burza myśli; jakoś nie miałem zamiaru się wtrącać do gorzejącej dyskusji. Tur gestykulował tak zapamiętale i gwałtownie, że bałem się, iż wypadnie mu z dłoni ten toporek i po prostu kogoś nim zrani. Swoją drogą, lepiej jego jak mnie.

Odważyłem się poruszyć ręką; nie było źle, chociaż każdy ruch od-
dawał ból na całą resztę ciała. Pomacałem głowę, znalazłem i odpiąłem guzik na ustach, po czym wziąłem tak głęboki oddech, że rozpraszająca para zwróciła na mnie uwagę.

– Kuźwa – mruknąłem; były to tak samo dobre ostatnie słowa, jak każde inne.

Mocno chwyciłem za materiał pod szyją, naciągnąłem gumę i maska w końcu puściła, a ja mogłem zaczerpnąć powietrza pełną piersią. Rozejrzałem się dookoła bez wizjera.

Las był cudowny, wszędzie w powietrzu unosiły się lekko wibrujące pyłki, zarodniki kwiatów i nasiona. W kilku miejscach dostrzegałem coś, czego nie widziałem przez szkiełka. Wydawało mi się, że powietrze poruszało się nieznacznie, a w innych miejscach kształty były niemalże półprzezroczyste.

Tur był bardzo ostry, z każdą sekundą nabierał realnych kształtów, widziałem wystającą, owłosioną skórę. Nozdrzami wciągnąłem dla odmiany coś, co nie było przefiltrowane przez mieszanek kwiatów. Pot, piżmo, mech, grzyby, wszechogarniającą wilgoć.

Odrobinę podkurczyłem nogi, położyłem sobie na mostku poroże i rozplakałem się na nowo, tym razem ze szczęścia. Róg jeleniej czaszki był złamany. Mniej więcej na wysokości połowy jasnobrązowej kości była szczerba, a reszta rogu leżała gdzieś dalej.

– To nie kręgosłup – wybełkotałem tylko, zalewając się łzami, a człowiek-tur wgapiał się we mnie bez słowa.

Wzrok mój szedł gdzieś na bok, zakręcił się w miriadach kolorowych błysków. Nim się obejrzałem otuliła mnie ciemność, przez którą przebijał się cichutki szmer, a potem kanonada drobnych trzasków.

Wbrew wszelkiemu rozsądkowi wstałem, choć dookoła było kompletnie ciemno; cichutko wył wiatr, czuć było wilgoć. Właśnie, czuć, bo pod palcami po prawej miałem litą skałę. Wymacałem palcami drobne korzonki, pędy bluszczu, miękkie kępki mchu, pąkle narośli i gąbczaste powłoki grzybów.

Postąpiłem krok, który odbił się spotęgowanym echem w dal. Po mojej lewej była druga ściana, bardzo blisko, nade mną niski strop, wszystko z żywej skały i oplecione korzeniami.

Tunel jał schodzić coraz niżej, zatracając równość na rzecz naturalnych schodków. Co rusz przestępowałem kilka centymetrów, albo nawet

kilkadzieści, ale ani razu nie straciłem równowagi. Niemalże płynąłem przez mrok, wiódł mnie na oślep dotyk.

W końcu echo rozbiegło się dookoła – znak, że wszedłem do pomieszczenia. Dźwięk odbił się od ścian z daleka, świadcząc o tym, że jama była sporych rozmiarów. Dalej podążałem w ciemność, jednak teraz już ostrożniej.

Aż w końcu odbiłem się od twardej powierzchni. Obmacałem ścianę przed sobą, orientując się, że jest zrobiona z wilgotnej kory. Po chwili doszło do mnie, że zakręca w przeciwnym kierunku niż powinna, obmacywałem drzewo od wewnątrz.

Usłyszałem przeciągły jęk strzępiącego się drewna tuż za mną, skrzek rosnących w niewyobrażalnym tempie korzeni. Zacząłem się rzucać, coś wkuło mi się w ramię, korzenie oplatały mnie z każdej strony; próbowałem krzyczeć, ale nie mogłem. Zalążki czepiały się wszystkiego, pełznąc mi po kończynach, wzdłuż torsu, w górę szyi, by wejść w niemo rozwarte usta.

– *Przyjdź do mnie.* – Szepty rezonowały w mojej głowie, nakładały się na siebie.

Błysk, ciemność rozeszła się na bok, moim oczom ukazała się paleta barw.

Hiperwentylowałem w ataku paniki, aż zorientowałem się, że leżę na miękkiej kanapie, przykryty kocem, wybudzony z koszmaru po omdleniu.

Spróbowałem się poderwać, ale zaraz w plecach zakłuło mnie potwornie, ból wypalił łopatki, ramiona, szyję i dół pleców. Przez moment byłem szczerze przekonany, że mnie sparaliżowało od pasa niżej. Jednak krótką, acz bolesną chwilę później zrozumiałem, że haniebnie się potłułem, ale mogłem ruszać każdą kończyną. Jednak lepiej, żebym tego teraz nie robił, to inna sprawa.

Myśli zaczęły nadążać za czynami i zadawać niewygodne pytania. Nie byłem jednak, aż tak zdezorientowany, by nie rozumieć sytuacji. Musiałem wejść komuś na posesję, a teraz byłem w jej wnętrzu, gdy ten zorientował się w sytuacji.

Przypomniała mi się ogromna sylwetka człowieka-tura, który biegł w moim kierunku, tam, między dziadami. To było straszne, nigdy więcej nie chciałbym przeżyć czegoś takiego, jednak powinienem być wdzięczny, że przeżyłem.

Tylko gdzie się podział sam gospodarz?

Rozejrzałem się po wnętrzu drewnianej chałupy. Powinienem użyć słowa meliny, bo panowała w niej nędza większa niż u Romka, czy nawet u Waldka. Obity blachą stół, zastawiony narzędziami, nawet znalazło się stare, żeliwne imadło. Cała chałupa składała się z podłużnej, sporej izby, gdzie teraz leżałem oraz drugiego pomieszczenia za drzwiami po mojej prawej.

Wciągnąłem nosem zapach wilgoci i kopącego się na stoliku kadzidelka. Był nawet dywan, choć brudny jak diabli i wystrzępiony. Tam dalej salon zmieniał się w kuchnię – po prostu kilka szafek, miednica na wodę; nawet kranu nie było. Poznałem, że to kuchnia, głównie po skromnym zestawie naczyń, wystającym z niedomkniętej szafki.

Drzwi otworzyły się z hukiem, wiatr zaszeleścił suszonymi wiechciami ziół, zwisającymi spod sufitu. Kadzidelko jakby rozżarzyło się nagle, a wraz z nim zabrzęczała cicho rura obok mojej głowy, skąd wydobywał się błękitny, rzadki i pachnący dym.

Ogromna sylwetka człowieka-tura weszła do pomieszczenia, ledwie mieszcząc swoje poroże wewnątrz. Zamknął drzwi, które stawiały mocny opór i otwierały się, pchane podmuchami z zewnątrz.

Chwila ciszy, olbrzym przeszedł dwa kroki i zatrzymał się jak wryty, po czym obrócił w moją stronę. Ledwie zauważalnie drgnęła mu dłoń, sięgając do schowanej za paskiem siekierki.

Nie kojarzy mnie, pomyślałem, zaraz mnie tu zmasakruje w jakimś ataku Alzheimera.

Jednak tur zamiast tego zbliżył się ku mnie, nachylił, całą swoją masywną posturą i dosłownie buchnął rozgrzanym powietrzem z nosa wprost w moją twarz. Poczułem się jakby jakieś zwierzę mnie obwąchiwało i szczerze powiedziawszy, zdaje się, że dokładnie to się wydarzyło.

Przyłożył palec do ust, skrytych za wyszczerzonymi zębami roślinożercy. Ostrożnie wyjął z upatrzonej szafki zdezelowane radio i postawił je na stole, pstryknął włącznikiem, przekręcił gałkę dźwięku na maksimum i całą chatę wypełnił drążący uszy szum.

Ni stąd, ni zowąd, stało się coś, czego się nie spodziewałem. Tur zaparł dłońmi nasadę nakrycia głowy, szarpnął mocno raz i drugi, ze stęknieniem zdjął z siebie wielką czaszkę, z której osypał się kurz, pyłek, kilka poszarzałych listków i starte kawałki gumowej wytłoczki.

To był człowiek, chyba.

Uspokoilem się nieco, ale jego prawdziwa twarz nie wyglądała wcale przyjaźniej od wielkiej czachy majestatycznego zwierza. Był zarośnięty jak małpa; długie, czarne włosy i broda sięgały mu do mostka i porastały niemal wszystko poza oczami i czubkiem nosa. Drgała mu wyraźnie jedna powieka, naznaczona niewygojoną, zielonkawą blizną.

Nie odzywałem się ani ja, ani on, przynajmniej na początku. Poznaliśmy się w nieco niewygodny sposób i nadal nie byłem pewien, czy mnie po prostu nie oskóruje. Autentycznie to było pierwsze, co mi przyszło do głowy: że po prostu przerobi mnie na sakwę na wodę albo cokolwiek równie barbarzyńskiego.

– Herbaty? – spytał łagodnym tonem, zbijając mnie z pantałyku.

Otworzyłem usta, zamknąłem, uchyliłem, oblizałem się językiem, skrzywiłem, wzruszyłem ramionami; mniej więcej w tej kolejności.

– Masz wstrząs mózgu? – Zdawał się nie żartować.

– Nie, nie, chyba nie.

– Miodu do herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Czyli jednak masz. – Smarknął przez palce i przyłożył mi wierzch dłoni do czoła.

Wzdrygnąłem się z obrzydzenia, ale nieszczególnie się tym przejął. Zamruczał pod nosem i udał się do drugiego pomieszczenia, zostawiając pod drzwiami mój plecak, który przywłókł z dworu.

Przez krótki moment spoglądałem na radio; chciałem wyciągnąć dłoń, by je ściszyć, ale powstrzymał mnie jedynie ból w mięśniach. Jeśli to był jakiś nowatorski sposób torturowania więźniów to niezbyt udany – bardziej upierdliwy niż złowieszczy.

Po niedługim czasie mój gospodarz, czy może nadzorca, wrócił i niósł w dłoniach porysowaną, metalową skrzyneczkę, nie większą od pudełka na buty. Rzucił ją na stół bez jakiegokolwiek delikatności, przystawił sobie krzesło między mną, a stołem i przysiadł na skraju. Gdyby uwalił się na siedzisku równie beztrosko jak rzucał pudełkami, to pewnie zaraz leżałby na podłodze, otoczony kawałkami połamanego drewna.

– Możemy rozmawiać? – Obejrzałem się na radio i uniosłem brwi.

– Nigdy nie możemy, ale czasem trzeba – odpowiedział olbrzym, po czym otworzył pudełko tak, bym przez uchyloną pokrywę nie mógł zobaczyć wnętrza. – Wolę być ostrożny. Szczerze to bałem się, że zaczniesz krzyczeć.

– Nie wolno się odzywać w lesie?

Tur pomachał głową na boki; miał skupiony wyraz twarzy, niewyrażający emocji. To nie była przybrana maska, bardziej wyglądało to jak jakaś deprywacja społeczna – widocznie nie okazywał żadnych uczuć od bardzo dawna, może też z nikim nie rozmawiał prawdziwym językiem.

Przed oczami stanęła mi klatka z momentu, gdy zdejmował maskę tura. Wyglądało to, jakby nosił ją bardzo długo, na tyle, że nazbierało się pod nią ileś warstw zabrudzeń i pyłu.

– Skąd masz taką czaszkę? – Kupiłem sobie trochę czasu, bo palcami już powoli, bardzo ślamazarnie płynąłem pod narzuconym na mnie kocem, próbując uchylić kieszeń na sercu.

Nie pozwolę się schwytać, pomyślałem wtedy, kanibalowi, wariatowi, drzewu, wieśniakowi, nikomu, nawet pierdolonym polnym wróżkom.

To był moment, w którym zrozumiałem, że miałem przez ostatnie dni więcej szczęścia niż rozumu. Gopulska nie bez powodu kazała mi unikać rzeczy niezrozumiałych i groźnych, ale sama też była niezrozumiała. Wszystko miało tutaj ukryte motywacje, własne pragnienia. Ona również pomogła mi tylko po to, bym zrobił coś dla niej.

Każdy chciał ode mnie czegoś innego. Byłem obcym ciałem w tym organizmie, w którym większość mieszkańców chciała się mnie pozbyć albo zbudować na mojej biomasie własny zysk. A ja mam w dupie taki układ.

Palce wymacały rękojeść pistoletu.

Równie dobrze mogę być komórką rakową.

– Czaszkę? – Zmrużył brwi brodacz, drgnął minimalnie. – Upolowałem, dawno temu. Naprawdę dawno temu, wtedy jeszcze było trochę Samosiedlców i to Dionizy mi...

Poczułem ucisk w zębach, moja ręka szarpnęła się, chwycona za nadgarstek nim zdążyłem w ogóle pomyśleć, co się dzieje. Dopadł do mnie

tak szybko, że nawet nie zauważyłem, jak to się stało. Łokciem dociskał mnie do sofy, przygniatając pistolet w kieszeni i drętwiejącą kończynę, drugą ręką trzymał za przegub wolnej dłoni.

– To jest więcej niż nadużycie gościnności, wiesz? – warknął; zrobiło mi się słabo, albo od jego śmierdzącego mięsem oddechu, albo od tego, że sam nie mogłem złapać powietrza. – To zwykłe skurwysyństwo.

Najzwyczajniej w świecie wyjął moją broń, wypiął magazynek, ustawił obie rzeczy na końcu stołu, zwrócone do ściany.

– Co mi zrobisz? – spytałem po prostu, ale już czułem, jak robi mi się mokro pod plecami.

Człowiek-tur zastygł w bezruchu, a ja spiąłem się, szykowałem na uderzenie. Wypuścił powietrze, klepnął się bezgłośnie w czoło zażenowanym gestem i powiedział nagle:

– Bo ja się nie przedstawiłem?

Zamarłem.

Jezu, pomyślałem, jednak wariat. Wydrenowany psychicznie socjopata, który w przypadkowym momencie może mi uciąć palce albo połamać nogi i wrzucić do piwnicy.

– Pień. – Podał mi rękę.

– Drozd. – Chwyciłem za dłoń po chwili wahania, jednak oddał mi całkiem ostrożny uścisk, niemalże delikatny.

I nagle znowu w jego oczach strzeliły kurwiki, nozdrza uniosły się gniewnie, ale na twarzy zamalował się bardziej strach, przerażenie, tak podobne u zwierząt do agresji.

– To nie jest nazwisko?

– Słucham?

– Nie nazywasz się tak, prawda?

Musiałem myśleć szybko, bo sytuacja robiła się naprawdę napięta. Wyglądało to co najmniej tak, jakby za złą odpowiedź miał mnie wyrzucić przez drzwi. Więc cóż pozostało? Kłamać, ale kłamać obcemu człowiekowi w jego własnym domu, to też trzeba mieć brawurowe pomysły.

– Tak mówią do mnie ludzie, których znam.

Tur zamrugał ciężko, jego usta zadrgały, odsłaniając poślisk zębów. Miał nieco przydługie, zaostrome kły z wyraźnymi śladami po pilniku.

– To dobrze – odpowiedział w końcu i mi ulżyło.

Nie skłamałem mu i nie powiedziałem prawdy. Ludzie, których znałem, mówili mi po nazwisku, w czym problem? Z każdą taką chwilą byłem coraz bliżej nabawienia się wrzodów żołądka ze stresu.

Gospodarz wrócił do przeszukiwania szkatułki i ku mojej zgrozie wyjął metalową strzykawkę. Pogmerał chwilę i włożył w nią powoli igłę, która wydawała się ogromna nawet w jego wielkich palcach.

Zmrużyłem oczy, obróciłem wykrzywioną twarz ku stołowi. Gdybym miał okazję, to w pierwszym odruchu strzeliłbym do siebie, a nie do niego.

Radio dalej szumiało, drażniąc moje uszy. Wieczór dawał coraz mizerniejsze, oranżowe światło. Rozważałem rzucenie się do ucieczki, ale nogi odmówiłyby posłuszeństwa po pierwszym kroku albo i wcześniej. Ile bym zdążył ubiec do nocy?

– Powinienem już iść – wyszeptałem, ale nie zwrócił uwagi, więc powtórzyłem głośniejsze. – Powinienem już iść!

Nie odzywał się i to było najstraszniejsze. Nie sam fakt, że nie znałem jego intencji, ale to, jak bardzo był nieprzystający przy tym wszystkim. Jakis leśny anachoreta, wyrzutek społeczeństwa, pustelnik, który zapewne odzywał się do człowieka po raz pierwszy od nie wiadomo jak dawna!

– Idę. – Minimalnie podparłem się na łokciu, by chociaż zwrócić na siebie uwagę. – Do widzenia, dziękuję.

Popchnął mnie na kanapę z powrotem, drugą ręką przeszukiwał zagracaną skrzynkę, aż w końcu wyjął niewielki flakonik przezroczystej, lekko zielonkawej cieczy.

Wydałem z siebie jakiś jęk, przymknąłem oczy i obróciłem głowę do ściany. Nie miałem zamiaru patrzeć drugi raz na jakiegoś ćpuna i to w tak krótkim odstępie czasu.

I wtedy chwycił moją rękę.

– Nie, zaraz, zostaw! – krzyknąłem przerażony i sturlałem się z łóżka.

Uderzyłem plecami o deski, poczułem wszystkie możliwe kości i mięśnie. Szarpnąłem się raz i drugi, zrzuciłem z siebie koc i oparłem plecami o kanapę. Dalej już tylko czołgałem się, wyciągając jedną rękę przed siebie i ciągnąc resztę ciała bardziej siłą woli, niż realną energią.

Chwycił mnie za kostkę i po prostu pociągnął do siebie. Przejechałem twarzą po drewnie, kilka drzazg wbiło mi się w policzek.

– Wiesz, dlaczego nie używa się retinalu przy operowaniu zwierząt? – zapytał matowym głosem, jakby mówił o pogodzie na dworze. – Działa świetnie, jeśli chodzi o wiotczenie mięśni, bardzo łatwo jest przeprowadzić operacje. Przez lata to była bardzo tania i nowoczesna metoda, a jedynym skutkiem ubocznym było niekontrolowane łzawienie, ze względu na skurcz mięśni twarzy.

Pień zbliżył się do mnie, chwycił mnie pewnie, wykręcił ręce i upuścił odrobinę cieczy wraz z powietrzem z wnętrza strzykawki.

– W końcu dokonano pierwszej operacji na człowieku, wiesz, ciężkie czasy. Operacja była skomplikowana, ale się udała, wszyscy byli bardzo zadowoleni, czekali, aż pacjent się wybudzi ze śpiączki. – Zbliżył igłę blisko mojego nadgarstka. Byłem na granicy omdlenia, plamy latały mi przed oczami. – Pierwsze co zrobił, to wziął skalpel i przeciął sobie aortę. Okazało się, że środek nie miał działania przeciwbólowego, jedynie zwiotczające.

Więc każdy operowany wszystko czuł, bardzo dokładnie, prawdziwie, każdą niewyobrażalną część bólu. A łzawienie nie było wcale od skurczu mięśni. To były po prostu łzy.

Po czym wkłuł mi się w żyły i zemdlałem.

– Ejże, kolego Drozd. – Słowa dobiegały jak przez grubą warstwę waty. – Wstawaj, kolego, halo.

Odpływałem powoli, w ciemną i ciepłą dal, zostawiając za sobą świat śmiertelników.

Po czym Pień przyłożył mi sole trzeźwiące pod nos i cała metaforyczna kraina odeszła, na rzecz chałupy o zachodzie słońca. Myślałem, że się porzygam, zerwałem się od razu i rozkaszałem.

– Ręce – powiedziałem w przestrzeń, widząc, że mogę je unieść do twarzy i nawet mniej to boli niż przed zastrzykiem. – Mam ręce, w sensie, że mogę nimi ruszać.

Gospodarz przymrużył oczy zdziwiony, po czym poszedł do kuchni, nastawił na kuchence turystycznej czajnik z wodą. Mówił do mnie z drugiego końca pokoju, zwyczajny, spokojny. Przed nim rozciągał się widok na część zasadzonych dziadów oraz na brzeg jeziora, który miałem po lewej, gdy przybyłem.

– Wariujesz chyba, co wdychałeś?

– Mówiłeś o retinalu, o tych operacjach, nawet nie spytałeś mnie...

– Dzieliłem się ciekawostką, rzadko mam okazje z kimś porozmawiać.

Zagryzłem wargi do krwi i krzyknąłem:

– Durny jesteś?!

Tur zamarł, obrócił się w moim kierunku, patrząc z przerażeniem. Radio na moment zaszumiało zmodulowanym tonem; to mógł być przypadek, niemniej znamieny. Obaj zmiłkliśmy w oczekiwaniu.

Rura parownika szumiała dalej cicho, wpuszczając dziwny dym do środka chaty. Pniowi drgały nozdrza, grdyka jeździła w górę i w dół, a dłonie na zmianę zaciskały się w pięści i rozluźniały. Niesamowicie cicho jak na swój wzrost i wagę doskoczył do mnie, zbliżył się twarzą w twarz i szepnął:

– Jeszcze raz się wydrzesz, a przysięgam, że przerobię cię karmę dla Żniwników, rozumiesz?

– Żniw-czego?

– Gówna psiego – warknął po prostu, tracąc cierpliwość.

Czajnik zdjął z ognia, nim ten zdążył zagwizdać, odczekał chwilę i z pietyzmem rozlał wrzątek do żeliwnego czajniczka herbacianego, a dopiero dalej do metalowych, pogniecionych kubków. Po nich przyniósł mały słoczek białawego miodu, przypominającego nieco półpłynny tłuszcz.

– Bardzo jasny.

– Taki powinien być – zachnął się gospodarz. – Jakby był inny, to znaczyłoby, że pszczoły się żywią na nieprzewidzianych pożytkach.

– Jesteś pszczelarzem, znaczy, bartnikiem? – dopytałem zdziwiony, bo wydawało mi się to nietypowo urocze jak na tak wielkiego, paskudnego typu.

– Łączę przyjemne z pożytecznym. Wybacz, jeśli cię nastraszyłem, po prostu wiesz, nie mam gości.

– Rzadko miewasz gości? – dopytałem, niby podsuwając poprawne zdanie gospodarzowi, który mówił z bardzo dziwnym, nieco archaicznym akcentem.

– Nie przejęczyłem się.

– Więc nigdy nikogo nie spotkałeś w lesie?

– Tego nie powiedziałem. Po prostu nie przyjmuje gości, bo też i nikt nie chce się zadawać z Samosiedlcem. Wioskowi są ponad tym, mają się za wybranych, a inni Samosiedlcy to...

Machnął po prostu ręką, uniósł brwi i wskazał na parujący kubek, samemu upijając łyk ze swojego.

Szczerze to już miałem dość herbaty, ale spróbowałem. Porównując do tej, którą zaserwował mi Maurycy, ta była mocno ziołowa, cierpka, zostawiała lekko piekący posmak na końcu języka.

– Nie jest zła – powiedziałem szczerze, co Pień przyjął milczącym skinieniem i wskazał na słoiczek miodu.

Miód nigdy mi nie leżał. Za słodkie toto, bardziej dla dzieci, a jak już to może w jakimś cieście, które też mi swoją drogą nigdy nie podchodziły. Mimo to spróbowałem, wybierając trochę złocistego pół-płynu łyżeczką, wyjętą z kubka.

Był cudowny.

Był autentycznie niesamowity, niemalże namacalnie widziałem, jak kolory zabłysnęły w otoczeniu, a kontrasty wyostrzyły się na ułamek sekundy. Pochłonałem kilka łyżek i Pień spokojnie, acz stanowczo odebrał mi słoiczek.

– Smakuje – bardziej stwierdził niż spytał.

– Może to głód – podałem nieśmiało, ale zaraz się poprawiłem: – Znaczy, bardzo dobry, naprawdę. Ja nawet nie lubię miodu, a to jest coś... Coś wyjątkowego, nie wiem nawet, jak to jest, ale coś w nim jest inne.

– To kwestia lasu, po prostu, ale nie przejmuj się, badałem to na różne sposoby, nie jest groźne, nie wyskoczysz w górę.

Zamrugalem bezrozumnie kilka razy.

– Ja tak mówię, w sensie nie wzniesiesz się, wiesz, nie pogłębisz efektu.

– Czego?

Pień przez chwilę szukał nowego słowa, wydawał się lekko zakłopotany własnym językiem, po czym na jego twarzy wymalowało się ogromne zdziwienie i spytał:

– Jak często chodzisz do lasu?

– Nigdy.

– Dobra, inaczej, co masz w masce?

– Nie wiem.

– To po co przyszedłeś do lasu?!

Teraz to on podnosił głos, z każdą sekundą popadając w panikę. Wyglądało to dosyć śmiesznie przy jego rozmiarze, ale głównie strasznie. Bo jeśli on się bał, to co ja miałem robić?

– Wybacz mi Pień, może powinniśmy byli od tego zacząć, a nie zastrzyków, co?

– Może – powiedział nagle chłodnym tonem, jakby rozważał coś nieprzyjemnego w głowie. – To po co tu jesteś?

Zagrałem o całą pulę, bo potrzebowałem każdej możliwej pomocy, by się wydostać z tego koszmaru.

– Uciekam przed ludźmi z Chołów. To dłuższa historia, ale muszę znaleźć najstarszą osobę w wiosce Cichych.

Cała galeria emocji przeskoczyła po twarzy Pnia, nim postanowił sobie przysunąć krzesło i usiąść. Przez moment zagryzał na zmianę wargi i chował twarz w dłoniach.

– Musisz mi wszystko powiedzieć, inaczej się stąd wynoś – powiedział to tak charakterystycznym tonem, że bardziej wierzyłem, iż sam mnie wyniesie z tego domu.

Więc opowiedziałem Pniowi wszystko, dokładnie wszystko, aż zapadł zmrok i siedzieliśmy przy drugiej herbacie i warzywnej sałatce z dziczyzną, wpatrując się w wabiącą ómy świecę z pszczelego wosku.

– Wątpię, że po ciebie tutaj przyjdą – wypalił wreszcie, siłąc się na uśmiech. – Można powiedzieć, że miałeś szczęście. Zwłaszcza, że Kołodziej nie wziął cię za złodzieja żywicy, a jeszcze nawet dał dosiąść. Tam na brzegu to mogłeś nawet kogoś naprawdę widzieć. Od Akacji to się trzymaj z daleka, bardzo złe miejsce.

– To mówisz, że Akacja jest jakimś stałym miejscem?

– Bardziej niż niemal cokolwiek innego. Stoi tak od prawie pół wieku, znaczy od początku, to taka kieszonka na czas. Miejsce się nie zmienia, czas się nie zmienia.

– Niesamowite, więc rzeczywiście mogłem tam umrzeć. Nawet coś jakby mi tak... A nie, bo głupie.

– Co?

– Nieważne, nawdychałem się pewnie...

– No pytam się. – Tur uderzył mnie po koleżeńsku w ramie, ale niemal przewróciłem się ze stołka. – Wybacz, jestem zamaszysty.

– Przeprosiny przyjęte, dryblasie – zaśmiałem się pod nosem i wróciłem wspomnieniami do Akacji. – Po prostu w tamtym miejscu jakby sam poczułem, że jeśli tam zostanę, to już nigdy się nie wydostanę. Tak jakby nie nawet obraz czy myśl pojedyncza, tylko to było takie...

– Przeczucie? – mruknął z dumną miną Pień i założył ręce na siebie, kiwając z lekka. – No bratku, to ty chyba zmysł masz. Ponoć niektórzy tak mają, czują las, są na niego bardziej wrażliwi.

– Albo to był przypadek.

– Absolutnie, niemalże na pewno przypadek. Jednak przyznasz, że dosyć ciekawa sytuacja.

Wzniosłem kubek do ust, siorbnąłem cicho i zgodziłem się dłuższym mrugnięciem.

– To teraz pewnie ja ci jestem winien trochę odpowiedzi, tak?

Ponownie mrugnąłem.

– Nie przestrasz się, ale rozmawiasz z duchem.

– Normalne lasy są pełne jagód, a tutaj same... No nieistotne, powinienem się dziwić, ale chyba po dzisiejszym dniu niewiele mnie zdziwi w życiu. Chociaż zawsze myślałem, że duchy są bardziej efemeryczne.

– Kurwa, jakie?

– Znaczy niedotykalskie, troglodyto zapchlony.

Pień wyszczerzył się paskudnie, skłonił lekko i odpowiedział:

– Dziękuję bardzo. Może pan oświecony doktor mi, prostemu leśniczemu wyjaśni, jak działa wiatrak doodbytniczy?

– Ta, jeszcze cze... Powiedziałeś leśniczy?

– Niezmiennie od trzydziestego szóstego roku, do... Który mamy dzisiaj?

– Osiemdziesiąty.

– Chryste, jak ten czas zapierdala. Trzeba przyznać, że nieźle się trzymam na swoje osiemdziesiąt jeden lat.

– Niemożliwe, nie. Ja wiem, że zapuszczony jesteś jak wygódka po inspekcji sanitarnej, ale fizycznie to nie jest możliwe, rozumiesz?

– Akacja – powiedział tylko, po czym machnął ręką dookoła.

– W sensie twoja chata też?! – Poderwałem się od stołu, gospodarz chwycił mnie za dłoń i syknął pouczająco.

– Nie głupku, cały las, w różnym stopniu, w różnych miejscach inaczej, że nie wspomnę o tym, co pożytki potrafią zrobić z człowiekiem.

– Jakie pożytki?

Pień na moment zamruczał w zamyśleniu i strzelił bezgłośnie palcami, wyciągając do mnie otwartą, brudną dłoń.

– Daj mi tę szyszkę, co wspominałeś. No dawaj, dawaj, nie bój się, możesz na rękę wziąć, ale przez rękawiczkę.

Doczłapałem powoli do plecaka, ostrożnie, nadal nie będąc pewnym, dlaczego zastrzyk pomógł tak szybko i co w nim było. Podobny do termosu pojemnik stuknął o stół, przysiadłem z powrotem, przysuwając plecak ze sobą, żeby nie latać na dwa razy.

– To jest łubianka stalowa, porządna rzecz, raczej standardowo wykonana w tym wypadku, zdecydowanie ma swoje za sobą.

– Były dwie – odpowiedziałem, gdy Tur dokonywał ekspertyzy. – Druga przypalona, jakby ktoś ją opiekał nad ogniskiem albo spalał palnikiem acetylenowym.

– Bo dokładnie to mogli robić – zamruczał gospodarz i podrapał się po brodzie. – Poprzedni właściciel mógł przypadkiem uszkodzić pojemnik albo pomyśleć, że tak zrobił. Wsadził do środka jakiś delikatny pożytek i opalał z zewnątrz, by sprawdzić reakcje. Widocznie reakcji nie było, więc zostawił sobie łubiankę, a ty ją wywaliłeś, myśląc, że jest uszkodzona.

– Nie myślałem tak, myślałem, że to termos, a potem w ogóle nie myślałem, tylko zrzucałem zbędny balast pod Akacją.

Tur zaśmiał się, odkręcił wieko pojemnika i wysypał na stół błękitną szyszkę. Teraz, w mdłym blasku świeczki wydawała się lekko opalizować na turkusowo. Przez moment Tur jeździł po niej palcami, skórę na nich miał równie zrogowaciałą co szyszka swój pancerzyk. Nawet przy dotyku słychać było lekki chrobot, a na stół złuszczał się martwy naskórek. Wreszcie dostrzegł, jak mała kropelka krwi spada na stół i uśmiechnął się z lekkim pobażaniem

– A, to jednak z tych – szepnął bardziej do siebie, po czym spojrzał na mnie, szukając na próżno zrozumienia. – Pospolita rzecz, ale przydatna. Nie wiem, czemu poprzedni właściciel jej nie wyjął, może traktował ją jako amulet na szczęście, albo żelazną rację środków.

– Ale co to jest?! – Nie wytrzymałem w końcu, choć nadal starałem się szeptać, by nie zbudzić *czegoś*. – Dlaczego to w ogóle krwawi?

– Bo żyje. A raczej wsiąknęło w to coś, co kiedyś żyło. Ciężko mi rozpoznać, jaka to krew, czy ludzka, czy zwierzęcia; nie będę się popisywał, nie wiadomo czym przed tobą, po prostu nie wiem. Domyślam się, że dałbyś radę to sprzedać.

– Komu?

– Nie wiem, ile się przez te lata pozmieniało, ale Związek Radziecki to chyba dalej istnieje, prawda?

– I ma się nieźle.

– Zawsze możesz przeszmuglować do Rzeszy albo cokolwiek.

Żaśniałem się w duchu, ale nie dałem po sobie niczego poznać.

– Chcesz mi powiedzieć, że ktoś mógłby to kupić?

– Kupują, jak i niemal wszystkie pożytki. Niektóre są zbyt problematyczne, by je wynieść albo po prostu za duże.

– Myślałem, że las... Że to tylko wy tutaj albo coś takiego.

– Myślisz, że nikt na świecie nie dowiedziałby się, gdyby coś takiego zaczęło istnieć? – Chwycił za krwawiącą szyszkę. – Wiesz, co to jest? Darmowe źródło krwi do transfuzji, innych zastosowań nie wymyśliłem na swój użytek i nigdy nie potrzebowałem. Ja nie handluję z ludźmi spoza lasu.

– Ludzie z Chołów handlują?

– Nie nazwałbym tego handlem. Też ich za bardzo nie znam, można powiedzieć, że mnie unikają. Kiedyś handlowali z Samosiedlcami, przynajmniej niektórymi, ale przestali, bo... No nieważne. Od jakiegoś czasu to

już tylko Cisi spotykają się na jakieś wymiany, a ja czasem podrzucam im rzeczy, które mnie się nie przydadzą. Myślisz, że gaz w palniku to znalazłem w lesie?

– Nie...

– To źle myślisz, akurat tę butlę ukradłem z wygnieżdżonej chaty po kimś; ale większość rzeczy, których nie mogę sam zrobić, po prostu biorę od Cichych, a oni biorą je od Chołowników.

– Skoro tak, to czemu nikt nie wie o tym miejscu? Czemu nie ma jakiegoś wielkiego kordonu obronnego, masowego drenowania zasobów, czegokolwiek?

– A po co miałyby być? – Tur smarknął przez palce i wytarł maż o kant stołu. – Ktoś stąd ucieka? Kogoś to miejsce interesuje? To nie kopalnia złota, tylko galeria osobliwości. Pewnie, że część z tych rzeczy jest niesamowita, wręcz sprzeczna z prawami przyrody. Tylko po co to tam, w naszym... Czy może waszym świecie?

– Żeby wiedzieć, jak to działa?

– Romantyczny jesteś. – Poklepał mnie po ramieniu i ponownie syknąłem z bólu; nie miał już oporów, odkąd chodziłem o własnych nogach. – Małpa chce mikroskop, by wiedzieć, jak on działa, to bardzo słodkie, naprawdę. Może jeszcze chcielibyście sami te mikroskopy robić, by łupać nimi orzechy?

– Mimo to, rząd na pewno trzyma rękę na pulsie, prawda?

– Bardzo prawdopodobne. Czasem widziałem w lesie pozostałości po ich ekspedycjach. Nie mają pojęcia, jak działa las, są różne sposoby, by się po nim poruszać, ale te sposoby nie spodobałyby się rządowi, nawet gdyby je znał.

– Na przykład pieśni?

– Pieśni Chołów. – Tur zmiłkł na chwilę, odstawił na bok puste naczynia i wrócił po chwili z miseczką gruszek, stawiając ją między nami. – Jakbym był bardziej religijny, to pokusiłbym się o twierdzenie, że to Słowo Boże w najczystszej postaci.

Nogi stołowe zaskrzypiały pod naporem obrośniętych łokci. Tur sapnął zmęczony, jakby siłował się z czymś, co od lat spędzało mu sen z powiek.

– Boga nie ma – powiedział absolutnie obojętnym tonem.

– Ateizm nie sprzyja przetrwaniu. – Wzruszyłem ramionami, wymądrzając się. – Nie daje popchnięcia, motywacji, by żyć mimo wszystko...

– Boga nie ma *tutaj*. – Sprecyzował, przegryzając gruszkę w pół, a następnie dodał z pełnymi ustami: – W lesie jest miejsce tylko dla jednego Boga, konkurencja jest bardzo duża. To nie kwestia wiary, po prostu ekosystemu. Zawsze myślałem o bogach jako o zwierzętach, które są najwyżej w łańcuchu pokarmowym, jak niedźwiedź w lesie. Niektórzy wierzą, inni nie, są tacy co myślą, że go widzieli, ostatecznie nie ma dowodów, ale w nocy nikt się nie zapuszcza do matecznika.

Pomasowałem rozgrzane skronie, ścisnąłem powieki, sycząc z bólu i zmęczenia.

– Nie rozumiem tego miejsca. Wymyka mi się to z ram pojęciowych, to nie ma prawa działać, zupełnie jak sen. Różnica jest taka, że ten sen trwa zbyt długo, zdecydowanie nazbyt długo, bym mógł z tym walczyć rozumem.

– To stwórz nowy rozum. Jeśli nie działają poprzednie pojęcia, to zrób sobie nowe, jeśli nie dodaje ci się matematyka, to zmień matematykę. – Przerwał na moment, by wygrzebać sobie włóknisty kawałek spomiędzy zębów. – Albo bierz nogi za pas i spierdalaj.

Przeciągnąłem się powoli, coś chrupnęło w kościach tak głośno, że aż spojrzeliśmy po sobie z gospodarzem. Skinął głową pytająco, pomachałem swoją na boki, bywało gorzej. Pociemniało mi przed oczami, wstałem powoli od stołu, odsuwając krzesło, szurając nogami o parkiet.

– Chyba sen mnie morzy – wybełkotałem cicho i niewyraźnie, zachwiałem się nagle.

Radio zabrzczało dziwacznie, jakby ktoś przekręcał gałkę częstotliwości. Tur bezgłośnie dopadł do radia i wykręcił gałkę głosu na minimum, po czym wyjął baterię ze środka.

Mimo to, radio dalej skakało po niemych kanałach.

Pień podparł mnie ramieniem; nie mogłem nawet dostrzec, jaki miał wyraz twarzy, bo przed oczami latały mi jedynie ciemne mroczki i niebieskie kropki, zwiastujące utratę przytomności. W ustach poczułem metaliczny posmak krwi, w który zaczęła wnikać cierpka nuta ciecierzycy.

Mówił coś do mnie, byłem pewien. Światło zgasło, w mroku przetaczały się figury, przemykały cienie, głos gospodarza mieszał się z głosami znikąd. Granice jawy i majaku płynnie mieszały się, bełtając mi w głowie jednolitą masę tego, co było prawdziwe tylko w lesie.

– *Idź... Ku... Mnie... Drozd... Widzę... Cię.* – Nie mogło mi się здаwać, nawet na granicy omdlenia, byłem pewien, że głos dobiega z radia i jest skierowany do mnie. Elektryczne trzaski co chwila uderzały ogłuszająco, akcentując kolejne słowa. – *Idź... Potrzebuję... Cię.*

Coś uderzyło w zewnętrzne drzwi, wypychając mnie nieco ku powierzchni świadomości. Tur ciągnął mnie po podłodze, samemu miał ledwie dość sił, by iść. Byliśmy w drugiej izbie, długiej, podzielonej kotarą na pół, z jednym oknem, wpuszczającym światło księżyca.

Mrok zaczęły rozświetlać pojedyncze ogniska, zarzających się kadzidełek. Ciemne pałeczki, wystające z drewnianych podkładek zdawały się giąć

do ziemi, ciągnięte nieznaną siłą. Nim się obejrzałem, Pień rzucił mnie na materac i przykrył zmechaconym kocem.

Paroksyzm bólu zgiał mnie w kłębek, Tur chwycił mój podbródek i powiedział coś, ale ja słyszałem jedynie następne uderzenia o drzwi, ściany, dach, a nawet o podłogę. Chciałem krzyczeć z przerażenia, może nawet to robiłem, choć nawet tego nie mogłem być pewny.

Twarze, najgorsze były twarze na obrazie, wiszącym na przeciwległej ścianie, wychodzącej na las. Duży, prostokątny malunek przedstawiał wykrzywione, zaropiałe twarze. Zdawały się przedstawiać jakieś obrzydliwie naturalistyczne portrety trumienne. Najgorsza ozdoba na jaką mogłem natrafić w halucynacyjnej malignie.

Zamknąłem oczy, spróbowałem uciec od koszmaru na jawie, chociaż do koszmaru sennego. Przyjąłbym najgorszy nawet sen, największą marę i potworność, by nie słyszeć już trzasków nawołującego radia, uderzeń setek rąk i jęków zmarłych.

I sen przyszedł.

Choć nie taki jakiego się spodziewałem, biegunowo odległy.

Widziałem ją, Łucję, moją opokę bieli w oleistym mroku. Zdrajczynię, interesowną Chołowniczkę, która gotowa była rzucić mnie na żer. Jednak spowity krzykami i ciągnącymi ku mnie cieniami poczułem, że to moja jedyna szansa. Choć o krok zbliżyłem się, poczułem jej ciepło.

Siedziała jako całkowicie jasny kontur drobnego człowieka, przed nią płonęło ognisko, dookoła siedziały postaci uwite z falującego powietrza.

– *Jerzy, ogrzej się, wszystko będzie dobrze* – szeptała, choć jej głos był absolutnie matowy, nie bił nawet tym ciepłem, które tak chętnie oddawała jej sylwetka.

– *Jerzy...* – Jej głos się załamał, gdy podszedłem do ogniska. – *Nie...*

– *Mamy...*

I wszystko się urwało. Poczułem uderzenie w brzuch, światło rozpędziło mrok, wyrwało cienie z kątów i posłało na swoje miejsca. Był znowu dzień, zwykły, spokojny. Zostały tylko mgliste wspomnienia malign i z trudem powstrzymywane wymioty.

Opróżniona z naczyń miednica stuknęła o podłogę przede mną. Pochylałem się akurat i omal nie dostałem zawału ze strachu.

– Rzygaj – rzucił hardo Pień, mocnym, donośnym tonem.

– Nie, nie muszę, chyba wytrzy...

Uderzył mnie otwartą dłonią w plecy, posyłając na kolana. Zakotłowało mi się w żołądku na nowo, grożąc utratą treści.

– Rzygaj! – ryknął z powagą.

Włożyłem dwa palce w gardło, rozległy się znamienne dźwięki i po chwili siedziałem na materacu, oparty o ścianę.

– Trzeba ci zrobić czyszczenie żołądka, bo nie wiem co za gównu wciągałeś – odezwał się już spokojniejszym tonem, aczkolwiek teraz, za dnia, mówił głośno i każde słowo przypominało charkot dzikiego zwierzęcia.

– To na cholerę mnie karmiłeś? – odpowiedziałem równie nieprzyjemnym tonem, choć mój przypominał co najwyżej szczekanie lisa, a jego ryk niedźwiedzia.

– Jestem dobrym gospodarzem – rzucił niewinnie, po czym wzniosł ręce w uspokajającym geście. – Żartowałem, spokojnie. Po prostu nie spodziewałem się, że tyle się wydarzy. Myślałem, że to przechorujesz, ale widocznie sam zaczęłaś wchodzić wyżej... A moment, ty dalej nie wiesz.

– Czego nie wiem?

– Jak działają przejścia między światami, jakim sposobem jeszcze żyjemy, a inni potrafią nagle zawisnąć w lesie na bluszczu.

– Po co jemy ciecierzycę, tak?

– To tylko drobny element. Wyjaśnię ci to potem, a teraz się ogarnij trochę, bo czeka nas długa droga.

Rozmasowałem obolałą twarz; mięśnie mimiczne ciągnęły bólem jakbym całą noc się śmiał albo krzyczał. Na moment rozejrzałem się po pomieszczeniu, oświetlonym porannym, jasnym blaskiem. Bardzo powoli obróciłem głowę w kierunku obrazu.

Okno.

W miejscu obrazu z twarzami było teraz po prostu okno.



– Nadal budują kamienice? – spytał, przesadzając duży, gładki kamień, obrośnięty żółtym mchem.

– Poza lasem? – dopytałem, na co on ledwie widocznie kiwnął wielkim łbem, skrytym pod turzym porożem. – Ano, jak wszędzie, ale teraz to się bardziej buduje bloki mieszkalne. To takie jakby ule, wielkie kamienice, szerokie, na setki osób albo i więcej.

Pień na moment przystanął, zamlócił ramionami, objuczonymi sporym, choć niemalże pustym plecakiem, łukiem i kołczanem. Musiało być mu strasznie niewygodnie, ale nie narzekał, tak jak i ja, choć mój plecak był jeszcze lżejszy. Wyruszając Tur kazał mi zostawić większość bagażu, ponoć mieliśmy coś nieść z powrotem.

– Las jest jak kamienica – odezwał się nagle, rozkładając ręce w kierunku przecinki, porośniętej wysokimi, tyczkowatymi pędami, nad którymi latały robacznice. – W kamienicy mieszka bardzo wiele rodzin, różniących się od siebie liczbą członków, bogactwem, wyuczonym fachem, charakterem. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie klatka schodowa, po której można chodzić z góry na dół i z powrotem oraz na boki.

– Mało precyzyjne – wtrąciłem. Pień wskazał mi na rój owadów.

– Ile jest much tutaj?

– Setki?

– Jedną mniej... O, kolejną mniej. – Obserwował coś, oczy skakały mu momentalnie z jednego wycinka obrazu na drugi. Widział coś, czego ja nie mogłem dostrzec. – Teraz zrobimy coś, ale obiecaj mi, że nie zaczniesz się zachowywać głupio, dobrze? Nie zacznij biegać, krzyczeć ani nic takiego.

Przytaknąłem bez słowa, na co on podał mi coś w rodzaju oskubanego orzecha laskowego, jednak wydłużonego, o mocnym, brązowym odcieniu. Przegryzłem smakołyk, był cierpki, ale w tym dobrym sensie, jak wino wytrawne. Z powrotem zapiąłem zasłonkę na ustach, pod maską i czekałem na efekty.

Nic się jednak nie działo, nawet po dwóch minutach. Pień dalej wpatrywał się w podstawę jakiegoś grubszego, wyniosłego drzewa. Już miałem zwrócić uwagę, odezwać się, dopytać o coś więcej, gdy wreszcie to przyszło do mnie samo.

Wpierw pociemniało otoczenie, na świat nałożył się inny filtr barw, wycinający to, co żywe i piękne, a pozostawiający jedynie nijaki brąz, zatęchłą zielen i beżpłciowy mrok. Jednak tuż po tym pojawiło się coś znaczenie ważniejszego, wyjaśniającego wszystko w kompletnie nowy sposób.

Żaba, czy może ropucha? W każdym razie jakieś ogromne, bure zwierzę, wtopione niemal idealnie na tle kory drzewa. Miało paskudne fałdy brwi, opadających na żółte jak ropnie oczy, opierało się o ziemię na błoniastych łapskach i szerokim, napęczniałym brzuchu. Każdy ruch oczu Tura miał teraz sens, gdyż śledził on skoczne podrygi języka żaby, która co kilka sekund wyławiała kilkumetrowym ozorem muchę ze stada, Ignącego do roślinnych tyczek.

– Jak coś tak wielkiego może żyć na muchach? – spytałem o pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy. – W sensie, to jest za duże, patrz na ten opasły bęben!

– Ciszej, bo coś usłyszysz. Na wyższym piętrze mieszkają Szustaki – odpowiedział spokojnie Tur. – Teraz jesteś wyżej, rozumiesz? Wszedłeś po schodach tej kamienicy na inne piętro, do innych mieszkańców. Możesz krzykiem lub pukaniem, bieganiem, zainteresować ludzi z wyższego piętra.

– A co mają z tym wspólnego te orzechy, kwiaty, ciecierzycyca... To wszystko jakieś psychodeliki?

– Możesz to tak nazwać, ale to nie są halucynacje. To wszystko jest naprawdę, tylko żyje obok ciebie, nad tobą, czasem pod tobą.

– Czyli jest ileś lasów? W sensie, ile jest tych pięter? Czy poza Chołami też są takie piętra? Moment, bo wariuję.

– Ostrzegałem – zaśmiał się cicho, poprawiając szelki plecaka. – To dużo jak na jeden raz. Przeraża mnie trochę myśl, że przyszedłeś tutaj na jakimś przypadkowym poziomie. W masce miałeś jakiś syf albo kompletnie niezrozumiałą mieszankę, a żyję tutaj od... Od zawsze.

Nagle posmutniał, oparł się o drzewo i wlepił wzrok gdzieś w dal. Miałem wrażenie, że choć wszedłem na ten sam poziom halucynacji co on, to i tak nie myśleliśmy o tym samym i patrzyliśmy na dwa zgoła odmienne od siebie światy.

– Mam naprawdę koszmarną ilość pytań. – Zbliżyłem się i położyłem mu dłoń na naramienniku z wyprawionej skóry. – Ale chyba mi na nie odpowiesz, prawda?

– Może – odparł beznamiętnie i strząsnął moją dłoń, występując szerokim krokiem na przód. – Teraz idziesz mi zapłacić za zastrzyk.

Wzdrygnąłem się.

– Chyba na odwrót! – podniosłem głos nieznacznie i doskoczyłem za nim.

Minęliśmy wielkiego ropucha, który na moment przerwał cel swojego życia i powiódł wzrokiem za nami. Poczułem dreszcz, schodzący mi po karku, obłożonym ogumionym porożem. Przez krótki moment myślałem, że ropuch strzeli językiem, jednak to zostało jedynie w sferze moich lęków.

– W ogóle to czym był ten zastrzyk? Koszmarny, nie rób tak nigdy więcej, ale czym on był?

– To był szpik kostny Wierzba.

– Przepraszam bardzo, kuźwa, co? Czasami mam wrażenie, że mówisz innym językiem. Chcę wiedzieć, czym jest Wierzba?

– Wierzb – poprawił mnie olbrzym. Zbliżył się do dwóch ogromnych dębów i stanął jak wryty. – Obchodzimy to.

– Jasne – odpowiedziałem, nawet nie siląc się na kwestionowanie.
– Skoro to przeklęte miejsce.

– Nie śmiej się, nic nie wiesz – odwarknął mi Pień i rzeczywiście obszedł dęby na kilkanaście metrów. – Po prostu podobieństwa się nie zdarzają w lesie tak często, praktycznie nigdy. Więc rada na przyszłość, unikaj, jak możesz.

– Doceniam, przyjmuję, ale i tak jednak nie wytrzymam i spytam: dlaczego? Z czego to wynika?

– Symetria nie występuje w naturze tak często, a już na pewno nie w dużej skali. Pajęczyna może być symetryczna, ale nie stojące obok siebie dwa drzewa. Twarz dzika i jego szable mogą być symetryczne, ale nie leżące kamienie.

Logiczne, pomyślałem, coś nowego. Większość rzeczy do tej pory przyjmowałem na wiarę, a to wydało mi się zdecydowanie bardziej... No nie wiem, spójne? W każdym razie nie było to coś, czego nie mógłbym

wykombinować sam, mógłbym po prostu nie mieć okazji. To trochę jak z uczeniem plemiennym, ktoś musi być królikiem doświadczalnym dla hipotez. Pytanie tylko: skąd Tur to wszystko wiedział?

Las ciemniał, powietrze było coraz wilgotniejsze, zasłonięte półprzeźroczystą, zieloną poświatą. Pewność siebie ulatywała ze mnie jak powietrze z przebitego balonu. Nie ma takiej ilości wiedzy, która potrafiłaby stłumić w pełni grozę, jaką oddawał bór z innego świata. Gdy tylko na moment łapałem choć cień zrozumienia, zaraz pojawiała się cała arkana wiedzy, zrównująca mnie do poziomu drobnego żuka, przemierzającego lustrzany labirynt.

Bo chyba wszyscy widzieli w lesie kawałki siebie. Nie tylko ja, ale i Pień, Łucja, Maurycy czy w ogóle chłopci. Dla każdego las był wielkim zwierciadłem, obsiadłym pajęczynami i mchem, zamieszkałym przez robactwo. Widoki w lustrze były powykręcany, obrzydliwymi parodiami naszych wierzeń i lęków. I chyba właśnie stąd brała się cała ta folklorystyczna mitologia, która obsiadła las. Sami tworzyliśmy zwidy i halucynacje, które potem żyły własnym życiem.

– Gdy rozum śpi, budzą się demony. – Stałem nagle, Tur obrócił się w moim kierunku. Był dość daleko, ciężko mi było dostrzec wyraz twarzy pod maską, widziałem jedynie drgające mięśnie. – W jakim stopniu las jest z innego świata?

Tur przez moment oddychał ciężko, jego masywne ciało unosiło się i opadało z trudem. Obrócił się i po prostu odszedł, zostawiając mnie z moją myślą. Tak po prostu, świadomie zignorował, jakby nie chciał odpowiadać na pytanie albo nie potrafił.

Zbliżyłem się do losowego drzewa, trafiło na ogromną brzozę. Spojrzałem na bladą, odłazącą płatami korę o czarnych, nabrzmiąłych pęknięciach. Wszystko wydawało się normalne, prawdziwe, znajome. Chwyciłem

kawałek kory, obejrzałem się na plecy odchodzącego Tura i zerwałem biały płat.

Rozbrzmiał lepki, nieadekwatny plask. Jakbym zrywał kawałek świeżego strupa z mięsem. Świat poczerwieniał nieco, zajaśniał. Między gałęziami zdawało mi się jakby przepływały długie, różowe rury, kable, czy może... Żyły? Tak jakby gałęzie łączyły się ze sobą, przesyłały płyny albo informacje? Wyglądało to tak jakby cały ten wielki sufit, zbudowany z koron drzew, był siecią neuronową albo jakąś częścią mózgu.

Nagłe uderzenie wyrwało mnie z rozmyślań.

Różowe gałęzie zniknęły. Byłem tylko ja, z płatem kory w dłoniach i Turem, sapiącym obok mnie, jakby przebiegł właśnie pół kilometra.

– Co chcesz? – spytałem, na co on zawarczał tak paskudnie, że spodziewałem się, iż mnie pogryzie.

– Żebyś nie ruszał niczego, czego nie znasz, durniu – powiedział gardłowo i profilaktycznie pacnął mnie w mój jedyny róg.

– To może mi zacznij wyjaśniać rzeczy?! Żebym je znał na przykład – odpowiedziałem nieco głośniejszym i bardziej opryskliwym głosem.

– Bo ty wszystko chcesz na już, na rympał, na chybcika!

– Bo to moja praca, do jasnej cholery, poznaję świat, mam wysoką potrzebę domknięcia poznawczego.

– Wysokie co cię przytrzasnęło?

– Gównu psie. – Obróciłem się w bok, na co Tur zbliżył się do mnie i zmierzył mnie z góry.

– Nie pozwalaj sobie, Drozd.

– Bo? – spytałem, prostując plecy i wbijając wzrok w jego twarz, choć był znacznie wyższy. – No co mi zrobisz? To samo co tamte prymitywy z Chołów?

– Nie porównuj mnie...

– Daj mi powód.

Tur kiwnął stanowczo głową. Myślałem, że powie mi coś istotnego, że przyzna się do czegoś, albo zdradzi mi sekret. Zamiast tego zrzucił plecak, który uderzył w wyjałowioną dziwnie ziemię, gdzie rosło ledwie kilka bladych żdźbeł trawy.

Chwycił mnie za ramie tak mocno, że pociemniało mi przed oczami. Wykręciłem się i odruchowo popchnąłem go w wielką, wyszytą ze skór tunikę. On na to odpowiedział takim samym popchnięciem, tylko o wiele mocniejszym. Uderzyłem o brzozę, do pleców przykleiła mi się żywica.

Tur przyskoczył do mnie, chwycił mnie za fraki i ewidentnie chciał zrzucić do parteru. Ja planowałem wykroczyć w bok, przyklęknąć i kopnąć go pod kolanem. Żaden z nas nie zrobił jednak nic z tych rzeczy.

Gdy tylko Pień chwycił i zaparł się, by mną rzucić, to poczuł ogromny opór. Ani drgnąłem, w jedną czy drugą stronę. Wymieniliśmy się nierozumnymi spojrzeniami zza szkieł masek i obejrzeliśmy na moje plecy, przyklejone do brzozy.

Drzewo zatrzeszczało cicho, dostrześliśmy malutką, złocistą stróżkę soków, płynących od szczelin w korze u szczytu. Niemal momentalnie wysoko umiejscowiona, czarna obręcz na korze zaczęła wypuszczać lepką maź, spływającą coraz szybciej do samego podnóża drzewa. Jedna ze stróżek nabrzmiała na moment, wydeła się i puściła kropelkę, która zleciała na ziemię. Kropelka trafiła na załążek trawy, objęła go łapczywie i dosłownie pochłonęła, po czym zniknęła w wytopionej w gruncie jamce, jakby była żarliwym kwasem.

Tur syknął tylko ostrzegawczo: Cicho! I niemal natychmiastowo jął mną szarpać i próbować mnie odlepić od kory. Ja sam robiłem, co mogłem, napierałem na zmianę w lewo i prawo, ale jedyne co osiągałem to grzęźnięcie jeszcze mocniej w lep.

– Pień, zrób coś, nie zostawiaj mnie tak!

– Próbuję! – warknął, choć w jego głosie zabrzmiał brak pewności siebie.

Soki były coraz bliżej, strugi łączyły się, otaczały obwód pnia kilka metrów nade mną i szybko skracaly dystans. Pojedyncze krople zaczęły spadać z góry, wypalając sobie drogę aż do głębi ziemi. Jedna z większych kropel spadła mi na głowę. Krzyknąłem przeraźliwie, gdy poczułem pozornie delikatne uderzenie

– Nie krzycz, wszystko będzie dobrze, coś wymyślę! – uspokajał mnie Tur, choć jego ruchy robiły się coraz bardziej nerwowe.

Kropla prześlizgnęła mi się po jeleniej masce, znacząc długi ślad na opierającej się z trudem tkance kostnej. Nad krawędzią oczodołu zebrała się niewielka grudka soku, który zdawał się jakby myśleć, planować, w jaki sposób dostać się do wnętrza czaszki, zawierającej posiłek. Żywica zaczęła wlewać mi się do oczodołu i osadzać na wizjerze.

Krzyczałem, zamykając w panice oczy. Ból był koszmarny, czułem jakby ktoś mi wygrzebywał gałkę oczną pogrzebaczem do węgla.

Tur wyjął z kieszeni na spodniach ząbkowany nóż i przymierzył się do cięcia. Przez głowę przemknęła mi krótka myśl, uspokajająca, dająca poczucie nadziei. Naprawdę myślałem, że to już koniec. Że nadszedł moment miłosierdzia, a brudny, leśny rycerz sięga po metaforyczną mizerykordię i zada mi *coup de grace*.

Stalowe ostrze śmignęło w powietrzu, wbiło mi się nad ramieniem. Zaskrzeczał pękający materiał, druga dłoń Tura szarpnęła mnie za ramie, nieomal wyłamując mi bark. Wreszcie uwolniłem jedną rękę, wykręciłem się bokiem do drzewa. Tur szybko zmienił chwyt, chwycił mnie za głowę oburącz i pociągnął do siebie z całej siły, odrywając potylicę, która przylepiła się do drzewa.

Wykręciłem się wreszcie do końca i z rozpędu wyrwałem drugą rękę, zostawiając płaszcz i plecak, wtopione w drzewo.

Dychałem ciężko, leżąc w samym czarnym swetrze na jałowej, wypalanej ziemi. Pień był rozsądniejszy, odciągnął mnie jeszcze metr dalej, akurat, gdy między moimi nogami spadła kropla żywicy z gałęzi. Nie chcę wiedzieć, gdzie by wylądowała, gdyby nie on. Dосkoczył jeszcze do zalewanego właśnie płaszcza, wykręcił materiał plecaka, na ile mógł i wysypał zawartość na ziemię, po czym sam zrobił unik w ostatniej chwili.

Niemalże całe drzewo od pnia po koronę było złociste. Absolutnie spowite bursztynowym sokiem, który zdawał się pulsować, błyskać i nadymać jednocześnie. Wyglądało to tak, jakby powiększony miliardy razy makrofag pożerał kawałek biomasy.

– Jak wyglądam? – spytałem, łkając, dalej bojąc się otworzyć zalepione żywicą oko. – Jezu, jak to wygląda?

– Chujowo. – Smarknął między palce Tur i nachylił się nade mną, w głosie już nawet nie miał cienia emocji. – Modelem to nigdy nie będziesz.

– Co wy macie z tym modelem, Zając to samo... Zresztą nieważne, kurwa, nie mam oka, rozumiesz?!

Tur po prostu wyciągnął z głębi swojego plecaka kawałek bawełnianej, brudnej szmaty i przetrął mi nakrycie głowy. Tarł długo i zajadle, jakby polerował karoserię samochodu. W końcu stwierdził z lekkim rozbawieniem:

– Dawno nie widziałem takiego szczęściarza.

– Szczęściarza? – spytałem, będąc na granicy załamania psychicznego, spanikowany, pozbawiony ubrania i narzędzi przetrwania, nieomal pożarty przez mięsożerną roślinę. – To ciekawą masz definicję!

– Spójrz sam.

– Nie mogę! – zawyłem w przerażeniu.

– To otwórz oko.

Z trudem przełamalem się i nieśmiało uchyliłem powieki. Świat był skąpany w intensywnym blasku zachodzącego słońca. Dopiero po chwili zorientowałem się, że patrzę na wszystko przez filtr z żywicy. Soki brzozy rozlały się po lewym wizjerze, przez co wszystko miało inne barwy, a nawet kształty i...

– No i? Ej, co jest? – spytał zdziwiony Pień, a ja wstałem bardzo powoli i z niedowierzaniem zawróciłem, zbliżając się dwóch dębów.

Pień podążał za mną, odległość nie była duża, ale jeszcze kilkanaście kroków i dęby zniknęłyby mi z widoku. Teraz widziałem dokładnie, te same dwa dęby co wcześniej, jednak przefiltrowane przez żywice.

– Co widzisz? – spytał, tak po prostu, stojąc w bezpiecznej odległości od dwóch przeklętych dębów i gigantycznej, śliniącej się paszczy, gotowej połknąć go w całości.

Rozwarta szeroko wielka, paskudna, morda. To właśnie w spektrum mojego żywicznego wizjera ujrzałem. Nie wiedzieć czemu, spodziewałem się czegoś w rodzaju portalu między wymiarowego, próżni, jakiegoś pudełka niesamowitości. A tutaj nie, ot, zwierzę, pokryte łuskami.

No właśnie, bo twarz nie była tak po prostu samą głową, wiszącą sobie między dwoma drzewami. Ona była rozwartą gębą czegoś, czemu najbliżej byłoby do wielkiego węża, któremu spomiędzy łusek wystawały stopniowo kawałki grzybów, płaty mchu, kępy trawy i porostów. Bestia miała zbyt wielkie rozmiary, bym mógł to oszacować, starczy powiedzieć, że wtapiała się w ziemię i płynęła gdzieś w dal, udając część runa leśnego.

– Miałeś rację. – odpowiedziałem, po czym podniosłem nieduży, obły kamyczek

– Co chcesz zrobić?

– Eksperyment. Od tego tu jestem, prawda?

Uśmiechnąłem się do siebie i rzuciłem kamieniem w paszczę węża, przymykając jedno oko. Zaraz po tym powtórzyłem to samo z innym kamieniem i innym okiem.

– To jest autentycznie... Więcej niż niesamowite i fascynujące, mam ochotę płakać.

– Ale, kuźwa, co? – warknął mój towarzysz, słusznie tracąc cierpliwość.

– Między tymi drzewami czeka drapieżnik. Wielkie stworzenie, trochę jak wąż, nie ma nawet oczu w sumie. Wiesz, czytałem o takich węzach, większość jest niemalże ślepa, używają języków do analizy chemicznej i...

Pień patrzył na mnie bezrozumnie; odczytywałem jego emocje mimo stosu skór, kawałków giętkiego pancerza i turzej maski. Cóż, jak raz wykształcenie znajdowało zastosowanie w tym dziwnym, cichym świecie.

– Pierdolenie – skwitowałem, parskając śmiechem. – Wiem, że cię to nie obchodzi.

– Obchodzi, tylko używasz dużo słów, które są zbyt... Duże, skomplikowane. Nie jestem durny, ale zazwyczaj połowę tego co mówisz po prostu przepuszczam mimo uszu.

– Dupek z ciebie.

– Wręcz przeciwnie, robię to, bo jestem miły.

– Nieważne. – Machnąłem ręką i spojrzałem jeszcze raz na wielkiego węża. – Na ilu to jest warstwach halucynacji? Mogę sobie rozpisać jakiś diagram?

– Piramidę prędeży – szepnął pustelnik, wpatrując się w pustą przestrzeń między dębami.

– Nie gap się tak, bo cię dziabnie – powiedziałem półżartem i strzepnąłem niewidzialny bród z kolan, pokazując, że jestem gotowy do drogi.

Przed wyruszeniem przepakowaliśmy rzeczy uratowane z mojego plecaka do plecaka Tura. Tak jak wspomniałem, były to głównie drobne szpargały, więc obyło się bez strat. Najbardziej było mi szkoda samego płaszcza, bo nawet tetetkę przezornie przepakowałem z niego, skoro i tak nie wolno było jej używać w lesie.

Ukłuło mnie wtedy takie przeczucie, bardzo niepokojące, ale w nie-obecny do tej pory sposób. Czuję, że po prostu robię coś brawurowo głupiego. Przestaję na moment kalkulować szanse przeżycia i ucieczki, a zastanawiam się nad tym, co jeszcze mogę odkryć. Był to niemalże posmak przygody. Niemalże, to słowo robiące ogromną różnicę, bo żadnej przygody nie było, tylko ucieczka i próba zachowania życia i nie mogłem o tym zapominać.

Las zdawał mi się dalej wycieczką przez ogród zoologiczny, tylko bez krat zabezpieczających. Pień dopytywał się po drodze kilka razy o upačkany żywicą wizjer, jednak nie doszliśmy do tego, na ile filtrował on rzeczywistość przez poziomy psychodelików. Momentami widziałem rzeczy, które nawet nie były możliwe do opisanía.

No dobrze, może przesadziłem, po prostu ja nie potrafiłem ich opisać. Brakowało mi słów na określenie mieszanin barw, kształtów, tekstur, rozmiarów, celów, funkcji i wszystkiego, co miało miejsce dookoła. Zacząłem jednak minimalnie bardziej rozumieć rzeczywistość wokół mnie. Nie było to nawet zapalenie światełka w ciemnym magazynie, bardziej przytknięcie kilkuwatowej diody do nieznanego obiektu.

I na wszystkie świętości i wartości intersubiektywne przysięgam, to było cudowne uczucie. Podniecenie zapewniało mi niepewną, ale jednak obecną osłonę przed grozą, jaką wywoływały we mnie sprzeczne z prawami znanego świata dziwności. Stworzenia, które mijały nas pozornie bez celu, jak wyjęte z kanonów legend, baśni i klechd. Roślinność, która zdawała się

być ekosystemem obcej planety, gdzie nawet drzewo mogło być tysiące razy bardziej zaawansowane od człowieka. Miejscowe załamania praw fizyki, biologii, chemii, wszystko to oglądane na własne oczy, a raczej oko!

I tylko Pień w chwilach, gdy sam nie próbował wyciągnąć ode mnie przydatnych informacji, zdawał się bardziej zaniepokojony tym faktem niż zafascynowany.

– W czym masz problem? – spytałem, dostrzegając, że idziemy już dłuższy czas i chyba zbliżamy się do celu. – Ta żywica może być groźna? Chyba już zaschła, jak nie będę dłużej w oczach to raczej...

– Ciszej – syknął na mnie, choć mówiliśmy cały czas tak głośno, jak od początku, czyli na granicy słyszalności.

– Zazdrościsz mi, że widzę więcej? Raczej nie, uprzedzę nim na mnie prychniesz z pogardą. Po prostu nie wiem, co cię ugryzło.

– Czy wiewiórce potrzeba wiedzieć o tartaku?

– To jakaś poezja, czy...

– Nie potrzeba. Są pewne siły o wiele większe od nas, których nie rozumiemy, a mogą nas w ułamku sekundy pochłonać, spopielić wszystko na czym nam zależy albo po prostu użyć do swoich celów, nie licząc się z naszymi odczuciami.

– No i dzięki temu wiemy lepiej, jak się bronić.

– Nie, wcale nie. Przed niepowstrzymanym nie ma sensu się bronić, po prostu żyjesz swoim życiem, pływasz na swojej głębokości, nie zapuszczasz się dalej i liczysz na to, że umrzesz we śnie.

– Próbowaleś kiedyś wyjść z lasu?

Pień zwolnił kroku, podrapał się po grdyce, wystającej zza sztywnego kołnierza z wyprawionej skóry. Przypominało mi to takie wzmacniane kołnierzyki, jakie nosili kiedyś policjanci, gdy w Anglii była koszmarna ilość porachunków mafijnych przy użyciu garoty. Skojarzenie przypadkowe, ale

zapewne w lesie było wiele rzeczy, które potrafiły udusić dorosłego człowieka.

I wtedy zrozumiałem, że zamyśliłem się, a Pień nie wiem, czy mi odpowiedział, czy nie. Ludzka pomyłka, zdarza się każdemu. Nie drażyłem dalej tematu, bo i po co? Chciałbym wiedzieć wszystko o wszystkim, ale może nie o wszystkich.

Jeszcze nie.

– Jesteśmy – stwierdził nagle Pień, gdy jego but stuknął o asfalt.

Poderwałem wzrok wyżej, powiodłem po rzadkiej ścianie brązowych, smukłych drzew, przeplatanych krzakami leszczyny. Staliśmy na środku okropnie spękanej drogi, z wyblakłymi pasami po bokach, wiodącymi aż do skrzyżowania z wzniosłym pomnikiem, dookoła którego przycupnęło kilkadziesiąt budynków, w dużym, ogromnym i jeszcze większym stanie ruiny.

– Miasto duchów? – spytałem na poły żartobliwie, ale Tur odchrząknął i pokiwał rogatym łbem. – Wygląda to...

– Jak cmentarz? Tak, wszyscy mają takie odczucie, nie przejmuj się tym. Mogę cię o coś prosić? Nie dotykaj niczego...

– Bez twojej zgody?

– Nie dotykaj niczego, kropka.

– Zrozumiałem. – Kiwnąłem poważnie głową i obejrzałem się na zardzewiały wrak starej ciężarówki, który leżał spowity bluszczem w rowie melioracyjnym. – Na przykład takich rzeczy?

– Tego zwłaszcza.

Samochody, choć nieliczne i raczej śmiesznie przestarzałe, były porzucone. Doprecyzuję: celowo porzucone, w sposób skoordynowany. Leżały wzdłuż drogi wraz z ciężarówkami, rowerami, biedkami. Rozstawiono je po bokach drogi, by po prostu nie przeszkadzały, obrastając rdzą i powszechnym tutaj robaczywym mchem Wszystko było wybebeszone, same

karoserie pozbawione ruchomych elementów, silników, kół, nawet foteli – ewidentny znak wzmożonego szabrownictwa.

I wtedy mnie to uderzyło. Coś tak prostego, a jednak nieobecnego na pierwszy rzut oka. Ten widok był jak portret trumienny z poprzedniego stylu życia. Ludzie mieszkający tutaj porzucili wszystkie środki transportu, bo wiedzieli, że im się nie przydadzą, nie w tej formie przynajmniej. Zabrali, to co mogło być użyteczne, a resztę odstawili na boki jak śmieci. To była lekcja dla nich samych: stąd nie odejdziemy.

Szliśmy przez wąski pasek asfaltu, otoczeni ledwie widoczną, przelewającą się mgiełką, która zdawała się napływać ze wszystkich stron. Dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie na niewielkim skwerku rozrosły się chwasty, dawno wypierając jakiekolwiek kolorowe kwiaty w klombach. Gdzieniegdzie przebijał się łośnian ze znamiennymi, różowymi pączkami rzepów. Między pokrzywami sterczała krzywo tabliczka z napisem: pomidory.

W tym miejscu świat się skończył, nowa natura nie była biernym elementem otoczenia. Ona była zdobywcą, aktywnym uczestnikiem gry, którą przegrywali ludzie.

– Kto to był?

Wskazałem ręką, na pomnik obrastający powojem o niezdrowo siwych liściach. Wzniosła sylwetka w długim trenczu miała wyprostowane ramię skierowane gdzieś w dal, w lepszą przyszłość zapewne. Druga dłoń zdawała się być wysunięta do tyłu, jakby zapraszająco, może litościwie do kogokolwiek, kto obserwowałby scenę zza pleców postaci. Człowiekowi na piedestale brakowało jedynie twarzy, którą zasłaniała drewniana maska z pozbawionym detali uśmiechem.

– Nikt. Las jest zazdrosnym bogiem, więc ktokolwiek to był, zasłonił mu twarz, by przerobić go na figurę dziękczynną dla lasu.

– Skąd wiesz?

– Bo sam strugałem tę maskę. Nie draż tematu, jesteśmy tu po coś konkretnego.

Przeszliśmy skrzyżowanie, mijając domy z zabitymi oknami, najeżonymi kolcami. Podobne umocnienia widziałem w Chołach, tu jednak widać było przełamania. Kraty zdjęte całą ramą, z kawałkami tynku przy umocowaniach lub po prostu rozwarte do zewnątrz, jak konserwy. Koszmarny widok, zważywszy na to, że ktoś musiał to zrobić siłą własnych mięśni.

– Moment.

– Co się stało? – Jednak mój towarzysz po prostu w ciszy wyjął z przybocznej kieszeni plecaka niewielkie puzderko.

Otworzył drewniane wieczko, włożył do środka palec i wygrzebał drobny, siwo-żółty proszek, którego było jak na lekarstwo. Odpiął materiałową zasłonę wewnątrz paszczy turzej maski i wtarł specyfik na usta, rozsmarował po nich, cmoknął z lekkim obrzydzeniem i gwizdnął.

W pierwszym odruchu skuliłem się, przestraszony, gdyż każdy dźwięk w lesie mógł zwabić coś niebezpiecznego, czy zwyczajnie tak dziwnego, że samo zobaczenie tego mogło sfiksować psychikę. Wychodziłem już z założenia, że najlepiej jest być ubocznym, ostrożnym obserwatorem, a tu nagle taka sytuacja i to z winy mojego przewodnika!

Pień jednak gwizdał ewidentnie celowo, wznosząc się i opadając melodyjnie, w której słychać było jakiś dziwny zaśpiew. Przypominało to niby ptasi trel, do którego nagle dołączył drugi i trzeci, a sam Tur wydawał się z dużym trudem utrzymywać kakofonię głosów. Koncert był naprawdę ciekawy, dość przyjemny dla ucha, trudny do opisanego; brzmiał jak godowe nawoływania wielu ptaków jednocześnie.

I zniknął tak szybko, jak się pojawił. Pień zawarczał cicho; był zły, warkot przerodził się niemalże w jęk bólu. Lekko drżąc, schował puzderko

do kieszeni, obchodząc się z nim niedelikatnie. Wyglądało to, jakby obwiniał specyfik za własny dyskomfort.

– To boli? – spytałem tak zwyczajnie, z troską.

– Latarnik pewnie śpi... albo go tu nie ma. To dobrze – zbył pytanie Pień, zradzając w mojej głowie nowe pytanie.

– Odpowiesz mi, kim...

– Czym... I tak, odpowiem. Spore przekleństwo mieszka w studni i jeśli je zobaczysz, to zrzucaj wszystko i biegnij przed siebie, krzycząc tak głośno, jak tylko potrafisz.

– Krzycząc?

– Tak, bo może z dużą dozą szczęścia zwabisz wygłodniałego dra pieznika, który przeskoczy do twojego poziomu halucynacji i cię zabije. Nie patrz tak na mnie, to o wiele lepsze niż wszystko, co może ci zrobić Latarnik.

– Rozumiem. Nie, wróć, nie rozumiem. Zresztą nieważne, przyzwyczajam się chyba. Od czego zaczynamy?

Pień zdjął przewieszony przez ramię kołczan z pękiem strzał o brązowych brzechwach. Groty od razu zwróciły moją uwagę, bo były zrobione z drewna, zdecydowanie czarnego, o fakturze bryłki węgla. Następnie podał mi swój łuk, który w moich dłoniach był dosyć nieporęcznie spory, ale przyjemnie się chwyciło za wyjeżdżoną rękojeść z białego futra.

– Umiesz używać?

– Oстрыm celować w to, co nie jest tobą.

Pustelnik parsknął śmiechem i odchrząknął nagle zakłopotany. Nie spodziewał się chyba po sobie takiej reakcji. Wymieniliśmy się zdawkowymi, życzliwymi skinieniami zrozumienia i ruszyliśmy na lewą stronę ulicy.

Dwupiętrowy, murowany dom miał wyłamane na oścież drzwi, a w progu leżała rozsypana ciecierzycy, choć już poczerniała, zeschnięta w skarlale drobiny. Widać było, że ktoś od dawna nie dawał baczenia na to, czy to miejsce jest zabezpieczone przed wszelkim paskudztwem.

– Bywałeś tu już kiedyś? – spytałem, spoglądając na wiszącą nad drzwiami tabliczkę z wypłowiałym, choć nadal widocznym czerwonym krzyżem. – Konkretnie, w tym budynku.

– Czasem. Penicylina jest na wagę złota, nie wszystko da się zastąpić leśnymi ziołami i szeptaniem. Większości rzeczy nie ruszałem, dawno temu zrobiłem ostatnią wyprawę i zostawiłem na półkach dużo barachła, którego nie umiałem rozczytać. No, teraz to nie będzie taki problem.

– A to ponieważ? – Przystąpiłem próg i rozejrzałem się po wnętrzu.

Nie było żadnego wiatru, jednak poźółkle firanki lekko podrygiwały w tańcu, pod nimi leżały wyważone z zawiasów okna z porozbijanymi szybami. Było tu cicho, dziwnie wilgotno i pachniało tą specyficzną mieszaniną alkoholu i odczynników, towarzyszącą każdej placówce zdrowia, odkąd tylko sięgam pamięcią.

Na górne piętro prowadziły obite dywanikami antypoślizgowymi schodki, niegdyś wykonane z dużą starannością, po czasie tym bardziej przytłaczające stanem rozkładu. Cały parter składał się z poczekalni dla klientów, długiej ludy, szeregu pootwieranych szaf i przesłoniętego kotarą zaplecza.

Obejrzałem dokładnie ubabraną krwią zasłonę, która wisiała smętnie. Nagle drgnęła, szarpnięta niewidzialną mocą, na wewnętrznej stronie mignęły szkarłatne odciski dłoni, łapiących się dawno temu kawałka materiału. Kilka razy mrugnąłem, jednak na filtrze żywicznym nie było widać, by cokolwiek lub cokolwiek stamtąd wybiegło.

– Dlatego, że teraz ty mi pomożesz rozczytać, co się może przydać – Tur odpowiedział na pytanie, o którym ja już zapomniałem.

– Przecież nie jestem lekarzem.

– Mówiłeś, że jesteś doktorem! – Obrócił się do mnie towarzysz, ewidentnie zbulwersowany.

– Psychologii, a nie medycyny!

– Mówiłeś, że badasz ludzi! – Rąbnął pięścią o blat, aż podskoczyła posrebrzana szalka z odważnikami.

– Tak, ale na choroby psychiczne, odchylenia od normy... No, kurwa mać, nie na gruźlicę przecież!

– Jasny chuj! – podniósł głos Tur, chwycił oburącz za leżące obok krzesło, wznosił je wysoko, zamachnął się...

I wszystko stanęło na jedną sekundę. Wypuścił powietrze z trudem, grdyka skakała mu w górę i w dół, jak zepsuta winda, ciało drżało w konwulsjach, na dłoniach wyskoczyły żyły, pompujące wrzącą krew. Mimo to odłożył krzesło, tak po prostu i zamilkł, nasłuchując, czy jego wybuch gniewu nie zaalarmował nieproszonych gości.

– Bywa, stało się...

– Bywa, stało się...

Powiedzieliśmy jednocześnie, obejrzelśmy się na siebie i razem wydaliśmy z siebie starcze, znużone westchnienia. Proza życia, co począć? Tak się zdarza, tyle na ten temat. Nie mieliśmy dla kogo odgrywać teatryku, robić tragedii. On był na to zbyt stary, ja zbyt utwierdzony we własnej racji.

Mgła zagęściła się nagle. Dopiero wtedy zwróciłem uwagę na to, że naprawdę jest wszędzie. Nie tylko na dworze, ale i nawet w budynku, a pojawiła się, dopiero gdy weszliśmy na teren opuszczonej wioski.

– Jak się w ogóle nazywa to miejsce?

– Apteka.

– Pień... – odezwałem się z pomieszaniem autentycznego niedowierzania i jeszcze innej niewiary, ale tej specyficznej, która nie dowierza, że ktoś może być tak powolny na umyśle.

– Wioska nazywała się Abdanki, prorocze, prawda?

– Nie, nie wiem, chyba nie kojarzę słowa, zresztą nieważne.

– Sporo rzeczy nie wiesz, jak na doktora.

– A ty sporo wiesz, jak na zwykłego hodowcę leśnych dziadów, który chce spokoju, ale przypadkiem zna każdy zakątek opuszczonych wsi, masowych mogił i nigdy jakoś nie zbiera się na wspominki.

Pień obrócił się w moim kierunku bardzo powoli, podszedł dwa kroki i położył dłoń na moim ramieniu. Byłem pewny, że mi urwie łeb, albo gorzej.

– Chcesz wypominek? – spytał grobowym głosem, zaciskając palce na moim obojczyku tak mocno, że aż osłabłem. – Dam ci wypominki, skoro tak cię to interesuje.

Chciałem coś powiedzieć, zaprzeczyć, wykręcić się sianem, ale Pień po prostu wyciągnął mnie przed aptekę za kołnierz i zaczął wskazywać ręką:

– Trzystu dwudziestu ludzi, niemal każdego znałem od berbecia. Mieliśmy swoje ulubione zakątki, stawy pełne ryb, matka uprawiała bukszpan w ogrodzie. Normalne życie, cudowne, lepszego nie mogłem sobie wtedy wyobrazić. – Mówił matowym, rzeczowym głosem, jednak napędzał się sam coraz mocniej, stłumiony przed chwilą gniew wracał ze zdwojoną siłą. – Przyszła wojna, świat zapłonął, ludzie zapłonęli, a potem długo otrzępywali się z popiołu. Popiół jest dobry dla roślin, wiesz o tym? No więc, tak samo było z nami. Bukszpan odrósł, ogrody posadziliśmy od nowa, odbudowaliśmy domy, przyszła nowa władza, tyle nas to obeszło co nowy pomnik na skwerze i nitka asfaltu zamiast szutrówki. Widzisz te wszystkie

drzewa? Te obskurwiałe kreatury, które czają się we mgle? Słyszysz w nocy, jak tłuką się do okien zakrwawione oczy, jak zwierzęta jęczą w agonii, męczone przez pasożytujące drapieżniki zza światów?

Pień odepchnął mnie na bok, złożył ręce pod brodą, jak do modlitwy; głos na krótki moment załamał mu się, zaraz jednak wrócił z wielką mocą, nie bacząc na bezpieczeństwo. Rąbnął gołą pięścią w futrynę drzwi, aż drzazgi poleciały na boki.

– TU NIE BYŁO ŻADNEGO LASU! – wydarł się, aż podskoczyłem. Ptaki zerwały się z koron drzew, ulatując wysoko w górę, za granicę wzroku i dalej. – Nigdy nie było tu lasu, do kurwy nędzy! To te diabły z Chołów go tu zaprosiły, to ich wina! Przekłęci ludzie! Przekłeta ziemia! Przekłęty świat! Zamurowali nas w tej rzeźni, rozumiesz? A potem odławiały nas koszmary, pojedynczo. Choroby, przed którymi nie da się bronić, zmarli, demony, potwory, ludzie...

Zmilkł na moment, rozejrzał się, choć nie mogłem zza maski dostrzec wyrazu jego twarzy, gdy wypatrywał pomiędzy gigantycznymi drzewami oznak ruchu.

– Ludzie odchodzili i przychodzili. Byli i tacy, którzy przyszli z innych czasów, może innych krajów, może światów. Działo się wszystko, co tylko mogłoby się dziać w piekle. Rozumiesz to? Sprzedali nas, nie tylko nas, Chrobyły, Żędze, Sędy... Po prostu odcięli od świata i zostawili w tym piekle. A potem mieli czelność wracać, wchodzili jak do siebie, jakby przyszli nabierać grzybów. Zresztą, tak się utarło, Saprofici, grzybiarze... Myślisz, że co? Przychodzili tutaj jak bohaterowie? Obwieszeni antytoksykantami, domowymi zaklęciami, pierdoloną ciecierzycą i łańcuszkami leśnymi na szczęście. To nie byli żadni odkrywcy ani poławiacze skarbów, tylko zwykli szabrownicy! Hieny cmentarne, najgorsze ścierwo.

Coś dęło z lasu, wydając z siebie niski, basowym pomruk, który aż poruszył moim żołądkiem. Wydawało się, jakby potężna fala dźwięku rozchodziła się na całe kilometry. Cokolwiek wydawało odgłos, musiało być niewyobrażalnie gigantyczne, jak wieloryb albo katedra, albo sam bóg.

– Dobrze, to może wejdźmy do środka i... – zasugerowałem, zaraz jednak Pień zaśmiał się dziwnym chichotem, tak niepodobnym do niego.

Wtedy od dołu dostrzegłem – Pień nie dopiął do końca przesłony na ustach. Po tym, jak wtarł proszek nie zapiął jej i teraz wdychał z całą mocą mgłę, która zapewne musiała wpływać na niego w ten sposób!

– Nie, nie! Masz rację, czas na wypominki, chciałeś, to masz! – Chwycił mnie za kołnierz, nie mogłem nawet zareagować. Po prostu jął mną ciągnąć jak worem ziemniaków po ziemi, gdy ja szarpałem się bezskutecznie. – Pod tym drzewem wywiesiliśmy siódmkę ludzi, chorych na czerwicę. Wiesz co to czerwica? Ojej, no to może się dowiesz, gdy zaczniesz krwawić z każdego otworu, potem jest tylko lepiej. Co my tu jeszcze mamy, dom Norberta, błogosławiony człowiek, dobry, uczciwy, uczynny; coś zawlekło go do lasu, oberwało ręce i oskalpowało. Znaleźliśmy go, karmiliśmy przez kilka dni, aż ktoś mu pomógł się zabić.

Dęcie poniosło się ponownie, jeszcze głośniejsze, jeszcze bliżej. Drobinny piasek na drodze podskoczyły, drzewa leciutko wygięły się, strząsając z liści pyłek. Mgła uniosła się jakby i jeszcze zgęstniała, tak że ledwie cokolwiek można było dostrzec.

– Pień, zamknij maskę! – podniosłem głos, jednak zdawał się nie słyszeć.

Tur chwycił mnie mocniej, pociągnął do sporego, zapuszczonego ogrodu przy zniszczonej, drewnianej chacie. Tam zaś była szeroka na kilka metrów, niemalże pionowo schodząca do pieczary dziura. Ciągnęło z niej smrodem zgnilizny i intensywnym zimnem.

– Wiesz, co w środku śpi? Latarnik. Chciałeś wiedzieć skąd nazwa? Bo ucina łeb ofiary i przyświeca nią sobie. Ciekawostka tkwi w tym, że Latarnik widzi w ciemności, zabawna nazwa, prawda? Więc głowa po prostu jest obciążniętą skórą czaszą, z której dymią dwa reflektory ciemności. Chcesz wiedzieć więcej, może coś do badań? Śmiało, ofiara żyje. Nie wiem jak długo, jedną głowę miał chyba ze trzy lata; wygląda na to, że głowa cierpi i nie może umrzeć. Cudowny banał prawda? Takie piekło dla ateistów, bo możesz nie wierzyć, a Latarnik ma to w dupie.

– Pień, błagam cię człowieku, kurwa mać, zostaw mnie, słyszysz?! Puszczaj mnie po prostu, przecież nic ci nie zrobiłem, miałem prawo zapytać. Przykro mi, rozumiesz? SZCZERZE MI PRZYKRO!

– Mnie też było, kurwa, przykro! – ryknął, rzucając mną w kierunku dziury Latarnika.

Potoczyłem się ciężko po jałowej ziemi, kalecząc o leżące kamienie. Gdzieś widać było ślady wielkich pazurów, prowadzące od i do jamy. Zatrzymałem się tuż nad krawędzią, plecy spróbowały się bezskutecznie oprzeć o pustkę, dłonie chwyciły desperacko ziemi, szukając zbawienia. Dostrzegłem wyłaniający się z mgły kształt, lecz głos uwiązł mi w gardle z przerażenia.

– Całe życie mi było przykro! I teraz tylko zastanawiam się, czy kiedykolwiek umrę! Czy jak się zdycha w lesie, to można pójść do nieba? Czy są ziemskie zaświaty, czy tylko wieczna pustka albo jakiś kolejny koszmar lasu?! – krzyknął, po czym obrócił się, jak na zawołanie.

Może wyczuł go, bardziej niż zobaczył. Może mózg podpowiedział mu stary schemat, że przy tym ciśnieniu, takiej a takiej temperaturze, o tej i o tej porze roku to się może zdarzyć. Może, może, może... Tak czy inaczej w niczym mu to nie pomogło.

Zza pustelnika wyłoniła się sylwetka. Wpierw przypominała po prostu gęstniejącą, ciemną mgłę, jednak zaraz wyostrzyła się w humanoidalny kształt. Miała kilka metrów, ale chyba w kłębie, bo człapała na trzech kończynach, w czwartej trzymając obły przedmiot, za sznurki albo kołtun włosów. Na ułamek sekundy dostrzegłem niby małpią twarz, o doskonale pustych, białych oczach, obrośniętej atramentowym futrem fizjonomii i dwóch zagiętych rogach, idących wysoko w górę i na boki.

Przybył Latarnik, a wraz z nim ciemność i strach przed otchłanią.

Wyglądało to, jak w teatrze, gdzie każdy plan ukazuje się oddzielnie. Pień, dyszący, umięśniony, jak heros, większy niż życie. Za nim mgła, gęstniejąca coraz wyraźniej, niepokojąca, nienaturalna, zwiastująca zmiany. Na końcu olbrzymia sylwetka, jedno mrugnięcie oczu i puszczone w ruch wahadło pazurzastej łapy.

Ciało mojego przewodnika dosłownie przeokoziółkowało kilka metrów w bok, własnymi plecami rozbijając zbutwiałe deski płotu i przetaczając się po zdziczałym ogródku warzywnym. Ślady wyrywanej w powietrze ziemi oznaczyły ścieżkę przelotu Pnia, wraz z nimi zabłyszczała krew, spryskując wszystko dookoła.

Z nieba zaczął sypać lekki pyłek, taki po prostu szary nalot, jak po wybuchu wulkanu albo bombardowaniu. Jeden taki płatek sadzy opadł mi na rękawiczkę, przez którą przesączało się ciepło, zdolne go stopić.

– Śnieg – szepnąłem odruchowo i od razu wyczułem ukłucie mrozu.

Latarnik gapił się na mnie, mogłem to bardziej wyczuć niż stwierdzić, bowiem z mgły łapały oczy, na poły zwierzęce, na poły rozumne, drapieżne. Zaraz obok nich była struga ciemności, bijąca do ziemi z dwóch oczodołów ofiary Latarnika, którą trzymał za włosy.

Miałem dosłownie sekundę, może dwie, by przeanalizować skrupulatnie sytuację. Tak, działanie kompletnie na pałę i na adrenalinę jest fajne,

ale są rzeczy fajniejsze, na przykład nieumieranie. A jeśli matka natura otoczyła tkanką mielinową aksony człowieka z jakiegoś powodu, to po to, by umiał szybko wymyślić, jak się nie dać zjeść.

Było całe mnóstwo możliwości, które kolejno pojawiały się w mojej głowie przez ułamki мгnięń.

Uciekać – klasyka.

Latarnik zwęża powieki.

Walczyć – głupota.

Latarnik wzdryga się.

Krzyczeć – na dodanie odwagi, może ściągnięcie czyjejś uwagi.

Latarnik przesuwając głowę reflektora w moim kierunku z prędkością przesączającej się melasy.

Wszystko na raz – brawurowo, no i odciągnę stwora od Tura, jestem mu to chyba winien, chociaż to wszystko jego sprawa.

Ciemność zaczyna powoli wykrajać z mgły moją sylwetkę.

Plan stworzony w ciągu sekundy, co się mogło nie udać?

Poderwałem się na równe nogi, omal nie zawadzając o nie łukiem, zwisającym z pleców. Rozległ się ogłuszający, mrozący krew w żyłach skowyt. Skoczyłem przed siebie, ściągając z pleców broń i rozchylając samemu usta, by krzyknąć pierwsze co mi przyjdzie na myśl:

– Paaaaan... Kiedyś stanął nad brzeeeeegiem!

Doskonała ciemność objęła mnie w całości. Wrażenie było takie, jakby w promieniu dwóch metrów dookoła mnie była tylko próżnia, a dopiero dalej przesunął się realny świat.

Sięgnąłem po jedną ze strzał, naciągnąłem cięciwę i posłałem pocisk niemalże na oślep, w wielką plamę pustki, z której sączył się stożek antyreflektora. Stworzenie na ułamek sekundy przerwało skowyt, dając mi płonącą nadzieję, że trafiłem.

– Szukał ludzi! – krzyknąłem dalszą część piosenki, znikając za rogiem stodoły.

Coś uderzyło z wielką siłą o ziemię, jakby z nieba spadła lokomotywa i wbiła się na sztorc. Zaraz za tym odgłosem nastąpił drugi i trzeci.

Chryste, to są jego kroki, pomyślałem, zmawiając podświadomie paciorki.

Dobiegłem do przeciwnego końca ściany, obróciłem się i zacząłem naciągać następną strzałę, gdy Latarnik wskoczył tam, gdzie dopiero co stałem, myśląc, jak bardzo mnie on przeraża. I teraz tak po prostu tam był, z tą karykaturalną małpią mordą i cierpiętniczą głową latarni.

Spowił mnie mrok, zachwiałem się, strzeliłem znów na oślep. Cichy dźwięk kruszącej się bryłki węgla, szelest, coś jak klangor stali, a potem tylko kroki niewyrabiającego na zakręcie stwora.

Czyli pewnie pudło, niedobrze.

– Gotowych pójść za nim! – dopowiadałem automatycznie kolejne wersy piosenki, zastanawiając się, czemu do głowy mi nie przyszedł dwudziesty trzeci psalm, ten najbardziej sztamkowy. – Ooo, Panie!

Wdrapałem się po drabinie prowadzącej na poddasze stodoły. Nie myślałem o tym, dokąd uciekać. Po prostu byłem w ruchu, ciągle, ile tylko się dało, tak szybko jak było to możliwe. Co szczebel przytrząskiwałem sobie do krwi palce, trzymanym łukiem. Byłem już u szczytu, chwyciłem się jedną ręką krawędzi, drugą wrzucając łuk na deski, gdy nagle straciłem podparcie nóg.

Zabrzmiało trzask łamanego drewna, mrok objął mnie i wszystko dookoła, sprawiając, że zniknęło poczucie odległości i kształtu. Pode mną była tylko gigantyczna sylwetka, którą słyszałem jako chrzęst mięśni, dyszenie użębionej paszczy i miękkie plaskanie czarnoziemiu w otchłani.

Drabina poleciała gdzieś w bok, wiele metrów dalej usłyszałem brzęk tłuczonego szkła, które musiało stać na drodze fali odłamków.

Latarnik zaskowyczał przeraźliwie, sprawiając, że łzy napłynęły mi do oczu. Mózg wysyłał do mięśni kolejne sygnały o ostatnim wysiłku w tym żywocie, dawałem z siebie wszystko, wciągając się z trudem na górę.

Ledwo przesadziłem niewidzialną krawędź, bardziej na wyczucie i szczęście, niż zapamiętanie, jak wyglądała, nim skryła ją ciemność. Pazury zachrobotały tuż za mną, wyłamując kilka desek, ale ja już byłem na poddaszu stodoły.

Zasłużyłem na jeden oddech odpoczynku, rwany drżeniem zuchwy.

Podniosłem z ziemi łuk, obróciłem się raptownym ruchem, jednocześnie wyszarpując strzałę. Cięciwa wydała szarpiący uszy dźwięk, posyłając pocisk w domniemanym kierunku potwora. Koszmarny skrzek zamarł w gardle Latarnika, strzała musiała go trafić. MUSIAŁA, inaczej to wszystko byłoby bez sensu.

– Ooo, Panie... – powiedziałem, z trudem łapiąc dech i posyłając kolejny promień strzały w mrok. – To ty na mnie spojrzaleś!

Ciemność zafalowała, zniknęła momentalnie, gdy głowę męczennika przebił grot, wchodząc przez oko. Skóra na czaszce rozpadła się, jak spopielony papier, kość skruszała, oczy weszły w głąb, zostawiając w przebitej dłoni małego stwora tylko pamiątkę po nieboszczyku.

– Absolutne, kurwa, zwycięstwo! – krzyknąłem podekscytowany, niedowierzając we własne umiejętności i szczęście. Głównie szczęście, zbyt dużo szczęścia na jedno życie.

I wtedy piekielny ryk z głębi lasu zatrzęsął ziemią. Znajomy ryk, będący kumulacją setek złożonych w ofierze i upolowanych istnień.

Krzykacz mnie wytropił.

Wyrzależem za krawędź piętra, by zobaczyć, jak Latarnik ze zwierzęcym przerażeniem wpatruje się w pustkę, przerzucając wzrok z jednego kawałka mgły na drugi. Przeszło mi wtedy przez myśl, czy on po prostu widzi ciemność jako jasność, czy w ogóle nie widzi bez swojej plugawej latarni?

Przemyślenia szybko jednak doszły końca, gdy wiedziony gniewem i słuchem potwór zamachnął się wielgachnym łapskiem i rozorał ścianę sto- doły pazurami. Deski zajęczały przeciągle, powała osypała się pyłem, a cała konstrukcja zaczęła przechylać ku ziemi.

Deszcz drewnianych szczap, ukrytych na poddaszu utensyliów, obro- śniętej pleśnią słomy i robaków zerwanych z gniazd zasypał Latarnika. W tym gradzie walącego się budynku błysnęła zapewne moja sylwetka – myślącej trzciny w tym plugawym lesie. Tylko wtedy to myślenie niewiele mogło mi pomóc.

Odrzuciłem łuk gdzieś w bok, samemu zakrywając twarz i kuląc nogi do upadku. Nie mogłem być na to gotowy i po prostu nie byłem.

Kości chrzęstnęły paskudnie, pamiętając jeszcze ostatnie przygody z Pniem i zastrzyki z Wierzba. Mięśnie zapłonęły bólem, przez sweter prze- bił mi się bez trudu deszcz odłamków. Jakieś zabłąkane wiadro na sznurze smagnęło mnie w maskę.

Złożyłem się na ziemi i trwałem tak jeszcze chwilę po tym, jak upa- dłem. Dookoła rozpętało się piekło losowości. Tu opadło ziarno, tam łupnął hacel, dalej wbiły się pionowo widły. W dowolnym momencie równie do- brze mógł mnie zmiażdżyć traktor, więc zastygłem w pozycji embrionalnej, na wzór tego, jak to robią pancerniki.

Gdy już nastała pierwsza sekunda względnej ciszy, wzniosłem głowę, by dostrzec, jak Latarnik rzuca się dookoła w gniewie, a może i strachu. Może bał się niewidzenia? A może to po prostu wina tej masywnej powały,

która łupnęła go w twarz, aż trzasnęły kości. Krew lała mu się po jaśniejszym placku twarzy, zalewając ślepe oczy. Futro zmokło i skręciło się od posoki, która zdawała się wylewać z dziesiątek otworów w ciele.

Zrobiłem to co zrobiłby każdy rozsądny człowiek – uciekłem.

Jedyna nowa rzecz w tym była taka, że już nie krzyczałem i biegłem w jakimś sensownym kierunku, konkretniej porzuconego łuku. Poderwałem go z ziemi, drugą dłonią wyjąłem z gruntu płytko wbite widły.

Może się przydadzą, pomyślałem.

I po prostu pogałem tam, gdzie Latarnik rzucił Pnia. I rzeczywiście, mój towarzysz po prostu leżał pod ścianą, ciężko dysząc i upewniając się, że ma szczelną maskę. Tyle dobrego chociaż, że nie miałem na głowie wariata.

– Idzie Krzy... – zdążyłem powiedzieć, nim Pień syknął na mnie uciszająco.

Podciągnął obolałe ciało, oparł się pewniej i zaczął wskazywać coś rękoma. Kształty w jakie składał dłonie i gesty, jakie nimi wykonywał, przelewały się tak szybko, że nie sposób było z nich nic odczytać. Przynajmniej ja nie mogłem, bo domyślałem się, że wyćwiczony Saprofita nie miałby z tym problemu.

Rozłożyłem bezradnie ręce, uniwersalnym gestem.

Tur zmielił niemalże bezgłośnie przekleństwo, podparł się ręką i z trudem wstał. Cokolwiek chciał powiedzieć, nie miało prawa wybrzmieć. Musiał polegać na tym, że nie zrobię nic głupiego.

Nie postawiłbym na to złamanego grosza.

Uszedł kilka kroków i obrzydliwe rżenie dobyło się z jego płuc, gdy próbował chwycić głębszy oddech. Obaj wiedzieliśmy, że jest źle, choć on robił dobrą minę do złej gry. Uderzenie niedźwiedziej łapy jest w stanie przerwać rdzeń kręgowy człowieka, a co dopiero uderzenie takiego wielko-

luda, jak Latarnik. Pień musiał mieć kaszę zamiast zeber, choć nie było nawet czasu, by na to spojrzeć.

Podąłem towarzyszowi widły, których prowizorycznie używał od tej pory do podpierania się i kuśtykania. Przynajmniej na tyle się one przydały, bo raczej nie wierzyliśmy, że mamy jakiegokolwiek szanse na odstraszenie nimi rannego Latarnika, a co dopiero Krzykacza.

Zabrzmiął ryk, odrywający mózg spod sklepienia czaszki. Oszłamiający, z innego świata, rządzonego innymi prawami akustyki. Zaraz obok niego uleciał w świat koszmarny skowyt Latarnika, choć zgodnie z zasadą kontrastu już nie wydawał się tak straszny.

Przed oczami stanął mi na moment obraz, gdy pierwszy raz podszedłem pod las w Chołach. Jak wiele takich stworzeń mnie wtedy obserwowało? Gdybym zapuścił się choć krok do lasu albo odezwał, czy już wtedy by mnie rozerwał?

Hurgot walącej się góry przerwał moje rozmyślanie.

Ogromnych rozmiarów kula futra i szponów przeleciała kilkanaście metrów przede mną i Turem, łamiąc w pół pomnik na skwerze. Kawałki kamienia wyleciały na wszystkie strony, przypadliśmy do ziemi odruchowo, chowając się za chyboczącym się płotkiem.

Z trudem zdławiłem jęk przerażenia, gdy Latarnik przetoczył się tak po prostu po ulicy, rozsypując dookoła deszcz odłamków. Na piedestale stały już tylko same nogi do kolan, reszta pomnika rozpadła się na części. Głowa z przymocowaną solidnie maską uderzyła o ziemię, amortyzując drewnem upadek. Rozleciała się na kilka mniejszych kawałków i zatrzymała tuż obok nas, jakby absurdalnie wgapiając się z ciekawością.

Wstałem, szykując się do przejścia na drugą stronę ulicy, ale Pień chwycił mnie za materiał na plecach i po prostu szarpnął do ziemi. Przewróciłem się na bok, uderzyłem boleśnie łokciem i ostatnim odruchem ugry-

złem się w język, zamiast próbować spierać się z towarzyszem albo go łą-
jać.

Zza mgły wyłoniła się góra, prawdziwa góra złożona z przeplecio-
nych gałęzi, liści i czaszek zwierząt. Łeb stwora był teraz niemalże całkowi-
cie skryty wśród bluszczu, który rozciągał się od skalpu po ramiona. Z mro-
ku gęstego powoju wystawały na świat tylko dwie gałki, idealnie zielonych,
płonących oczu.

Krzykacz, inny, w innej formie, może innym aspekcie, zachowaniu,
cokolwiek, ale na pewno Krzykacz.

Szedł powoli, ruchy miał wyważone, ostrożne, powiedziałbym nawet
inteligentne. Biła z nich pewna niepokojąca gracja. Najbardziej przerażała
mnie myśl, że te ruchy były właściwie dosyć... ludzkie.

Kopyta, szerokie jak beczki podpierały tę gigantyczną formę, która
potężniała na tle zasnutej żółtą mgłą nieba. Słońce przebijało się minimal-
nie, gdzieś z daleka i oświetlało galerię osobliwości, jaka miała miejsce na
ciele awatara lasu. Jego skóra, mięśnie, kości wydawały się wręcz być od-
dzielnymi ekosystemami, pośród których żyły owady, niewielkie ptaki,
wężę i drobne ssaki.

Pień trzymał mnie za rękę, ścisnął ją mocno, tak bym nigdzie nie
uciekł. Choć przez krótką chwilę miałem wrażenie, że to on po prostu stara
się trzymać czegokolwiek, co jest człowiekiem. Było w tym ruchu coś dzie-
cięcego, strach przed samotnością w lesie.

Krzykacz zbliżał się do leżącego na ziemi Latarnika. Ciało małego
stworzenia było paskudnie powyginane, spod atramentowego futra wysta-
wała w jednym miejscu błyszcząca kość z otwartego złamania. Tam, gdzie
poszorował brzuchem po asfalcie, była teraz długa smuga ciemnej krwi.
Wyglądał jak zużyta szmata do podłóg, choć dopiero co jednym skinieniem
łapy położył Pnia na łopatki.

Jeśli tak wyglądał łańcuch żywieniowy w lesie, to nie rokowało to dla mnie nic dobrego.

Awatar lasu zbliżył się do Latarnika, wzniosł dłoń ku górze. Choć zrobiona była z kilku powiązanych lianami kłód, to poruszała się z niespotykaną płynnością, właściwą ludzkim kończynom.

I wtedy Latarnik zerwał się, odskoczył na bok wiedziony zastrzykiem adrenaliny albo ostatnim pchnięciem ku życiu. Drewniane łapsko Krzykacza łupnęło o asfalt, wystrzeliwując w niebo pióropusz kurzu i siwych odłamków skalnych.

Stwór z Abdanek obejrzał się pustymi oczami na leśnego drapieżnika. Choć był ślepy, to przecież nie głuchy, a ciężko było nie słyszeć Krzykacza, który w każdej chwili nawoływał setkami głosów ludzi i zwierząt. Wydawało się, jakby wabił potencjalne ofiary niezależnie od tego, co robił. No przecież nikt by nie podszedł do niego teraz, myśląc, że to ranna łania. Mimo to robił to, jakby było w tym coś automatycznego albo po prostu naturalnego.

Małpa skoczyła ku Krzykaczowi, wdrapała się po ramieniu, rozrywając rosnące na nim krzaki czarnych jagód i płosząc krogulca z gniazda. Chwytne łapy szarpnęły za obojczyk, przypominający kosz upleciony z gałęzi dębu, przyciągnęły resztę ciała Latarnika do głowy Krzykacza. Ten drugi był o wiele większy, dawał po sobie wejść małpie, jak po ścianie wspinaczkowej.

Abdankowy stwór zaskowyczał odważnie po czym wgryzł się w wąską szparę między ramieniem i głową Krzykacza. Trysnęła posoka, choć nie miałem bladego pojęcia skąd. Tam były jakieś żyły albo kanały?

Na króciutki moment coś we mnie wzrosło, jakaś nadzieja, chwilowa myśl, że oto problem się sam rozwiązuje. Że przyjdzie mi doświadczyć śmierci Krzykacza w naturalny, właściwy sposób. Przypadkiem ja to sprawilem, wywołałem poniekąd tę walkę i teraz będę mógł oglądać owoce

swojego sukcesu. Wróć do Chołów, jeśli nie jako bohater, to chociaż jako oczyszczony z zarzutów, spotkam Łucję i...

I wtedy Krzykacz po prostu chwycił drugą ręką małpę za kark i wzniosł wysoko w górę na kilkanaście metrów. Gigantyczna sylwetka stwora zakotłowała się między drewnianymi palcami, skowyczała, szarpała się, tańczyła w pustce, próbując zaprzeć się o cokolwiek.

Serce zatrzymało mi się w pół uderzenia. Spojrzałem na rozmazaną we mgle sylwetkę leśnego kolosa, trzymającego swojego przeciwnika w dłoni. Trzasnęły łamane kości, fontanna krwi eksplodowała na boki. Strumienie ściekały po zwłokach Latarnika i formowały w jeden wodospad posoki, tryskający kaskadami ku asfaltowi, aż tryumfator nie przystawił spragnionych ust, dosłownie spijając zwycięstwo z ran pokonanego.

Krzykacz po prostu wgryzł się w kark małpy, pochłaniając ją kawałek po kawałku, wysysając szpik, rozbierając łapskami partie mięśni. Żarł zębami, mrówczymi hordami, rojami much, stadami ptaków, spływającymi spomiędzy gałęzi gadami. Wykarmił swój ekosystem jak ojciec wielkiej, karykaturalnej rodziny. Padlinożercy toczyli własną walkę o każdy okruch pożywienia, aż nie została najmniejsza kostka, a trwało to ledwie moment.

Na moich oczach mit wchłonął mit, a do mnie doszło, że jestem następnym daniem.

Na jego plecach zajaśniała jedna, przedziwna liana, blad różowa, przypominająca długi, szeroki kabel. Przewód zwieszał się z pleców i pełznął wężykiem gdzieś między drzewa, bardzo daleko od jego ciała. Wyglądał jakby był do czegoś podłączony, czegoś czego nie dostrzegłem wcześniej.

Wskazałem Pniowi ręką na pępownię, zwisającą z pleców Krzykacza, on pokiwał powoli łbem i wzniosł ramiona. Jeśli on nie wiedział co to,

to znaczyło, że natrafiłem wreszcie na pierwszy kawałek do swoich badań. Coś co tylko ja mogłem odkryć i poszerzyć tym znany ludziom świat.

Obym tylko dożył tego, nim las zmieni mnie w jedną ze swoich pieśni.



– Tutaj powinniśmy być bezpieczniejsi – szepnął z trudem Pień, kładąc się na dywanie mchu.

– Stęskniłem się za twoim głosem. – Uśmiechnąłem się pod maską; on też, chyba już umiałem to rozróżniać.

– Nie jest źle – skłamał, odstawiając przesiąkniętą krwią dłoń od brzucha.

– Pień...

– Mówię, że nie jest źle.

– A ja tylko uderzam w stół – zachnąłem się i przypadłem na kolana, by obejrzeć go z bliska. – Pokaż mi się i nie gadaj.

– Niby co chciałbyś...

– Stul mordę – poprosiłem przymilnie, na co on rzeczywiście zdjął dłoń z rany.

Przez jego klatkę piersiową przechodziło kilka płytkich rys po pazurach. Latarnik bił, żeby nie zabić, tylko to go uratowało. To oznaczało, że szukał nowej głowy na swoją latarnię. Gdybyśmy nie uciekli, to teraz Pień byłby w piekle, dosłownie.

– Masz może zastrzyk z Wierzba?

– Myślisz, że noszę je wszędzie przy sobie? Nawet gdyby, to nie ryzykowałbym. Jest większa szansa, że zmienisz się w leśnego dziada, albo wprost w Pustaka.

– Pustaka... Dziada... Czy ty z chuja spadłeś?! – podniosłem głos. Zerwałem się na równe nogi, zatoczyłem i chwyciłem w paroksyzmie bólu za serce. – Ty... O czym mówisz?!

– Nie zależało mi na tobie – przyznał kompletnie bez wstydu w głosie. – Byłeś mi obcy. Na tyle obcy i niegroźny, bym spróbował ci pomóc w mniej standardowy sposób i wtedy...

Rozkaszał się, odrobina krwi trysnęła w trawę, gdzie zaraz zniknęła w dziwnych okolicznościach. Zupełnie jakby wsiąknęła albo została zlizana w mgnieniu oka.

– Inne leśne dziady...

Zgiąłem się z bólu, ukłucie w sercu było dłuższe niż którekolwiek do tej pory. Mimo to kierowała mną wściekłość, nie racjonalność, nie chęć prawdy, tylko płonący gniew.

– Mów mi! Te leśne dziady, to ludzie, którym nie chciałeś pomóc?! To wszystko od krwi Wierzba?!

– Nie... nie wszyscy – syknął, nie mogąc kryć dłużej bólu.

– Trzymasz sobie niewolników?! To po to Chołownicy do ciebie chodzą po żywicę. Sami nie zniżają się do tego.

– Wcale nie. Drozd, posłuchaj mnie. – Próbował zebrać moc w głosie, ale co chwila kaszłał, krew spływała mu ciurkiem i przesączała się przez materiał na masce. – To nie tak.

– Jesteś pierdolonym potworem! – Sięgnąłem za pasek po tetetkę. – Jak ich uratować?

– Drozd...

Przytknąłem mu lufę niemalże do czoła, nie musiałem celować. Liczyłem na to, że nie będę musiał strzelać drugi raz.

– Jak... Ich... Odczarować? – spytałem i nastąpiłem butem na kolano Tura. – Gadaj, kurwa, anachoreto pieprzony, wszo, sflądrysynu.

– Nie da się. To tak nie działa, ale słuchaj, oni żyją i mają się dobrze. Gdyby nie chcieli żyć to mogliby, ja ich nie... Ja ich nie trzymam siłą – dopowiedział, kasłając paskudnie.

Pień zdjął z trudem maskę tura i odrzucił na bok. Twarz miał zalaną perlistym potem i grudkowatymi wydzielinami. Gałki oczne były wybałuszone, nabiegłe krwią. Był tak obrzydliwie ludzki, przerażony, jak człowiek wyciągnięty z otchłani w ostatnim momencie.

Zstałem z jego kolana, które zaczął od razu rozmasowywać z jękiem. Nie był już taki twardy, opadła maska pewności siebie. Był tylko człowiekiem w lesie, tak jak i ja.

– Dziękuję – wychrypiał z trudem.

Naparłem palcem na spust.

– Dziękuję – powtórzył powoli, sylabizując każde słowo. – Uratowałeś mnie. Latarnik jest gorszy niż śmierć, mówiłem ci.

Zacisnąłem usta, zadrżała mi dłoń. Lufa powędrowała bliżej czoła pustelnika, kropelka potu osadziła się na jej końcu i zaraz opadła, co Pień obserwował, zezując. Wyglądał na kompletnie obojętnego w obliczu śmierci.

– Za co mnie zabijesz? – spytał tak po prostu, bez próby ratowania się w głosie. – Za pomaganie ludziom? Za to, że nie zawsze się da? Za to, że jesteśmy w lesie? Czego ode mnie oczekujesz?

– Nie wiem – wyszeptalem drżącym tonem. – Kurwa, nie wiem! Ale ktoś musi za to wszystko odpowiadać, ktoś musi być winny!

Odsunąłem powoli pistolet od nagiego czoła Pnia i schowałem za pasek. Kilka głębszych oddechów zajęło mi dojście do siebie. Głównie trzymałem się za postronki włosów i próbowałem nie zwariować.

– Jak się pozbyć Krzykacza?

– Leśnego licha? – dopytał, siląc się na lekki uśmiech, nadal jednak dyszał. – Nie wiem. Na pewno się da, musi się dać, tylko nikt nie miał nigdy...

– Siły? Inteligencji? Odwagi?

– Wystarczająco w dupie swojego życia.

– Mówiłeś, że bogowie to po prostu zwierzęta na szczycie łańcucha pokarmowego. Czyli na pewno da się je jakoś stamtąd zrzucić. Dałem z siebie dzisiaj wszystko, a przeżyłem... Przeżyliśmy tylko fartem. Nie mogę liczyć na to, zawsze kiedy on się wyczerpie? Jutro? Pojutrze?

– Chcesz zostać bogiem?

– Chcę wydłużyć łańcuch. – Nagle olśniły mnie własne słowa, proste, niepozorne. – Licho krwawi, prawda? Widziałeś to.

– Drozd...

– Więc na pewno da się je zabić, musi być taka możliwość.

Rozejrzałem się konspiracyjnie i usiadłem przy głowie Pnia. Mój towarzysz wyjął z plecaka bukłak zaśniedziałej wody, wypiliśmy po dłuższym łyku. Na moment wsłuchaliśmy się w pustkę, gdzie z oddali dobiegał długi, wysoki pisk i klekot bocianów.

– Gdyby tak znaleźć coś większego od Latarnika? Większego od Krzykacza?

– Jezusa z Nazaretu?

– Nie, głąbie. – Trąciłem Tura łokciem. – Coś mogącego go wchłonać, coś z głębi matecznika, co nie ma powodu do atakowania Chołów.

– Niedźwiedzia? – zaśmiał się cicho. – Chcesz niedźwiedziem pokroić wilka, świetny pomysł, naprawdę. Może jeszcze chcesz wpuścić tu tygrysa? Nie pytaj, jeszcze ich nie widziałem.

– Czekam na merytoryczne zarzuty co do mojego planu – zachnąłem się. – Po co mam się tłuc do wioski Cichych, skoro mogę sam rozwiązać problem?

– Posłuchaj się sam. Zachowujesz się, jak gówniarz. Licho terroryzuje te ziemie od niemal pół wieku, od samego początku. Pamiętam, jak rosło, jak się zmieniło i przyjmowało różne formy. Pamiętam, jak jeszcze Latarnik był tylko bajką na dobranoc, dla niegrzecznych dzieci, zbierających borówki przy ścianie lasu. – Na moment zatrzymał się, musiał co kilka słów wziąć oddech albo dwa. – Nie możesz mi powiedzieć, że nagle znajdziesz wielkiego potwora, zwabisz go przez kilka pięter lasu, zmusisz do walki z Krzykaczem, a potem nakłonisz do pokojowego odejścia.

Zmiliłem w ustach przekleństwo. Chciałem się unieść, odpyskować, nawet przez moment sięgnąć po pistolet dla dodania odwagi. Tylko to wszystko nie byłem ja, Pień miał rację, nie było sensu.

– A ta rzecz na plecach Krzykacza? – spytałem ponownie. – To wyglądało jak kabel zasilania, albo pępowina... Szło dosyć daleko w głąb lasu, może warto to sprawdzić? Wyciągnąć wtyczkę po prostu.

– Wyciągnąć wtyczkę?

– No, jak telewizor z prądu... Dobra, to brzmi głupio.

– Nie wiem, czy brzmi głupio, bo cię, kurwa, nie rozumiem – warknął na mnie Tur, pierwszy raz od początku rozmowy.

Mój towarzysz wsparł się z trudem, cały oblewając się potem. Zdołał sięgnąć do kieszeni plecaka i wyjąć z niej małe puzderko z przegródkami na flakoniki i proszki. Że też to wszystko się nie tłukło.

– Mam podobne – wymusknęło mi się nagle. – Po nieboszczyku mi zostało.

– Pokaż – szepnął półprzytomnie, samemu zajmując się swoim pudełkiem.

Najpierw wyjął odrobinę fioletowego proszku, obślinił palec, zatopił w substancji i zaczął ją zlizywać. Dopiero po krótkiej chwili przestał mruzczyć z zadowolenia i jakby sam się ogarnął, że mógł przesadzić. Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jak dziecko, które miało wziąć jednego cukierka, a włożyło sobie całą garść do kieszeni.

Podąłem mu swoje pudełko, obrócił w dłoniach, pokiwał głową, choć jego wzrok stale skupiał się na własnych przegródkach, z których wyjął niewielki flakon błękitnawej substancji. Ostrożnie przystawił dozownik do ran po pazurach Latarnika i psiknął, zaciskając zęby. Miejsce rany natychmiastowo zaczęła obsiadać delikatna rosa z mgiełki, zaraz jednak tężała i zmieniała się w drobne, turkusowe bąble, zrastające się ze sobą na ranie.

– To mięsożerna bakteria? – spytałem lekko przerażony.

– To wyciąg z Atamanki, śliczny kwiat. Problem jest taki, że nigdy nie wiesz, czy dawka nie będzie za duża.

– Jakbyś przebadał stężenie potrzebnego w preparacie składnika, wielkość i głębokość ran, rozkład tych bąbli i...

Pień spojrzał na mnie zdenerwowanym i zmęczonym wzrokiem.

– Próbuję usystematyzować te twoje szamanizmy. To może uratować mi kiedyś życie albo komuś...

– Komuś?

– Zastanawiam się po prostu.

– O, nie... Zapuszczasz korzenie, prawda? Już myślisz nad tym, by tu zostać, tak?

Zacisnąłem wargi, podrapałem się za porożem i w końcu zdobyłem się na odwagę, by je zdjąć. Bogiem a prawdą, to miałem wrażenie, że Pień robił się leciutko przeźroczysty, a głupio byłoby się rozminąć na poziomach halucynacji. Głęboko odetchnąłem bez maski i filtrów z bławatka, którego przed wyjściem zapakowałem nam do nosów mój towarzysz.

– Tutaj jest Ameryka. Nowy kontynent, niezbadany. To jest coś, na co ludzie czekają całe życie i nie dostają nawet ułamka. Ja to wszystko mogę obserwować, spisać, stworzyć całą teorię i zrozumieć.

– Jest taka rzecz, o której nie mówi się głośno. Głos, który mówi do człowieka. – wyznał Tur lekko zawstydzonym tonem. – Coś, co wykorzystuje nasze marzenia, lęki... Wszystko przeciwko nam, bylebyśmy zostali w lesie. To wielki lep na muchy, do którego sami lgniemy.

– To moja decyzja.

– Nie wiesz tego.

– Zostanę, gdzie będę chciał – warknąłem, odruchowo sięgając po pistolet.

– Drozd... Popatrz na siebie.

Zamrugalem raz i drugi. Stałem jako obrzydliwie poszarpany strzęp człowieka, lekko drżący z emocji i przesiąkającego sweter zimna. Mgła dookoła niemalże całkowicie zrzędła, zostawiając widok na najbliższe kilkanaście metrów, nim gęsty las blokował widok. Byliśmy na pofalowanym podłożu z szarego mchu i pniaków, otoczeni olchami o schodkach z huby.

Trzymałem pistolet jak naturalne przedłużenie ręki.

– Nerwy – szepnąłem przez ściśnięte gardło, chowając broń.

Działo się ze mną coś złego.

– Też mam z tobą same nerwy – odpowiedział Tur, zaglądając wreszcie dokładniej do mojego pudełku. Odetchnął ze zmęczeniem, zmrużył oczy i zaczął przystawiać kolejno palce do przegródek i flakonów. – Chciałeś wiedzy, to masz. Wolę byś miał ją ode mnie niż zaraz chodził i strzelał do drzew. Tutaj jest wszystko rzędami, u góry pożytki wznoszące, od lewej najmniejsze wartości do prawej, największych.

– Systematyczna wiedza w lesie, coś nowego.

– Nie wystawiaj mnie na próbę – warknął, ale pokazywał dalej, nie-szczególnie zmieniając się na twarzy, raczej odpowiedział odruchowo. – Zasada ogólna jest taka, że od grzybów trzymaj się z daleka. Grzybnie się-gają głęboko, to chyba dlatego mają taki dziwny skład, miesza się w nich wszystko. Na przykład tutaj masz Rzeźnik...

– Rzeźnik?

– Rzeźnik, od rzeżenia. Nie śmieję się z mojego akcentu.

– Nie śmiałem, po prostu... Mów dalej.

– Proszek możesz wetrzeć, albo wciągnąć, w twoim przypadku raczej zastrzyki nie wchodzą w grę, prawda?

Odruchowo zakryłem nawzajem dłońmi przeguby, chowając żyły. Chyba to zauważył, bo na twarzy wyszedł mu złośliwy uśmieszek.

– Proszki z grzybów łatwo poznać, mają takie farfocle, bo większość osób dozuje przez zęby, więc to nie przeszkadza. Do zastrzyku oczywiście weźmiesz płyn. Ty nie weźmiesz, ale...

– Skończ! Proszę, to mnie nie bawi.

– Boisz się zastrzyków?

– Żył – doprecyzowałem, zaciskając zęby i przełykając ciężko ślinę. – Nie mówmy o tym i tyle.

– A kiedy ja chcę zachować sekrety, to... Dobra nieważne. Jak dobrze prowadzisz spis w dozowniku, to pożytek nad i pod powinny się niwelować, jak plus i minus w matematyce. Tylko jest pewna różnica, a raczej różnice, niuanse, bo ludzki organizm to nie matematyka. Więc zazwyczaj lepiej nie mieszać, pamiętasz lekcje rzygania? No właśnie.

– Co z perfumami?

– To nie perfumy, ale...

– Ale?

– Możesz tak o nich myśleć, bez różnicy. Niektóre przenoszą twój zapach na inny poziom wyniesienia albo sam jeden aspekt, na przykład wygląd.

– To tak zniknąłeś wtedy, gdy walczyliśmy.

Pień spojrzał na mnie szczerze zdziwiony.

– Nie walczyliśmy, po prostu ci wpierdoliłem, a teraz słuchaj dalej, bo się znowu tak nie rozgadam. Zapamiętujesz to wszystko?

– Tak, chciałbym to zapisać, ale nie mam na czym, szkoda.

– Zapisuj w pamięci, będzie ci niezbędne, jeśli planujesz rzeczywiście ze mną zostać.

– Czyli się zgadzasz? Pomożesz mi w badaniach? – spytałem, nie ukrywając ekscytacji, ale Pień po prostu ściągnął usta w grymasie i dalej wskazywał substancje, robiąc przy tym złośliwe przytyki i długie wywody, obrażające poprzedniego i aktualnego właściciela pudełka.



– Tonie on, tonie jego koń...

– Rymujesz.

– Stul mordę i daj mi dokończyć – zaśmiał się Pień, drapiąc wzdłuż grdyki, wystającej spod turzej czaszki. – No więc toną w bagnie, już są po ramiona, znikąd pomocy...

– Koń też po ramiona?

– Usiądź na jeżu. No więc, toną już do końca, wszyscy czekają niecierpliwie, co się stanie, jak się niby wykaraskał z tego, bo stoi przed nimi i opowiada takie dyrdymały, no to musiał jakoś uciec, a baron by nie kłamał. Wiesz, co się okazało?

– Wyciągnął sam siebie za warkocz?

– Kuźwa, bezsensu opowiadać ci kawały, jak znasz zakończenie – fuknął Pień, jeżdżąc palcami po zapleśniałej ranie na torsie.

– Znane nazwisko w psychologii, na jego cześć nazwano chorobę nawet.

– Choroba opowiadania pierdół?

– Nie, wywoływania sztucznie objawów chorób, których się nie ma.

– A na cholerę coś takiego robić?

– A na cholerę brać korzyści?

– No dobra, to jestem w stanie zrozumieć. – Ściągnął twarz w zamyślonym grymasie i spojrzał w górę.

Las był mozaiką kolorów. Między drzewami umykało nam już słońce, zachodzące coraz niżej, rzucając przy tym krwiste czerwone promienie. Z gałęzi sfrunęła spłoszona wilga, błyszcząc jaskrawo-żółtym podbrzuszem.

– Jest pięknie – stwierdził nagle, choć co chwila musieliśmy się zatrzymywać, by mógł złapać oddech. – Wiesz, to jak z kanionem albo urwiskiem. Masz ochotę skoczyć, czujesz, że cię ciągnie w dół.

– Tak, to jest coś więcej, wiesz? Nie umiem tego opisać, chyba czasami jest lepiej...

– Milczeć?

Pokiwałem głową, chciałem sięgnąć do niego, objąć go, tak zwyczajnie po koleżeńsku. Zamiast tego cofnąłem rękę, wstrzymałem oddech. Pień zamarł w bezruchu, nadymając tylko nos, jak miech kowalski.

– Ogień – szepnął, wlepiając wzrok między drzewa.

Wciągnąłem woń w nozdrza, nic nie czułem przez maskę, a co dopiero jakiś ogień! Jednak... Nie, moment. Między wkładami z bławatka i wونیacymi żywicą sosnami przebiła się pojedyncza nuta zapachowa. Coś jak drzazga, drobna, ale boleśnie obecna.

Pień wyrwał na przód, zaciskając dłonie na widłach. Już nie kuśtykał, nie podpierał się, po prostu pędził na złamanie karku, bo wiedział to, co do mnie dopiero dochodziło.

Kto miałby do cholery podpalić las?!

– Ej, poczekaj na mnie! – podniosłem głos, jednak zaraz anachoreta przeskoczył nad rozległym wykrotem i zniknął za krzewami burzanu. – Mieliśmy się nie rozdzielać, pamiętasz?!

Zostałem sam, na ułamek sekundy zastanawiając się nad tysiącem rzeczy, z których każda była równie paskudną wizją przyszłości. Nic jednak nigdy nie jest w stanie przebić rzeczywistości, zaskakującej boleśnie za każdym razem.

Rozległo się wycie, odległe, modulowane z wyraźną celowością. Najpierw z prawej, daleko, potem z lewej daleko i za mną... Ale za mną już nieco bliżej. Kolejny skowyt, drugi, kolejne dwa nawoływania z prawej, jeszcze bliżej.

– Pień? – jęknąłem cicho, nieśmiało. Głos łamał mi się, zresztą wraz z kolanami, gnącymi się do ziemi ze strachu. – Pień!

Krwisty poblask słońca przestał mi się wydawać romantyczny, a zaczął napędzać karuzelę zwidów. Między krzakami zdawały się przeskakiwać czerwone plamy, karby ciemnego futra, błyszczące drapieżnie kły.

Ruszyłem z miejsca, biegnąc w ślad za towarzyszem. Dookoła narastały kolejne nawoływania, skowyty, aż w końcu jarzębina za mną zagulgotała gardłowo, kryjąc w sobie nieznane zagrożenie, depczące mi po piętach.

Nozdrza naganiały kolejne hausty powietrza, a wraz z nimi nuty zapachowe, które z każdą chwilą utwierdzały mnie, że Pień miał rację. Tak, teraz byłem pewny, coś płonęło i to wyraźnie.

Gdzieś na granicy słuchu trzaskało palone drewno, łamiące się w po-
żodze. A może to tylko strach fabrykował złudzenia, by zmotywować mnie
do jeszcze szybszej ucieczki.

Gałąź sosny dzieliła mnie w twarz, a nogawka zaczepiła się o wysta-
jący korzeń jakiegoś drzewa. Nim się obejrzałem byłem w obcym miejscu,
z dala od jakiegokolwiek ścieżki. Pustelnik prowadził nas przynajmniej czę-
ściowo zrozumiałym szlakiem albo taki ten szlak się wydawał, bo z taką
pewnością nim kroczył. Teraz jednak byłem sam, absolutnie.

Drapieżniki były tuż za mną, słyszałem łapy, wyrrywające z każdym
susem pióropusze ziemi. Tętent sugerował mi całe stado, a może lepszym
słowem byłaby wataha? Nie chciałem o tym myśleć, ale między szkarłat-
nymi plamami światła stale widziałem sylwetki, wielkie, ciemne kłęby
chmur, płynących nisko, jak schodząca z gór mgła. Wszystko falowało,
przypominając nagrzane w letni dzień powietrze nad asfaltem.

Przekraczający, pomyślałem, oni są z innych pięter lasu. Nie ucieknę
przecież ani poziomo, ani pionowo! Chyba, że ucieknę?

Dłoń odruchowo powędrowała do kieszeni. Wymacałem kanciasty
kształt, biorąc głęboki oddech i wyrwałem rękę na światło dzienne. Ręko-
jeść pistoletu oddała znajomy, dający poczucie bezpieczeństwa chłód meta-
lu.

Na moment wszystko umilkło. Zostałem tylko ja, serce kołaczące się
w piersi, jak spłoszony ptak w klatce oraz szumiący cicho bór. Zawiał wiatr,
opadło kilka liści klonu, wirując delikatnie, by z gracją wylądować.

Spojrzałem na pojedynczy, uschnięty liść, który zawisł w pustce,
opierając się o niewidzialną przeszkodę.

– Świetnie. – Wyszczrzyłem się złośliwie, sam do siebie i pociągną-
łem za cyngiel.

Tetetka bluznęła ogniem. Kula utkwiała w pustce, prowadząc za sobą długi, krwawy ogień, jak u komety. Zagapiłem się w stuporze, aż powietrze drgnęło, nabierając barwy i konturu. Przede mną z nicości wyłoniła się z sąsiedniego piętra sylwetka, stojąca na czterech łapach.

Stworzenie wyszczerzyło pysk, krew wypłynęła strumieniem z przestrzelonego gardła i całe cielsko przewróciło się na bok, drgając w konwulsjach. Kula zniknęła gdzieś w trzewiach niby-wilka, który teraz materializował się, krok po kroku. Mięśnie, pokryte delikatną warstwą bezbarwnego mchu, kości obrosnięte pąklami, futro przemieszane z szerokimi, żółtawymi liśćmi.

– O, kurwa – szepnąłem tylko, nim obróciłem się na pięcie, by popędzić na złamanie karku.

Skowyty rozlegały się kolejno dookoła mnie, reszta watahy wychodziła już o własnych siłach z obcego piętra. Materializowali się, rozczapierzali listowia wzdłuż garbów, oplecione bluszczem ogony gięły się nisko, jak u kota gotowego do skoku. Oj, zdecydowanie chcieli sobie odbić stratę jednego z towarzyszy.

Fakt faktem, kilku chyba zwolniło, cofnęło się, rezygnując z niepewnej ofiary na rzecz pewnej padliny. Jednak wciąż widziałem podłużne, groteskowe pyski, świecące zębami z każdej strony.

Tetetka strzeliła po raz kolejny i następny w mojej dłoni. Odrzut był koszmarny, kopała jak koń, nadgarstek ciągnął bólem. Nie celowałem nawet, po prostu pędziłem przed siebie, starałem się nie wywrócić o runo leśne i zachować własne życie, chociażby minutę dłużej.

– Pień! – krzyknąłem ostatni raz, nim wskoczyłem między gałęzie bzu i wyleciałem na skąpaną w oranżowym blasku polanę.

Dom Pnia płonął, a dookoła niego czekali już na nas oni.

– Pień! – wydarłem się ponownie, przeskakując niski, przewrócony płot. – Co się dzieje?!

Gospodarz trzymał oburącz widły, wymierzając nimi przed siebie i starając się nie przewrócić na bok ze zmęczenia i bólu. Dyszał ciężko, jego plecy unosiły się i opadały, pozbawione plecaka, który odrzucił gdzieś na bok. Wyglądał niemalże potężnie na tle huczącego pożaru. Niemalże, bo prawdziwy lęk i szacunek budziły niepozorne sylwetki.

Ogień oświecał ich od pleców i kłuł w oczy, w ciemniejącej, wieczornej szarówce. To tylko nadawało im napawającego grozą wyglądu, bo można było dostrzec ich jako czarne kontury, wycięte z pożogi. Siedmiu rogaczy w szerokich narzutach, spływających z ramion, jak poncho. Blask rzucany przez pożar błyskał w metalowych sprzączkach i zwisających z pasków sierpach.

Chołownicy, pomyślałem, znaleźli mnie.

Kilku z nich wskazało coś sobie palcami i odpowiedziało językiem migowym reszcie. To był jakiś teatryk, a ja i Pień byliśmy widownią. Podpalili chatę, by nas zwabić i złapać zdyszanych, wymęczonych, bezbronych.

Aż żołądek podszedł mi do gardła, bo dostrzegłem rzecz, która przesunęła granice.

Dziady, wszystkie dziady wystawały z pryzm drewna opałowego, rozrzuconego dookoła strzelającego w niebo ogniska. Porąbali dziady i dorzucili ich do ognia, tak po prostu, jak podpałkę, jak gałęzie, węgiel... Jak nic.

Pustelnik stał w stuporze,. Zrozumiałem, że to jedyny powód, dla którego jeszcze nic nie zrobił. Nie ratował swojego dobytku, nie próbował ocalić nawet porąbanych kończyn swoich podopiecznych.

I wtedy usłyszałem głos.

– Panie Jerzy Drozd, znaleźliśmy pana – powiedział prawie że przy-
milnym tonem ochrypy Zając. – Nie było, kurwa, łatwo, oj, nie było.

Trzasnęła belka, kawałek ściany zwałił się na ziemię. Rura komina
jęknęła cicho, wygięła się powoli i runęła w trawę, rozniecając tajfun iskier.

– Okłamałeś mnie – odezwał się Tur, ale głos miał niewściekły, a po
prostu rozgoryczony. – Mogłeś mi się przyznać, teraz to nieważne...

– Ej, kurwa! – wydarł się nagle Zając. – Potem sobie pogadacie.
W sumie to nie, ale chuj w to. Jurek, ty idziesz z nami, Abdankowicz może
się jebać na pizdę.

Wioskowy doktor pociągnął czegoś z bukłaku. Chwiejnym ruchem
wskazał coś ręką do swoich. Reszta nadal nie chciała się odezwać, może nie
potrzebowali, a może tylko Zając nie bał się krzyczeć w lesie.

– Biegnij – szepnął Pień, po czym zamachnął się błyskawicznie i do-
dał krzykiem: –Biegnij!

Widły pomknęły przez ciemność i zagłębiły się w torsie jednego z
Chołowników, jak ciśnięty oszczep. Człowiek chwycił się za dwa z wbitych
zębów, zaparł, kolana ugięły się pod nim i zaraz leżał na ziemi, jęcząc przez
maskę.

Zając schylił się, jak przyszpilony ostrzałem i rzucił gdzieś w trawę,
nie wypuszczając naczynia. Paru z Chołowników sięgnęło po łuki, ci na
bokach zaczęli biec do Pnia z bronią białą, oskrzydłając go, przyciskając do
ściany lasu.

Już sięgnąłem po pistolet, wymierzyłem w jednego z nich, jednak za-
raz Pień sięgnął po toporek przy pasku i ryknął:

– Biegnij, durniu!

Zatrzymałem się na ułamek sekundy, opuściłem broń i po prostu wle-
ciałem w ścianę lasu, modląc się cicho, by niewidzialne drapieżniki odpu-
ściły sobie polowanie.

Wbiegając między drzewa dostrzegłem, jak mojemu towarzyszowi wystaje z ramienia strzała, on sam odpędzał się od dopadających do niego sylwetek rogaczy. Wyglądał jak prawdziwy tur, odganiający się od mniejszej zwierzyny, chcąc powalić go przewagą liczebną.

I wszystko zniknęło między pniami, wrzucając mnie w ciemny, pusty świat, gdzie Pień jest tylko pniem, a nie przewodnikiem.

Zaszeleściły liście, skrzypnęła sucha kłoda, pojedynczy puchacz spłoszył się na mój widok i wzleciał wyżej, do koron gigantycznych drzew. Byłem znowu sam, w lesie, który jest zazdrosnym bogiem.

Serce biło mi jak dzwon, płuca młóciły powietrze zbyt szybko, nazbyt rwanymi ruchami. Lęk zacisnął mi się dookoła szyi i nie chciał puścić, miesząc przed twarzą resztki kolorów odchodzącego dnia i zwielokrotniając zagrożenia mroku. Wszędzie czaiły się fantasmagoryczne sylwetki, niektóre na dwóch nogach, o oczach niemalże ludzkich.

Noga odezwała się bólem, przypominając o sobie po raz kolejny. Chyba rana zaczynała się paprać.

Rozprostowałem ramiona, wziąłem jeden, powolny oddech i sięgnąłem do bukłaczka w kieszeni. Był niemalże pusty, straciłem plecak i zapasy, oraz jedyną przychylną mi osobę...

Zamknij pysk, pomyślałem, nie panikuj tak, tylko myśl. Dokąd teraz? Do wioski Cichych, tak jak mówiła Gopulska, tylko jak?

Spojrzałem za siebie, gdzie dopiero co zaszło słońce. Obróciłem się tak, by mieć je po lewej stronie, oznaczało to, że szedłbym bokiem do polany Pnia. Oblawa oczekiwała pewnie, że będę uciekał jak najdalej od tego miejsca, więc to mogło się nawet dobrze zgrać. Pytanie pozostawało, czy ja przypadkiem nie miałem iść ze słońcem po prawej?

Postąpiłem pierwszy krok przed siebie, przyginając się lekko do ziemi i nasłuchując. Maską woniała nadal mocnym zapachem kwiatów i korzennej

zaprawy. Żywicze oko wyłapywało z ciemności przeskakujące sylwetki, należące do innego świata, do innych wydarzeń, może nawet innej pory dnia. Byłem gotowy na to, by las otworzył przede mną swoje sekrety, skoro ludzie już to zrobili.

Pozostawało jedno, niewypowiedziane pytanie: co z drapieżnikami? Liściastych czworonogów rzeczywiście nie było nigdzie dookoła, nawet na filtrze oka. Swoją drogą, skoro ich wcześniej przez niego nie widziałem, to widocznie filtr wyłania na świat tylko obrazy z jednego zwrotu fizycznego pięt – albo góry, albo dołu.

Po drzewie obok wspiał się pająk, posiadający dobre pół metra rozpiętości odnóży, by zaraz zniknąć gdzieś w dziupli. Z ciemnego otworu wystawały na świat tylko jedno, czerwone oko.

Wzdrygnąłem się, ręka mimowolnie sięgnęła do pistoletu, ale zaraz wróciła na swoje miejsce. Trzeba było się przyzwyczajać, próbować zrozumieć, a nie się bronić. Wszystko w lesie da się w końcu pojąć, zrozumieć, jak funkcjonuje. To tylko ludzi należy się bać.

– Na toni lilia, kaczeńce żółte... – Rozległo się nagle nucenie.

O, cholera, pomyślałem, nie mogąc zlokalizować źródła dźwięku. Nie możliwe, że są przy mnie tak szybko, nie, zresztą, jak mieliby mnie zobaczyć?!

– I zmarszczki wody, znaczą panienki twarz...

Skoczyłem przed siebie, nieomal wpadając na wąski pień wierzby, czepiającej się wiciami wszystkiego dookoła. Jedno z takich ramion trzymało za gałąź inne drzewo i oplatało je, z niezwykłą wręcz celowością, wysysając zdaje się wodę. Schyliłem się nisko, czmychnąłem pomiędzy pnączami, by nie dać się złapać.

– Chłopca pyta dzika roża; czy dom panienki wodnej znasz?

Ciemność oplatała mnie z każdej strony coraz mocniej, a do mnie doszło, że nie miałem już żadnego źródła światła. Przez rozłożyste korony minimalnie przebijał się księżyc, dając mi blade pojęcie tego, gdzie uciekać. Bo tego jednego byłem pewny, że uciekać należy i to w trybie bezwarunkowej ewakuacji.

– I dwa paciorki oczu ciekawe gościny...

Głosów było kilka, nakładały się na siebie, mieszały, wypowiadały słowa w różnym tempie. Coś minimalnie znajomego przeblyskiwało w nich, to samo uczucie, które miałem w czasie pobytu w Chołach. Cokolwiek w tej wsi było niezwykłego, Chołownicy zdecydowanie potrafili to przemycić do lasu, jak ochronny parasol.

– Skaczą ukradkiem w wodę i trzciny...

Trzask łamanej gałęzi, tuż po mojej prawej. Zaraz za nim znajomy dźwięk wygarnianej obcasem ziemi i chrobot kamyków, strzelających na boki.

Ktoś biegł ze mną na kurs kolizyjny, zdążyłem to w porę wychwycić, przetrwać, uświadomić sobie... Tylko zareagować nie zdążyłem.

Duch, chociaż niepewny, na wpół widoczny przyskoczył do mnie i powalił na ziemię. Potoczyliśmy się tak parę metrów i uderzyliśmy o pofalowany pień drzewa. Spróbowałem chwycić za pistolet, udało mi się go wyszarpać i w tym samym momencie pięść ducha rąbnęła mnie w nadgarstek. Zwolniłem chwyt, poczułem, jak przeciwnik ściska mnie za żyły, jakby próbował wydrapać cokolwiek na granicy rękawiczki.

Na moment złapałem blady cień twarzy, skrywającej się za rogatą maską o smukłym, wysokim porożu. To był Chołownik, przebywający na granicy mojego piętra i piętra wyżej. Widziałem go podobnie na filtrze i bez niego, on był jakby w połowie, jakby schodził klatką schodową, ale bardzo powoli.

– Przez wodę bystrą, czystą jak kryształ... – nucił dalej, utrzymując swoją świadomość na granicy.

Słyszałem, jak idą ku nam kolejni; zostało niewiele czasu, nie miałem szans przeciwko tylu osobom naraz. Chciałem wywinąć drugą rękę, gotowy chwycić za głowę napastnika, jednak on przytrzymał mnie drugą ręką, zbliżając się do mnie całym ciężarem. Przytrzymywał mnie do przybycia posiłków. Zgodnie z moim planem.

Odgiałem głowę w tył i bok, nabrałem powietrza i z całą mocą walnąłem pojedynczym rogiem. Zaostrzony koniec dźgnął Chołownika pod brodą, wbijając się obok grdyki. To wystarczyło by odruchowo się odchylił, zwalniając chwyt.

Przed oczami mignęły mi tańczące na wietrze wicie wierzby, pod którą toczyliśmy zapasy. Pojedyncza satysfakcjonująca, złowieszcza myśl błysnęła w mojej głowie.

Podciągnąłem jedno kolano, drugą nogę wygiąłem w bok, zapałem się i kopnąłem przeciwnika w podbrzusze, na tyle powoli, by zdążył zareagować, na tyle szybko, by zrobić to jedynie odruchem, a nie myślą. A jaki jest pierwszy odruch, gdy ktoś chce cię kopnąć w to miejsce? No właśnie.

Chołownik odskoczył w tył, próbując złapać równowagę i nie dać się trafić. Patrząc jednak ciągle na mnie, nie mógł zauważyć, pod jakie drzewo się wtoczyliśmy. Zrozumiał to dopiero, gdy pierwsze wierzbowe wici zsunęły się po jego plecach i ramionach.

– Pyta się chłopiec; gdzie mogę przystać? – nucił dalej, bezmyślnie, całkowicie nawykowo, powoli wychylając się z piętra.

Nogi zabuksowały o ziemię, ręce wywinęły kilka obrotów, Chołownik zaczął powoli odlatywać od ziemi, chwycony w objęcia wierzby. Drzewo mocowało się z dużą ofiarą, próbując wciągnąć ją wysoko, pomiędzy

kokony piaskowego koloru, absolutnie wysuszone mumie, przypominające muchy w pajęczej sieci.

Udało mu się zerwać kilka wici, które nie przeczepiły się dość dokładnie do skórzanego paltła. Półprzezroczystość pozwalała mu się wymykać nieco wierzbie, która widocznie była tylko na tym piętrze lasu, więc teoretycznie na drugim już nie.

To był dobry moment na pierwszy eksperyment badawczy.

Zerwałem się na równe nogi, jednak na tyle ostrożnie, by nie podzielić losu łowcy. Zbliżyłem się do niego, nadal szeptał swoją ochronną piosenkę. Chwyciłem za maskę, zerwałem gumową wykładkę, przylegającą do szyi. Moim oczom ukazała się ostrzyżona na krótko broda jednego z miejscowych pijaczków, którzy wtrącili mnie do piwnicy.

– Rozchyła się toń i...

Nie dokończył, zdzielony łokciem przez zęby. Zabełkotał kilka wyrazów, zapluł się krwią i kawałkiem własnych zębów. Wicie zacisnęły się mocniej na ramionach, podrywając go już nad ziemię do tego stopnia, że nie sięgał jej nawet palcami.

– i pani...

Uderzyłem w brzuch raz, drugi i sylwetka Chołownika zmateriałizowała się do reszty, gdy moment milczenia przeciągnął się nazbyt długo. Widocznie pieśni też mają swoje zasady.

Dalej były już tylko paniczne krzyki, ginące szybko, zagłuszone kneblem z łyka.

Zabrałem swoją upuszczoną własność i ostrożnie wyczołgałem się spod przedziwnej, mięsożernej Więżby. Pierwszy udany eksperyment, choć wnioski jeszcze niejasne.

Pieśni umilkły, łowcy zeszli z wyższego piętra na moje i musieli być bardzo blisko, bazując na tym, skąd dobiegały ostatnie szepty.

To teraz albo nigdy, pomyślałem.

Wyprułem z siebie resztki energii, by odbiec jak najdalej. W niewielkim rozrzedzeniu drzew stał spory głaz, sterczący pionowo z ziemi. Kilkoma susami dopadłem do niego i schyliłem w cieniu, szarpiąc za zamek kieszeni.

Były trzy opcje.

Podejmę się walki i w przeciągu kilku godzin będę częścią ekosystemu Krzykacza.

Nie podejmę się walki, spróbuję przeskoczyć kilka pięter i przeżyję swój narkotyczny, złoty strzał, a dalej to już tylko objęcia niebiańskiego pasterza, albo pustka.

Przekroczenie się uda.

Cóż, trzecia opcja rokowała na jakiś sukces, więc raz kozie śmierć. Sięgnąłem po pudełko pożytków, rozwarłem wieko i na moment zapatrzyłem się do wnętrza. Było ciemno, proszki zlewały się w jedno i nie dawały rozróżnić swoich barw.

Coś zaszurało, rozgarniając opadłe na ziemi liście, Chołownicy byli tuż, tuż.

Nie było na nic czasu, więc oparłem pudełko o kolano, sięgnąłem za odrobinę grzybowego proszku z prawego krańca i rozsypałem go na drugiej dłoni.

– Boże, jeśli istniejesz to... Albo nie – szepnąłem do siebie, ściągając maskę jedną ręką.

Drobiny nieznanej substancji wskoczyły w nozdrza. Wszystko trwało o wiele krócej, niż się spodziewałem. Dosłownie natychmiast świat ucichł, a dookoła mnie zaczęły blednąć kolory. W końcu zostałem tylko ja i ciemność.

Nic tak nie uczy życia, jak praktyka. Do tej pory pieśni z Chołów wydawały mi się śmieszne, nieco naiwne. W końcu trzymanie się pewnego poziomu świadomości, za pomocą piosenki było najwyżej skuteczne na papierze. Takie uczenie się odruchów, instrumentalizacja kompletna.

I jak bardzo się myliłem, ciężko było powiedzieć.

Światy przesączały się przed moimi oczami, jakbym jechał windą ekspresową z otwartymi drzwiami. Kolory lasu zmieniały się, jak niebo nad widnokrzem. Na krótki moment światło wypaliło mi rodopsynę w gałkach ocznych, zaraz za tym pojawił się kolejny błysk i następny. Straciłem rachubę piętér niemal natychmiastowo. Zacząłem po prostu krzyczeć, zasłaniając oczy i wstrzymując wymioty.

Karuzela zdawała się tylko przyśpieszać, wynosząc mnie wysoko, bombardując odczuciami. Koncerty barw, chóry dźwięków, symfonie zapachów. Przez moment miałem wrażenie, że przeskoczyłem do wnętrza jakiegoś głazu. Gdybym zatrzymał się, to zapewne umarłbym z pragnienia, wciśnięty w klatkę dokładnie mojego rozmiaru.

To było jak koło fortuny, strzałka decydowała o moim losie, a pod nią przesączały się tylko pola: piekło/czyściec/graj dalej.

W końcu opadłem z sił, zgąłem się z bólu i zauważyłem, że świat zwolnił.

Uniosłem głowę i dostrzegłem księżyc, zajmujący jedną trzecią nocnego nieba, świecący intensywnym, turkusowym blaskiem. Gwiazdy dookoła niego błyszczały nienaturalnie mocno, zdawały się wirować po nieboskłonie.

Drzewa dookoła były gigantyczne, wzrastały na setki metrów, jednak były od siebie w większych odległościach, przykrywając wszystko parasolem kilometrowych koron.

Ziemia zatrzęsała się w posadach, osypujący się z liści pył był jak burza piaskowa. Myślałem, że to ja już szaleję, trzymałem się resztkami siły swojej świadomości i ciągów przyczynowo skutkowych. Jednak nie, to ziemia naprawdę drżała.

W oddali przesuwiał się majestatyczny stwór, będący jedynie konturem na horyzoncie. Bałem się nawet wyobrazić, jak ogromne osiągał wymiary, by wprowadzić świat w podrygi.

– O, nie – wypowiedziałem coś zbliżonego do tego, śliniąc się i próbując nieudolnie podeprzeć o kamień.

Kamienia, za którym schowałem się przed łowcami, już dawno nie było. Musiał zostać gdzieś tam na Ziemi. Bo to miejsce nie wyglądało jak Ziemia, choć przecież nią musiało być, prawda?

Gdzieś niedaleko zagrzemiał dźwięk, przypominający otrzepywanie masywnego prześcieradła. Z lekko dziecinny, ciekawskim uśmiechem na nieobecnej twarzy obróciłem się w tamtym kierunku, tylko po to, by dostrzec sowę.

Sowa, biała, z małutkimi różkami na głowie, leciała ku mnie. Jednak po chwili dopiero się zorientowałem, że nie była taka mała, była ogromna. To była sowa adekwatnie wielka do otaczającego mnie świata.

– O, cholera. – Na moment przetrzeźwiałem, spróbowałem stanąć na równe nogi, jednak sam obaliłem się na ziemię. – O nie, nie, nie, tylko nie druga możliwość, miała być trzecia, halo.

Otchłań zagarniała mnie coraz pewniej w swój uchwyt, ostatnie cząstki świadomości dawały mi dość zrozumienia sytuacji, bym wiedział, że jestem absolutnie w bagnie po same uszy.

Najgłupsza możliwa myśl błysnęła mi przez głowę. To nie była nawet nowa myśl, wynikająca z analizy sytuacji, to była jedynie powtórzona myśl poprzedniej myśli.

Znowu wziąć proszek, wkroczyć na jeszcze wyższe, bezpieczniejsze piętro. Obejrzałem się na zbliżającą się istotę i w zwierzęcym odruchu strachu uznałem, że ucieczka to jedyne wyjście.

Świat zmieniał się jak w kalejdoskopie. Pudelko, proszek na dłoni, świst wciąganego powietrza. Poczucie derealizacji było tak silne, że miałem wrażenie, jakbym obserwował swoje własne ciało z zewnątrz, kompletnie nie panując nad tym, co robi.

Zwinięty w kłębek, z ułamaną maską rogacza na kolanach, jęcząc przeciągle jak koza – tak podróżowałem między światami. Skóra bledła, żyły występowały na całym ciele, paznokcie zdawały się rosnąć na moich oczach, zresztą włosy też, sięgając już powoli do ramion. Żebra występowały kolejno z ciała, jak u wychudzonego ascety.

Wreszcie ległem na twardym, chropowatym podłożu, odzyskując siebie samego.

– Pić – było to jedyne, co wyszczały moje spierzchnięte usta.

Uchyliłem napuchłe od ropy oczy i zrozumiałem, że leżę w gałęziach wielkiego drzewa. Przez moment myślałem, czy to nie ja się po prostu skurczyłem z głodu, ale nie. Rzeczywiście drzewo było gigantyczne, rozświetlone pięknie rojami świetlików i blaskiem gwiazd. W koronie drzewa, która zamykała się jak klatka, spoczywało coś, albo ktoś.

Serce albo równie dobrze nowotwór złośliwy, kto wie. Jedno było pewne, miałem przed sobą coś żywego.

– Podejdź – wyszczało serce, rezonując głosem po wnętrzu korony.

Mówiła... Mówiło? W każdym razie bardzo cicho, słabowicie, jak osoba umierająca na łóżku szpitalnym. Może to mi właśnie dodało odwagi i wbrew wszystkiemu po prostu doczłapałem, samemu chyląc się na boki, jak pacjent hospicjum. Wyzuty z sił, porzucony wiatrami losu w kompletnie obce mi miejsce. Jednak byłem żywy, a to coś.

– Czy ja żyję? – spytałem, obejmując nabrzmiące serce.

Każde uderzenie oblepiało mi twarz lepką, różowawą cieczą. Dookoła mnie przepływały białe gałęzie, przypominające wielkie tętnice i aorty, budujące skomplikowany system. Byłem taki zmęczony, taki słaby.

– Wszystko dobrze, już jest lepiej – wyszeptało cicho serce. Teraz miałem wrażenie, że głos dobiegał dokładnie zza komory, do której przytulałem głowę. – Jesteś ze mną.

– Jestem bardzo senny, nie czuję nic, tylko senność. Czy tak się umiera?

– Czasami, ale też tak się zasypia. Dlaczego do mnie przychodzisz?

– Bo bardzo się boję i potrzebuję pomocy – wyłkałem łamiącym się głosem. – Nie mam nikogo, nie mam, dokąd uciekać.

– Teraz masz mnie, zostań ze mną, nie uciekaj.

– Co będziemy robić?

Drzewo niemalże niezauważalnie drgnęło, jakby korzenie otarły się o siebie wzajemnie, a gałęzie zacieśniły ku górze. Poczułem delikatne ciepło, ogrzewające mnie wzdłuż nóg.

– Rozmawiali, Jerzy, wtedy, gdy będziesz chciał rozmawiać. Milczeli, gdy będziesz wolał słuchać liści.

– Wiesz, jak się nazywam – stwierdziłem, kompletnie niezdziwiony. Obrazy przesunęły się przed oczami – same wzory na drewnianych ramionach, oplatających pulsującą kulę serca.

– Znam każdego w moim domu.

– Jesteś lasem?

– W niewiele większym stopniu niż wszyscy inni. Byłam pierwsza, wysłano mnie, by wam pomóc.

– Teraz jesteś kobietą?

– Nie jestem ani kobietą, ani lasem, ani nawet sercem, ani drzewem. Staram się nie komplikować tego bardziej niż trzeba.

– Bo nie rozumiem?

Coś mocniej zacisnęło się na moich ramionach, przyciskając mnie do mięsistej ściany. Mimo to nie czułem potrzeby ucieczki, chciałem się zdrzemnąć, czułem, że zasługuję na sen.

– Pochodzę z innego świata niż ty. Jest ich dużo i są różne, więc nie bój się, że nie rozumiesz. Większość ledwie widziała kawałek swojego, więc czemu mam od nich wymagać czegoś więcej?

– Chyba rozumiem.

– Świat ma historię, dla tych, którzy są uważni. Chciałeś innego zakończenia, prawda?

– Chciałbym czasami wrócić do swojego poprzedniego życia, sprzed zobaczenia tego wszystkiego. Tylko to tak nie działa i szczerze powiedziawszy, chyba po prostu się zakochałem.

– W kim?

– W tobie.

Serce wydało krótki dźwięk, jakby ciśnienie ulatywało z pojemnika, a zaraz potem rozbrzmiewał dźwięk zatrzaskiwanych drzwi.

– Zły wybór Jerzy, ale doceniam. Możesz tu zostać, jeśli chcesz.

– A ty czemu stąd nie odejdziesz?

– Nie mogę, obiecałam pomóc ludziom.

– Ale ty wcale im nie pomagasz. Tam jest... Tam... – Wtuliłem się mocniej w mięsień, choć zielonkawe gałęzie już mnie skrępowwały do końca, wtłaczając miłe dla ciała ciepło. – Przecież na Ziemi jest prawdziwe piekło. Krzywdzisz tych ludzi.

– Wiem, ale to nie moja wina, przysięgam.

– Więc czyja?

– Niczyja, nie każde nieszczęście to zbrodnia, nie wszystko musi mieć cel, sprawcę... Czasami są tylko powody. Zawiniły kwestie techniczne, wierz mi, że nie ma żadnych złych potworów, które chcą waszej krzywdy.

– To, co z Krzykaczem? Latarnikiem? Mamuną?

– Wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią. To tylko maszyny, jakkolwiek byś o nich nie myślał. Zepsute maszyny, których nie ma kto naprawić, ani odłączyć od zasilania.

– Krzykacz pożarł Latarnika – powiedziałem nagle, na moment coś zabłysnęło w mojej świadomości, próbując poderwać się do góry.

– Przyjdą następni, doślą kolejnych.

– Kto ich dosyła, skąd?

– Z innych światów, inni tacy jak ja. Nie wiedzieliśmy, że u was jest tak bardzo inaczej. Jestem zamknięta w tej skorupie, zdeformowana, szpetna.

– Jak cię wyciągnąć?

Liście zaszumiały cicho, imitując świszczący śmiech.

– To słodkie, ale nie wszystko jest bajką, nie każda choroba to klątwa. Ja jestem po prostu inwalidą, w twoim rozumieniu. Możesz mnie zostawić przy życiu albo...

– Albo dobić? – spytałem, orientując się, że serce naprawdę bije bardzo powoli, nieregularnie, nadymając się względnie przypadkowo i pompując soki w głąb drzewa.

– Nie byłbyś w stanie ani teraz, ani za tysiąc lat. Chcesz zostać tu ze mną? Będziemy tak czekać na koniec, w cieple.

– Muszę wrócić na Ziemię, uratować Chołowników, uratować przed tobą, choć nie jesteś niczemu winna. Nie zasługują na taki los!

– Jak chcesz im pomóc?

– Najpierw zabijając Krzykacza, potem się pomyśli.

– Czasami słyszę, wiesz? Słyszę, jak śpiewają moje pieśni, to takie słodkie. Fałszują instrukcję obsługi, a moi przyjaciele dosyłają regularnie nowe maszyny. Boję się, że w końcu wyślą coś, co zniszczy wszystko.

– Jesteście podróżnikami z innego świata?

– Naukowcami, ale postanowiliśmy zaingerować, wbrew zasadom. Przypadkiem uczyniliśmy potworne szkody w naturalnym porządku waszego świata. Teraz wysyłają za mną kolejne misje ratunkowe, które same padają łupem praw tego miejsca.

– Dlaczego nie powiesz im, by przestali?

– Nie słyszą mnie, nie możemy się porozumieć. Wszystko, co wysyłają w dziurę, całkowicie w niej ginie.

– Pewnie jesteś samotna?

Spytałem o pierwsze, co mi przyszło do głowy. Miałem to znajome uczucie, gdy przebywa się z osobą zranioną, potrzebującą pomocy, niezdolną w pełni wyrazić własnego bólu.

– Nigdy nie zobaczę swojego świata i nigdy nie wyzdrowieję. Będę tu czekać na koniec, zdarza się, wiesz?

– Co takiego?

– Śmierć. Śmierć się zdarza. – Tytanicznych rozmiarów drzewo zasumiało, imitując westchnięcie, albo ja to tak słyszałem. – Ty też umrzesz, ale masz jeszcze coś do zrobienia, choć może ci się to nie spodobać, a nawet jeszcze przyjdzie ci za to zapłacić.

– Muszę ich uratować. Choły, nawet jeśli oni nie zrobiliby tego dla mnie.

– Odłącz zasilanie. Nie naprawisz maszyn, nie pokonasz wszystkich, możesz tylko pociągnąć za kabel.

– Gdzie on jest? Co mam zrobić?

– Jerzy.

– No przecież jestem, moje serce, słucham cię.

– Jerzy, Jerzy! – Szum liści zmienił się w krzyk.

Zniknęło serce, zniknęły długie na kilometry gałęzie. Byłem tylko ja, leżący na ziemi, wgapiony w pąsowe promienie wschodzącego słońca, wysoko między szczelnym sufitem lasu.

Pachniało mocno ziołami, dymem, potem. Gdy przewróciłem się na bok, dostrzegłem źródło zapachów: kuchenka turystyczna.

A przy kuchence kuciała Lusia, gotując cienki bulionik.

Spróbowałem namacać sierp przy pasku. Nie było go tam, a po przeciwniejszej stronie nie było pistoletu, odebrała mi broń. Dziwne, że nie skrupowała rąk.

Jest sama, pomyślałem, mogę jej ukręcić łeb, jeśli będę musiał. Chyba że odda mi moje rzeczy po dobroci, ale pewnie nie. Przecież gdzieś dookoła muszą być pozostali rogowcy.

Nim się obejrzałem, kuciała już przy mnie, patrząc się z mieszaniną współczucia i przeważającego zmęczenia.

– Jerzy, Jerzy – powtarzała beznamiętnym głosem, jakby dyktowała numer telefonu.

Poderwałem się od razu i skoczyłem w jej stronę. Przynajmniej taki był plan, bo w praktyce po prostu rzuciłem się jak węgorek albo pogłaskany po brzuchu dziki kot.

– Znowu konwulsje – szepnęła tylko i wymruczała jakieś słowo, brzmiące z rosyjskiego, albo zwyczajnie z gwary, kto ich tam wie.

– To nie konwulsje – wyszeptałem, choć brzmiało to, jak świszczący bełkot, czułem się, jakbym dostał środkiem znieczulającym w twarz. – To był... dziki i drapieżny atak.

Lusia uśmiechnęła się, zakryła usta dłonią i spojrzała w bok. Zaraz jednak spoważniała i spojrzała na mnie jak na zarzyganego bezdomnego.

– Rozumujesz już, czy mam jeszcze poczekać?

– Daj mi chwilę – sapnąłem od serca, piekielnie zmęczony i skołowany.

– Jak wolisz – powiedziała z dobrze udawaną obojętnością i wróciła do mieszania w garnczku.

Po krótkiej chwili wróciła do mnie z parującym naczyniem i jedną, głęboką łyżką. Wskazała skinieniem na naczynie, ale ja się nie paliłem do próbowania.

– Przeszczep się nie przyjmie – zażartowałem, ale albo nie załapała, albo nie byłem tak zabawny, jak mi się zdawało.

– Trzeba było nie bezużytkować – mruknęła, kosztując pierwszej, parującej łyżki.

– Co robić?

– Tak mówię, jak ktoś bierze pożytki tylko po to, by sobie odlecieć, z nudów, czy po cokolwiek co się nie przyda.

– To chyba zabawniejsze niż mój żart – przyznałem i dałem się namówić na łyżkę zupy. – Cholera, całkiem niezbyt smaczne.

– Zrobiłabym coś smaczniejszego, gdybym miała składniki i gości, a nie reszkę butelki propan-butanu i zdezelowanego podróżnika w zaświaty. Nie gadaj, jedz. Jak będziesz grzeczny, to dostaniesz placki.

– Placki? – spytałem zdziwiony, ale dopiero po chwili zorientowałem się, że nie chodzi o owocowy smakołyk, tylko suchary mączne. – To ja chyba nie będę grzeczny.

– Spytałem wprost, panie doktorze, czy mam pana zostawić?

– Nie, wybaczone, humor się mnie trzyma, odkąd próbowałaś mnie zabić, popełniłaś ludobójstwo na leśnych dziadach i spaliłaś dom mojemu nowemu... – Zatrzymałem się na moment, przegryzłem usta i po prostu zmilknąłem.

– Nic nie rozumiesz.

– Pierdol się, po prostu, pierdol się.

Zajadałem się w ciszy zupą, ogniskując wzrok na otoczeniu. Byliśmy w gęstym zagajniku otoczonym co najmniej kilkoma gatunkami drzew, z których żadne jednak nie wydawało mi się szczególnie dziwaczne, ani groźne. Czyli dałbym radę czmychnąć.

Nie było Chołowników.

Myśl uderzyła mnie nagle, choć ciężko było ją przyjąć od razu. Łucja gotowała na jednym garnczku niewielką porcję jedzenia, na dwie osoby nadawała się najwyżej na przystawkę. Dookoła nie było innych rzeczy niż nasze.

Swoją drogą, mój dobytek szybko się kurczył, skoro została mi już tylko broń i to pudełeczko z pożytkami. Pod warunkiem, że nie wysypałem go, uciekając przed wielką sową.

W świetle poranka wreszcie zrozumiałem, że leżę oparty o ten sam kamień, pod którym zacząłem mój halucynacyjny skok.

Nie ruszyłem się ani o krok i to od jakichś dwunastu godzin. Skoro poszedłem spać wieczorem, a było rano...

Spojrzałem na własne dłonie. Brudne, długie paznokcie, chude palce, wydatne żyły – ewidentna oznaka odwodnienia.

– Ile leżałem? – spytałem, jednocześnie zdając sobie sprawę, jak słaby jest mój głos.

Pomacałem się po brodzie, która straciła jakiejkolwiek znamiona zadbania. Na policzkach rosła mi już długa szczecina, więc musiałby minąć z tydzień! Chociaż nie, może to twarz tak wychudła i mi się tylko wydaje...

– Ile leżałem?! – wydarłem się wściekły. – Ile mi zabraliście życia?!

– Uspokój się i nie krzycz – odezwała się łaskawie Lusia, choć dalej była ewidentnie obrażona.

Miała już coś powiedzieć więcej, ale uznała, że jej urażenie jest ważniejsze, niż moje życie i cokolwiek z nim związane.

– Język zjadłaś w gębie?

– Chciałabym.

– Bardzo zabawne to nie było. – Wtedy dopiero zauważyłem, że wygląda ona nie lepiej ode mnie.

Miała bladą twarz, wynędzniałą dodatkowo podkrążonymi oczami. Na skroniach perlil jej się pot, może objaw choroby, a może intensywnej głodówki i braku snu.

– Opiekowałaś się mną?

Przytaknęła w ciszy.

– Przepraszam. – Dalej patrzyłem na własne palce. – Ile?

Miała już się odezwać, ale pokiwała głową, przykryła oczy dłonią na moment i zaciśnęła usta.

– Ile?

– Tydzień – pisnęła cicho, nie wiem, czy bojąc się mojej reakcji, czy własnej świadomości. Może była po prostu przerażona tym, że zdała sobie sprawę, co przeszła.

Odłożyłem garnek na bok, podczołgałem się do niej i objąłem drobną, ale nawykłą do pracy dłoń. Odwzajemniła uścisk i w końcu wybuchła cichym płaczem, siłą zaciskając usta i nozdrza, by nie zbudzić leśnych potworów.

Jeszcze przez jakiś czas trwaliśmy w ciszy, próbując złapać chwilę oddechu w tym zielonym piekle. Od chłodu drżały mi słabe ręce, ale przynajmniej łatwiej było myśleć. A zdecydowanie było o czym.

– Dasz radę iść? – spytała, gdy już słońce biło promieniami znad linii horyzontu.

– Raczej tak, muszę się rozruszać, na nowo rozciągnąć żołądek i...

– To wstawaj, idziemy.

Lusia profesjonalnie zatarła ślady po obozowaniu i zaczęła zdejmować ziołowe wianki, których nie zauważyłem wcześniej. Dziwne ozdoby wisiały w kilku miejscach dookoła, tworząc coś w rodzaju kręgu ochronnego lub po prostu dekoracji.

– Wiesz, jak dojść do Chołów?

– Znam miejsca, których należy unikać, a to jak znać ścieżki do różnych miejsc, których niekoniecznie należy unikać – warknęła, widząc, jak lekki zaczął się robić plecak po tylu dniach obozowania. – Więc prędzej czy później dojdziemy do Chołów i...

– Mam coś do załatwienia. – Odważyłem się, wiedząc, że mogę nie mieć w tej kwestii wiele do gadania. – Niekoniecznie w Chołach, a wręcz przeciwnie.

– Wiem, że boisz się taty, ale coś wymyślimy, przekonam go, albo ojciec Maurycy go przekona.

– Taty? – zaśmiałem się, z trudem wstając i podpierając się o pień brzozy. – Ja się nie boję twojego taty, a raczej nie w pierwszej kolejności. Potężny Krzykacz, koszmarny Latarnik, nawiedzona Mamuna, drapieżniki skaczące między poziomami lasu, jeszcze jakiś pieprzony pan Wrona. Wiesz, ja każdego dnia wydłużam tę listę i zauważam, że jest sporo rzeczy, których należy się bać.

– Niektórzy ludzie potrafią być równie straszni. Myślę, że mój tata się do nich nie zalicza. Po prostu chciał mnie chronić.

– Dlatego wysłał cię ze szwadronem śmierci za mną? Dlatego spaliliście dom Pnia?

– A nie uważasz, że ktoś, kto mieszka w lesie, może nie być godny zaufania?

– Wręcz przeciwnie. Ugościł mnie, uratował mi skórę.

– Spętał leśne dziady, uzależnił od pożytków i doił z żywicy.

– A wy ją próbowaliście mu kraść, zresztą, jego słowo przeciwko twojemu.

– Ależ ty jesteś uparty! – Zdusiła warknięcie, zaszczękała zębami i po prostu tupnęła bezgłośnie, by nie kusić licha. – Idziesz sam do lasu, łykasz pożytki do oporu i myślisz, że możesz oceniać to, w czym uczestniczę przez całe życie.

– Idę sobie do lasu? Myślałem, że uciekłem z piwnicy twojego ojca, gdy chciał mną nakarmić jakiś horror.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem, masz się za lepszą. Myślisz, że nie mogę zrozumieć tego, co się dzieje, bo nie znam waszych obyczajów, zabobonów i innych nawyków. A może właśnie potrzebujecie mnie?

– Słucham?

– Potrzebujecie kogoś, kto znajdzie rozwiązanie i wam pomoże, kogoś z zewnątrz, by was wyciągnąć z tej ciemnej studni.

– Ty naprawdę masz się za nie wiadomo kogo – ofuknęła mnie, narzuciła plecak na ramiona i chwyciła za dłoń.

Wyrwałem się z jej uścisku i podniosłem swój sierp, by włożyć go sobie za pasek. Dostrzegłem na nim delikatne, zielone smugi. Zbierała w lesie jakieś zioła? Pytanie, czy jadalne, czy użytki i czemu nie użyła własnego sierpa.

– Muszę się dostać do najstarszej osoby w wiosce Cichych.

– Co musisz? – spytała mnie, choć była już tak wściekła, że nawet nie liczyła na odpowiedź.

– Muszę wiedzieć, jak wyłączyć Krzykacza, byśmy obydwójce byli wolni. Nie tylko my, żeby wszyscy byli wolni.

Łucja rozejrzała się odruchowo, przetarła twarz ręką i zrezygnowana pomachała głową. Widać było, że sama ma już mniej dosyć, ale nieszczerze też wiedziała, co ma z tym zrobić.

Byliśmy w końcu daleko od domu, znaczy, tak się wydawało, bo przecież można się w lesie zgubić nawet ze sto metrów w głąbi. Cały czas mieliśmy nad sobą widmo Krzykacza, który nie dość, że na nas polował, to jeszcze miał teraz w jednym miejscu.

– Wiem, masz mnie za szalonego...

– Zwyczajnie głupiego, nieodpowiedzialnego, zadufanego w sobie, ale jeszcze nieszalonego. Szaleństwo to prawie usprawiedliwienie, a ja nie chcę cię usprawiedliwiać. Wiesz, jak długo czekałam, aż wstaniesz? Wiesz, jak się martwiłam? A teraz po prostu chcesz powiedzieć: świetnie, to pozwól, że pójdę na pewną śmierć.

– Miałem wizję...

– Dobrze, zatem wycofuję, co powiedziałam o szaleństwie.

Oparłem się jeszcze raz o drzewo, bo wycieńczenie naprawdę paskudnie się ze mną rozprawiało. Spojrzałem na powoli błękitniejące niebo i zdecydowałem, że nie ma sensu tego dłużej ciągnąć.

Oboje spojrzeliśmy po sobie zrezygnowani i zdecydowaliśmy siłą rzeczy, że Łucja będzie na razie prowadzić, a potem się zobaczy. W końcu ona sama nie wiedziała, w którą stronę są Choły.

– Co ze słońcem? – spytałem w końcu, gdy mijaliśmy niewielką przecinkę, przez którą złościła się tarcza solarna.

– A co ma być? Świeci.

– Ja myślałem, że to Pień nie jest zbyt rozmowny – mruknąłem pod nosem, ale widocznie nie dość cicho.

– Nikt nie powinien rozmawiać w lesie, ale nie znasz migowego, a jak się znudzisz, to jeszcze zaczniesz robić coś głupiego.

– Na przykład?

– Nie wiem, dotykać lepkich drzew? Rwać przypadkowe rośliny? Nawoływać Szarcezniki. – Uśmiechnęła się na moment i obróciła ku mnie. – Myśleć?

– Bardzo śmieszne – przyznałem zgodnie z prawdą, bo dobrze było mieć obok kogokolwiek. – Nie powinniśmy móc się kierować na Choły dzięki słońcu?

– Po pierwsze, chodzenie na kierunek, bez znajomości ścieżek, to samobójstwo. Przez pole minowe też możesz iść na kierunek, w końcu wiesz, gdzie druga strona, prawda? – Odgarnęła włosy, rozejrzała się poważnie, przydeptała wystającą łóżykę koloru szkarłatu i ruszyła dalej. – A poza tym słońce, co rzeczywiście wydaje się dziwne, nie zawsze jest tam, gdzie się wydaje.

– Tego tylko brakowało. – Poprawiłem rogatą maskę i spojrzałem ku niebu. – Żeby słońce nam uciekło.

Las przerzedł nieco, zauważyłem to mniej więcej w tym samym momencie co moja towarzyszka. Mimo że była bardziej doświadczona ode mnie, to zdawała się zdziwiona tym, co widziała. Dla mnie wszystko było w normie.

I dopiero wtedy mnie to uderzyło. Dla mnie wszystko było w normie, czyli to nie wyglądało jak ten *las*, tylko jak jakikolwiek las. Paprocie przyjęły normalne kolory, drzewa jakby skarłały, odmłodziły, liście przyschły, miejscami brązowiejąc, jak na jesień przystało.

– Chyba wreszcie wyszliśmy z lasu – rzuciłem przypuszczenie, choć nawet mnie ono nie przekonywało. – Jest już normalniej, więc to chyba skraj.

– Las wydaje się normalny z zewnątrz, ale od środka jest sobą nawet na skraju. Czasami nawet jest gorszy bliżej skraju niż środka. A teraz ścichnij na moment, obserwuję.

Przysiedliśmy na kwadrans, obserwując rozstępujące się zarośla przed nami. Szliśmy niezwykle powoli, pochyleni, niemalże podkradając się, choć nie wiadomo do czego.

W pewnym momencie zaczął delikatnie kroić deszcz, na co Łucja zareagowała, natychmiastowo rzucając się pod najbliższe nielepkie drzewo. Końcówką podniesionej gałązki sprawdziła kilka kropel i z ulgą odkryła, że to zwykły opad.

Nie wiem, czego się spodziewała. Może, że lunie na nas wapnem? Rtęcią? Kwasem karboksylowym, cholera wie.

Przyjmowałem wszystko bezkrytycznie i asymilowałem do tego, co już wiedziałem o lesie. Tylko wiele tego, niestety, nie było.

Wtedy też zabiły dzwony. Jakby momentalnie po deszczu, zaczęły rozchodzić się narastające, dźwięczne uderzenia mosiądzu. A w oddali dało się słyszeć wśród uderzających kropel także idących ludzi.

– To reszta twoich?

– Nie, za dużo ich. – Skrzywiła się; nie spodobało jej się, jak zaakcentowałem: twoich, jakbym próbował kogoś obrazić. – Po tylu dniach przeczesywania lasu raczej daliby sobie spokój i wrócili do domu. Znaczy, o ile by im się udało, bo to nie takie proste.

Wypełnieni coraz bardziej ciekawością, a mniej strachem zbliżyliśmy się do skraju polany. W pewnym momencie przed nami po prostu pojawiły się kamienie polne, ułożone w nieco krzywy plac.

– Lusia, to miasto jest?

Jednak nie odpowiedziała mi, sama obserwując co się dzieje.

W środku lasu spowitego deszczową mgiełką piętrzył się wysoki dach zadbanego, neogotyckiego kościoła. Strzelisty kształt niemalże górował ponad najwyższymi sosnami i dębami. Wyglądało to, jakby ktoś kiepsko narysował swój sen albo przeniósł jeden obraz weduty na drugi obraz lasu i nie przeskalował rozmiarów.

Do kościoła wlewały się szare tłumy ludzi, wiedzione biciem dzwonów.

Dopiero po chwili dostrzegłem, że kamienne figury pątników są tak naprawdę nakładającymi się na siebie półprzezroczystymi ciałami. Choć nie chciałem używać tego słowa, to najbardziej przypominało mi to duchy. Eteryczne awatary zmarłych, wtłaczających się zdecydowanie nazbyt szybko przez zbyt wąskie przejście.

– To jedno z tych miejsc, których się unika? – spytałem, jednak Łucja była już kilka kroków przede mną, drepcząc po kamiennym podłożu.
– Hej! Gdzie ty lecisz?

Zmiliłem przekleństwo w ustach, wymacałem pistolet i wziąłem głęboki oddech.

Obiecałem sobie, że tym razem nie dam się niczemu zaskoczyć ani porwać emocjom. Skupiłem się na własnych odczuciach i ze zdziwieniem odkryłem, że do kościoła nie ciągnie mnie żadna tajemna, niepokojąca siła. Lusi zresztą też nie, po prostu tam szła.

Duchy zaraz zniknęły we wnętrzu świątyni, ignorując idącą między nimi Łucję, która była tam najrealniejszą z rzeczy.

Mimochodem ruszyłem do wnętrza, mając stale broń w pogotowiu, choć należałoby się zastanowić, czy da się zabić ducha pistoletem Tokariewa.

Wnętrze było imponujące. Niedawno odświeżony kościół był gotowy na jakieś święto, choć jakie – nie wiedziałem. Religioznawstwo nigdy nie

było moją mocną stroną, to była moja pierwsza wizyta w przybytku wiary od lat, nie licząc urzędów, gdzie wierzono w socjalizm.

– Łucja, może chodźmy, póki się da – podkreśliłem ostatnie słowo, nadganiając odległość do dziewczyny.

Ona jednak po prostu podeszła do pierwszej ławki i siadła w niej, jakby ta była prawdziwa.

Wymacałem rzeźbione ręcznie i malowane na bordowo podłokietniki. Uderzyło mnie, że dawno nie widziałem w lesie obrobionego drewna. Przysiadłem, obejrzałem się na pozostałych i spróbowałem wtopić w tłum.

Nawet po śmierci marnują czas, pomyślałem złośliwie, ale jakoś tak nieswojo mi się zrobiło i ostatecznie się przeżegnałem zaraz po pozostałych.

Zadzwonił dzwonek, wszyscy łącznie z Lusią powstali z miejsc, wydając przy tym takie same dźwięki, jakie wydaliby prawdziwi ludzie.

Zabrzmiały organy, po nich odezwały się intonacje chórów, niewidocznych dla prawdziwego oka. Ja jednak wtedy w pełni zrozumiałem, na czym polegała przynęta.

Zamknąłem jedno oko i patrzyłem przez dłuższy czas na świat przez wizjer z żywicy. Widok był tym straszniejszy, im dłużej się przyglądałem.

Nic nie było takie, jakie się zdawało. Kościół był zarośnięty przez las, przednia jego ściana leżała na ziemi, wystając jedynie częściowo z gęstej trawy. Boczne elementy zapadły się w kompletne gruzowisko. Dachy nie było wcale, więc padał na nas deszcz.

Jednak pewne prawdziwe rzeczy zachowały się w swojej oryginalnej formie, jak na przykład porośnięte mchem rzędy ławek, na których spoczywały obgryzione z mięsa szkielety. W oku jednego z nich dostrzegłem kwitnący żonkil, co wryło mi się w pamięć na długo.

Łucja siedziała obok kilkorga dzieci, a przynajmniej tak myślała. W rzeczywistości dzieci również były jedynie pozostałościami po dzieciach, na co nawet nie chciałem patrzeć.

Organy kościelne leżały do połowy wbite w ziemię i zbierały od dawna zaśniedziałą wodę, pokrytą zielonkawym kożuchem. Nie było mowy, aby którekolwiek z dźwięków pochodziło z prawdziwego świata, czy po prostu z naszego poziomu halucynacji, którą zwykliśmy nazywać Ziemią.

I wtedy zauważyłem najważniejsze. Mianowicie to, że nie byliśmy jedynymi żywymi istotami w tym przybytku sakralnym. Choć chciałbym, by było to jedynie jakimś wymysłem kiepskiego, antyklerykalnego rzeźbiarza, to jednak dostrzegłem rzecz niezwykłą.

Na krzyżu, umieszczonym za ołtarzem, z którego notabene też już został tylko obrośnięty mchem mebel, stał kolejny krzyż, lecz wisiały na nim aż dwie osoby. Zdawało się, jakby do kamiennego Jezusa Chrystusa ktoś przybił jeszcze następną osobę, w czarnej, porwanej szacie.

Zbliżyłem się do ołtarza, zająrzałem do złotego kielicha i cofnąłem twarz z obrzydzeniem, zatykając nos.

Stałem pod samym krzyżem i wtedy z bliska dostrzegłem, że druga osoba nie była nawet przybita, a dosłownie wtopiona w rzeźbę. Jej głowa zwisała luźno bokiem pod szyją mesjasza jak osoba z porażeniem mięśniowym.

Dyszał ciężko, rządził płucami, ledwie dostrzegalnie unosił się i opadał, jakby mógł jedynie oddychać, ale nie ruszać. Zdecydowanie musiał tak trwać od bardzo dawna.

Zabrzmiął dzwonek, wierni wstali.

– Dzisiejsza msza będzie wyjątkowa, więc wybaczenie mi kochani, że zacznę ją w sposób wyjątkowy. – Głos dobiegający od krzyża nie mógł docierać bezpośrednio z wydętego zewłoku, tego byłem pewny, choć nadal

nie wyjaśniało to tego, skąd on się brał. – Jeśli zdarzy się tak, że nie będzie nam dane się spotkać tutaj razem, wszystkim, w zdrowiu i sile, to nie płaczcie. Wspomnieniami wróćcie do tego momentu, tego pięknego, wrześnie-wego popołudnia, gdy wieje ze wschodu zimny wiatr. Poczujcie ten wiatr, bo może w nim znajdziecie spokój ducha. Pomódlmy się.

Przez moment jeszcze słuchałem pieśni: liturgii, serii czytań, powstań i klękień, aż w końcu odważyłem się na to, by wyjść z kościoła i wejść z powrotem. Wreszcie upewniwszy się, z czym mam do czynienia, przerwa-łem obrzędy:

– Czy umiesz mówić?

Organy zamilkły, duchy rozwiały się, kościół znów był tylko ruiną, zarośniętą przez mieszaną bór.

– Tak – odpowiedział po prostu, spokojnym, ludzkim głosem.

– Czy potrzebujesz pomocy?

– Nie – dodał po ledwie zauważalnej chwili wahania. – Chyba że mo-żesz mi odpowiedzieć na jedną rzecz. Który mamy dzisiaj?

– Straciłem rachubę... Końcówka września, może dwudziesty któryś? Blżej trzydziestego niż dalej.

– Rok?

– Osiemdziesiąty. – Serce zabiło mi szybciej.

– Stulecie?

Na moment zamarłem w ciszy, kalkulując szanse ucieczki przez roz-bity witraż. Szybko uspokoiłem myśli, bo przecież radzenie sobie z osobami psychicznie chorymi było mi akurat nieobce. To, co mnie bardziej mogło niepokoić to to, że rozmawiałem z ukrzyżowaną istotą, co już stawiało pod znakiem zapytania jakiekolwiek rozważania nad szaleństwem.

– Jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty po narodzinach Jezusa Chrystusa. – Powiodłem wzrokiem wzdłuż czarnych rąk, przybitych do dębowej deski. – Twoich?

– Nie jestem Jezusem, ledwie jego sługą.

– Jak trafiłeś na krzyż?

Nieznajomy nie odzywał się długo. Tłukący cicho o liście deszcz był jedynym, co nam towarzyszyło oprócz zamyślanej Lusi w pierwszej ławce.

– Odpowiedziałem na twoje pytanie, teraz ty...

– Nie pamiętam... – przyznał wreszcie, w jego głosie przebrzmiało zażenowanie. – Chyba po prostu zapomniałem albo nie zapamiętałem, jedno z dwóch.

Stwór przypominał człowieka, to pewne. W tamtym momencie wyglądał jak wkręcony w koła traktora dzik, ale mało jest stworzeń, które można ukrzyżować. Na krzyżu odznaczały się wyraźnie wyłamane, nazbyt długie ramiona, przylepione czarną mazią do gwoździ, trzymających zbawiciela.

– Kto cię ukrzyżował?

– Nie pamiętam.

– Od dawna tu jesteś?

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy trzysta i cztery.

– Dni? Lata? Litry mleka? – dopytałem na równi zirytowany i zaciekawiony.

– Sumy.

Stworzenie wydało z siebie coś w rodzaju westchnięcia, a ja jedynie rozłożyłem ręce zdziwiony.

– Najważniejsza msza tygodnia, odprawia się ją co niedzielę. – odezwała się nagle Lusja, przysłuchująca nam się do tej pory w ciszy i zamysleniu. – To kościół w Sędach Białych.

– Sędy? Gdzieś obito mi się o uszy. – Zwróciłem się znów do istoty: – W każdym razie, ile takich mszy odprawiasz dziennie?

– Nie męcz go – przerwała mi Łucja, podnosząc z ziemi przegniły modlitewnik. – Nawet jeśli to z niego wyciągniesz, to czy warto? Dni w lesie mijają różnie od naszych, nic ci to nie da. Zresztą ja wiem, od jak dawna tu jest.

– Pozwól, że zgadnę: odkąd las? – rzuciłem, bo już nawet nie było sensu mówić, że się pojawił albo przybył, albo wyrósł. Tylko co do jednego byli wszyscy zgodni, że kiedyś go nie było, a potem był.

– Odkąd las. – Skrzywiła się i odłożyła książeczkę z namaszczeniem na bok.

– Czemu powtarzasz w kółko msze? – pytałem znów krzyża.

– Mogę, więc muszę. Spełniam posługę i będę to robił, dopóki będę istniał.

– To tylko projekcja, wiesz o tym? Odtwarzasz ostatnią, którą zapamiętałeś. Żyjesz w ogromnej, porośniętej widłakami ruinie.

– Jerzy! – Łucja podniosła nagle głos i zerwała się z miejsca. – Nie mów mu, nie powinien.

– Poznać prawdę, a prawda was wyzwoli – zacytowałem, uśmiechając się bez przekonania. – Ma prawo wiedzieć, że marnuje czas i może odejść.

– Jeśli puszczę dusze tych ludzi, to mogą je wylapać duchy Złego. Tak długo, jak czyszczą się w tym przybytku, tak długo nie stanie się im krzywda.

– Trzymasz ich wbrew ich woli?

– Dopiero co była to dla ciebie tylko projekcja – dodała złośliwie Łucja.

– Tak, nadal jest, ale... – zatrzymałem się na moment, wypuściłem powietrze i machnąłem ręką. – Po prostu chciałem pomóc, ale jak nie chce się stąd ruszyć, to niech się nie rusza. Chociaż wygląda to, co najmniej...

Spojrzałem na ciemnofioletowe węzowisko naczyń krwionośnych pod brązowym strupem zgniłego, brudnego mięsa i prześwitujących gdzieś gdzie przeoranych wiatrem kości. Struga wody zbierała się w porośniętej trawą koronie Jezusa i spływała do otwartej czaszki gospodarza przybytku, skąd wylewała się na podłogę.

– Wygląda jak las – przyznałem po chwili wahania, fascynacji, strachu i obrzydzenia.

– Przerwaliście mi mszę, więc zostańcie na następną. Weźcie udział w cudzie wiecznego podtrzymywania wiary w dolinie mroku, a następnie sami zdecydujecie co dalej.

– Zostańmy. – Lusia chwyciła mnie pod ramie i spłoszyła się jakby zbesztana wszechobecnym wzrokiem stwora.

Pokiwałem głową na boki i poddałem się nurtowi, siadając w pierwszej ławce.

Po chwili duchy zaczęły znowu napływać, dzwony bić, a świątynia wypełniać półprzeźroczystymi, złotymi ornamentami utkanymi z powietrza i wspomnień.

Lusia zdjęła swoją maskę, nakłoniła mnie do tego samego.

Odetchnąłem pełną piersią, dałem się ponieść halucynacji, choć nadal trzymałem Łucję za koniec palca, byśmy na pewno nie odlecieli od siebie.

Ludzie zdawali się żywi, świątynia prawdziwa, a Jezus na krzyżu rzeźbą z drewna, przedstawiającą boga, syna bożego i pocieszyciela w jednym.

Nie pojawił się tylko kapłan, jedyny element, którego istota z krzyża nie zawarła w swojej wizji, tak jakby go nie widziała na własne oczy,

w przeciwieństwie do dokładnie zapamiętanej reszty. Wtedy dopiero stało się dla mnie oczywistym, kim jest wieczny strażnik ruiny.

Msza była niezwykła, w tym sensie, że była absolutnie zwyczajna. Niedzielną msza w ciepły, spokojny dzień. Coś, czego absolutnie nie sposób uświadczyc w tym liściastym piekle. Można było poczuć się jak na oazie w środku pustyni.

W pewnym momencie kapłan rzekł:

– Przekażcie sobie znak pokoju.

Lusia na początku spojrzała na mnie, spłoniła się lekko i nawykłym ruchem podała mi po prostu dłoń, którą uściśnąłem. Zaraz jednak zagryzła usta, przysunęła się bliżej i wtuliła w moje ramie, drząc i powstrzymując płacz.

Może cieszyła się, że przeżyliśmy, może bała, że to nie koniec, może doceniała to, że udało jej się mnie ochronić, a może po prostu potrzebowała pociechy duchowej i cielesnej, a teraz miała obie.

Ktoś popukał mnie palcem w ramię. Obróciłem się i dostrzegłem, jak w moim kierunku dłoń wyciąga jeden z duchów.



– Jurek, wygrałeś, wioska jest blisko. – Lusia podrapała się po przylegającej do szyi gumie maski. – Miałam szczerą nadzieję, że trafimy prędzej do Chołów. Nawet raz ominęłam ślad, przyznaję się bez bicia, ale chyba naprawdę las popycha nas w stronę Cichych.

– Nareszcie – warknąłem i utyskując na ból pleców, podniosłem się z ziemi.

Przez ostatni tydzień zdążyłem nie tylko zarosnąć jak dziad, ale jeszcze nabawić się bólu większości znanych mi stawów. Żywiliśmy się nie-

ustannie dietą korzonkową, zbieraliśmy jadalne pożytki, a raz nawet łowiliśmy zwierzynę. A to wszystko oczywiście od wczesnego świtu do późnej nocy, nieustannie w marszu.

Właściwie to przez pewien czas myślałem, że Lusia po prostu próbuje mnie zamęczyć. Drugą opcją było to, że wykorzystywała mnie jako mężczyznę do trudniejszych prac. Druga teoria upadła w dniu, w którym na własnych plecach przyniosła naręcze drewna, starczające na prawie całą noc.

Szczerze byłem przerażony, bo przecież wszyscy nieustannie wspominali o tym, że w lesie nie można używać drewna, by przypadkiem nie urazić któregoś z miejscowych władców domeny. Zasada upierdliwa kosztownie, nawet pułapki na gryzonie nie szło zrobić bez kawałka drewna i sznurka.

Okazało się, że Lusia pofatygowała się wieczorem do wodopoju i natrafiła po drodze na coś, co nazwała Martwodrzewem. Jak można się było domyślić po nazwie, Martwodrzew to drzewo, które obumarło w lesie. Co ważniejsze z jakiegoś powodu nie zostało jeszcze przez las zajęte na jakiegokolwiek swoje potrzeby, dziuplę dla zwierząt, czy cokolwiek tam sobie upatrzy.

Takie drzewa są ponoć bardzo rzadkie, ale ich zaletą jest to, że las nie traktuje ich jak drewno, dopóki ich na nowo nie ożywi albo nie użyje do czegoś innego. Przez ten krótki czas, jakby poza rejestrem urzędowym, można się połasić na użycie ich. Więc tak, ostatecznie mieliśmy prawdziwe ognisko na drewnie i ciepłą, październikową noc.

Na jednej ciepłej nocy kończyły się dobre wieści.

– Masz coś na wymianę? – spytała mnie nagle Lusia. – Przyda się.

– Miałem wianek od Gopulskiej, ale Pień mi go zabrał, bo narzekał, że...

– Czekaj, moment. – Łucja na chwilę obróciła się ku mnie i spiorunowała wzrokiem spod maski. – Jak to od Gopulskiej?

Wtedy poczułem, że robi mi się nieco nazbyt gorąco pod porożem. Rozważyłem szybko możliwości, ale było już na to o kilka słów za późno.

– Dała mi go, po prostu. Tak samo, jak i ty mi wcześniej dałaś ciociorkę.

– Tak, ale ja ci ją dałam, bo szliśmy do lasu szukać Waldka. – Nagle złapała się odruchowo za twarz, cofnęła o krok i wskazała na mnie oskarżycielsko. – To ona wysłała cię do lasu.

– Uwolniła mnie od twojego ojca.

– Tylko po to, byś poszedł do wioski Cichych... Boże, jakie to teraz proste. Ty nic nie rozumiesz, ona cię wykorzystała.

– Ja bym powiedział, że zaproponowała uczciwą wymianę.

– Gopulska jest szalona, mówiłam ci – wściekle dodała i odruchowo sięgnęła po sierp.

– Nic na to nie wskazuje. Odłóż to, zanim zrobisz coś głupiego.

– Na przykład pozwolę ci pójść do Cichych, byś szukał duchów?

– Mam znaleźć najstarszą osobę w wiosce Cichych, a że przy okazji mogę jej zadać kilka pytań to chyba podwójna wygrana, czyż nie?

Łucja wzięła długi oddech, z trudem powstrzymując wybuch agresji. Sam nie wiedziałem czemu działałem jej tak na nerwy, wtedy pewnie zrzucałem winę na głód i zmęczenie.

– Najstarsza osoba wśród Cichych to nie jest osoba, która jest aktualnie najstarsza. Najstarsza jest taka, która była najstarsza, gdy poszła do lasu. W przypadku Chołów to będzie matka Gopulskiej, stara Gopulska, Szeptucha.

– Więc czemu nie mielibyśmy jej znaleźć? Nadal nie rozumiem, dlaczego się tak wściekasz.

– Ponieważ stara Gopulska odeszła do Cichych. Raz na jakiś czas tracimy tak ludzi z różnych powodów. Uciekają przed kłutwą, zaciągają dług w lesie albo nie wystawiają kukły przy pełni księżyca, gdy przychodzi czas czuwania.

– Kukły przy pełni księżyca? Czytałem o czymś takim w dzienniku...

– Jurek, proszę cię! – Złagodniała, złożyła ręce na piersiach, ewidentnie przejęta tym, co się stanie. – Wymieńmy coś na jedzenie i wracajmy do domu, obronię cię, obiecuję. Nie musisz gonić duchów i halucynacji, po prostu...

– Lusia, no co ty robisz?

– Po prostu chcę do domu – szepnęła. Przez maskę zaczęły miarowo przeciskać się dwie łezki. – Ja chcę do domu, ja już nie chcę lasu.

– Wyniesiemy się stąd, obiecuję. – Zbliżyłem się i położyłem jej dłoń na ramieniu. – Po prostu mi zaufaj i pozwól spróbować ją znaleźć. Jeśli się nie uda, to trudno, ale powinienem chociaż spróbować.

– Jeśli żyje, jeśli nie oszalała, to musiała zaciągnąć dług, by przeżyć – powiedziała w końcu spokojniej. – Zobaczysz zresztą. Obiecaj mi po prostu, że od nikogo nic nie wezmiesz, dobrze? Ani kwiatka, ani kromki, ani gałązki.

– Ani kwiatka, ani kromki, ani gałązki – przytaknąłem i postąpiłem pierwszy krok w kierunku celu, odkąd tylko wszedłem do lasu.

Drzewa zaczęły wyrastać jeszcze wyżej niż poprzednio, jak żebrowanie smukłej katedry. Jednakże teraz zaczęły się stopniowo robić grubsze w obwodach i silniej rozgałęzione, częstokroć tworząc nawet po kilku warstw zielonego sufitu.

Powietrze zgęstniało, zrobiło się cięższe i trudniejsze do filtrowania. Możliwe, że wynikało to z tego, że Łucja napchała nam filtry wnętrzami

kasztanów. Żółta, grudkowata masa niemalże nie przepuszczała niczego, ale według mojej przewodniczki tylko to mieliśmy pod ręką.

– Musimy naprawdę na siebie uważać, tu niełatwo jest zarówno wejść jak i wyjść – mówiła, spędzając kolejne pół godziny tylko na oddychaniu.

Nie widziałem niczego istotnego zarówno prawdziwym okiem, jak i żywicznym. Owszem, las był tak samo oszalamiający za każdym razem. Wszystkie drzewa mogłyby w prawdziwym świecie stanowić pomniki przyrody albo abominacje wymagające wieloletnich badań. Jednak nic z tego nie było wioską Cichych, a przecież powinna gdzieś być.

Mijała godzina, tak orientacyjnie. Słońce było wysoko, ale wszędzie panował zielonkawy półmrok. Światło sączyło się mozolnie przez wypełnione chlorofilem liście, malując świat, jak wewnątrz zarośniętego akwarium.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie po turecku, trzymając się za ręce, otoczeni ciemnością, z trudem walcząc z maskami o resztki powietrza. Przy podstawach rogów łopotały nam czerwone nitki, sprute z chusteczki Łucji. Miały pomóc w podróży.

Robiłem to, co mi kazała. Nie panikowałem, nie myślałem o tym, co się stanie, jeśli nam się nie uda albo się rozdzielimy. Po prostu dryfowałem, wypływałem na powierzchnię, odchodziłem z tego świata.

Nagle poczułem ucisk na ramionach, mocny, celowy.

Otworzyłem oczy i dostrzegłem dwie wysokie sylwetki w szytych skórach. Patrzyli na mnie i Łucję spod rogowych masek i trzymali w pewnych uchwytach.

Odruchowo zacząłem się szamotać, ale zaraz ten naprzeciwko mnie, który trzymał Łucję, przyłożył palec do ust. Oczekałem chwilę i zobaczyłem, że Łucja otwiera oczy, a dwaj Cisi puszczają nas i odchodzą na bok.

Lusia uśmiechnęła się, choć ciężko było to dostrzec zza maski. Udało nam się, złapali nas, gdy się wynurzaliśmy, tak jak mi obiecała.

Wioska Cichych znajdowała się na innym piętrze lasu, bardzo konkretnym i wysokim, sporo nad tym, co zwykłem nazywać Ziemią. Było to piętro względnie bezpieczne, niemalże całkowicie głucho i odosobnione.

Podróż przypominała trochę przeskok kosmonauty między jednym okrętem kosmicznym, a drugim. Gdyby nas nie złapano, to moglibyśmy wędrować jeszcze bardzo długo przez otchłań, by nigdy znowu się nie spotkać.

Sama zabudowa wioski była specyficzna, ale jedno słowo szczególnie cisnęło mi się na usta: bieda.

Niemal wszystko zbudowano z Martwodrzewu, a co za tym idzie, niemal wszystkiego było mało. Palisadę usypano z kamieni, większość ludzi mieszkała w ziemiankach, wykopanych jamach. Jedyne, co robiło jakiegolwiek wrażenie architektury to spora, zamknięta altana, zapewne miejsce kultu.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Może wioski elfów, żyjących w spiralnych domach na drzewach. Może czegoś w rodzaju miasta rodem z dzikiego zachodu, zbitego na szybko i gotowego do ruchu. Może po prostu wsi, ale w lesie, tak kompletnie z czapy.

W pewnym momencie dostrzegłem nawet wychodek z wykopanym tunelem poza obręb zabudowań. Tyle dobrego, że nie srali po krzakach jak zwierzęta i ja przez ostatni tydzień.

Odgarnąłem rękaw, kawałkiem węgla drzewnego z wieczornego ogniska napisałem na własnej ręce:

– Teraz?

Lusia pokazała mi coś w migowym, spróbowała drugi raz, zaraz trzeci, ale w końcu się poddała i przeszła na szarady.

Wskazała na dłoń, potarła palec wskazujący i kciuk: pieniądze/zapłata. Następnie wskazała palcami na swój otwór maski: jedze-

nie/połykać. Na koniec zakręciła palcami, jak zegarkiem: potem. Wreszcie skłoniła się, udając, że podciera się laską i drży: starość/stara.

Przytaknąłem, potrzeby fizjologiczne nadal były najważniejsze, chociaż ciągle miałem uczucie pośpiechu i zagrożenia.

Oczywiście, że niebezpieczeństwo towarzyszyło nam od początku, ale po czasie jakbym przestawał się skupiać na przyczynach, a zaczął przyjmować je za normę. Byliśmy wszędzie w ruchu, zawsze siedzieliśmy jak na szpilkach i nasłuchiwaliliśmy. I do tego wszystkiego nagle nie mogliśmy się ze sobą normalnie komunikować, by nie sprowokować Cichych.

Czułem się jak turysta w obcym kraju, którego języka nie znałem. Łucja natomiast była w stanie podejść do pierwszej lepszej osoby i w mi-gowym spytać jej o kierunek do miejsca, gdzie można by cokolwiek zjeść.

W tym czasie ja rozglądałem się i zastanawiałem: kim są ci ludzie? Lusja mówiła, że wśród nich są zwykli mieszkańcy Chołów. Mimo wszystko nikt tu nie wyglądał jak zwykły człowiek. Bardzo wysocy, chowający każdy kawałek własnej skóry pod tą zwierzęcą. Maski mieli wpuszczone pod kołnierze ubrań, które rzeczywiście czasami były absolutnie zwyczajne.

Widziałem miejscami codzienne półbuty, skarpety, wszystko w monochromatycznych barwach, ale jednak obecne, jak na zwykłej wsi. Wierzchnie odzienie było raczej swego rodzaju kamuflażem albo mundurem, na pewno nie częścią ich ciała.

Tylko te rogate maski. Takie przyległe do głów, jakby się w nie wtapiali już na zawsze.

Zeszliśmy w dół po niewielkiej drabince z pospawanych rur. Ziemianka była prawie przestronna, zawierała parę wygładzonych, obłożonych brudnymi szmatami kamieni, zapewne w roli krzesełek dla gości.

W rogu ciemnicy mogłem z trudem dostrzec żelazobetonową framugę z połączonych ze sobą elementów z jakiejś budowy. Wszystko zdawało się mieć nie drugie, a już nawet trzecie życie.

Lampka z tłuszczu dawała minimum światła, pozwalającego nam dostrzec masywną, zgarbioną figurę gospodarza, przycupniętego na pieńku z Martwodrzewu. Większość pomieszczenia zajmował złom różnego rodzaju, ale w pewnym miejscu zdawała się istnieć umowna linia, zapewne oznaczająca strefę handlową.

Gospodarz na głowie nosił łopaty łosia, przyozdobione czerwonymi wstążkami i wiankami zasuszonych kwiatów. Wyglądał, jakby urwał się z jakiejś kostiumowej operetki symbolicznej albo romantycznej ballady. Mimo to zza maski łypały błyszczące niezdrowo oczy, balansujące na granicy absolutnego zezwierzęcenia. Jak to mawiają: i straszno, i śmieszno.

Lusia zbliżyła się, zamieniła dosłownie parę słów i domownik odpowiedział uniwersalnym gestem, oczekując zapłaty.

Na kredensie, służącym za ladę barową, wylądował kontener na potrzeby, czy też, jak to woląłem mówić: termos.

Nieznajomy uznał, że warto zmarnować odrobinę bezcennych zasobów, by przyjrzeć się sprawie bliżej i podwiesił pod sufitem lampę gazową. Pstryknął cicho zapalnik, zaszumiał ulatniający się propan-butan, stała się światłość.

Mimo, że zrobiło się jaśniej, to jednocześnie było straszniej. Łatwiej było dostrzec więcej brudu, więcej złomu, więcej podwieszonych, wyprawionych skór. W rogu zawieszono kilka zapasowych masek przeciwhalucynacyjnych, przyozdobionych ornamentami z ochry.

Z całą pewnością stwierdziłem, że trafiliśmy do jakiegoś handlarza, możliwe, że jedyne w wiosce. Pytanie tylko, czy mieliśmy rzeczywiście coś wartościowego.

Łucja zaczęła po kolei wyciągać ze środka termosu pożytki i układać je na gotowej, kamiennej podstawie. Robiła to sprawnie, solidnymi ruchami, a dopasowanie do reakcji gospodarza zdradzało doświadczenie i znajomość tematu.

Moja towarzyszka wyjęła podłużny grzyb, naznaczony turkusowymi pąklami, opalizującymi lekko w półmroku. Wskazała coś migowym, co zapewne miało być informacją na temat pochodzenia lub cech przedmiotu. Handlarz odpowiedział nijakim gestem, jak sprzedawcy na hinduskich straganach i odstawił obiekt na bok.

Sytuacja powtórzyła się tak kilka razy, różniły się tylko przedmioty i reakcje dwóch kontrahentów.

Gruda różowego mchu, cisza, więc pewnie małowartościowe. Czarna kość z podłużną bruzdą, ciche mruknięcie, znaczy się damy rady wymienić na jakiegoś ziemniaka. Sześcian porośnięty cienką warstwą granatowego, prawie gładkiego materiału, który zdawał się kondensować wodę z powietrza na krańcach nielicznych wypustek.

Tutaj zrobiło się ciekawie, przedmiot zdawał się... Artefaktem, przedmiotem stworzonym przez człowieka, a nie przez las. Zdaje się, że handlarz miał to samo zdanie, bo mruknął coś głośniejsze, zamienił parę dłuższych zdań z Łucją i kiwnął głową.

Wziął wszystko.

Szturchnąłem moją towarzyszkę w ramię i skinąłem na gospodarza. Ona odpowiedziała mi tylko uspokajającym gestem. Widocznie tak miało być, co mieliśmy zrobić? Jak się nie podoba cena: wszystko za odrobinę, to fora ze dwora, wolny rynek.

Po chwili zajadaliśmy się ciepłą zupą z dodatkiem mięsa, sucharami i tłuczonymi bulwami nieznanego pochodzenia. Do picia była tylko woda, przepuszczona przez filtr z zawczasu dobranych pożytków.

O dziwo, udało się nawet dostać niewielki pakunek na drogę, widocznie Łucja była niezła w sztuce dyplomacji albo oddała cały swój majątek. Z drugiej jednak strony, jeśli oddała pożytki, które zebrała po drodze, to i tak wychodziliśmy na plus, chyba.

Wszystko zdawało się iść ku lepszemu. Z pełnymi brzuchami i najdłuższym odpoczynkiem do tej pory, byliśmy pewni, że będzie wreszcie z górki. Koniec z ukrywaniem się, uciekaniem i głodowaniem.

I wtedy po drabinie zeszli dwaj rogacze z sierpami przy pasach.

Chołownicy byli tuż za nami.

Natychmiastowo odwróciliśmy wzrok, choć Łucja nieco bardziej spokojnym, wyważonym ruchem. Ot, spojrzała sobie za siebie, pociągnęła nosem, nieśpiesznie wbiła wzrok w sufit i przekręciła głowę od niechcenia – mistrzostwo aktorstwa. Ja niemal spadłem ze stołka, udając zafascynowanie naprzeciwległą ścianą.

Palcami delikatnie najechałem na jej kolano, ona niemalże niewidocznie przytaknęła i ręką zjechała do noża przy pasku.

Nie zabiłaby ich, to pewne. Nawet w samoobronie raczej machałaby na postrach, bo w końcu uważała, że to ona jest tą dobrą. Tylko tak się złożyło, że oni nie mieliby oporów przed wbiciem mi sierpa pod szyję.

Zresztą, co zrobiłaby Łucja, gdyby Chołownicy mnie zabili? No, może popłakałaby, zrobiła awanturę, kilka tyrad o moralności, ale raczej grałaby dalej z rozdаныmi kartami. W końcu Krzykacz, tak czy inaczej, będzie polował na jedno z nas, zgodnie ze swoim urażonym systemem wartości.

Masywny chłop siadł tuż obok mnie. Zabrzęczały na nim sprzączki, zakołysał się sierp, a spod maski poniosło się sapnięcie. Wszystko było tak wyrazne, głośnie.

Serce podeszło mi do gardła, w uszach biła krew, usta zaczęły lekko drżeć, zwiastując jakiś paniczny zryw.

Spojrzałem z ukosa na dryblasa i jego nieco niższego kolegę i zamarłem. Patrzyli się na nas. Nie z ciekawości, nie przypadkiem, bezczelnie, wprost czekając, aż to zauważymy.

Nagle ten większy wyciągnął przed siebie ręce, a ja od razu podskoczyłem.

Wszyscy spojrzeli na mnie, choć nikt się nie ruszył, nawet Lusia.

Chołownik zaplątał coś rękoma, szafując dziesiątkami gestów z języka, którego nie znałem.

Łucja zacisnęła dłoń na rękojeści noża i po chwili wahania po prostu wstała, przytakując i wskazując mi na drabinkę.

Czyli co, to już, pomyślałem, żadnej barowej bójk, czy nawet zwyczajnej ucieczki. Wreszcie koniec niepewności i prosta śmierć, nóż w szyję na jakimś kamieniu i spokój?

Wychodząc miałem w głowie mętlik. Wszystko się rozjaśniło dopiero na powierzchni, gdy zauważyłem zbierających się w centrum osady Cichych i trzech Chołowników. Dwóch z nich trzymało luźno łuki, skierowane w dół.

Jak ja nienawidzę argumentu siły.

I paradoks, sam chciałbym wyjąć ze spodni Tokariewa i po prostu odstrzelić każdego, kto nie chce dać mi świętego spokoju. Tylko do tej pory nie zadziałało to ani razu.

– No, kurwa, wreszcie. – Znajomy głos Zająca był jak grom, rozrywający bańkę ciszy.

Cisi obejrzeni się na doktora, pod ich maskami zapewne zagrało oburzenie, o ile mieli jeszcze twarze. Ten jedynie rozłożył ręce i zlustrował wszystkich wyzywająco.

– Już się tak nie zesrajcie, dzikusy. Jakoś was, kurwa, toleruję, więc wy tolerujcie mnie.

Kilkanaście wysokich, absolutnie bezgłośnych figur uniosło palce do ust, uniwersalnym gestem.

Zawiał wiatr i wtedy do mnie doszło, że był to pierwszy powiew od dawna.

Łucja chwyciła mnie za dłoń i nacisnęła mocno na przegub, przytykając palec do ust. To dobrze, bo jeszcze gotów byłbym odpyskować pijanemu lekarzowi.

Przytknąłem palec do ust, kiwając głową. Staralem się, by ten gest miał w sobie jak najwięcej z pogardy i protekcyjnej postawy.

Przynęta błysnęła, teraz czekać na zaczep.

– Ty, kurwa, nie czujesz się zbyt dobrze? – zaśmiał się Zając; po głosie słychać było, że zabrał do lasu niemały zapas alkoholu.

Ten większy Chołownik, który wcześniej siedział obok mnie, teraz wyjął sierp i przyłożył mi do gardła. Spojrzał na Zajacę jedynie po to, by dostać pozwolenie, na to, co i tak powinno było być zrobione. Chociaż przecież powinni byli mnie doprowadzić żywcem do Krzykacza.

– Czekaj, kurwa, bo chcę wiedzieć, czy ten chujek nie czuje się zbyt pewnie!

Wiatr zawył dziko, Cisi zaczęli dyskutować ze sobą na migi, rozważając zapewne możliwości rozwiązania konfliktu.

Wstrzymałem oddech, przepelniony filtrowanym powietrzem, otworzyłem ustnik maski i bezgłośnie poruszyłem wargami, tak, by nie stracić zaczerpniętego tchu.

– Co, kurwa? – spytał się Zając, podchodząc bliżej, lekko chybottliwym krokiem.

Poruszyłem ponownie ustami, czując, jak powoli organizm domaga się zaczerpnięcia powietrza, obojętne czy z tej warstwy halucynacji, czy innej.

– No powiedz, bo może to będzie ostatnie, co powiesz, kurwa – podniósł głos jeszcze bardziej, zbliżając się do mnie na odległość ręki i przystawiając ucho.

Ryba połknęła przynętę, pozostało tylko zaciąć wędkę.

Splunąłem gęstą śliną w twarz doktora i czym prędzej zamknąłem ustnik, by chwycić oddech nosem.

– O, ty kurwo zajebana, szmato! – wydarł się i uderzył mnie pięścią w twarz.

Poleciałem na ziemię, uderzając boleśnie plecami. Pewnie utrzymałbym się na nogach, ale pozwoliłem się ponieść bezwładowi dla efektu. W końcu chciałem mieć po swojej stronie także publikę.

Wiatr zawiał silnie, łopocząc skórą zebranych. Kilku Cichych wróciło ze swoich ziemianek, trzymając łuki ze strzałami z Martwodrzewu.

– Jak zrobicie mi chociaż, kurwa, cień jebanej krzywdy, to klnę się na wszystko, że będziecie, kurwa, te drzewa żreć, jak wam Choły nie sprzedadzą nic z zewnątrz! – Zając zaśmiał się tryumfatorsko, rozejrzał dookoła i krzyknął: – Przyszliśmy po skazańca, mamy kurwa do tego prawo i żaden pierdolony chuj nie będzie...

I zniknął.

Tak po prostu.

Wiatr przestał wiać, a Zająca nie było tam, gdzie wcześniej stał. Powiedzieć, że byłem w szoku, to jak nic nie powiedzieć. Owszem, plan się udał, chociaż nie tak jak myślałem, że się uda.

Ostatecznie czego się spodziewałem? Wielkiego orła, który zleci z nieba i ukarze go za podnoszenie głosu? Krzykacza we własnej osobie? Raczej tego, że Cisi uznają, że nie warto ryzykować całej wioski dla jednego pijanego doktora, nawet jeśli nieformalnego ambasadora Chołów.

Zamiast tego Zając przestał istnieć w naszym wymiarze halucynacji, a ja nie dostrzegałem go nawet przez żywiczne oko. To mogłoby oznaczać, że istnieją drapieżnicy, którzy naprawdę nie dają ostrzeżenia albo tacy, którzy potrafią wyskoczyć jak ryby z głębin i porwać zdobycz na ogromną głębokość.

Wstałem, spojrzałem na Chołowników i przyłożyłem palec do ust.

Jeden z nich naciągnął cięciwę, wycelował we mnie i zaraz strzela z Martwodrzewu przebiła mu szyję. Wieśniak zacharczał, po grdyce spłynęła mu krew, ustnik zabarwił się na czerwono, przepuścił kilka bąbelków ze śliny i po chwili łowca z Chołów wyzionął ducha.

Cichy, który strzelił, naciągnął po raz kolejny cięciwę i wycelował w następnego. Sytuacja była tragiczna, bo ja na ich miejscu bym chyba po prostu wystrzelał wszystkich i wrócił do spokojnego, zwyczajnego życia.

Zamiast tego stało się coś strasznego, ale na szczęście nie dla mnie.

Sprawiedliwość tłumu, najgorsza ze sprawiedliwości, zwyciężyła.

Kilku z miejscowych chwyciło jednego z Chołowników, przytrzymało go i zdarło mu poroże z głowy. Ten ukazał wszystkim swoją błądą, spoczoną twarz. Wściekłymi i przestraszonymi oczami skakał od jednego do drugiego, na końcu spojrzał na mnie. Jego twarz była znajoma, gdzieś ją widziałem.

I zniknął, podobnie jak Zając. Różnica była taka, że Chołownik po prostu przeszedł siłą miejscowych praw przyrody na inne piętro. Zająca natomiast jakby coś... zabrało i zanurkowało wraz z nim.

Miejscowi przyskoczyli kolejno do następnych i jęli im zrywać maski z twarzy. Kątem oka dostrzegłem, jak ten, który chciał mnie zabić, sam zdejmując sobie maskę. Trzymając ją w dłoni, wziął głęboki oddech i rozplynał się w niebycie.

Dopiero po dłuższej chwili pierwsi Cisi odważyli się rozejść. Jednakże kilku postawnych strzelców z łukami w pogotowiu sprawiało, że nadal nie mogłem wziąć głębokiego oddechu ulgi. To nie mogło być takie proste.

Obejrzałem się na Łucję, trzymała samą siebie w objęciach i trzęsła się jak osika.

No tak, to byłoby zbyt proste, gdybyśmy rzucili się sobie w ramiona i ogłosili triumf sprawiedliwości. Bo przecież nie rozwiązałem żadnego problemu. To było bardziej przecięcie wężła gordyjskiego.

Lusia przysiadła na ziemi, dławiąc wyuczonym ruchem płacz. Pewnie знаła tych ludzi od małego, a teraz musiała oglądać, jak umierają. Widziała dokładnie, jak ich twarze pęcznieją z przerażenia i wdychanego powietrza, jak ciała przesączają się do obcego, niebezpiecznego świata.

Nie pozwolono nam nigdzie iść. Siedzieliśmy pośrodku trawiastego skwerku tak długo, aż nie przyszło po nas dwóch Cichych z sierpami, by poprowadzić w inną część osady.

Schody do podziemnego pomieszczenia były ukryte i wybetonowane. Z tych dwóch informacji najciekawsza była ta druga, implikowała ona dwie możliwości. Pierwsza, że idziemy stawić się przed oblicze jakiegoś trybuna, czy innego władcy cichego dominium. Druga, że to miejsce sprzed lasu.

Potwierdziły się obie wersje.

Sieć korytarzy pokrywały tysiące napisów, spisanych kawałkami węgla, kredy i żywicy. Każdy urywek pokrywały dialogi i rysunki poglądowe. Pomieszczenia były oświetlone przez pojedyncze żarówki w kloszach na ścianach.

Bunkier, olśniło mnie, byliśmy w podziemiach jakiegoś bunkra albo innej placówki wojskowej. I w dodatku mieszkało tu znacznie więcej osób, niż można było przypuszczać po stanie osady.

Miejsce przypominało nieco agorę albo jakieś forum, do którego można było zejść, by porozmawiać i odetchnąć. Spojrzeć na elektryczne światło z ulgą i pomyśleć, że nieprzeniknione ostępy dziczy na zewnątrz to tylko zły sen.

Nagle wydało się to takie oczywiste, że Cichych było zdecydowanie więcej, tylko żyli w ukryciu. Mieli swoją kulturę przetrwania, tak jak i Chołownicy. Spuściznę intelektualną, nzbieraną wiedzę połowy stulecia życia w ciemnym lesie.

Na najkrótszy moment zatrzymałem się przy jednym z naściennych dialogów i dostrzegłem, że ludzie nawet pod ziemią rozmawiali o tym, co wszyscy. O miłości, o jedzeniu, o strachu i dobrych radach, jak się nie bać.

Wojownik Cichych popchnął mnie bez zbędnej przemocy, pośpieszając do marszu.

Cisi byli jeszcze straszniejsi, gdy przypatrywali mi się zza rogatych masek, ginąc w mrokach schronu. Ich głęboko osadzone, świecące nienaturalnie oczy podpatrywały we mnie na zmianę zagrożenia i łupu.

Nie było tam dzieci, co przyjąłem z dwojakim odczuciem lęku i ulgi. Tylko tego brakowało w moich koszmarach, małych, cichych dzieci w rogatych czaszkach.

Ktoś odsłonił kotarę z czerwonego materiału i wpuszcł nas na starą, poplamioną wykładzinę. W tych warunkach był to zapewne symbol luksusu i oznaka wysokiego statusu społecznego.

Wnętrze różniło się do pewnego stopnia od ziemianki, w której przehandlowaliśmy z Lusią pożytki za prowiant. Zamiast wykorzystującej każdy centymetr miejsca hałdy śmieci, mieliśmy do czynienia z wykorzystującą każdy centymetr miejsca salą spotkań.

Po ścianach ciągnęły się wianki ziół, pod sufitem zresztą też. Ktoś w rogu suszył ubranie obok nocnika. W przeciwległym rogu była kuchenka

turystyczna i wojskowa skrzynia, z której swoją drogą wystawały wygarbowane skóry zwierząt.

Posadzono nas na dwóch z czterech puf, co było szczytem luksusu, odkąd wszedłem do lasu. Strażnicy dalej stali, ustawieni za naszymi plecami, co sugerowało mi, że przybyliśmy w formie oskarżonych, a nie gości.

Krótki rachunek sumienia, pomyślałem, co zrobiłeś, co mogło ich tak zdenerwować? Zerwałeś jakiś święty kwiat? Nie, to nie to. Może sprzedaliśmy handlarzowi jakąś nielegalną kontrabandę i teraz na nas doniósł? Też nie brzmi to przekonująco.

Miałem sporo czasu, by wsłuchiwać się w skapującą ze stropu wodę i szum krwi we własnych skroniach. Przełamanie nastąpiło po dłuższym czasie, gdy z korytarza poniosły się powolne kroki, wzmacniane jakby trzecią, dodatkową stopą.

Po takim czasie w lesie człowiek słysząc kopyta, nie oczekuje konia, tylko pegaza albo samego diabła. Byłem więc nieco zdziwiony, gdy zza nas wyłoniła się po prostu zgarbiona, wiekowa staruszka z plastikową kulą do chodzenia.

Nie nosiła się jak pozostali. Miała na sobie długie futro z jakichś gryzoni i czarną spódnicę w kwiaty, sięgającą aż do kostek. Może najdziwniejsze jednak było to, że nie oddychała przez maskę, a jedynie przez własne usta.

– Korzystam z każdej chwili oddechu – powiedziała powoli i z jakąś wyraźną nostalgią za lepszymi czasami. – Nie musicie siedzieć w maskach pod ziemią, miazma się nie dostaje przez wentylację.

Zaryzykowałem, chociażby dla dobrego pierwszego wrażenia i zdjęłem poroże. W pierwszym odruchu chciałem je założyć ponownie, bo bałem się, że zniknę jak Chołownicy. Jednak nie, powietrze było stęchłe, śmier-

dzące, ale o niebo lepsze niż klaustrofobiczne oddychanie przez pochłania-cze.

– Przystojny jesteś – powiedziała nagle staruszka. – Trochę jak mój Kaziu, świeć panie nad jego duszą.

Łucja w ostatniej chwili powstrzymała odruch przeżegnania się, choć nie wiem czemu.

– Miło mi to słyszeć. – Wyjątkowo nie pokusiłem się na jakiś prze-mądrzały i cięty komentarz. – Możemy tu rozmawiać na głos?

– Nawet musimy. – Gospodyni machnęła niedbale ręką na strażni-ków, a ci zamknęli stalowe odrzwia i przykryli żarówkę płachtą.

Zapadła ciemność. Rozważyłem szanse ucieczki i szybko doszedłem do wniosku, że prędzej sobie wybiję zęby na framudze.

Nagle wszystko pojaśniało, a między nami a kobietą zajaśniała chmu-ra żółtawo-zielonego gazu.

– Nazywam się Maria Luiza Gopulska, to świecące nazywa się Sen-nik i będzie mi pomagać. Wy macie wyjaśnić, dlaczego nie powinniśmy was posłać w jutowych workach do Chołów, czas start.

Odjęło mi mowę, Łucji wyraźnie też, chociaż ona nadal nie zdjęła maski i powoli zaczynałem przeczuwać, dlaczego.

– Pani jest matką Zofii? – spytałem i zaraz zamarłem z wrażenia.

Chmura błyszczącego gazu na środku pomieszczenia zaczęła wirować. Bardzo szybko przybrała kształt starszej kobiety, z wiklinowym koszem i granatową chustą na głowie. Chociaż podobieństwo było raczej koncepcyjne, to jednak zdecydowanie nieprzypadkowe.

– To czyta mi w myślach? – dopytałem jeszcze, wyciągając rękę do Sennika.

Dłoń przeszła przez chmurę, rozpraszając ją jak chmurę owadów. Nagle kilka z tych gwiazd mikroskopijnej galaktyki usiadło mi na ręce,

łaskocząc skórę. Porównanie było nader trafne, dostrzegłem, że rzeczywiście rozumna chmura w zasadzie była rojem świetlików.

– Tak i tak – odpowiedziała mi Maria i chmura zaraz się przerzedziła. – Skoro już wiemy, że Sennik działa na ciebie, to teraz ty, słońce, powiedz coś.

Kościana maska Łucji łypała złowrogo z ciemności, rozpraszanej jedynie przez delikatny poblask świetlików i zasłoniętą żarówkę.

– Jak udało ci się przeżyć bez długu? – spytała przez ściśnięte gardło.

Maria zmilkła na moment, sondując głos, który musiał zagrać jej na jakiejś znajomej strunie.

Chmara świetlików przybrała kształt człowieka, któremu zaraz wydłużyły się nogi i wyrosły rogi.

– Niczego od nich nie wzięłam – odpowiedziała starsza Gopulska, chociaż wcale nie musiała. – Cisi docenili moją wiedzę, chęć nauki i zrozumienia lasu. Nie wzięłam nigdy od nich niczego, za wszystko płaciłam swoją obecnością, przyjmując jedynie dary. Po czasie zauważyłam, że nie mogę ich o nic prosić, ale mogę im rozkazać coś dać lub zrobić.

– Jesteś jakimś wodzem plemienia... Czy szamanem?

Maria zaśmiała się skrzekliwym, bijącym po uszach śmiechem złej wiedzy rodem z bajek. Nie było w tym jednak żadnego szyderstwa, po prostu kwestia wieku.

– Dla was mogę nawet być wróżką, bez znaczenia. Chronię tych ludzi przed tym, czego jeszcze nie pojęli. Rozsądzam spory i wydaję wyroki... A skoro przy tym jesteśmy.

Przełknąłem ślinę, podrapałem się po brodzie i wyprostowałem plecy. Gdyby nie ciemność to pewnie nawet głupi zauważyłby, że coś mi siedzi na sercu.

– Dowiedziałam się o tym, co się stało, ale nie dowiedziałam się, dlaczego to się stało. Przybyli jacyś ludzie z Chołów niedługo po was, był tam chyba nawet Zając, jego akurat nie lubiłam...

Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Za to będę po nim płakać, jak po każdym z moich podopiecznych...

Uśmiech zniknął tak szybko, jak się pojawił.

– Jedyne co was jeszcze ratuje to fakt, że nie wiem, czemu chcieli was zarznąć na tym placu jak prosięta. Więc możecie mi śmiało o tym opowiedzieć.

Czyli nie wie, że nie chcieli zabić Łucji, pomyślałem. Jeśli ona chce ukryć swoją tożsamość, to może powinniśmy wymyślić szybko inną bajkę.

Świetliki zebrały się w ciasną chmarę i ukazały sylwetkę Łucji, która ściąga maskę i wtapia się w tłum mieszkańców wsi, próbujących powiesić jakiegoś człowieka.

– Cholera... – wyrwało mi się i jeden z Cichych podszedł do mnie o krok.

Maria podniosła dłoń, twarz miała nieprzejeđną. Czas na moment jakby stanął w miejscu. Ona mruczała tylko, cicho mieląc informacje.

– Bieniaszówna... No proszę, jak gałęzie się płaczą. Zdejmij maskę dziecko, niech ci się przyjrzę, czy wdałaś się w tego wieprza Piotrka.

Łucja ani drgnęła, napięła jedynie mięśnie, jakby powstrzymując się od skoku.

– Nie kaź mi się powtarzać, dziecko.

W końcu sołtysowa córka ugięła się i zdjęła z głowy poroże. Guma z głośnym plaskiem odeszła od szyi, ukazując spoconą, czerwoną twarz ze związaną kępką płowych włosów.

– Kubek w kubek, wykapany ojciec. – Maria uśmiechnęła się krzywo. – To teraz tym bardziej nie rozumiem, skąd ta cała hucpa. Ty wyglądasz, jakbyś wiedział.

Obejrzałem się za siebie, by zyskać choć trochę na czasie. To był ten moment, w którym należało podjąć decyzję. Jeśli nie miałem sobie nic do zarzucenia, to powinienem był powiedzieć prawdę. Pytanie jednak, czy na pewno logika ma jakiekolwiek szanse z systemem prawnym leśnych ludzi.

– My podpadliśmy Krzykaczowi – wydukałem cicho.

Świetliki ułożyły się w kształt jeleniej czaszki o długich, ostrych zębach. Poroże rozrosło się, sięgnęło pod niski sufit, paszcza wydała z siebie niemy ryk i rój rozpierzchł się na boki, jakby spanikował tym, co sam pokazał.

– To wyjaśnia wszystko – powiedziała po prostu Maria.

Nie musiałem nawet niczego opowiadać czy tłumaczyć. To, co dla mnie miało związek przyczynowo-skutkowy rodem ze snu, dla Szeptuchy było tak banalne jak setna z rzędu usterka tej samej pralki.

– Widzicie, jedną z zalet bycia dziećmi lasu, czy też Cichymi jest właśnie to, że można zacząć od nowa – wyjaśniła grzecznie i pouczająco Maria. – Cisi zaczynają z niczym, więc nie można ich ścigać za poprzednie przewinienia, ich nowy zapach nie jest tożsamy z poprzednim. Zmieniają się ich nawyki, zachowania, sposób mówienia.

– Myślenia?

– Nie bardzo. To nie pranie mózgu, to po prostu nowy etap życia. Dlatego właśnie żaden z Cichych nie jest ścigany przez Krzykacza. Wyczuł widocznie tylko tych, którzy byli w tamtym miejscu bez niezbędnych zabezpieczeń. – Szeptucha na moment zamyśliła się i rozchyliła lekko usta, jakby dopiero sobie coś przypomniała. – Teraz to ma sens, bo przecież mówili mi jakiś czas temu, że to się stało. Po prostu nie wiedziałam, że to

chodzi o was. Nie przejmuję się każdym, kto wchodzi do lasu na własne życzenie.

– Natomiast nie przeszkadzało im zabrać ze sobą Waldka, prawda? – powiedziała nagle Łucja, wprawiając gospodynię w zmieszanie. – Nie musisz nawet odpowiadać, pewnie i tak powiesz, że jest teraz szczęśliwszy.

– Na pewno nie musi już niczego sobie wstrzykiwać.

Przejechałem dłońmi po nadgarstkach, zrobiło mi się chłodniej. Oczyma wyobraźni zobaczyłem go, gdy spotkałem się z nim po raz pierwszy i ostatni w Chołach.

Światliki ułożyły się na moment w dziwaczny obraz. Dwie osoby, mężczyzna i kobieta, zabijali trzecią osobę.

– Z wyobraźnią panienko Bieniaszówno, ale niemożliwe – podjęła jakiś wątek Maria, choć nie zrozumiałem najpierw, do czego nawiązując. – Zabicie pocziwego Waldka nie rozwiązałoby waszego problemu, bo on już nie jest poszukiwany przez Krzykacza.

Obróciłem się zszokowany w kierunku Łucji, która z wyrazem chłodnego zacięcia wgapiała się dalej w wodza Cichych.

– Chciałaś zabić Waldka?

– Przeszło mi jedynie przez myśl – odparowała niewinnym głosem.

– A co, gdybym ci powiedziała, że możemy pozbyć się tej krnąbrnej dziewczuchy? – ni z tego, ni z owego powiedziała Szeptucha i w pierwszej chwili nie pojąłem, że mówiła do mnie. – Ma swoje za uszami, chciała zabić człowieka, ty nawet nie jesteś stąd...

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło – stwierdziłem, w kontraście do tego, co powiedziała przed chwilą Łucja. – Wplątałem się to po części ze swojej winy, ale nawet jeśli by było inaczej, to nie mam prawa decydować o cudzym życiu w tak wyrachowany sposób.

Łucja spojrzała na mnie, uśmiechnęła się lekko i przytaknęła, jakby usłyszała coś bardzo dobrego dla serca.

Maria Luiza odetchnęła ciężko, obróciła się w kierunku jednego z Cichych i powiedziała powoli:

– Widzisz, Waldek? Jednak nie są takimi złymi ludźmi, na jakich wyglądają.

W osłupieniu oboje z Łucją spojrzeliśmy na górującą nad nami postać w szerokim ponczu z wilczych skór. Poroże właściwie rysowało o niskie sklepienie bunkra, co tylko potęgowało wrażenie gigantyzmu.

Waldek był duży już jako człowiek, a jako Cichy był... no cóż, zwyczajnie gigantyczny. Szeroki w barkach, stojący na mocno rozstawionych nogach, jak jakiś ochroniarz ojca chrzestnego mafii albo rycerz. Aż chciało się mu dać miecz i tarczę w dłoni, jednak i on miał jedynie łuk i sierp.

– Będę szczerą, nie wiem co z wami zrobić.

– Mogę coś zasugerować?

– Śmiało – Maria uśmiechnęła się, przypominając na nowo miłą, starszą panią, a nie szamana wioski ukrytej w bunkrze.

– Nie zabijaj nas, daj nam odejść.

– Myślę, że to może być dla was gorsze wyjście. Rozważałam pozwolenie wam na szybką śmierć i uchronienie dusz, by nie zabłądziły na wieczność w lesie. Jeśli was tak po prostu wypuszczę to utkniecie w borze, albo najpewniej zabije was Krzykacz, a to może być los gorszy.

Wtedy na moment świetliki z Sennika zebrały się w jedno, wielkie serce, oplecione gałęziami. Pojedynczy, cienki korzeń odbiegał od serca i frunął gdzieś w dal, by nagle pęknąć, rozerwany styliskiem topora.

– Wiem, co pokazał Sennik – z powagą zadeklarowałem i wstałem, by nachylić się do gospodyni.

Strażnicy zareagowali, zbliżając się z sierpami. Maria jedynie odmachnęła dłonią, nie spodziewając się, że zrobię coś głupiego, czego nie pokazałyby świecące owady.

– Ja nie dam się zabić, Łucja nie da się zabić, więc jest tylko jedna możliwość. – Po krótkiej chwili namysłu dodałem z pewnością siebie: – Muszę zabić Krzykacza.

Maria rozchyliła usta w zdziwieniu, zaraz wygięła je w zaskoczony uśmiech i pokiwała głową z uznaniem.

– Naprawdę chcesz to zrobić – stwierdziła. Jej wzrok zrobił się chłodniejszy, kalkulujący i odległy. – Jak myślisz, ilu przed tobą próbowało?

– Wielu?

– Nie, niewielu, za to na pewno byli silniejsi od ciebie. Znali lepiej las niż ty. Drapieżnicy, giganci, licha z najgłębszych czeluści matecznika, promieniujące skrzywieniem paskudztwa z dna koszmarów. Robili wszystko, by zająć należne im miejsce na szczycie piramidy stworzenia.

– Ale nie znali Krzykacza – słowa same wyszły z moich ust. – To były zwierzęta w łańcuchu pokarmowym, prawda? Próbowali po prostu z nim walczyć, nie wiedząc, skąd się bierze jego witalność, prawda?

Maria nic nie odpowiedziała, przeszywała mnie jedynie wzrokiem, skubiąc palcami włosy na futrze.

– Krzykacz bierze swoją moc z serca lasu. Jest do niego podłączony i tylko dlatego zawsze wraca. Wie o wszystkim, co się dzieje, bo czuje wszystko to, co czuje sam las. Nie muszę walczyć z Krzykaczem, wystarczy, że odetnę go od serca, a stanie się znowu jedynie uczestnikiem gry o przetrwanie.

– Gdzie znaleźć taki przewód?

– Na plecach samego Krzykacza, w lesie, w sercu... Właściwie to na całej długości od punktu A do punktu B.

– Zatem po prostu zakradniesz się do niego i przerąbiesz jak pie-
niek? – W głosie wieszczki nie było kpiny, pomysł po prostu brzmiał idio-
tycznie z założenia.

Łucja wstała nagle i podniosła głos:

– To samobójstwo. Nie wiesz, czy ten cały kabel, czy przewód się nie
rozrasta, nie ma wielu końców albo wielu początków. – Na moment jakby
szukała słowa. – To może być nie jak gniazdko, tylko bardziej jak cały
transformator, elektrownia!

– Za to wiem, że jeśli przetniemy ten kabel, to się go pozbędziemy.
A to uratuje wiele żyć Chołowników i wielu Cichych. To może uratować
Samosiedlców, jeśli jacyś pozostali. Ryzyko może i duże, ale możliwa wy-
grana jeszcze większa.

– Na pewno nie puszcę cię samemu na pewną śmierć. Musi być jakiś
rytuał albo amulet ochronny, który po prostu wymaże nas z pamięci Krzy-
kacza.

Łucja spojrzała na Marię, jednakże ta pokiwała głową na boki z wy-
rażnym smutkiem.

– Jeśli by taki istniał, to ja bym o tym wiedziała. Zresztą, będąc szcze-
rą... – Maria wstała z trudem, odetchnęła ciężko i uśmiechnęła w pustkę. –
Mam już trochę dość życia w wiecznej ciszy.

Dwóch strażników obejrzało się na siebie i na swoją przywódczynię.

– Wspaniale byłoby poznać las, przekazać tę wiedzę światu i nie mar-
twić się o to, czy nie będzie trzeba nagle kogoś bliskiego poświęcić dla ko-
lejnego dnia życia.

– A ty byś nie chciała spokoju, Lusiu? Wyplenienia chwastów i zo-
stawienia w ogrodzie kwiatów? – spytałem, choć Łucja patrzyła jedynie
zezłoszczona gdzieś w bok.

– Ja po prostu nie wierzę, na co się chcecie porywać. Widzieliście, jak to jest... diabeł?

– Nie dodawaj mu więcej siły niż jej ma. Jest straszny, to fakt, ale nie jest bogiem. To tylko stwór, ma swoje zachowania, słabe i mocne strony. Jeśli tylko się przygotujemy, to może nawet nikomu nic się nie stanie. – Obejrzałem się na wszystkich obecnych, jednak nikt nie podzielał mojego optymizmu. – To będzie jak polowanie na niedźwiedzia, którego samemu nikt nie pokona, ale razem możemy to zrobić z łatwością.

– Pomogę ci – powiedziała poważnie Maria, wprawiając mnie w szczerze zaskoczenie, bo mówiłem, co myślałem, a nie to co koniecznie miało sens i było dobre. – Nie ufam ci, nie znam cię, ale może po prostu tego nam brakowało cały czas? Odwagi, by pójść kolejny krok w ciemny las i dowiedzieć się co tam jest.

– A więc zrobimy to razem, wspólnie.

– Myślę, że panna Bieniaszówna może mieć tu dużo do powiedzenia – stwierdziła z wyzywającym uśmiechem Szeptucha. – Jeśli jej się nie uda przekonać Piotrka do tego, by skrzyknąć Chołowników, to nikomu się nie uda. A nie ukrywam, że do tego, co zamierzamy zrobić, przyda się każda para dłoni.

Łucja nie odpowiedziała, po prostu wpatrywała się w ciszy w błyszczący pomarańczowo Sennik, zapętlający obraz buchającego płomienia.



Nie spodziewali się mnie, nie spodziewali się Cichych, a już na pewno nie spodziewali się mnie i Cichych.

Wyjątkowo okazało się, że sekret Cichych nie leżał w żadnej niezwykłej znajomości leśnych ścieżek, choć tej też nie można było im odmówić.

Większość drogi przeszliśmy po prostu podziemnym tunelem, który doprowadził nas prostą drogą niemalże pod same Choły.

Zaskakujące, jak niedaleko od wsi byliśmy przez cały ten czas. Naprawdę, las jest znacznie większy wewnątrz niż się wydaje z zewnątrz. Wszystko, co istotne, nie dzieje się na szerokości lasu, tylko jego wysokości, piętrze halucynacji.

Szliśmy powoli, ponieważ Maria Luiza miała już swoje lata, a nie dała się nieść na żadnej lektyce ani niczym takim. Zabraliśmy ze sobą tuzin ludzi pod bronią, bardziej dla ochrony Szeptuchy, niż cegokolwiek innego. W gruncie rzeczy liczyliśmy na polubowne rozwiązanie sprawy.

Tym większe zaskoczenie było nasze, gdy sołtys oczekiwał nadejścia na skraju wsi. Przygotował już wcześniej dwa tuziny ludzi z karabinami zabranymi po służbie wojskowej, co w zamierzeniu również miało dać przedsmak niebezpieczeństwa i jasne ostrzeżenie. Kosy i łuki były na stworzenia lasu, ale na wsi można było rozwiązać konflikt kulą w łeb i nikt nie pisnąłby nawet słowa.

Dwie delegacje spotkały się w końcu na granicy, tuż przy domu, w którym wcześniej mnie zakwaterowano. Niby czasy mieliśmy już cywilizowane i nowoczesne, ale zarazem ludzie nieszczególnie się zmienili. Bo przecież niczym się to nie różniło od szczerzenia do siebie kłów dwóch zwierząt.

– Cześć, tato. – Zaczęła kartą atutową Łucja, rozkładając ręce i zbliżając się do ojca.

Bieniasz miał minę zaciętą, ponurą. Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, przydeptał niedopałek i przytulił córkę, cały czas świdrując mnie wzrokiem. Atmosfera była napięta.

Kilku chłopów przeżegnało się, lustrując maski Cichych, górujących wysoko nad tłumem wieśniaków. Trzymali palce na spustach broni, ale ra-

czej ze strachu niż z chęci wystrzelenia. To mogło być nawet gorsze, bo takim przypadkowym wystrzałem można rozpętać chaos, którego nie sposób zatrzymać.

– Cieszę się, że szanujemy wzajemnie swoje tradycje i zwyczaje... – zaczął sołtys, a mi już się zrobiło zimno wzdłuż karku – i przyprowadziliście tego człowieka z powrotem.

– Tato! – podniosła głos Łucja, stając pomiędzy dwoma grupami. – Przestań tak o nim mówić.

– Nie spodziewałem się natomiast, że zobaczę ciebie – teraz sołtys zwrócił się do starej Gopulskiej, ignorując córkę. – To mógł być ktokolwiek, ale musiałaś to być ty, tak? Teraz przychodzisz się mścić, tak?

– Nic się nie zmieniłeś – odpowiedziała powoli Szeptucha. – Jak głupi byłeś, tak głupi jesteś i głupi pewnie będziesz. Odprowadzam twoje dziecko do domu, a ty zamiast bogu dziękować, to plujesz na mnie jadem.

– Łucja sama wróciłaby do domu.

– To czemu tego nie zrobiła?

Wzrok obecnych na moment zatrzymał się na córce sołtysa, która wzięła głęboki oddech, spojrzała ojcu prosto w oczy i z niemałym trudem odpowiedziała:

– Nie możemy oddać Krzykaczowi Jerzego.

– Bzdura...

– Nie przerywaj mi! Nie tym razem, tato, nie przerywaj mi, bo musisz to usłyszeć. – Na moment ucichła, jakby nie spodziewała się, że ojciec rzeczywiście jej wysłucha, nie mówiąc już o tym, że posłucha. – Nie możemy po prostu zabić niewinnego człowieka, nie będziemy kupczyć duszami, jak jacyś najgorsi bandyci.

– Więc wolisz się zabić i skazać swoją duszę na potępienie?!

– Nie podnoś na mnie głosu! – krzyknęła, prostując plecy.

– Nie pozwolę, byś zachowywała się jak gówniara! – wydarł się sołtys.

Chłopi cofnęli się o krok, lufy podskoczyły wyżej. Cisi zdjęli z pleców łuku, kilku z nich stanęło przed Szeptuchą, osłaniając ją własnym ciałem.

– Nikt nie musi ginąć! – Wyszedłem krok przed tłum.

Kilka luf wycelowało we mnie. Ręka mimowolnie drgnęła mi w kierunku pistoletu.

Nie po to przeszedłem przez to piekło, by teraz głupio umrzeć na progu, pomyślałem.

– Mamy rozwiązanie problemu, wiemy, jak się pozbyć Krzykacza, znaczy się licha z lasu.

Chłopi popatrzyli po sobie, kilku utkwilo wzrok na sołtysie, ale względnie nikogo to nie ruszyło, nawet trochę.

– Wiem, że to brzmi dziwnie i mi nie ufacie, ale przecież nie zawsze był tutaj las. Nawet więcej, bo przecież nie zawsze las był taki sam, tak? Licho to szkodnik, jak każdy inny. Może i jest straszny i groźny, ale przecież nie będziecie się bać szkodnika, tylko powinniście go przepłoszyć.

– Jeszcze dziećmi byliście, a ja pamiętam las, prawdziwy las – odezwała się na nowo Luiza, wychodząc spomiędzy ciasnej zasłony Cichych. – To ziemia naszych przodków, to nasza ziemia i nie powinniśmy jej oddawać obcym za nic. Licho z lasu jest obce, ono nie jest stąd. A wy wszyscy, jak tu stoicie, macie dość siły, by wygonić je z powrotem do ciemnej dziury, z której wypęzło.

Z całej wsi zaczęły się schodzić następne osoby, przekazując sobie pocztą pantoflową, co się dzieje. W końcu zza pleców zebranych wyszła starsza, przygarbiona kobieta, której twarz tak dobrze zapamiętałem.

– Mama? – spytała niedowierzając Zofia Gopulska, zbliżając się do Szeptuchy. – To naprawdę ty? Myślałam, że cię nie zobaczę.

Szeptucha uśmiechnęła się, nie mogąc powstrzymać radości i pokiwała głową, po czym dała się objąć córce.

– Dalej ludzie, nie bądźcie sobie obcy – dodała przekonująco Łucja. – Kto z was nie chciałby spokoju?!

Kilka zwyczajowych mruknięć aprobaty przetoczyło się przez tłum. Ktoś podniósł głos jakimś trudnym do zrozumienia okrzykiem zadowolenia, inna osoba zaraz podjęła, rzucając parę pustych słów: no dalej, dalej, tak jest, dokładnie. Nim się obejrzałem atmosfera się rozluźniła, a ludzie na nowo patrzyli na siebie jak na ludzi.

Wtem pojawił się ojciec Maurycy i zebrał na sobie uwagę obecnych. Wbił we mnie wzrok, twardy, pewny siebie. Odpowiedziałem tym samym i po chwili duchowny zwrócił się do obecnych.

– Zabrakło wam języka w gębie? Pacierze klepać umiecie, a wygonić diabła z własnego podwórka już nie?

Łucja wyszczerzyła się promiennym uśmiechem, kilku ludzi zawyło, jakby co najmniej już zwyciężyli albo osiągnęli coś wielkiego. Tylko sołtys patrzył się niepyszny na to, że to ostatecznie nie on przekonał ludzi do swojej sprawy.

Zbliżyłem się o kilka kroków do sołtysa i wyciągnąłem dłoń, mówiąc:

– Bez szanownego pana nie mamy szans.

Ten w milczeniu przyglądał się przez moment mojej dłoni, skrzywił się i uściśnął ją z siłą, mówiąc:

– Wiem.



Czy zrobiliśmy wszystko, co należało?

Nocne niebo było piękne i pełne gwiazd. Mroźny wiatr kłuł mnie nieustannie pod marynarką i przesączał się za kołnierz odprasowanej koszuli. Robiłem, co mogłem, by nie spojrzeć na las kilkanaście metrów przede mną.

Tych kilka krótkich dni wypełniły przygotowania, które miały zawazyć na całej przyszłości setek osób. Myślałem, że porzygam się z nerwów. Wszystko zdawało się nierealne, niemożliwe, przypominało szycie kostiumów do zabawy karnawałowej.

Ludzie wygrzebywali ze strychów i piwnic wyniesione z jednostek wojskowych pamiątki. Hełmy, karabiny, amunicje i granaty teraz miały służyć w nowej walce, tak jak przewidzieli to ich właściciele, gdy kończyli służbę wojskową. Kto mógł wiedzieć, że to nie z ludźmi przyjdzie im walczyć?

Zamiast końskich podków kuto pancerne płyty i ambrazury na wozy, by móc zza nich strzelać. Wciągano reflektory na dachy traktorów, by rozjaśnić mrok. Zbierano benzynę i wszystkie butle z łatwopalnym gazem, jakie tylko się dało, by wypalić chwasty. Nawijano dziesiątki metrów drutu kolczastego, by zatrzymać potwory.

Przekonanie sołtysa do pomocy przypominało żucie żużlu. Bolały zęby, łzy cisnęły się do oczu, trwało to godziny, ale w końcu się udało. Siedemdziesięciu chłopów pod bronią, piły łańcuchowe, kilka traktorów i wypożyczony z kolchozu ciągnik inżynierski.

Czułem się, jakbyśmy szykowali się na koniec świata, zwłaszcza gdy ojciec Maurycy odprawiał mszę w intencji odegnania zła. Maria Gopulska patrzyła z politowaniem na księdza, kropiącego postawione na sztorc kosy i pepesze, ale co poradzić. W końcu wiara w zwycięstwo to także zasób.

Zawczasu pożegnałem się z Łucją, w końcu mógł to być nasz ostatni czas spędzony razem. Wierzyła w zwycięstwo, wszyscy wierzyliśmy, ale serca były jak oszalałe, ręce trzęsły się każdej nocy i nikt nie mógł spać spokojnie.

Czy zrobiliśmy wszystko, co należało? Nie, na pewno nie, ale zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, a to więcej niż ktokolwiek przed nami.

Krzaki przede mną zaszeleściły delikatnie. Ciemność zafalowała od ziemi, aż do szczytu wielkich drzew, błyskając fioletem.

– Drozd! – Ryk z lasu rozerwał powietrze, zginając trawę do ziemi.

Kilka metrów ode mnie był diabeł, gotowy zabrać moją duszę do piekła. Skoczył ku mnie, opuszczając bezpieczny mrok potwornego boru. Światło księżyca zagrało na jego masywnej jeleniej czaszy, w oczodołach wielkości arbuźów kwitły krwistoczerwone kwiaty.

Krzykacz wyciągnął pazurastą łapę, w której z łatwością mógłby mnie zmieścić razem z całym stołem ofiarnym. Już miał ją zacisnąć, gdy nagle wszystko zalała fala światła i świat zawirował.

– Lina! – krzyknął ktoś tubalnym głosem i zaraz kilku chłopów zaczęło ciągnąć długi sznur.

Posunąłem po ziemi jak wleczona na powrozie niepokorna koza. Sunąc przez trawę w kierunku barykady z obitych blachą wozów, dostrzegłem, jak osiem reflektorów oświetla ścianę lasu i wycina z niej całą sylwetkę zielonego giganta.

Krzykacz tym razem miał dobre sześć metrów wzrostu, silnie zbite mięśnie z dębowego drewna, liście paproci od szyi po nadgarstki i paskudny, węzowaty jęzor. Był przerażający, paskudny, śmiertelnie niebezpieczny... I skąpany w świetle, toteż był tylko tym, czym był.

Każdy mógł dostrzec, jak wygląda lichy z lasu, nim padła komenda:

– Gaz!

Zabrzmiało ledwie słyszalne kliknięcie, które jakby po pół sekundy absolutnej ciszy spowodowało niewyobrażalny hałas. Uszy obecnych odbierały jedynie ból i przetwarzały do mózgów jednostajne dzwonienie.

Kula ognia wzrosła pod samymi nogami Krzykacza, tam, gdzie do tej pory, przy stole ofiarnym skrywały się ładunki wybuchowe.

Wszystko pojaśniało, jakby w ziemię uderzył piorun. Ludzie zaurzuczeni wgapiali się w gigantyczną sylwetkę, która teraz płonęła żywcem, rycząc, rżąc i próbując udawać ludzkie głosy na przemian.

Liście zmieniły się w czarne, uschnięte zwitki, gałęzie pokryły kopciem, a jelenia czaszka przybrała demoniczny wyraz, podkreślany wszechobecnymi płomieniami. Wyglądało to, jakby ktoś wezwał samego szatana, który odpowiedział na wezwanie, wyskakując z piekieł i zabierając ich kawałek ze sobą.

Któryś z chłopów skojarzył obraz, przypominający nie tak dawne świętowanie żniw przy paleniu wielkiej kukły. Z wszechobecnego trzasku palonego drewna i krzyków poniosła się cicha piosenka. Ta sama piosenka, którą i wtedy śpiewali chłopci.

Zaraz melodię podjęły następne osoby, opuszczając bronie i wychylając się zza ambrazur, by podziękować naturze za łaskę.

– Strzelać, na miłość boską! – krzyknąłem z całych sił, odpłatując się ze sznura, którym mnie wyciągnięto z pułapki.

Padł strzał, melodia umilkła urwana w ten brutalny sposób.

Widziałem, jak pociski przelatują przez płonące listowie i żarzące się wnętrza ciała giganta. Nie moglibyśmy go zabić w ten sposób, na pewno nie. Jednakże potrzebowaliśmy jedynie czasu.

– Bieniasz – odezwałem się w bok.

Sołtys patrzył na mnie w milczeniu, spojrzał na płonącego Krzykacza i kilku ludzi obok siebie.

Zerwałem się na równe nogi i krzyknąłem:

– Bieniasz, no dalej! Teraz! Nie rób nic głupiego, już za późno się wycofać.

Widziałem przez moment, jak sołtys rozważał, że może to jest ta chwila. Mógłby mnie rzucić Krzykaczowi na pożarcie, zawinąć się z córką i liczyć, że na papierze wszystko będzie zgodnie z planem. Ofiara złożona i można wrócić do normalnego życia.

Gigant rozpostarł ręce, strząsając z siebie płonące liście i jakby siłą woli zrywając płonącą korę, wyswobadzając się z objęć ognia.

Czy po czymś takim jest jeszcze powrót?

– Haki! – krzyknął sołtys i samemu przycelował z karabinu.

Główna część planu weszła w życie, a to oznaczało, że nie było już opcji odwrotu.

Po prawej stronie, kilka metrów za Krzykaczem, tam, gdzie korzeń z jego pleców opadał i ciągnął się po wyjałowionej ziemi, zahuczały dwa silniki. Ciągniki z wystawionymi w powietrzu pługami do orki jechały w kierunku korzenia, nie mając włączonych reflektorów.

Z naprzeciwka, tak by zmieścić się pomiędzy nimi, jechał trzeci ciągnik, jednak wyjątkowy pod każdym względem. Masywny ciągnik inżynierski, przystosowany do karczowania lasów i rwania najgłębiej sięgających korzeni. Pancerna blachaoliwkowego koloru obijała pojazd dwukrotnie większy od zwykłego traktora siewnego.

Na tych ponad dwudziestu tonach stali opierała się cała nasza nadzieja. Zza pojazdu wystawał masywny stelaż z zaokrąglonym, ostrym jak brzytwa, wielkim kolcem. Przypominał on przerośnięty sierp, skierowany ku ziemi. Choć po prawdzie nie taki był zamiar, ale może to pomogło przekonać Bieniasza, że się uda.

Nie spodziewałem się, że uda się namówić sołtysa, by dał radę wypożyczyć pod jakimś pretekstem maszynę z kolchozu. Ba, co więcej, nie spodziewałem się, że moglibyśmy dać radę zwrócić ją w jednym kawałku. Jednakże nie moglibyśmy wygrać bez pewnych poświęceń.

Wielgachny ciągnik na gąsienicach jechał odrobinę wolniej, czekając, aż pozostałe dwa dadzą radę zrobić zaczep. Korzeń był gruby, włóknisty, bóg raczy wiedzieć co miał w środku i czy nie zregenerowałby się zaraz po uszkodzeniu. Przewidywaliśmy jedną szansę.

Pierwszy z pojazdów przejechał po korzeniu, ogromne koła podskoczyły na wyboju i zatrzymały się tuż za nim. Pług opadł do ziemi, zagłębił się i wtedy maszyna ruszyła ponownie, zagarniając korzeń jak wielkie grabie. Zaraz za pierwszym to samo zrobił drugi z pojazdów.

Korzeń naprężył się, podskoczył lekko w górę i wtedy najechały na niego mocarne gąsienice maszyny. Nim Krzykacz zdążył się zorientować, solidny hak wbił się w ziemię, a potem wciął ostrzem w korzeń.

Rozległ się trzask, brzmiało to, jakby napięty kabel już miał puścić, rozrywany tak wielką siłą, jaką prezentowała maszyna inżynierska.

I wtedy Krzykacz się obrócił.

– Butelki! – zdążyłem krzyknąć, nim sam sięgnąłem po koktajl Mołotowa.

Ogniki zapaliły się jeden po drugim na końcach nasączonych szmat i zaraz pomknęły nocnym niebem w kierunku giganta. Zabrzmiała kaskada tłukących się butelek, plamy benzyny objęły całą postać nadpalonego giganta i ponownie zajęły go ogniem.

Jeden z granatów zapalających trafił Krzykacza w tył głowy, stawiając poroże w płomieniach. Mieliśmy jedynie nadzieję, że czuje przynajmniej w połowie taki ból, jaki my czuliśmy strach.

– Na pomoc, coś mnie złapało! – lichy darło się przypadkowymi, zapamiętanymi zdaniem, jednakże teraz w tym chaosie ciężko było rozróżnić, czy nie mówił tego rzeczywiście któryś z walczących. – Tam coś jest!

Gigant wyprostował się, zrobiła kilka masywnych kroków, zahusła łapami i z rozpędu uderzył w kabinę najbliższego ciągnika. Łączenie z pługiem złamało się pod siłą ciosu. Maszyna wraz z kierowcą poleciała gdzieś w bok.

Kawałki szkła i metalowe odłamki prysnęły na boki, ludzie zasłaniali oczy, niby dla ochrony przed szrapnelami, ale raczej nie chcieli patrzeć na pierwszą ofiarę bitwy. Do tego momentu, nikt nie wierzył, że rzeczywiście podejmujemy walkę z samym lasem.

– Na miłość boską, niech ktoś coś zrobi! – ryknął sołtys.

– Leci! – zdążył ktoś krzyknąć, nim pole bitwy rozjaśniło się oranżowym wybuchem.

Zaraz za poprzednim poleciał następny granat i następny. Zaterkotała seria z karabinu. Kilkunastu Cichych stało bez słowa i wymierzonymi, spokojnymi ruchami naciągało cięciwy i puszczało salwę strzał za salwą.

– Odsunąć się!

Chołownik w masce przeciwgazowej niósł długi zestaw gumowych rur, idących do zbiorników na plecach.

– Jezus, Maria – jęknął wieśniak obok mnie i rzucił się na ziemię.

Tuż przy mojej twarzy trysnął strumień pod ciśnieniem. Zielonkawego koloru ciecz przylepiała się natychmiastowo do ciała licha i dawała paskudny, szczypiący w oczy zapach.

– Już myślałam, że to miotacz płomieni – odezwała się Lusja jakby z nutą zawodu w głosie.

Obejrzałem się przerażony to na miotacza, to na grenadierów to na Lusię, prującą z pepeszy. To było jakieś szaleństwo, a ja byłem jego współtwórcą.

Gigant stanął w miejscu. Karabiny jakby ucichły w strachu, ktoś rzucił nieśmiało granat i nawet wybuch zdawał się cichszy, bardziej złęczony.

– Ucie... – zdążył krzyknąć do kierowcy Sołtys, nim łapy olbrzyma wbiły się wabinę ciągnika inżynieryjnego.

Trzasnęło hartowane szkło, dach wgiął się do środka, przygniatając człowieka. Silnik zaryczał jeszcze jakby na znak buntu i nastąpiło następne uderzenie, płaszczące kokpit. Na szkło od wewnątrz trysnęła krew, osadzając się grubą warstwą.

Ludzie odruchowo krzyknęli w przerażeniu, ktoś zwymiotował zza ambrazury pod koła naczepy. Ojciec Maurycy przeżegnał się odruchowo i wstrzymał ogień, nie wiedząc co robić dalej.

– Korzeń, ktoś widzi korzeń? – spytałem, jednak było za późno.

Chaos uniemożliwiał jakiekolwiek porozumienie. Część ludzi zaczęła uciekać, ktoś wyłączył reflektory na swoim traktorze i wykręcił w bok, odjeżdżając z częścią strzelców.

– Nie! Nie uciekajcie! – krzyknęła jeszcze Lusia, gdy ojciec złapał ją za rękę i pociągnął do siebie.

Krzykacz obrócił się, schylił do ziemi i zaskowyczał. Nad ziemią poniosła się chmura z piachu, ubrania załopotwały jak flagi na wietrze. Pan lasu był wściekły i wyraźnie wiedział, przeciwko komu skierować swój gniew.

– Wracaj do lasu! – zakrzyczał ojciec Maurycy, ściskając taukę na piersi.

Licho zaryło gałęziastymi łapami o ziemię, wybiło się na szerokich piętach i zaczęło szarżować na wozy. Ludzie zbierali się do ucieczki, wyskakiwali na ziemię, zasłaniając jedynie twarze.

Drewniane szczapy wystrzeliły na wszystkie strony, zabrzmiała gięta blacha, posyłana na dziesiątki metrów wzwyż. Potrącony po drodze traktor przewrócił się na bok, pociągając za sobą kolejną naczepę.

Wziąłem głęboki oddech, spojrzałem na własne ręce. Trzęsły się tak, że ciężko było rozróżnić poszczególne palce. Zaciśnałem je w pięści, ale nie pomogło, strach był zdecydowanie zbyt realny i uzasadniony.

Kilkunastu z Cichych obskoczyło nogi stwora, siekąc nasączonymi czymś sierpami, łamiąc gałęzie, tnąc liany. Gdyby przeciwnik był człowiekiem, to już padłby na ziemię, brocząc krwią z co najmniej kilku miejsc. Zamiast tego po ziemi ciągnęła się zielonkawa struga, która zdawała się nie świadczyć o niczym.

– Niech to szlag, kurwa – warknąłem pod nosem i wybiegłem daleko w bok, chyląc się, by nie dostać od któregoś Chołownika.

Coraz trudniej było cokolwiek dostrzec. Światła więcej biło od płonących plam benzyny niż z coraz mniej licznych reflektorów. Mimo to jedna z lamp biła w korzeń tak, że mogłem dostrzec, jak powoli się porusza.

Krzykacz chodził, ciągnąc za sobą stale ten przeklęty kabel, zwisający z pleców. Ciągnik inżynierski nadal leżał wgnieciony w ziemię, a ważył tyle, że chyba nawet leśne lichy nie mogłoby go tak łatwo odsunąć. A skoro maszyna przygniatała korzeń, to znaczyło, że hak również.

Wyteżyłem wzrok, śledząc brązową lianę, którą nieustannie stwor sunął za sobą. Wreszcie światło wycięło zielonkawą, soczysty kształt. Korzeń był znacznie nadszarpnięty! Licho, idąc, samo nieświadomie nadrywało własny kabel, tnąc go o zaostrowany hak.

– Jest szansa, Jezu, jest szansa – szepnąłem z niedowierzaniem. – Ludzie! Pruć w korzeń, na miłość boską, tnijcie tam, gdzie zielone!

Kilku chłopów spojrzało na mnie bez zrozumienia, któryś zmrużył oczy i po prostu strzelił w kilka zachowanych, zielonych liści na barku Krzykacza.

– Nie tam, w korzeń, kurwa mać!

Wdrapałem się na najbliższą przyczepę, chwyciłem koktajl Mołotowa, zapaliłem materiał i cisnąłem butelką w wyznaczone przez reflektor miejsce. Ogień objął poszarpany korzeń, walcząc skutecznie mimo wilgoci.

Krzykacz stanął dęba, wygiął się w pałąk i wydał z siebie przerażający ni to jęk, ni to okrzyk, który przerwał litanię ludzkich krzyków.

Więcej osób pojęło, co się dzieje, choć większość uznała, że po prostu kule działają, albo uwijający się między nogami stwora Cisi.

– Rzuć tam granatem człowieku! Tam! – Szarpnąłem wieśniaka, który już miał posłać limonkę pod nogi potwora, a więc między obcych, tymczasowych sojuszników z lasu. – No tam rzucaj, kurwa!

Chłop od niechcenia jakby pokiwał głową, wykrzywił się w bok, wyrwał zawleczkę i posłał granat obronny w kierunku kabla.

Wybuch ciął po uszach, nie mniej niż szrapnele, tnące po wszystkim dookoła.

Sina mgiełka dymu opadła, odsłaniając lekkie naderwanie kory w innym miejscu i niewielką wyrwę w jadownicach zielonych włóknach.

Po polu przetoczył się nowy ryk. Aż włosy stanęły mi dęba na samą myśl, jakie monstrum może wydawać taki dźwięk. Dopiero po chwili stało się jasne, że winny jest któryś z Cichych, wielki, szerokich w barakach, niosący w dłoniach piłę łańcuchową.

Pędzące zęby wryły się bestii pod kolanem, wznecając wodospad wiórów. Ktoś przyskoczył od boku ze swoją piłą i ciął drugą nogę. Ludzie zawyli w euforii, strzały nasiliły się, kolejni chłopcy zaczęli zbiegać się, by obalić giganta.

Licho zaskowyczało, jakby obolałe, ranne, kierując na siebie gniew rozwścieczonych wieśniaków. Olbrzym padł na kolana, chyląc głowę, z której co chwila sypały się iskry. Któryś z chłopów podbiegł bestii przed sam łeb, wycelował karabin DP, który bóg raczy wiedzieć, w jakich innych warunkach miałby się przydać, po czym zaczął pruć długą serią prosto w czaszkę.

Łeb potwora zgiął się nagle w bok, gdy kolejny koktajl Mołotowa rąbnął w skroń. Ludzie obskoczyli przeciwnika z każdej strony, tnąc, szarpiąc, rwąc i siekąc. Teraz, zamiast uciekać, większość podchodziła jak najbliżej, opuszczając wozy strzeleckie.

– Nie... – szepnąłem pod nosem, bo na samą myśl zrobiło mi się niedobrze. – Nie, nie, nie wszyscy na raz!

Ten, który stał z DP, nagle rozszerzył usta w przerażeniu. Łapa stwora chwyciła go za tors i ścisnęła z mocą. Trzasnęły żebra, ktoś zwymiotował od samego dźwięku. Oczy biedaka wyglądały, jakby miały wyskoczyć z orbit.

Stwór machnął łapą w jedną stronę. Bryznęła krew, strzeliły łamane kości, krzyknęli ranni. Zamachnął się w drugą stronę, łapiąc przy okazji któregoś nieszczęśnika.

Kolana Krzykacza pokryły się świeżymi, zielonymi pędami, jeden z Cichych spróbował ponownie przyłożyć z góry piłę. Nagłe kopnięcie połamało rogacza, który pofrunął na kilka metrów, nim zatrzymał się o koło traktora.

– Najpierw korzeń! Mówilem, najpierw korzeń przerwijcie!

Ludzie wpadli w panikę, Krzykacz zdawał się wstawać po każdej, najmniejszej porażce. Wszystkie pomysły były najwyżej wybojami na jego drodze.

Teraz ci, którzy byli najbardziej brawurowi, płacili za to zdrowiem i życiem. Gałęzio-podobne łapy chwytaly ich i wyżywały jak szmaty.

Najbardziej przerażająca była chwila, gdy olbrzym chwycił po prostu Cichego, który ciał drugie kolano i pochłoniął go w całości. Po prostu wpakował do ciemności, jaka rozwarła się w miejscu gardzieli. Nie było ani jednego dźwięku, poza krzykiem Cichego, który brzmiał jak skowyt zarzywanego psa.

– Jeśli wy nie potraficie, to ja to zrobię, cholera jasna! – wydarłem się na sołtysa, który wydzierał się wraz z kilkoma chłopami na Lusię, zapewne namawiając ją do ucieczki.

Wybiegłem w szczere pole, usłane konającymi obrońcami. Stopa na moment zagłębiła się po kostkę w kałużę z krwi i błota. Mimo to biegłem, nie myśląc o czymkolwiek. Myślenie mogło przywołać tylko jedną sensowną myśl: ucieczkę. Tym razem jednak nie wchodziło to w grę.

Tuż przede mną przeleciała blada ze strachu, wydzierająca się twarz. Rzucony przez krzykacza chłop minął mnie o centymetry, uderzył w ziemię z paskudnym traskiem i potoczył się dalej, jak bezwładny worek.

Obejrzałem się tylko na najkrótszy moment, by dostrzec, jak lichy prostuje się, jazgocze dziesiątkami głosów i nagle uderza głową w najbliższy traktor. Kabina maszyny pękła, przygniatając wewnątrz kierowcę, który próbował wydostać się przez zgięte drzwi.

Stałem tuż nad korzeniem; choć cały czas się ruszał, sunął po ziemi, a nawet momentami w niej zatapiał, to wciąż widać było działania haka. Ostrze, pod którym sunął drewniany kabel, stale zdzierało warstwę, odsłaniając miękką tkankę.

Wziąłem głęboki oddech, sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni po załadowanego Tokariewa i zacząłem strzelać. Oczy same chciały się zamknąć,

szyja zgiąć, osłaniając od ewentualnego rykoszetu, ale z trudem walczyłem z tym odruchem. Musiałem być precyzyjny.

Kule zagłębiały się w tkance, włókna przyskały do góry, przerwane nagłą siłą. Kabel był już bardzo cienki, miał ledwie połowę oryginalnej grubości. Tylko nadal był to ten decymetr, dzielący mnie od sukcesu. Krzyknąłem, nie mogąc znieść bezsilności.

Iglica stuknęła sucho, obwieszczając pustkę. TT umilkła, a ja wraz z nią.

I to by było na tyle, pomyślałem, trzeba było robić badania statystyczne.

Gonitwa myśli zaczęła się nagle o najprostszy możliwy pomysł. Mianowicie, trzeba było znaleźć inną broń, chociażby zabrać zmarłemu, cokolwiek.

Spojrzałem na oświetlone jasno nogi Krzykacza, pod którymi leżały dwie piły łańcuchowe. Kule świstały dookoła, ziemia płonęła, spomiędzy gęstego dymu co chwila wylatywał jakiś połamany albo rozerwany niebezpiecznik.

– Za jakie grzechy – zdążyłem warknąć, nim nogi same zerwały się do biegu.

Pędziłem na złamanie karku, a w sumie to raczej po złamanie karku, bo to jedyne, co mogłoby mnie spotkać w starciu z lichem. Krzykacz był akurat zajęty, uderzył w miejsce, gdzie zgrupowali się Cisi. A trzeba przyznać, że oni zdawali się kompletnie pozbawieni instynktu samozachowawczego.

Rogaci mieszkańcy lasu rzucali się na stwora z sierpami, wspinając mu się po żebrowaniu i tnąc we wszystko, co się dało. Jeden z nich usilnie celował na zmianę we wszystkie miejsca, gdzie stwór mógł mieć jakikolwiek odpowiednik ludzkich organów.

Byłem już blisko, piła była właściwie na wyciągnięcie ręki, gdy nagle Krzykacz obrócił się w moim kierunku. Nie, nie w moim kierunku, właściwie spojrzał dokładnie na mnie.

Mózg nie zdążył nawet wymyślić przekleństwa, o mądrych ostatnich słowach nie wspominając. Zorientowałem się, co się dzieje dopiero po chwili, gdy już sprintowałem w przeciwnym kierunku.

Coś uderzyło z mocą o ziemię, znowu i znowu, ale coraz szybciej.

– Spierdalaj! – krzyknął któryś bardziej elokwentny wieśniak, podsuwając mi post factum wartą rozważenia możliwość. – Spierdalaj, kurwa, doktorze!

Huknął jakiś karabin, po chwili ponownie i jeszcze raz.

Jak gra była o nic, to pruli ze wszystkiego, pomyślałem, a jak chodzi o moje życie, to nagle tylko pykają jak do kaczki na polowaniu. Przecież Krzykacz na pewno nie zadowoliliby się już tylko mną.

Wypadłem za przygnieciony ciągnik inżynieryjny i rzuciłem się szczupakiem. Tuż za mną przebiegło wielotonowe, leśne bydle. Po ziemi ciągnął się ślad płonących liści i zaczerniałych gałęzek.

Usłyszałem chrupanie, jakby ktoś łamał chrust na mniejsze kawałki. Obejrzałem się z ziemi i dostrzegłem dosłownie kawałek przed sobą korzeń, przeciągany pod zdezelowanym ciągnikiem. Słodka woń dostała mi się wprost do nosa, wprowadzając w chwilowe osłupienie.

Krzykacz wpadł między drzewa siłą rozpędu. Rozległ się mrozący krew w żyłach skowyt. Wiedziałem, że jeśli wróci, to będzie już tylko gorzej.

Zerwałem się na równe nogi i pognałem przed siebie, obiegając ciągnik inżynieryjny. Za mną był las, przede mną lewe skrzydło formacji obrońców, z której zostało już tylko kilka wozów i niewiele więcej tuzinów ludzi.

Machnąłem ręką, po czym zasymulowałem uderzenie o coś czymś trzymanym w niej. Kilku chłopów spojrzało po sobie, jakby decydując kto ma mi rzucić broń. Paru innych po prostu odwróciło wzrok, jeszcze inni zaczęli strzelać w las albo po prostu zmieniać pozycje.

Co oni sobie myśleli? Że nawet moje spojrzenie przynosi nieszczęście?

– Jerzy! – Wysoki głos wyróżnił się z pośród harmidru krzyków, strzałów i trzasków.

Siekiera walnęła o ziemię tuż obok mnie. O mało co, a trafiłaby mnie w nogę.

Gdzieś za linią wozów mignął mi płowy warkocz i podskakująca do ambrazur twarz Łucji.

Rozumu i dobrego serca to na pewno nie ma po ojcu, pomyślałem, chwytając za siekierę.

– Pomóżcie mi! – wydarł się z mocą wichury potwór i chwycił oburącz pług pod lasem.

Na moment korzeń zaczepiony o zęby narzędzia zawisł w powietrzu, jednakże zaraz zaczep strzelił i Krzykacz wzniosł sam ciągnik rolny. Maszyna na moment skupiła na sobie wzrok wszystkich, by zaraz runąć między wozy.

Krzyki były koszmarnie, słyszałem spanikowanych ludzi, próbujących wyciągnąć członków rodziny spod wraków. To był ten moment, w którym więcej osób było rannych albo uciekało, niż próbowało się bronić.

Przeczółgałem się na drugą stronę ciągnika inżynierskiego, tę, spod której wychodził już odarty korzeń, a której Krzykacz nie widział. W mojej głowie to było jak rozgrywka szachowa, gdzie przeciwnik musiał najpierw wykonać ruch, zanim mógł mnie złapać w zasięg, a ja w tym czasie mogłem zadać mu mata.

Wzniosłem siekierę i uderzyłem w przypadkowe miejsce. Nie było sensu szukać tego, w które wpakowałem magazynek. Musiałem wyrąbać na nowo wszystkie włókna.

– No strzelać, na co czekacie! – wydarła się Łucja i sama rzuciła granatem.

Skromne F-1 mogło co najwyżej rozjuszyc Krzykacza, za to mnie zabić. Tym większe było moje przerażenie, gdy upadł ledwie kilka metrów ode mnie.

Rzuciłem się na ziemię od razu. W uszach zaczęło mi dzwonić koszmarnie, myślałem, że ogłuchłem.

Od razu spróbowałem wstać i zachwiałem się. Z lękiem spojrzałem na nogę i moim oczom ukazała się rozerwana nogawka, po której ściekała ciemna krew. Mogłem wyraźnie dostrzec strzępiącą się skórę dookoła błyszczącego mięsa.

Podpierając się o bok maszyny, dałem radę postąpić krok i za nim następny. Przechylony w bok, jak chromy, pomagałem sobie trzonkiem siekiery.

W końcu doczłapałem do wyrwy w korzeniu, który wierzgał nieustannie. Krzykacz przeskoczył jednym susem kawał drogi tak, że na szczęście mnie nie dostrzegł. Każda chwila kosztowała kolejne życia Chołowników i Cichych.

Wzniosłem siekierę i opuściłem, dławiąc jęk bólu. Krew ściekała, łaskocząc po kostkach. Świat ciemniał coraz szybciej, kołyszając się i pokrywając kolorowymi kształtami. Umęczony mózg mówił mi w ten sposób, że zaraz zapadnie w sen i żebym znalazł sobie miękki ką.

Drewniane drobiny wystrzeliły w górę, wybite mocą ostrza. Korzeń był coraz cieńszy, jak i szeregi obrońców. Zabrzmiały sporadyczne wybu-

chy ostatnich ładunków, które miały zadać leśnemu panu ostateczny cios. Zamiast tego służyły teraz osłanianiu odwrotu.

– Nie! – Rąbnąłem jeszcze raz, zacisnąłem uchwyt, wzniosłem ręce i powtórzyłem. – Nie! Nie! Nie!

Zabrzmiął cichy trzask, zaraz za nim Krzykacz umilkł. Ludzie, nawet ci, którzy byli już daleko, obrócili się na moment. Bestia przestała krzyczeć, a zamiast tego rozchyliła usta zdziwiona i rozejrzała się w osłupieniu.

Może szukała prawdziwego przeciwnika, może nie wierzyła, że to te śmieszne mrówki spoza lasu to zrobiły. Jednak faktem było to, że lichy po raz pierwszy stało odcięte od serca lasu. Istniało tylko raz i tylko na tym jednym piętrze halucynacji.

– Teraz! – wydarłem się z całą mocą.

– Teraz! – Kilka głosów poniosło prostą wiadomość dalej.

Zagrzmiały granaty, trzasnęły butelki, lunięto ołowiem ze wszystkich luf.

Krzykacz zachwiał się, przestąpił w tył i obejrzał na mnie. Zobaczyłem w jego oczach po raz pierwszy ludzką emocję: było to uczucie, które imitował głosami swoich ofiar od tylu lat – strach.

– Czujesz to? – spytałem, bardziej siebie i osunąłem się plecami o bok gąsienic.

Nie miałem już nawet siły się podnieść. Sięgnąłem jedynie po pistolet i spojrzałem na biegnącego w moim kierunku Krzykacza, gotowego mnie pożreć i dodać mój głos do swojej piekielnej czeredy.

Lufa dotknęła skroni, dając mi przyjemne uczucie chłodu.

– Oto nic.

Pociągnąłem za spust, iglica przypomniwała o pustym magazynku.

Licho dopadło do mnie, własną głową uderzając w bok pojazdu. Leżałem skulony na ziemi, kilka centymetrów od twarzy skrywanej pod

kościstą maską. W środku rzeczywiście nie było nic, tylko kilka kwiatów, schronionych w mózgoczaszce, dużo liści, świeże pędy i zero dowodu na to, że Krzykacz był myślącą istotą, a nie tylko maszyną.

Bluszcz oplótł mi twarz i przyssał się z mocą ośmiornicy. Czułem dosłownie, jak zdzierał mi skórę z twarzy. Widziałem, jak pierwsze gałązki zagarniają strzępy małżowiny usznej i włosów, jak mrówki zanoszące zdobycz do kopca, ziarnko po ziarnku.

Plecy stwora błysnęły w fali ognia i odłamków. Dym poniósł się wysoko, część poroża odpadła i plasnęła miękko w kałużę błota. Poniósł się ryk wściekłości i bólu.

Zmieniłem chwyt na pistolecie i zacząłem po prostu bić rękojęścią w oczodół licha. Drugą rękę po prostu włożyłem w orbitę oka, chwyciłem za łodygę jednego z kwiatów i pociągnąłem z całej siły.

– Zdychaj wreszcie!

Twarz paliła bólem, kolejne gałęzie zaczepiały się o moje ubranie i kończyny. Namacalnie czułem, jak moja dusza kawałek po kawałku opuszcza ciało.

Przed oczami stanął mi obraz wiecznego kościoła w lesie i tego, co stało się z jego opiekunem. W uszach zabiły mi dzwony.

Coś zahuczało z mocą silnika odrzutowego. Fala ognia podświetliła całą sylwetkę giganta, który nagle wyprostował się, pociągając mnie za sobą.

Poleciałem kilka metrów w górę, na sekundę dostrzegłem, jak długa struga ognia zalewa plecy Krzykacza.

Rąbnąłem plecami w błoto, coś chrupnęło pode mną.

Dzięki ci panie boże za ugory, pomyślałem, jakby to był beton, to już byśmy rozmawiali twarzą w twarz.

Kilku chłopów trzymało długi dyszel, z którego pod ciśnieniem tryskała struga płonącej, lepkiej cieczy. Bieniasz stał obok i wtórował z karabinu, cały był ubrudzony w błocie i krwi. Czyli nie uciekł od razu.

Wtedy moje serce zatrzymało się na moment. Leżąc na ziemi, dostrzegłem, jak osypująca się konstrukcja giganta biegnie w kierunku dyszy. Chłopi zaczęli uciekać na boki, sołtys krzyczał coś rozwścieczony i sam chwycił nagrzaną uchwyty gołymi dłońmi i skierował na przeciwnika.

Gałęziasta łapa Krzykacza rozpadła się na pojedyncze, dymiące się liany. Druga wyskoczyła w przód i chwyciła Bieniasza, wznosząc go wysoko.

– Tato! – Luscia krzyknęła tak głośno, że aż zmroziło mi krew w żyłach, tyle włożyła w to przerażenia. – Nie! Zostaw go, słyszysz?! Zostaw go!

Sylwetka sołtysa podniosła się w górę, zabrział trzask. Osłabione gałęzie zaczęły napierać na ciało Bieniasza, powoli łamiąc opór klatki piersiowej.

– Dogadajmy się na nowo! – krzyknęła nagle Łucja, wprawiając ludzi w osłupienie. – Nie zabieraj mi go, powiedz, czego chcesz!

Krzykacz na najkrótszy moment zatrzymał się w pół ruchu. Liście spadały po jego plecach, odsłaniając wypalone, czarne pnie mięśni. Rogi były już tylko okopconymi postronkami, a cała sylwetka chudła, jak gdyby zrzucając z siebie martwą skórę.

– Ja... – zdążył powiedzieć Krzykacz, nim pocisk z granatnika rozerwał mu czaszkę.

Kawałki kości poleciały we wszystkie strony, rozbrzmiał dźwięk rwanego drewna. Ostatni z walczących Cichych uciekli spod walących się nóg giganta. Jeden z chłopów strzelił raz, drugi, skończyła mu się amunicja

i z prymitywną wściekłością cisnął po prostu pistoletem w kolano wielkoluda, jak kamieniem.

Ojciec Maurycy miał zacięty, pełen skupienia wyraz twarzy. W jego drżących dłoniach spoczywał karabin z dymiącym lekko, podwieszanym granatnikiem.

– Nie tym razem – zwrócił się cicho w kierunku Łucji i pomasował po obolałym gardle. – Nie popełnicie tego błędu drugi raz.

– Tato! – wrzasnęła jakby po czasie Łucja.

Natychmiastowo odpowiedział jej przeszywający do cna krzyk. Setki głosów wydarły się jednocześnie. Stwór opadł na kolana; z jego szyi dymiła dziura, z której zdawały się umykać świetliki w niewyobrażalnej wręcz ilości. Chmara uleciała w powietrze, zawirowała pięknie i powędrowała w kierunku lasu.

Licho upadło na wznak, nadal gniotąc w dłoni nieruchomego Bieniasza.

Ludzie zbiegli się dookoła, próbując wyciągnąć sołtysa z uścisku i dźgając jeszcze martwego pana lasu. Przybiegli wieśniacy z toporkami i piłami do drewna, cięli Krzykacza na wiele małych kawałków i zaczęli szybko wrzucać je do najbliższej, płonącej plamy, zbierając stos.

Spróbowałem wstać, znowu zakręciło mi się w głowie, coś podeszło mi do gardła i zgąłem się w bok. Czułem każdą spływającą po twarzy kroplę potu i krwi. Dookoła mnie jęczeli ranni, zmarli oddawali ziemi swoje soki.

Któryś z Cichych podszedł do mnie, oferując pomoc. Nie mogłem nawet wiedzieć czy był to ktoś, kogo wcześniej spotkałem. W ciemnościach wszyscy rogowce wyglądali podobnie.

Gdy już zanieśli mnie w kierunku wozu, by obejrzeć rany pod światłem, powiedziałem do księdza:

– Wreszcie będziecie mogli żyć w spo...

– Zamknij się – powiedział po prostu ojciec Maurycy i rzucił karabin na wóz. – Nie warto było. Po prostu nie warto było.

Po czym zniknął w ciemności, zbliżając się do umierającego Cichego, by klęknąć przy nim i dokonać ostatniego namaszczenia.



– Nie boisz się? – spytała zaczepnie Łucja, poprawiając szalik.

Spojrzałem tylko na nią z protekcyjnym uśmiechem i oparłem się mocniej o kulę. Stópka zagłębiła się w zaśnieżony trakt, wiodący na skraj lasu. Nie musiałem jej nawet odpowiadać.

Nad lasem grała kolorowa mgiełka, stado ptaków zerwało się nagle z daleka i pomknęło do innej części. Bór zdawał się kołysać w jakiś systematyczny i miarowy takt, mimo braku wiatru.

Na moment zatrzymałem się, bardziej z bólu niż strachu.

– Spokojnie, to pewnie...

– Na pewno nie On. – wtrąciłem; oboje wiedzieliśmy.

– Tyle dobrego – stwierdziła ze smutnym uśmiechem Lusja i podała mi rękę.

Dotarliśmy w końcu pod las, gdzie kiedyś były dwie kaplice. Teraz stały po prostu wysokie słupki graniczne z żelazo-betonu. Na jednym z nich wisiała tabliczka: teren wykopalisk, zagrożenie dla zdrowia i życia, wstęp wzbroniony.

Prychnąłem lekko śmiechem i stanąłem w miejscu.

– Mnie się podoba, czasem kopie my trufle, to w takim razie teren wykopalisk – zażartowała Łucja i również przystanęła obok mnie.

– Byłabyś świetnym prawnikiem; albo gorzej, politykiem...

– Cichaj, idą.

Drzewa zafalowały, zgięły się na boki i spomiędzy nich wynurzyła się wielometrowa, pokryta żółtymi igłami i szyszkami postać. Zaraz za jednym, smukłym gigantem wyszedł następny i następny, kołysząc się raz w lewo, raz w prawo, do przodu i do tyłu.

Bez słowa obejrzelśmy się z Łucją na siebie; zacisnąłem dłoń na jej dłoni i powiodłem wzrokiem za przewodnikiem stada z lasu.

Ogromne stwory przypominały nieco leśnych dziadów, choć wyraźnie były większe, szersze i miały znacznie dłuższą sierść. O ile wyrastające z ciała włoskowate igły można nazwać sierścią.

Było ich wielu, tak wielu, że po trzech tuzinach przestałem liczyć, a wyszło pewnie drugie tyle. Aż nareszcie przybył ostatni, najszerszy i najwyższy, by stanąć w centrum ośnieżonego pola.

Leśne stwory zebrały się dookoła swojego gigantycznego przedstawiciela i zaczęły krążyć w trzech szeregach wokół niego. Ich igły wydawały przy tym świszczące, uporządkowane rytmicznie dźwięki, przypominające takt muzyki.

Nagle wszystkie stwory stanęły w miejscu i zaczęły kręcić się jak derwisze. Ich sylwetki zapadały się w głąb stwardniałej ziemi, wykopując sobie jamę, centymetr po centymetrze.

Obroty ustały i jakby popisowym ruchem tanecznym wszystkie wstrząsnęły się, niby pies po wyjściu z jeziora. Ich szyszki i najkrótsze, najzieleńsze igły opadły. Zostały same włoskowate, długie, żółte witki.

– Piękne, co?

Obejrzałem się na pole, które było usłane gigantycznymi snopami czegoś, co z daleka wziąłbym z pewnością za siano. Strach pomyśleć, co by było, gdybym spróbował włożyć rękę do środka.

– Będą dojrzewać?

– Wysiadywać, a na wiosnę wrócić do lasu. Przyznaj, że ładnie tańczyły, bo jak ci się nie podobało, to będę się czuć głupio.

– Miało to swój urok. – Zamachałem dłonią nieokreślonym gestem i wyszczerzyłem się, dławiąc śmiech.

– Chochóły tańczą raz na rok, czuj się szczęściarzem. W życiu widziało to bardzo niewiele osób. Kiedyś częściej wychodziliśmy obserwować, ale teraz... Chyba ludzie zaczęli być bardziej ostrożni.

Zmarkotniała, obróciła się, nadal niby podając mi rękę, ale zdecydowanie niechętnie, bardziej z obowiązku.

Sapnąłem, udając, że to z bólu, a nie smutku. I szliśmy tak, udając, że nie czujemy tego, co czujemy. Że nie myślimy ciągle o tym, że może warto było nie ingerować, siedzieć pod eternitowym dachem i przez okno oglądać dziki bór. Może nie warto było robić cokolwiek, by przeciwstawiać się czemuś tak obcemu, jak las.

Z daleka zaczął biec ku nam chłopak, młodzieniec, jeszcze wąs mu się ledwie sypał pod nosem szczeciną. Zmachany jakby go ktoś do żarn przykuł do roboty, oparł się o własne kolana tuż przed nami i zaczął dyszeć.

– No co tam, Wojtuś? – spytała łagodnym tonem Łucja.

– Panie doktorze... – wydyszał chłopiec. – Panie doktorze, bo pytają o pana. Przyjechali z Jarzeniówka albo i dalej. Będę na spytki ludzi brać, bo afera jest.

Uśmiechnąłem się wyrozumiale do chłopaka i machnąłem ręką.

– Choły to ostatnie miejsce, w którym człowiek szukałby czegoś ciekawego – odparłem, spoglądając na Lusię. – Niech tak zostanie.